

Sara Paretsky

Wypalone ślady

(Burn Marks)

Przełożyli Adam i Zygmunt Jagielscy

Powieść tę poświęcam Patti Shepherd, Jayanne Angell i Billowi Mulins,
którzy wcześniej niż ja uwierzyli w moje umiejętności pisarskie.

ROZDZIAŁ 1

Dzwonek w nocy

Miałam koszmary sen. Śniło mi się, że siedzę z matką ukryta w ciasnej sypialni na poddaszu naszego starego domu w Huston. Gdzieś na dole szczekają i warczą ścigające nas psy. Matka uciekła przed faszystami z ojczyznej Italii, ci jednak zawzięcie ją tropili aż do Chicago. Szczekanie psów przeszło nagle w rozdzierający skowyt. Usiadłam na łóżku. Była trzecia nad ranem; ktoś uparcie dzwonił do drzwi. Byłam spocona i trzęsłam się z zimna. Ostry dźwięk dzwonka przypomniał mi epizod z dzieciństwa. Wtedy, w środku nocy obudził nas telefon, wzywający ojca do natychmiastowego stawienia się na policji. Obie z matką czekałyśmy niecierpliwie na jego powrót. Choć strach wycierał z jej ciemnych oczu, nie chciała okazać, że się boi. Wyszła do kuchni, żeby przygotować porcję mojej ulubionej mieszanki kawy z mlekiem i czekoladą, następnie zaczęła opowiadać cudowne i wzruszające włoskie baśnie ludowe.

Naciągnęłam na siebie luźną, sportową bluzę i szorty, sforsowałam zacinający się zamek u drzwi, po chwili zbiegałam już po schodach z trzeciego piętra na parter do frontowego wejścia ścigana rozlegającym się głośnym echem po pustej klatce dźwiękiem dzwonka.

Po drugiej stronie oszklonych drzwi ujrzałam ciotkę Helenę, z determinacją naciskającą przycisk. Na ramionach zamiast płaszcza narzuconą miała wypłowiałą kołdrę. Obok niej pod ścianą stała torba wypchana osobistymi rzeczami; na samym wierzchu widać było fioletową koszulę nocną. Nie jestem przesadna, ale mimo woli pomyślałam, że mój koszmary sen został chyba wywołany przez jakieś mroczne wibracje emanujące od Heleny.

Młodsza siostra mojego ojca, Helena, była zawsze źródłem zmartwień i kłopotów w rodzinie.

– Lubi czasem zaglądać do kieliszka – mawiała z zakłopotaniem babka.

Często zdarzało się, że policjant zrywał nas z łóżek późną nocą, żeby przekazać wiadomość, iż Helena zaczepia mężczyzn na Clark Street. Wtedy matka potrzasała głową i mówiła:

– Nie powinniśmy jej za to potępiać – taką ma naturę. – Po czym odsyłała mnie z powrotem do łóżka.

Kiedy siedem lat temu zmarła moja babka, brat ojca, Piotr, przekazał Helenie swój udział w znajdującym się w Norwood Park domu pod warunkiem, że nigdy więcej nie będzie go już o nic prosić. Helena bez chwili wahania przystała na to, ale już po czterech latach wplątała się w podejrzaną aferę finansową i w rezultacie dom został – na mocy wyroku sądowego – sprzedany na pokrycie zaciągniętych długów.

Po ich zapłaceniu Helenie zostało trzy tysiące dolarów oraz niewielka renta. Zamieszkała więc w hotelu dla samotnych: wieczorami grywała w „oczko”, a w dni odbioru renty od czasu do czasu próbowała różnych spekulacji. Tryb życia Heleny i alkoholizm wyłobily na jej twarzy głębokie bruzdy, wciąż miała jeszcze bardzo zgrabne nogi.

Od razu zauważyła mnie przez szybę i zdjęła palec z przycisku. Gdy otwarłam drzwi, rzuciła mi się na szyję i gorąco ucałowała.

– Wiktorio, skarbie mój, wyglądasz wspaniale!

Owionął mnie zapach stęchłego piwa.

– Co, u licha, Heleno, robisz tu o tej porze?!

Helena odeła swoje pełne wargi.

– Dziecko moje, muszę przecież gdzieś mieszkać. Jestem w sytuacji bez wyjścia. Policja chciała mnie ulokować w przytułku, ale przecież mam jeszcze ciebie i dlatego przywieziono mnie tutaj. Jechałam tu z bardzo miłym, młodym policjantem. Miał cudowny uśmiech. Opowiedziałam mu wszystko o twoim ojcu, ale on, kiedy twój ojciec żył, był jeszcze chłopcem i nigdy wcześniej o nim nie słyszał.

Zacisnęłam zęby.

– A dlaczego opuściłaś swój hotel? Czyżby cię stamtąd wyrzucili, boś włąziła do łóżek starym emerytom?

– Wiki, dziecko moje – zachnęła się Helena. – Jak możesz mówić w ten sposób! To nie pasuje do tak miłej dziewczyny jak ty!

– Heleno, przestań pieprzyć! – Zanim jeszcze ciotka zdążyła zareagować, sama się zreflektowałam. – To znaczy, przestań mówić głupstwa i wytłumacz mi, co tutaj robisz o trzeciej nad ranem.

Ciotka naburmuszyła się.

– Właśnie chcę ci to wyjaśnić, kochanie, ale wciąż mi przerywasz. Wybuchł pożar i nasz hotel spłonął doszczętnie. Nic nie ocalało. – Łzy napłynęły do jej wypłowiłych niebieskich oczu i zaczynały wolno spływać głębokimi bruzdami. – Jeszcze nie spałam. Ledwo zdążyłam zapakować swoje rzeczy do torby i uciec z płonącego budynku wyjściem awaryjnym. Nie wszystkim tak się udało. Marty Holman, biedaczysko, zostawił swoje sztuczne zęby. – Nagle przestała płakać i zachichotała: – Mój Boże, Wiki, gdybyś go wtedy zobaczyła! Starowina stał z zapadniętymi policzkami i wytrzeszczonymi oczami i mamrotał: „Moje zęby, nie mam zębów!”

– To rzeczywiście musiało być wyjątkowo zabawne – przyznałam sucho. – Nie możesz mieszkać razem ze mną, Heleno. Nie wytrzymałabym z tobą nawet 48 godzin, wołałabym popełnić samobójstwo.

Jej dolna warga zaczęła się trząść jak u małego, skrzywdzonego dziecka.

– Nie bądź dla mnie taka niedobra, Wiki. Nie bądź taka dla biednej, starej ciotki, której w środku nocy spłonął dach nad głową. Przecież łączą nas więzy krwi. Byłaś ukochaną córeczką mojego rodzzonego brata. Nie możesz wyrzucić starej ciotki na ulicę jak zniszczony łachman.

Za naszymi plecami głośno trzasnęły drzwi. To urzędnik bankowy, który niedawno się wprowadził do mieszkania po, lewej stronie korytarza na pierwszym piętrze, wpadł na klatkę schodową i stanął w rozkroku z wspiętymi na biodrach rękami i wysuniętą wojowniczo do przodu szczęką. Miał na sobie bawełnianą piżamę w marynarskie pasy i – mimo widocznego rozespania – był starannie uczesany.

– Co, u diabła, tutaj się dzieje? Wolno wam nie pracować – Bóg wie, co robicie przez całe

dnie – ale ja pracuję. Skoro już koniecznie musicie załatwić swoje sprawy w środku nocy, to miejcie jednak na uwadze sąsiadów i nie róbcie awantur na korytarzu. Jeśli się natychmiast nie uspokoiacie i nie wyniesiecie stąd do diabła, zawołam policję.

Zmierzyłam go chłodnym spojrzeniem.

– Prowadzę na górze melinę, a ta pani jest moim dostawcą. Jeśli policja pana tutaj zastanie, może pan zostać oskarżony o współudział w przestępstwie.

Helena zachichotała.

– Nie bądź nieuprzejma dla tego pana, Wiktorio. Nigdy nie wiadomo, czy znajomość z kimś, kto ma takie piękne oczy jak ten pan, nie przyda ci się kiedyś. – Po czym zwracając się do „bankiera”, dodała: – Nie denerwuj się, kochanie. W tej chwili stąd znikamy, będziesz mógł więc spokojnie wrócić do łóżka do swoich pięknych snów.

Za drzwiami po prawej stronie korytarza zaczął szczekać pies. Zacisnąwszy zęby, popchnęłam Helenę w kierunku swojego mieszkania i wzięłam jej torbę do ręki.

„Bankier” obserwował nas przez zmrużone powieki. Kiedy Helena przechodząc obok przechyliła się ku niemu, wystraszył się i cofnął szybko, zamykając za sobą pośpiesznie drzwi. Gdy ciągnęłam za sobą Helenę do góry, ona usiłowała mnie przekonać, że należało poprosić „bankiera”, by zajął się jej bagażem. – Była to doskonała okazja dla zawarcia bliższej znajomości. Omal nie krzyknęłam z wściekłości, gdy otwarły się drzwi wiodące do mieszkania po prawej stronie. Jak widmo pojawił się na klatce schodowej w purpurowym szlafroku pan Contreras. Trzymał na smyczy naszą wspólną charcicę: gdy mnie zobaczyła, jej gardłowe warczenie przeszło w przymilne skomlenie.

– Ach to ty, dziecino! – z ulgą odezwał się starszy pan. – Nasza księżniczka mnie obudziła. Kiedy usłyszałam hałas, pomyślałam sobie: Boże mój, czy nie stało się coś złego? Może ktoś w nocy się włamał do sąsiadów? Powinnaś bardziej uważać, moja droga. Nie należy budzić ludzi w środku nocy i zakłócać im wypoczynku.

– Słusznie – zgodziłam się chętnie. – Wbrew powszechnej opinii należę również do tych ludzi, którzy pracują. I proszę mi wierzyć, nie miałam, podobnie jak pan, najmniejszej ochoty wstawać o trzeciej nad ranem.

Helena uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła dłoń do pana Contrerasa, niby księżna Diana pozdrawiająca prostego żołnierza.

– Jestem Helena Warshawski – przedstawiła się. – Miło mi pana poznać. Ta mała dziewczynka jest moją bratanicą, to najmilsze i najśłodsze stworzenie pod słońcem.

Pan Contreras potrząsnął jej dłonią ze szczególnym błyskiem w swoich sowych oczach.

– Bardzo mi przyjemnie – odparł beznamiętnie. – Dziecino – zwrócił się do mnie – powinnaś natychmiast zabrać stąd tę lady – jest twoją ciotką, jeśli dobrze zrozumiałem – i położyć ją do łóżka. Widać, że potrzebuje wypoczynku.

Również i do niego dotarł kwaśny zapach.

– W tej chwili to robimy – oświadczyłam. – Chodź już, Heleno. Idziemy na górę, czas do łóżka.

Pan Contreras skierował się ku drzwiom swojego mieszkania. Pies zaczął szczekać wyraźnie zawiedziony – miał nadzieję na udział w towarzyskim spotkaniu.

– Nie zachował się zbyt grzecznie – prychnęła z niezadowoleniem Helena, gdy drzwi za panem Contrerasem już się zamknęły. – Nie powiedział, jak się nazywa, chociaż ja mu się przedstawiłam.

Wspinając się po schodach bez przerwy utyskiwała.

Nie odzywałam się, popychając ją wciąż we właściwym kierunku; nie pozwoliłam jej nawet zatrzymać się na drugim piętrze dla nabrania tchu w piersi.

Kiedy znalazłyśmy się już u mnie, zaczęła głośno wydziwiać na widok tego, co zobaczyła. Nie zwracając na to uwagi odsunęłam na bok stolik do kawy i rozłożyłam sofę. Po przygotowaniu posłania wskazałam ciotce łazienkę.

– Słuchaj, Heleno – oświadczyłam stanowczo – zostaniesz u mnie tylko na tę jedną noc. A teraz przestań głądzić, bo nie mam ochoty tego słuchać.

– Dobrze, moje dziecko, dobrze. A co się stało z fortepianem twojej matki? Czyżbyś go sprzedała?

– Nie – odparłam krótko. Fortepian matki spłonął podczas pożaru, który wybuchł w moim mieszkaniu trzy lata temu. – Nie licz, że jeśli ty będziesz gadała o fortepianie, to ja zapomnę o tym, co ci powiedziałam. Teraz kładę się spać. Ty, oczywiście, możesz spać albo nie, ale rano musisz sobie poszukać innego lokalu.

– Och, nie bądź taka okropna, Wiki. I nie powinnaś tak się marszczyć, bo zbrzydniesz. Do kogo mogłam się udać w środku nocy, jeśli nie do bratanicy?

– Daj spokój – odparłam ze znużeniem. – Mam tego wszystkiego dość.

Zamknęłam za sobą drzwi do sypialni, nie mówiąc jej nawet dobranoc. Nie próbowałam ciotki ostrzec, by nie szukała mojego likieru; jeśli będzie miała ochotę się napić, znajdzie go, a potem będzie mnie sto razy przepraszać, że nie dotrzymała obietnicy.

Leżałam w łóżku nie mogąc zasnąć, przeszkadzała mi świadomość obecności Heleny w sąsiednim pokoju. Słyszałam przez chwilę krzątanie, a następnie buczenie ściszonego specjalnie telewizora. Przeklinałam stryja Piotra za jego przeprowadzkę do Kansas City. Robiłam sobie wyrzuty, że nie przewidziałam tego wszystkiego i nie wyjechałam gdzieś daleko od Chicago, do Quebecu lub Seattle. W końcu, gdzieś około piątej, gdy zaczęło już świtać, zasnęłam twardym snem.

ROZDZIAŁ 2

Kłopotliwa ciotka

Dzwonek u drzwi obudził mnie ponownie o ósmej. Naciągnęłam więc na siebie bluzę i szorty i powlokłam się do drzwi wejściowych. Podniosłam słuchawkę domofonu: nikt się nie odzywał. Kiedy wyjrzałam przez okno na ulicę, zobaczyłam „bankiera” wymachującego energicznie rękami i maszerującego ulicą Diversey. Pokazałam mu figę.

Helena wciąż spała. Przez chwilę błysnęła mi złośliwa myśl, by ją obudzić, ale po namyśle dałam spokój. Patrzyłam na nią z niesmakiem. Leżała na plecach z otwartymi ustami, lekko pochrapując. Twarz miała zaróżowioną, nos pokryty siecią drobnych żyłek. W porannym, świetle zauważyłam, że jej fioletowa koszula już dawno powinna być oddana do pralni. Ciotka przedstawiała sobą w tej chwili widok zarówno odrażający, jak i wzruszający. Pomyślałam, że nigdy nie powinien jej oglądać podczas snu ktoś obcy.

Wzdrygnęłam się mimo woli i szybko wróciłam do sypialni. To, co zobaczyłam, wcale nie uśmierzyło mojego gniewu na ciotkę. Przez nią miałam w tej chwili uczucie, jakby mi ktoś do głowy nasypał żwiru. Co gorsza, następnego dnia oczekiwało mnie spotkanie z potencjalnym klientem, do którego nie byłam jeszcze należycie przygotowana. Powinnam zakończyć pracę nad wykresami i oddać je do drukarni. Tymczasem okoliczności tak się złożyły, że cały dzień będę musiała szukać mieszkania dla Heleny, a potem z pewnością wypadnie mi płacić w drukarni poczwórną stawkę za nadgodziny.

Usiadłam na podłodze i wykonałam kilka ćwiczeń dla odprężenia przed codziennym porannym biegiem na świeżym powietrzu.

Ponieważ nie miałam najmniejszej ochoty jeszcze raz oglądać śpiącej Heleny, wyszłam z mieszkania tylnym wyjściem. Pod drzwiami do kuchni pana Contrerasa czekała już na mnie Peppy – nasza wspólna suka. Starszy pan wysunął na chwilę głowę zza drzwi i zawołał na mnie w momencie, gdy zamykałam za sobą furtkę, ale udałam, że go nie słyszę. Niestety, w powrotnej drodze pan Contreras czekał już na mnie na kuchennym schodach przeglądając *Sutirfimesa*; kiedy próbowałam go wyminąć, chwycił mnie za rękę.

– Zatrzymaj się na chwilę, mój Placuszku. Kim była owa dama, która dziś w nocy złożyła ci wizytę? – Pan Contreras był emerytowanym maszynistą, wdowcem, miał zamężną córkę, której specjalnie nie lubił. Podczas trzech lat wspólnego zamieszkiwania w tym samym budynku zachowywał się tak, jakby był moim rodzonym wujem, choć był tylko natrętem.

Wyrwałam mu rękę.

– To była moja ciotka, młodsza siostra mojego ojca. Ma skłonność do starszych, zamożnych mężczyzn. Jeśli więc przypadkiem wstąpi do pana na pogawędkę – proszę uważać, by nie ściągnęła z pana ubrania.

Tego rodzaju uwagi zawsze go drażniły. Jestem pewna, że w życiu nasłuchiwał się jeszcze gorszych – choćby wówczas, kiedy pracował jako maszynista – ale najwyraźniej nie znosił najbardziej nawet ogólnikowych aluzji do spraw seksu z mojej strony: czerwienił się wtedy i

złościł.

– Proszę do mnie nie mówić w ten sposób – zachnął się zdenerwowany. – Po prostu nie potrafię być obojętny na to, co się wokół mnie dzieje. A ty, Placuszku – muszę ci to otwarcie powiedzieć – nie powinnaś dopuszczać, by składano ci wizyty o tak późnej porze. A jeśli nawet coś takiego ci się już przydarzy, nie powinnaś swoich gości trzymać na klatce schodowej i rozmawiać z nimi głośno, budząc wszystkich sąsiadów.

Gdybym mogła, chętnie bym mu w tej chwili wydrapała oczy.

– Ja jej do siebie wcale nie zapraszałam! – krzyknęłam. – Nie miałam pojęcia, że do mnie przyjdzie. Wcale jej tutaj nie chciałam. Nie miałam najmniejszej ochoty wstawać o trzeciej w nocy.

– Nie musisz krzyżeć – stwierdził surowo. – Jeśli nawet ciotka złożyła ci wizytę bez uprzedzenia, trzeba było z nią rozmawiać we własnym mieszkaniu.

Kilkakrotnie otwierałam i zamykałam usta nie mogąc wydobyć z siebie głosu – zabrakło mi argumentów. Trzymałam Helenę na korytarzu w nadziei, że się na mnie obrazi i pójdzie sobie. Jednak w głębi serca czułam, że nie mogę jej tak po prostu odprawić. Starszy pan miał rację. Ale ta świadomość wcale nie sprawiła mi ulgi.

– Dobrze już, dobrze – przecięłam dalszą dyskusję. – To się już więcej nie powtórzy. A teraz proszę mnie przepuścić – mam dziś dużo zajęć.

Gdy znów znalazłam się u siebie, do moich uszu doszło z sąsiedniego pokoju przytłumione chrapanie Heleny. W kuchni zaparzyłam kawę i z filiżanką w ręce weszłam do łazienki, by wziąć prysznic. Następnie, chcąc jak najszybciej opuścić dom, pośpiesznie ubrałam się w dżinsy i białą koszulę. Gdy weszłam do kuchni, żeby przygotować sobie śniadanie, Helena siedziała już przy stole. Miała na sobie pikowany, poplamiony szlafrok, założony na nocną koszulę. Palce jej się trochę trzęsły, gdy oburącz podnosiła do ust filiżankę z kawą. Gdy mnie ujrzała, na jej twarzy ukazał się wymuszony uśmiech.

– Robisz doskonałą kawę, moje dziecko – taką, jak twoja matka.

– Dziękuję ci, Heleno – odparłam suche. Wydobyłam z lodówki skromną zawartość. – Przepraszam cię, ale nie mam czasu na rozmowy, muszę znaleźć dla ciebie jakiś dach nad głową.

– Niepotrzebnie tak się tym przejmujesz, to ci jeszcze zaszkodzi. Pozwól mi zostać u siebie przez kilka dni, bym mogła odzyskać równowagę po piekle, jakie przeżyłam tej nocy. Obiecuję, że nie będę sprawiała kłopotu. Zajmę się porządkami, gdy cię nie będzie w domu.

Stanowczo potrząsnęłam głową.

– Nie ma mowy, Heleno. Nie życzę sobie twojej obecności w moim mieszkaniu. Ani jedną dobę dłużej.

Twarz ciotki się nachmurzyła.

– Dlaczego mnie tak nienawidzisz? Jestem przecież siostrą twojego ojca. Rodzina winna sobie pomagać!

– Nie żywię do ciebie nienawiści, ale twój tryb życia mi nie odpowiada. Nie potrafiłybyśmy żyć zgodnie pod jednym dachem. Gdyby mój ojciec żył, powiedziałby ci to samo.

Jeszcze za życia ojca Helenie przydarzył się nieprzyjemny epizod. Mimo iż z własnej woli wyprowadziła się od babki i zamieszkała oddzielnie, pewnego razu zatęskniła za rodziną i pojawiła się w naszym domu w Chicago. Spędziła razem z nami zaledwie trzy dni. Stało się tak bynajmniej nie z winy mojej matki, gotowej przytulić do łona każdą nieszczęśliwą duszę; wypędził ją właśnie ojciec, który po powrocie z pracy z nocnej zmiany zastał ją przy stole kuchennym pijaną do nieprzytomności. Po tym incydencie nie chciał z nią rozmawiać przez całe pół roku.

Helena najwidoczniej dobrze pamiętała ów epizod, gdyż teraz zaszepiona siedziała przede mną w milczeniu.

Pogładziłam ją pieszczotliwie po ramieniu i zaproponowałam jajka na śniadanie. Bez słowa potrząsnęła przecząco głową. W ciszy obserwowała mnie, jak rozsmarowywałam pastę z sardeli na kawałku chleba. Zjadłam pośpiesznie śniadanie i wyszłam z domu, nim litość zdążyła wziąć górę nad rozsądkiem.

Było już dobrze po dziesiątej. Poranny szczyt na ulicach już się skończył, z łatwością więc przedostałam się przez Belmont na autostradę. Jednak w pobliżu Loop ruch pojazdów nagle zwolnił tempo i stężał, gdyż znalazłam się w labiryncie robót drogowych. Na najruchliwszym chyba w świecie sześciokilometrowym odcinku między ulicami Eisenhowera i Thirtyfirst pasy wiodące w kierunku południowym zostały zamknięte, podczas gdy robotnicy wykonywali na nich prace konserwacyjne.

Mój mały cavalier znalazł się w długim wężu pojazdów, wijącym się między barierami, wtłoczony między dwie sześćdziesięcotonowe ciężarówki. Na prawo ode mnie znajdowało się całkowicie wolne od ruchu stare koryto drogi z odsłoniętą siecią metalowych zbrojeń przypominających gniazda splątanych żmij ze sterczącymi tu i ówdzie, gotowymi do ukąszenia głowami. W tych warunkach nie zauważyłam w porę skrętu w Lake Shore Drive i nagle zostałam przyparta do bariery blokującej pas wyjazdowy. Mając na ogonie sześćdziesięcotonową ciężarówkę nie mogłam przyhamować i objechać blokującej mnie bariery, zgrzytnąwszy więc zębami dojechałam aż do Thirtyfifth, po czym skręciłam w kierunku Cermak.

Hotel Heleny stał kilkadziesiąt metrów od skrzyżowania z Indiana. Jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości, czy Helena w swej relacji o pożarze nie rozminięła się przypadkiem z prawdą, to w momencie, gdy znalazłam się na miejscu, wątpliwości rozwiały się całkowicie. Tu, gdzie wcześniej znajdował się hotel, stał całkowicie wypalony szkielet budynku.

Zaparkowałam po przeciwnej stronie ulicy i wyszłam z samochodu, żeby się lepiej przyjrzeć pogorzeliści. Kiedy obchodząc je znalazłam się na północnej stronie budynku, nagle spostrzegłam grzebiącego w gruzach, ubranego w sportową marynarkę męczyznę w ochronnym kasku na głowie. Nieznajomy pochylał się od czasu do czasu i parą szczypiec podnosił kawałek gruzu, po czym wkładał go do plastikowej⁷⁷ torebki, którą zapieczętowywał i odpowiednio oznaczał, a następnie mówił coś do kieszonkowego dyktafonu. W pewnej chwili zauważył mnie; zanim jednak się zbliżył, starannie zapakował do torby kolejny przedmiot.

– Pani coś tutaj może zgubiła? – zapytał.

Miał przyjemny głos, jego piwne oczy patrzyły na mnie badawczo.

– Drobiazg. Ktoś, kto tutaj dotąd mieszkał, obudził mnie dziś rano o świcie.

Zacisnął wargi, ważąc w myślach moją odpowiedź.

– W takim razie co pani tutaj robi?

Wzruszyłam ramionami.

– Chciałam na własne oczy zobaczyć to, o czym usłyszałam. Upewnić się, że po hotelu nic nie zostało, zanim zacznę dla przyjaciółki szukać nowego lokum. Ale, ale – co pan tutaj robi? Ktoś by pomyślał, że szuka pan czegoś wartościowego.

Roześmiał się głośno; wyraz czujności na chwilę zniknął z jego twarzy.

– I miałby rację, gdyż – w pewnym sensie – rzeczywiście szukam rzeczy przedstawiających dla mnie wartość.

– Czy jest pan może ze straży pożarnej?

Potrząsnął przecząco głową.

– Z towarzystwa ubezpieczeniowego.

– Czy to było może podpalenie? – Byłam tak bardzo przejęta kłopotem, który spadł nieoczekiwanie na moją głowę, że wcześniej nawet nie przyszło mi to na myśl.

Mężczyzna ponownie nieco nastroszył się.

– Po prostu zbieram materiał do analizy dla laboratorium, które postawi diagnozę.

Uśmiechnęłam się.

– Ma pan rację, że jest pan ostrożny; nie wiadomo, kto może się kręcić po tych zgłiszczach. Nazywam się Wiktoria Warszawski. W chwilach, kiedy nie szukam mieszkania w trybie pilnym, jestem prywatnym detektywem. Od czasu do czasu pracuję także dla Ajax Insurance. – Wyjęłam z torebki wizytówkę i wręczyłam mu ją.

Starannie wytarł wysmarowaną sadzą rękę w chusteczkę i potrząsnął moją dłońią.

– Robin Bessinger – przedstawił się. – Jestem z Wydziału Podpaleń i Oszustw Ajaxu. To dziwne, że do tej pory nic o pani nie słyszałem.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Ajax zatrudniał około sześćdziesięciu tysięcy osób na całym świecie i nikt nie był w stanie znać wszystkich. Wyjaśniłam więc, że wykonywane dla nich przeze mnie zadania dotyczyły zwykle roszczeń lub reasekuracji i podałam kilka nazwisk, które powinien znać. Dzięki temu wyzbył się resztek nieufności i wyznał mi, że wszystko wskazuje, iż mamy do czynienia z podpaleniem.

– Mógłbym pokazać miejsce, gdzie rozlano parafinę, ale nie wolno mi pani zabrać z sobą do wnętrza budynku bez kasku ochronnego. Spadające z góry kawałki gruzu są wciąż jeszcze groźne.

Wyraziłam głęboki żal z tego powodu, po czym zapytałam, :

– Czy właściciel hotelu dokonał ostatnio zakupu dodatkowych polis ubezpieczeniowych?

Potrząsnął przecząco głową:

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Otrzymałem zlecenie zbadania sprawy na miejscu, póki ślady ewentualnego podpalenia są jeszcze świeże. Mam nadzieję, że pani przyjaciółka zdążyła ocalić z pożaru swój dobytek.

Uprzytomniłam sobie, iż zapomniałam zapytać Helenę, czy podczas pożaru nie było ofiar

w ludziach. Robin wyjaśnił mi, że gdyby były ofiary, jednostka policji kryminalnej natychmiast wkroczyłaby do akcji.

– Nie powinna pani parkować w pobliżu pogorzelniska bez poważnej przyczyny. Podpalacze często wracają na miejsce przestępstwa, żeby sprawdzić efekty swej zbrodniczej działalności. W tym przypadku nie ma ofiar śmiertelnych, ale kilka osób odwieziono do szpitala z poparzeniami lub w stanie zczadzenia. Podpalacze zwykle lubią mieć pewność, że nie było ofiar w ludziach, gdyż wiedzą, iż śledztwo w sprawie samego tylko podpalenia nie wzbudzi większego zainteresowania opinii publicznej. – W tym momencie spojrzął na zegarek. – Ale tymczasem czas ucieka, a ja mam jeszcze sporo do zrobienia. Sądzę, że pani przyjaciółka bez trudu znajdzie sobie nowe mieszkanie.

Z takim niczym nieuzasadnionym optymizmem udałam się na poszukiwania. Zaczęłam od Biura Ekspresowego Wynajmu Mieszkań, gdzie stanęłam na końcu długiej kolejki oczekujących. Przeważały wśród nich kobiety w różnym wieku, niejednokrotnie z dziećmi na ręku oraz starzy, szepczący wciąż coś między sobą mężczyźni – niemal wszyscy trzymali w rękach walizki lub ściskali tobołki, zawierające cały ich dobytek; wszystkich nieubłagany los wyrzucił niemiłosiernie na ulicę.

Wysokie bariery, dzielące pomieszczenie, w którym się znajdowałam, i gołe ściany stwarzały niemal więzienną atmosferę. Nigdzie nie było ani jednego krzesła; zajęłam więc miejsce w kolejce i oparłam się o ścianę.

Za mną stała ciężarna kobieta lat około dwudziestu z niemowlęciem na ręku i uczeponym jej spódnicy niespokojnym dwuletnim berbeciem. Zaproponowałam jej, że potrzymam niemowlę lub zajmę się dwulatkiem.

– Nie trzeba – odparła miękko, cichym głosem. – Todd jest po prostu trochę zmęczony po ostatniej bezsennej nocy. Nie mogliśmy nigdzie znaleźć schronienia, a hotel, do którego nas skierowano, nie przyjmował lokatorów z dziećmi. Niestety, nie miałam nawet pieniędzy na bilety autobusowe, żeby tutaj powrócić i otrzymać inne skierowanie.

– I co pani zrobiła? – Nie wiedziałam, co było bardziej okropne: czy sytuacja, w której się znajdowałam, czy też rezygnacja, którą słychać było w jej głosie.

– Och, znaleźliśmy w parku wolną ławkę: dziecko spało spokojnie, ale Toddowi nie było wygodnie.

– Czy pani nie ma żadnych przyjaciół czy krewnych, którzy by pani pomogli? A co z ojcem niemowlęcia?

– Och, próbował coś dla nas załatwić – odparła apatycznie. – Ale sam jest bez pracy. A mama, która zwykle nam pomagała, poszła do szpitala i wygląda na to, że jeszcze długo będzie chorowała, nie możemy więc na nią liczyć.

Rozejrzałam się po sali. Dziesiątki ludzi oczekiwały przede mną w kolejce. Większość z nich – podobnie jak ona – wyglądała na przygnębionych i zmęczonych życiem. Ci, których życie jeszcze nie złamało, usiłowali stawić mu czoło w nierównej walce. Zdałam sobie sprawę, iż potrzeby mieszkaniowe Heleny nie są tej miary co potrzeby tych ludzi.

Zanim opuściłam kolejkę, zapytałam, czy nie zjadłaby wraz z Toddem śniadania: chciałam kupić coś dla nich u Burger Kinga.

– Tutaj nie wolno nic jeść, ale Todd mógłby pójść z panią do baru – usłyszałam w odpowiedzi.

Todd nie miał najmniejszej ochoty puścić się spódnicy matki, nawet po to, żeby dostać coś do zjedzenia. W końcu zostawiłam go płaczącego z matką, sama poszłam do Burger Kinga, kupiłam tuzin słodkich bułek z jajkami i zawinęłam je starannie w plastikową torbę, żeby nikt nie domyślił się, co zawiera. Torbę wręczyłam kobiecie i wyszłam z sali najszybciej jak mogłam. Trzęsłam się cała. Ścierpła mi skóra.

ROZDZIAŁ 3

Nie święty Piotr

Motel, na jaki mogłaby sobie pozwolić Helena, raczej nie ogłaszał się w gazetach. Te, które się ogłaszały, zlokalizowane były przede wszystkim w Lincoln Park, a wynajęcie pokoju na jeden miesiąc kosztowało minimum sto dolarów. Za pokój w „Indiana Arms” Helena płać siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie.

Przez cztery godziny na próżno przemierzałam ulice w poszukiwaniu hotelu dla Heleny. Przeczesalam dokładnie Near South Side – przestrzeń między ulicami Cermak Road, Indiana i Halsted. Sto lat temu mieszkali tutaj Indianie. Kiedy wywędrowali na North Shore, okolica opustoszała. Dziś znajdują się tutaj wolne działki budowlane, giełdy samochodowe, jakieś publiczne instytucje i kilka hoteli dla ubogich. Parę lat temu wybudowano tutaj dzielnicę domów czynszowych; do dziś dnia stoją puste – jak makabryczne osiedle widmo – szeregi szarych kamiennych bloków pośród niszczonego otoczenia.

Potężne szczydła biegnącej górą miejskiej kolei sprawiały, że czułam się w tym otoczeniu mała, słaba i zagubiona. Cierpliwie stukalam do drzwi kolejnych hoteli, pytając obojętnych, często podchmielonych urzędników o wolne pokoje. Niewyraźnie przypominałam sobie to, co wcześniej czytałam o upadku hoteli dla ubogich w tym rejonie. Nie było tu mieszkań dla osób takich jak Helena. We wszystkich hotelach, które odwiedziłam, pokoje były zajęte, między innymi przez ofiary pożaru ostatniej nocy, które pojawiły się już o świcie. Uświadomiłam to sobie, kiedy po raz czwarty usłyszałam od hotelowego urzędnika:

– Bardzo mi przykro, ale gdyby pani przyszła dziś z samego rana... wtedy mieliśmy jeszcze wolne pokoje.

O trzeciej postanowiłam zaprzestać dalszych, bezowocnych poszukiwań. Przerazona perspektywą wspólnego mieszkania z Heleną przez czas nieograniczony pojechałam do swojego biura w Loop, żeby zadzwonić do stryja Piotra. Była to desperacka decyzja.

Piotr był jedynym członkiem rodziny, który odniósł finansowy sukces. Młodszy o dziesięć lat od ciotki Heleny, po powrocie z Korei podjął pracę w rzeźni, rychło jednak uprzytomnił sobie, że zabijając młotkiem zwierzęta nie zrobi wielkich pieniędzy. Z trudem zebrawszy trochę dolarów wśród krewnych i przyjaciół założył własną firmę. Kolejne wydarzenia potoczyły się dla niego jak w klasycznym śnie amerykańskim.

Na początku lat siedemdziesiątych przeniósł się ze swoją ubojnią do Kansas City. Zamieszkał w obszernej rezydencji w dzielnicy dla bogaczy. Jego żona co rok wyjeżdżała do Paryża na wiosenne zakupy. Dzieci uczęszczały do drogich szkół prywatnych. Sam jeździł najnowszymi modelami samochodów. Coś takiego mogło się zdarzyć tylko w Ameryce. Piotr niemal całkowicie zerwał kontakty z rodziną.

Moje biuro w Pulteney Building znajdowało się w stanowczo bardzo złym punkcie miasta. W ciągu ostatnich lat ekspansja dzielnicy Loop poszła w kierunku zachodnim. Pulteney leżało na południowowschodnim skraju, gdzie rozpanoszyły się peepshowy i

lombardy. Przebiegająca górą miejska kolej była źródłem nieustannego hałasu, płoszyła gołębie i wprawiała w drżenie szyby w oknach w sąsiednich budynkach.

Znajdujące się w moim biurze meble i pozostałe wyposażenie były bardziej niż skromne: pochodziły przede wszystkim z policyjnych aukcji i sklepowych wyprzedaży. Na ścianie nad sekretarzykiem jeszcze przed rokiem wisiał jakiś ponury bohomasz, dopóki nie doszłam do wniosku, że powinnam nieco ożywić swoje miejsce pracy. Powiesiłam kilka barwnych plakatów Nella Bleine'a i Georgii O'Keeffe, które ubarwiły nieco pokój.

Piotr odwiedził mnie tutaj pewnego razu, gdy przyjechał na wycieczkę do Chicago wraz z trojgiem dzieci. Miałam wtedy doskonałą okazję przyjrzeć mu się dobrze w trakcie, gdy on oceniał dzielącą nas przepaść.

Żeby dziś po południu zadzwonić do niego, musiałam sama sobie zadać gwałt. Obawy, że mogę go nie zastać, że może być za granicą lub też na polu golfowym, okazały się – na szczęście – bezpodstawne. Ale Piotra otaczała cała czereda podwładnych i pracowników, przekonanych, że to z nimi powinnam załatwić swoją sprawę i że ich świętym obowiązkiem jest nie dopuścić mnie do wielkiego człowieka. Najtrudniejszą jednak przeprawę miałam z osobistą sekretarką stryja.

– Bardzo mi przykro, pani Warszawski, ale szef dał mi listę członków swojej rodziny, z którymi mogę go łączyć o każdej porze, a na której – niestety – nie ma pani nazwiska. – Mówiła trochę przez nos, grzecznie, lecz stanowczo.

Obserwowałam parę gołębi iskających się wzajemnie na parapecie mojego okna.

– Czy mogłaby pani przekazać mu wiadomość, że jego siostra, Helena, przylatuje dziś o szóstej wieczorem do Kansas City? Poczekam na odpowiedź przy telefonie.

– Czy szef coś o tym wie?

– Niestety, nie. Dlatego właśnie chcę z nim rozmawiać, żeby go o tym poinformować.

Pięć minut później głęboki głos Piotra zagrzmiał w słuchawce. Co ja, u diabła, wyobrażam sobie, wysyłając do niego Helenę bez uprzedzenia. On nie ma najmniejszego zamiaru narażać swoich dzieci na demoralizację, nie posiada gościnnych pokoi i poza tym już cztery lata temu dał wyraźnie do zrozumienia, że już nigdy...

– Tak, tak, masz rację. – W końcu udało mi się zatamować potok słów płynących z jego ust. – Rozumiem. Kobieta taka jak ona nie pasuje do Mission Hills. Tam się z pewnością pije wyłącznie wodę mineralną.

Nie był to najlepszy wstęp do prośby o pomoc finansową. Kiedy Piotr wykrzyczał się już do końca, wyjaśniłam, o co chodzi. Wiadomość, że Helena wciąż jeszcze znajduje się w Chicago, nie wprawiła go jednak w tak dobry humor, by zadeklarował gotowość okazania jej pomocy – na co bardzo liczyłam.

– Wykluczone. Dałem przecież wyraźnie do zrozumienia, że pomogłem jej po raz ostatni. Wówczas, gdy tak lekkomyślnie zmarnotrawiła spadek po matce. Pamiętasz chyba, że wynajęłam jej nawet adwokata, żeby ocalić dom od sprzedaży. To była z mojej strony ostatnia próba okazania jej pomocy. Najwyższy czas, żebyś i ty, Wiki, wyciągnęła odpowiednie wnioski dla siebie. Helena jest kimś, kto jest w stanie wypompować cię do cna. Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie.

To, co mówił, wyrażało moje własne obawy. Słuchając go kręciłam się niespokojnie na krześle.

– Jeśli dobrze pamiętam, Piotrze – zauważyłam – ona sama opłaciła tego adwokata. Czy poprosiła cię kiedykolwiek o pieniądze? Moje mieszkanie składa się z czterech zaledwie pomieszczeń, nie stać mnie więc na przyjęcie jej do siebie. W tej chwili potrzebuję trochę grosza, żeby wynająć dla niej skromny pokój na jeden miesiąc, dopóki nie znajdę czegoś bardziej odpowiedniego.

Roześmiał się złośliwie.

– To samo mówiła twoja matka, gdy Helena spadła wam pewnego razu na głowę. Pamiętasz? Nawet Tony nie mógł jej strawić. Tony! On, który wszystko znosił.

– Nie tak jak ty – stwierdziłam z przekąsem.

– Chciałaś mnie dotknąć, ale ja przyjmuję to jako komplement. Co Tony pozostawił wam po śmierci? Ten nędzny dom przy Huston i resztki swojej emerytury?

– I nazwisko, z którego jestem dumna – warknęłam ze złością. – A jeśli już o moim ojcu mowa, to muszę ci przypomnieć, że bez jego pomocy nie byłbyś tym, kim jesteś. Mógłbyś więc też coś uczynić w zamian dla Heleny. Jestem pewna, że gdyby ojciec żył, nie pozostawiłby jej własnemu losowi.

– Zwróciłem Tony’emu wszystko, co do grosza – obraził się Piotr. – Nic mu nie jestem winien.

– Tak, zwróciłeś mu wszystko. Wszystko z wyjątkiem najmniejszego choćby udziału w zyskach.

– Daruj sobie tego rodzaju chwyt, Wiki. Jestem już za stary, żebym się dał złapać na takie sztuczki.

– Stary jak zużyty samochód – zauważyłam gorzko.

W słuchawce zapanowała cisza – to Piotr rozłączył się nagle. Przyjemność posiadania ostatniego słowa nie mogła mi zrekompensować klęski. Dlaczego – u diabła – w mojej rodzinie przeżyli właśnie Piotr i Helena? Czemu nie przeżył mój ojciec? Chociaż stan zdrowia, w jakim znajdował się w ciągu ostatnich kilku lat swojego życia... Przełknęłam gorycz porażki i starałam się odsunąć z pamięci obraz ojca z nabrzmiałą chorobliwie twarzą i ciałem podrzucanym atakami niekontrolowanego kaszlu.

Zacisnąwszy mocno wargi utkwiliam spojrzenie w stercie niezłatwionej korespondencji i różnych pozostałych dokumentów. Najwyższy czas zacząć pracować w bardziej efektywny sposób, zgodnie z wymogami dwudziestego wieku. Powinnam wynająć sekretarkę, która pomogłaby mi w załatwieniu spraw papierkowych, a w razie potrzeby spełniała funkcję gońca.

Niecierpliwie przerzucałam leżące przede mną papiery. W końcu znalazłam potrzebne mi materiały do spotkania, które miałam umówione następnego dnia. Zadzwoiłam do drukarni Visible Treasures, żeby się dowiedzieć, kiedy najpóźniej mogę im doręczyć tekst do opracowania. Powiedziano mi, że jeśli dostarczę wszystko przed ósmą, złożą i wydrukują dla mnie planszę w nadgodzinach za podwójną stawkę. Kiedy to usłyszałam, poczułam się lepiej – nie było aż tak źle, jak się obawiałam.

Przepisywałam materiały na starej Olivetti matki. Jeśli nie stać mnie na sekretarkę, to powinno być mnie stać przynajmniej na drukarkę komputerową. Chociaż z drugiej strony pisanie na maszynie stanowiło dla moich palców doskonale ćwiczenie.

Było już parę minut po szóstej, kiedy skończyłam przepisywanie. Z uporem grzebałam w szufladach w poszukiwaniu papierowej teczki. Nie mogąc znaleźć nic odpowiedniego, wysypałam na biurko zawartość jednej z teczek zawierających polisy ubezpieczeniowe i tam włożyłam świeżo przepisane kartki. Teraz moje biurko wyglądało jak prawdziwe wysypisko śmieci. Mogłam sobie wyobrazić zadowoloną minę Piotra, gdyby to zobaczył. Chyba jednak oddanie prawdzie, sprawiedliwości i amerykańskiemu sposobowi życia niekoniecznie musi oznaczać pracę w prymitywnych warunkach.

Z ciężkim westchnieniem włożyłam materiały ubezpieczeniowe z powrotem do teczki i umieściłam na półce między innymi teczkami w przedziale między hasłem „Dzierżawa” i „Illinois Bell”. Następnie siedząc przy biurku przejrzałam zaległą dwutygodniową już korespondencję, wypełniłam i podpisałam kilka czeków, zapoznałam się z paroma dokumentami. Na samym końcu znalazłam grubą białą kopertę z nadrukiem u góry z lewej strony: *Zarząd Stowarzyszenia Kobiet Walczących o Równouprawienie*.

Początkowo miałam zamiar odłożyć ją na bok, ale uprzytomniłam sobie, co to było: nie tak dawno w przystępie szaleństwa wyraziłam zgodę na udział w sponsorowaniu okręgowej kampanii wyborczej. Kiedyś pracowałam razem z Marissą Duncan w urzędzie obrońcy publicznego. Marissa należała do osób, których żywiołem była polityka. Na przykład była bardzo aktywna w naszych staraniach o powołanie do życia związku PD* [PD – Public Defense – urząd obrońcy publicznego], ale unikała zaangażowania się w politykę w sprawach aborcji – wszystkiego, co by mogło przeszkadzać jej pracy w urzędzie.

Opuściła PD kilka lat temu, aby rzucić się w wir nieudanej zresztą kampanii na rzecz Jane Byrne, ubiegającej się o stanowisko burmistrza; obecnie znalazła sobie intratne zajęcie w firmie specjalizującej się w popularyzowaniu kandydatów w wyborach. Dzwoniła do mnie tylko w tych przypadkach, gdy sterowała właśnie jakąś dużą kampanią. Kiedy zadzwoniła cztery tygodnie temu, zakończyłam prowadzenie zawilej sprawy fabrykanta łożysk kulkowych w Kankakee, w związku z czym przeżywałam chwilę upojenia swoimi kompetencjami zawodowymi i satysfakcją z otrzymanego wysokiego honorarium.

– Bombowa nowina – oświadczyła z entuzjazmem, nie zważając na moje chłodne witaj. – Boots Meagher zgodził się sponsorować kampanię wyborczą Rosalyn Fuentes.

– Bardzo mnie to cieszy. – Dzięki temu, żeś mnie o tym powiadomiła, nie muszę już dzisiaj kupować gazety – odparłam.

– Jak zawsze masz duże poczucie humoru, Wiki. – Polityków nigdy nie stać na to, żeby powiedzieć, co naprawdę myślą. – Ale to jest niezwykle. Po raz pierwszy Boots zaangażował się w publiczne poparcie kobiety. W ramach kampanii organizuje u siebie w Streamwood wielkie przyjęcie. Jest to doskonała okazja do spotkania się z kandydatką i przedstawicielami władz okręgu. Poza tym swoją obecność zapowiada również wiele innych osobistości, być może będą także obecni Rostenkowski i Dixon.

– W głowie mi się kręci na samą myśl o tym. Po czemu sprzedajecie bilety wstępu?

– Po pięćset dla sponsorów.

– Za dużo jak na moje skromne możliwości. Poza tym wspomniałaś, że Meagher ją sponsoruje... – Nie miałam ochoty na taki wydatek.

Cień niecierpliwości pojawił się w jej głosie.

– Wiki, wiesz przecież, jak to jest. Pięćset płaci się za to, żeby zostać wyszczególnionym w zaproszeniu na przyjęcie jako sponsor, dwieście pięćdziesiąt – żeby zostać patronem. Sto płaci się przy wejściu.

– Bardzo mi przykro, Marisso, ale to nie dla mnie impreza. I absolutnie nie zależy mi na Bootsie. – Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Donnel, a swój przydomek otrzymał w wyborach okręgowych w 1972 r., gdy jego przeciwnicy uznali, iż nadszedł czas, by go pokonać. Wystawili przeciwko niemu człowieka, którego nazwiska nie pamiętam, natomiast zapamiętałam dobrze hasło na jego plakacie: „Dajmy Meagherowi kopa butem!” Meagher odniósł jednak sukces. Od tamtej pory nikt inaczej go nie nazywał, tylko Boots.

Marissa nie skapitulowała.

– Wiki, potrzebujemy jak najwięcej kobiet. Inaczej będzie wyglądało, jakby Roz sprzedała się Bootsowi, a my stracimy dotychczasowe poparcie społeczeństwa. A ty, choć już teraz nie pracujesz w PD, to jednak twoje nazwisko wciąż cieszy się dużą popularnością wśród tutejszych kobiet.

Tak więc, żeby zamknąć sprawę, Marissa posłużyła się pochlebstwem, wyborczym hasłem Rosaliny Fuentes i przypisaniem mi winy za ewentualne niepowodzenie politycznej akcji. Przede mną na biurku leżał czek na dwa tysiące dolarów, stanowiący honorarium otrzymane od fabrykanta z Kankakee. W tych warunkach Marissa uzyskała moją zgodę.

A dziś właśnie otrzymałam zaproszenie na przyjęcie, program tej imprezy i zwrotną kopertę na moje dwieście pięćdziesiąt dolarów. Na programie Marissa napisała kulfonami, jak uczennica szkoły podstawowej: *Bardzo liczę na twoją obecność.*

Przerzuciłam pobieżnie program, sprawdzając przede wszystkim listę sponsorów i patronów. Byli wśród nich niemal wyłącznie demokraci, co było zasługą Bootsa, a może Marissy. Lista błyszczała nazwiskami sędziów, stanowych „repów”* [Republikanów.] i senatorów oraz dyrektorów wielkich korporacji. Tuż przy końcu listy znalazłam swoje nazwisko. Z jakiegoś starego rocznika albo też z metryki urodzenia Marissa wygrzebała moje drugie imię: Ifigenia. Kiedy je ujrzałam na liście, miałam wielką ochotę zadzwonić do niej i zrezygnować z udziału, tak bardzo byłam na nią wściekła za ujawnienie tej rodzinnej tajemnicy.

Impreza miała się odbyć w najbliższą niedzielę. Spojrzałam na zegarek: była dziewiętnasta piętnaście. Mogłam jeszcze zadzwonić do Marissy i zdążyć na czas do Visible Treasures.

Mimo późnej nocy zastałam ją jeszcze w biurze. Niezbyt zręcznie udawała, że ją ucieszył mój telefon. Zawsze woli rozmawiać ze mną wtedy, kiedy ona czegoś potrzebuje.

– Będziesz w niedzielę, Wik? – zapytała.

– Na pewno! – oświadczyłam z zapalem. – W co się ubieramy? W dzinsy czy w wieczorowe suknie?

Moje pytanie wyraźnie ją uspokoiło.

– O, to akurat jest mało ważne. To przecież będzie tylko taka zabawa. Ja prawdopodobnie założę suknię, ale dzinsy też będą na miejscu.

– A Rosty * [Rostenkowski.] będzie? Mówiłaś, że również wpadnie.

– Niestety, nie. Ale będzie szef jego biura, Cindy Mathiessen.

– To wspaniale! – zawołałam z satysfakcją. – Porozmawiam z nią o Presidential Towers.

W głosie Marissy znów pojawiła się rezerwa. Koniecznie chciała się dowiedzieć, dlaczego chcę rozmawiać o tym kompleksie budowlanym.

– Chodzi mi o hotele dla biednych – oświadczyłam z powagą w głosie. – Żeby oczyścić teren pod budowę Towers, zburzono około ośmiu tysięcy mieszkań. Wiesz, mam starą ciotkę. – Opowiedziałam jej o ciotce i o pożarze. – Dlatego nie zależy mi tak bardzo ani na Bootsie, ani na Rostym, ani też na innych przedstawicielach partii demokratycznej – zależy mi na mieszkaniu dla ciotki. Mam nadzieję, że jeśli przedstawię swoją sprawę tej tam – jak ona się nazywa? Cindy? – Jeśli porozmawiam o tym z Cindy, ona będzie w stanie mi pomóc.

Miałam wrażenie, jakby przez telefon słychać było popłoch w głosie Marissy. Po chwili milczenia usłyszałam jej głos:

– Ile twoja ciotka może płacić za mieszkanie?

– W „Indiana Arms” płaciła siedemdziesiąt pięć dolarów. Rozumie się za jeden miesiąc. – Słońce już zaszło i w moim pokoju zrobiło się ciemno. Zapaliłam lampkę na biurku, a następnie podeszłam do kontaktu w ścianie, żeby zapalić żyrandol.

– Jeśli znajdę pokój dla twojej ciotki, czy obiecasz mi, że nie będziesz rozmawiała z Cindy o Presidential Towers? Ani też o nikim innym? Ta sprawa jest zbyt drażliwa...

Drażliwa dla demokratów, powinna była dodać. Jeśli ich bonzowie pragną występować w roli autorytetów moralnych, nic dziwnego, że takie problemy są dla nich kłopotliwe.

Zgodziłam się.

– Czy możesz załatwić sprawę do końca jutrzejszego dnia? – zapytałam.

– Tyle mi akurat czasu potrzeba, Wiki. Zadzwoń do ciebie jutro przed końcem dnia. – Nie próbowała nawet ukryć złości.

Zostało mi zaledwie dwadzieścia minut na dojazd do drukarni, jeśli nie chcę zapłacić poczwórnej stawki. Potrzebowałam jednak jeszcze jednej minuty na wypełnienie i podpisanie czeku dla Zarządu Stowarzyszenia Kobiet Walczących o Równouprawienie. Zamykając za sobą drzwi, zaczęłam gwizdać. I kto mi powie, że szantaż nie daje powodów do radości?

ROZDZIAŁ 4

Ciotka znika

Była już prawie dziewiąta wieczorem, kiedy wracałam do domu. Byłam głodna, zamiast obiadu zjadłam o drugiej hamburgera w jakimś przygodnym kiosku. Marzyłam o ciszy i spokoju, o gorącej kąpieli i drinku oraz o smacznej kolacji – w lodówce czekał na mnie kotlet cielęcy, przewidziany na taką właśnie okazję. Zamiast tego skazana byłam na towarzystwo Heleny.

Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy i spojrzałam na okna trzeciego piętra. Nie zauważyłam świateł. Wspinając się po schodach wyobrażałam sobie ciotkę pijaną do nieprzytomności, siedzącą przy stole kuchennym. Albo leżącą na posłanej sofie w salonie. Lub też uwodzącą pana Contrerasa na klatce schodowej.

Nie zostawiłam Helenie kluczy ani żadnej instrukcji o zamkach. Otworłam dolny – ten, który się zamyka automatycznie po zatrzaśnięciu drzwi – i zapaliłam światło w przedpokoju. Przez uchylone drzwi do salonu wpadł strumień przyćmionego światła. Zauważyłam, że sofa znajdowała się w swej zwykłej, pionowej pozycji.

Przeszłam przez jadalnię do kuchni i włączyłam kontakt. Kuchnia lśniła czystością. Nagromadzone w ciągu trzech dni w zlewozmywaku brudne naczynia i talerze były pozmywane i ustawione. Zniknęły gdzieś stare gazety, podłoga była starannie wytarta, stół uprzątnięty i czysty. Na środku stołu leżała kartka wyrwana z mojego bloku, pokryta nierównym charakterem pisma Heleny. Napisała *Wiki*, a następnie przekreśliła i poprawiła na:

Wiktorio, moja droga.

Dziękuję ci bardzo za gościnę ostatniej nocy. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć – zawsze byłaś dobrą dziewczyną. – Nie chcę jednak być dla ciebie ciężarem, którym – jak widzę – byłabym, gdybym została. Dlatego życzę ci szczęścia i do zobaczenia w słodkiej przyszłości.

Na dole kartki umieściła osiem dużych iksów i swoje nazwisko.

Od trzeciej nad ranem przeklinałam ciotkę za najście, potem marzyłam, że po powrocie do domu wszystko okaże się snem. Moje marzenie się ziściło, ale zamiast radości poczułam pustkę. Mimo dużej łatwości w nawiązywaniu kontaktów towarzyskich Helena nie miała przyjaciół. Aczkolwiek na ulicach i w alejach Chicago często można było spotkać jej byłych kochanków, nie sądziłam, żeby którykolwiek z nich ją poznał, gdyby się pojawiła pod jego drzwiami. Z drugiej strony nie byłam pewna, czy Helena pamiętałaby któregokolwiek na tyle, żeby wiedzieć, do których drzwi zapukać.

Ponadto mój niepokój wzbudziło ostatnie zdanie napisane przez Helenę. Na uczelni brałam udział w przedstawieniu opartym na „Przygodach Tomka Sawyera”. Na scenie śpiewaliśmy wtedy: „Do zobaczenia w słodkiej przyszłości”, zakładając, że jest to pieśń

typowa dla wiktoriańskiej epoki. O ile pamiętałam, „słodka przyszłość” oznaczała dla nas wtedy życie pozagrobowe. Teraz nie byłam pewna, czy Helena użyła tego zwrotu przypadkowo, czy też może miała zamiar rzucić się do wody z mostu Wacker Drive.

Przeszukałam dokładnie całe mieszkanie w nadziei, że znajdę jakąś wskazówkę, jakie były rzeczywiste intencje ciotki. Torba z rzeczami zniknęła razem z fioletową koszulą nocną. Kiedy zajrzałam do szafki z alkoholami, stwierdziłam, że niczego tam nie brak, tylko w otwartej butelce whisky poziom obniżył się o jakieś dwanaście centymetrów. Widząc, jak smacznie spała dziś rano, domyśliłam się bez trudu, że napiła się przed pójściem do łóżka.

Gdyby wzięła ze sobą butelkę, byłabym spokojniejsza, że nie miała samobójczych zamiarów. Z drugiej jednak strony, czy ktoś, kto przez całe życie nic nie robił, tylko pił i wałęsał się, mógł nagle – ni stąd, ni zowąd – mieć w wieku lat sześćdziesięciu sześciu wszystkiego dość? Było to mało prawdopodobne, ale z powodu niewyspania i zmęczenia byłam chorobliwie przewrażliwiona.

Zastanawiałam się już, czy nie zadzwonić do Lotty Herschel i nie omówić z nią całej sprawy. Jest lekarzem i w swojej klinice na Damen ma często do czynienia z nałogowymi alkoholikami. Przypomniałam sobie jednak, że Lotty zaczyna swój dzień pracy już o siódmej rano obchodem chorych w szpitalu: było więc trochę za późno dzwonić do niej o tej porze tylko po to, żeby się uspokoić.

Schowałam whisky z powrotem do szafki, tym razem nie skosztowałam jej ani trochę. Ochota na drinka całkowicie mnie odeszła, gdy pomyślałam o Helenie, która dziś rano się upiła. Przeszłam do kuchni, wyjęłam kotlet cielęcy z lodówki. Gdy się będzie odmrażał, ja wezmę kąpiel. Nie zdecydowałam się złożyć meldunku o Helenie na policji, a nic więcej nie byłam w stanie dziś dla ciotki zrobić.

Kąpiel w wannie nie odprężyła mnie tak, jak na to liczyłam. Obraz Heleny, z przyklejonym do ust nieco skrzywionym uśmiechem, siedzącej na ławce w parku obok rodziny, którą spotkałam dziś w Biurze Ekspresowego Wynajmu Mieszkań, nie opuszczał mnie ani na chwilę. Wyszłam z wanny i ubrałam się.

Gdy zesłam na dół i zastukałam do drzwi pana Contrerasa, w jego salonie paliło się światło. Suka skomlała cichutko z niecierpliwości, gdy starszy pan mocował się z zamkami u drzwi. Kiedy ostatecznie je otworzył, skoczyła, żeby mnie polizać po twarzy. Zapytałam pana Contrerasa, czy widział, jak Helena wychodziła z domu.

Oczywiście, że widział: jeśli nie pracuje w ogródku albo nie sprawdza wyników wyścigów konnych, zawsze ma na oku to, co się dzieje wokół domu. W rzeczywistości spełnia tutaj rolę psa łańcuchowego. Helena wyszła około drugiej trzydzieści po południu. Nie, nie potrafi powiedzieć, jak była ubrana ani czy miała makijaż: nigdy nie wtyka nosa w nie swoje sprawy. Do tego, co już powiedział, może jeszcze dodać, że wsiadła do autobusu na przystanku na Diversey; wychodził właśnie na róg ulicy do sklepu po mleko i zauważył, jak wsiadała. Oczywiście, pojechała w kierunku wschodnim.

– Czy nie spodziewałaś się, że wyjdzie z domu?

Wzruszyłam niecierpliwie ramionami.

– O ile wiem, nie miała dokąd pójść.

Młasnął współczująco językiem i zaczął szczegółowo mnie przepytować. Moja cierpliwość już się wyczerpywała, gdy z mieszkania na klatkę schodową wyszedł „bankier” ubrany w dżinsy i koszulkę polo.

– Jezu Chryste! Gdybym wiedział, że pod moimi drzwiami co dzień będą się odbywały hałaśliwe sesje, nigdy bym się tutaj nie wprowadził. – Jego okrągła twarz wyrażała szczere oburzenie.

– A my, gdybyśmy wiedzieli, że będziemy mieli za sąsiada takiego malkontenta, nigdy byśmy do tego nie dopuścili – odparłam niespeszona.

Peppy zawarczała groźnie.

– Wracaj do siebie, Placuszku – pan Contreras ponaglił mnie nerwowo. – Zadzwoń do ciebie, jeśli jeszcze coś sobie przypomnę. – Wciągnął psa do mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi. Słysząc było jeszcze, jak Peppy skomli i rwie się na zewnątrz.

– Co takiego ma pani zamiar uczynić? – dopytywał się podejrzliwie „bankier”.

Uśmiechnęłam się pobłaźliwie.

– Nic takiego, na co potrzebowałabym pańskiego przyzwolenia, drogi panie, dlatego proszę w ogóle się tym nie przejmować.

– Doskonale, ale uprzedzam, że jeśli pani nie przestanie hałasować na klatce schodowej, następnym razem zawezwę policję. – Po tym oświadczeniu obrócił się na pięcie i zniknął w swoim mieszkaniu, zatraskując za sobą głośno drzwi.

Wolnym krokiem wróciłam do siebie.

Głupi facet! – myślałam. – Będzie miał teraz temat do narzekań przed przyjaciółmi i znajomymi. Trudno, sąsiadów się nie wybiera.

Włączyłam w kuchni rożen i zajęłam się smażeniem grzybów i cebuli w czerwonym winie. Obraz Heleny odjeżdżającej z przystanku na Diversey w kierunku wschodnim poprawił nieco moje samopoczucie. Wyglądało na to, że miała przed sobą jakiś cel. Rano porozmawiam na jej temat ze swoimi przyjaciółmi w policji. Być może nie sprawi im trudności odszukanie kierowcy autobusu, który zwrócił na nią uwagę i spostrzegł, gdzie się udała po opuszczeniu autobusu. Może moje obawy są nienormalne, ale różne rzeczy już się zdarzały.

Było już dobrze po dziesiątej, kiedy wreszcie zasiadłam do kolacji. Kotlet usmażył się należycie: różowy w środku, przypieczony na zewnątrz, a apetyczne grzybki uzupełniały go znakomicie. Zdążyłam zjeść połowę, gdy zadzwonił telefon. Nie miałam ochoty go odbierać, ale pomyślałam o Helenie. Może znowu próbowała sprzedać swoje wątpliwe wdzięki na Clark Street i policja zgarnęła ją z ulicy?

Okazało się, że był to oficer policji, który nic nie wiedział o Helenie, a do mnie zadzwonił z powodów czysto osobistych. A przynajmniej częściowo z osobistych. Z Michaeliem Fureym, bo to był on – ostatnio spotkałam się na kolacji u Mallorych, w dniu Nowego Roku. Jego ojciec i Bobby razem wyrastali z krótkich spodenek w Norwood Park. Kiedy Michael ukończył koledż i zaczął pracować w policji, Bobby czuwał nad rozwojem jego kariery. W Chicago ludzie na ogół pilnują własnych interesów, ale Bobby jest aż do przesady uczciwy i nigdy nie wykorzystywał swoich osobistych wpływów dla faworyzowania syna własnego

przyjaciela. Chłopak jednak sam się sprawdził w robocie i po piętnastu latach Bobby nie bez satysfakcji mógł go przyjąć do kierowanej przez niego jednostki Wydziału Przepływów Kryminalnych w Komendzie Okręgowej policji.

Przez pewien czas po tym awansie Eileen zapraszała regularnie Michaela na domowe kolacje. Chodziło jej podobno nie tyle o wydanie mnie za męża, ile o to, bym koniecznie została szczęśliwą matką – po kolei przedstawiała mi więc najlepszych w Chicago policjantów w nadziei, że któregoś z nich zaszczycę swoimi względami.

Eileen należała do kobiet przekonanych, że mężczyzna posiadający samochód lepszej marki, jest bardziej atrakcyjny niż ten, którego stać tylko na hondę. Furey nie był bogaty – odziedziczył po ojcu tylko ubezpieczenie na życie – ale jeździł srebrzystą corvette. Był przystojny i wesoły, a ja lubiłam jeździć jego samochodem, choć niewiele mnie z nim łączyło poza przyjaźnią z Mallorymi i zamiłowaniem do sportu. Eileen nie ukrywała swojego niezadowolenia z tego powodu i w końcu przestała go zapraszać na kolacje.

– Cieszę się, że cię zastałam, Wik – huknął mi w ucho Michael przez słuchawkę.

Przełknęłam kęs.

– Witaj, Michael. O co chodzi?

– Właśnie skończyłem służbę na swojej zmianie. Pomyślałem, że warto do ciebie zadzwonić i dowiedzieć się, co u ciebie słychać.

– Moje uznanie – odparłam z sarkazmem. – To bardzo ładnie z twojej strony. Kiedy dzwoniłeś ostatnio: miesiąc temu czy może dawniej? A dziś dzwonicz w nocy?

Roześmiał się, ale w jego śmiechu wyczułam zażenowanie.

– Do diabła, Wik, wiesz dobrze, jak to jest z czasem u policjanta. Dziś chcę cię o coś zapytać, ale boję się, byś mnie źle nie zrozumiała.

– Słucham uważnie.

– To jest... No dobrze, mówię już bez ogródek, o co chodzi. Nie wiem, czy interesuje cię polityka w skali okręgu.

– Nie bardzo – odparłam nieco zaskoczona.

– Dowiedziałem się od Erniego, że w niedzielę wybierasz się na farmę Bootsa w roli sponsora kampanii wyborczej na rzecz Fuentes.

– Wieści wędrują lotem ptaka – zauważyłam z pozorną beztroską, jednocześnie jednak poczułam, jak we mnie narasta napięcie i rozdrażnienie. Bardzo nie lubię, kiedy to, co czynię, jest przedmiotem publicznych komentarzy. – Skąd Ernie o tym wie i o co właściwie mu chodzi?

Ernie Wunsch i Ron Grasso wychowywali się i wyrosli razem z Michaeliem w NorthEast Side. W młodości ich zainteresowania i kontakty polityczne miały charakter raczej przypadkowy. Po ukończeniu koledżu zostali współnikami w firmie budowlanej, stanowiącej dotychczas własność ojca Erniego. Firma nie należała do wielkich, mimo to coraz częściej na budowach można było zobaczyć ciężarówki z cementem, pomalowane w czerwone i zielone pasy z napisem: „Wunsch and Grasso”. Ich ostatnim największym przedsięwzięciem budowlanym stała się budowa kompleksu wieżowców na Rapelec, w pobliżu Gold Coast.

– Obawiałem się, że możesz to źle przyjąć – żałośnie stwierdził Michael. – Ernie

dowiedział się o tym, gdyż on i jego ojciec już od lat wykonują roboty dla okręgu. Jest więc dobrze o wszystkim poinformowany. Wiesz dobrze, Wiki, jak to jest w Chicago.

– Tak, wiem bardzo dobrze, jak plotka rozprzestrzenia się w naszym mieście.

– Oczywiście, Ernie miał możliwość wcześniejszego zapoznania się z programem przyjęcia. On wie, że przyjaźnię się z tobą. Dlatego wspomniał o tym. Chyba jednak nie powiedział nic takiego, co mogłoby cię urazić?

– Nie – odparłam łagodnie. – Tylko po prostu jestem zaskoczona.

– Znam to uczucie – stwierdził ze zrozumieniem. – Czy nie mógłbym jednak wybrać się razem z tobą na to przyjęcie? Muszę tam być tak czy owak, żeby robić frekwencję. A jeśli ty również tam się wybierasz...

– Muszę jeszcze pomyśleć – powiedziałam po chwili, co nie było zbyt uprzejme. – Przede wszystkim jednak w tej chwili zastanawiam się, czy nie mógłbyś mi pomóc w pewnej sprawie. – Opowiedziałam mu o swoich kłopotach z Heleną. – Niewiele wiem o spelunkach, w których chętnie spędza swój czas. Nie mam najmniejszego zamiaru razem z nią mieszkać, ale martwię się, żeby nic złego jej się nie stało. Chciałabym wiedzieć, czy jest cała i zdrowa, gdzie się w tej chwili znajduje.

– Chryste Panie, Wik, czy ty nie za dużo ode mnie oczekujesz? Wiesz przecież doskonale, że nie mogę się zwrócić do przedsiębiorstwa autobusowego bez poważnej przyczyny. Zaczną od razu sprawdzać trasy i rozmawiać z kierowcami, a ich związek natychmiast obrobi mi tyłek u wuja Bobby'ego.

– Jeśli tak, to jutro sama zadzwonię do Bobby'ego i poproszę go o pomoc. – Bobby Mallory był nie tylko ojcem chrzestnym Michaela, był także protegowanym mojego ojca i jego najlepszym przyjacielem. Zawsze mogłam liczyć na niego.

– Nie, nie rób tego, proszę cię – pośpiesznie zareagował Michael. – Wiesz, co ci powiem – przekażę sprawę policji w Madison i w Near South Side; poproszę ich, żeby się rozejrzeli i zadzwonili do mnie, jeśli coś znajdą.

– Nie chciałabym, żeby ją zbyt niepokojono – uprzedziłam go.

– Możesz być spokojna: dyskrecja to moja dewiza.

– Jestem tego tak samo pewna, jak tego, że jestem królową brytyjską.

Roześmiał się głośno.

– Tak więc, jeśli cię dobrze zrozumiałem, w niedzielę jedziemy razem do Bootsa?

– Na to wygląda – przytaknęłam mimo woli się rumieniając.

– Powinienem cię teraz wsadzić do ciupy za próbę przekupienia policjanta – mruknął żartobliwie, lecz wystarczająco głośno, żebym go usłyszała. Obiecał zadzwonić jutro, jeśli by się coś zmieniło. Umówił się ze mną na trzecią po południu w niedzielę; ponieważ znał dobrze drogę, zaproponował, że to on poprowadzi samochód. W odpowiedzi oświadczyłam, że pojedę za nim własnym wozem; nie miałam ochoty siedzieć na farmie u Bootsa dłużej niż do północy, a Michael z pewnością będzie odrabiał zaległości ze starymi znajomymi aż do świtu.

Tymczasem mój kotlet zdążył już wystygnać, a sos winny – skrzepnąć na galaretę. Byłam zbyt zmęczona, żeby je ponownie odgrzewać. Włożyłam talerz do lodówki i padłam

bezwiednie na łóżko, po czym zasnęłam głęboko. Śniło mi się, że ścigam Helenę po ulicach Chicago; już, już miałam ją dopaść, ale w ostatniej chwili wsiadła do autobusu na Diversey i tyle ją widziałam.

ROZDZIAŁ 5

Królewski apartament

Przez pięć lat po ukończeniu studiów prawniczych pracowałam dla zarządu miasta. Studiując, w okresie wakacji, zatrudniałam się doraźnie w różnych instytucjach, by zdobyć pieniądze na utrzymanie i naukę. Najwięcej kłopotów sprawiała mi sprzedaż książek dla *Time-Life'u* za pośrednictwem telefonu.

Zwykle dzwoniłam na wybrany numer w porze kolacji i najczęściej w odpowiedzi na propozycję kupna słyszałam opryskliwą odmowę. Kilkakrotnie trafiłam na mieszkanie nieżyjących już osób; pewnego razu okazało się, że kobieta, z którą chciałam rozmawiać, zmarła poprzedniego dnia. Z trudem wyplątałam się z kłopotliwej rozmowy z jej szlochającą córką.

Dzisiaj wiem już, że najbardziej opłaca się praca samodzielna i na własną rękę, przestałam się więc wysługiwać różnym pracodawcom. Zawód prywatnego detektywa nie jest jednak tak bardzo romantyczny, jak to przedstawiają w książkach niektórzy autorzy powieści kryminalnych. Połowę czasu zajmuje z reguły nudna inwigilacja lub też sprawdzanie kartoteki w Dealey Center. Resztę czasu zabiera reklama własnych usług – często bez powodzenia. Pośrednicy ubezpieczeniowi Cartwright i Wheeler przysłuchiwali się uważnie temu, co mówiłam o niebezpieczeństwach i możliwościach zgłaszania fałszywych roszczeń, zadawali wiele pytań, ale żadna z dziewięciu obecnych w pokoju osób nie była w stanie podjąć decyzji o skorzystaniu z moich usług bez konsultacji z szefem firmy.

Ja się starałam, pociłam, wychodziłam ze skóry, ale wszystko, co mi się udało uzyskać, to obietnica przedyskutowania tego, co powiedziałam, na poniedziałkowym posiedzeniu kierownictwa firmy. Tak więc ostatecznie wróciłam do biura, aby schować do szafki papiery o wartości pięciuset dolarów.

Zazwyczaj nie peszyło mnie tego rodzaju ozięble przyjęcie przez potencjalnych klientów, ale tym razem byłam tak bardzo zdenerwowana sprawą Heleny, że zatrzasnąwszy energicznie szufladę, porwałam w kawałki leżącą na biurku korespondencję, dając w ten sposób upust irytacji. Larry Bowa lubił niszczyć toalety po złej grze. Wszyscy mamy mniejsze lub większe słabości.

Kiedy się już trochę uspokołam, sprawdziłam automatyczną sekretarkę. Miałam wiadomość od Marissy Duncan. Natychmiast zadzwoniłam do niej – trafiłam na jej sekretarkę. Marissa znalazła pokój dla Heleny na Kenmore, między ulicami Wilsona i Lawrence'a za dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Przez chwilę wahałam się, czy nie odrzucić propozycji, doszłam jednak do wniosku, że Marissa mogłaby się poczuć dotknięta, a ponieważ jest osobą ustosunkowaną, to lepiej żyć z nią dobrze. Ponadto co bym zrobiła, gdyby Helena znów pojawiła się u mnie o trzeciej nad ranem?

– Ciotka nie może jeszcze w tej chwili wprowadzić się do hotelu – oświadczyła sekretarce. – Ale wracając do domu wstąpię tam i uiszczę należność za pokój.

– Gotówką – krótko oznajmiła – i bez żadnych zwierząt oraz dzieci.

– Doskonale. – Sprawdziłam jeszcze adres i odłożyłam słuchawkę.

Po raz pierwszy w życiu zaczęłam się zastanawiać, jakie środki Helena stosowała, żeby nie zająć w ciąży. I nagle uprzytomniłam sobie, dlaczego mama przyjęła ją do naszego domu, kiedy zjawiała się trzydzieści lat temu. Nie byłam w stu procentach pewna, ale Helena musiała być wtedy w ciąży. Mama z pewnością, pomogła jej znaleźć kogoś, kto dokonał zabiegu.

Siedziałam przy biurku ze zwieszonymi ramionami, obserwując walkę gołębi o miejsce na parapecie okiennym.

W końcu postanowiłam zapalić lampkę na biurku i zadzwonić do Michaela. Nie ucieszył się, słysząc mój głos w słuchawce, ale oznajmił mi, że zdążył już sprawdzić kilka kostnic i szpitali; od wczorajszego popołudnia nie umieszczono tam żadnej siwowłosej, pijanej kobiety.

– Bądź spokojna, Wik, pamiętam o twojej sprawie. Do zobaczenia w niedzielę – zakończył.

Kiedy indziej byłabym zdenerwowana po takiej rozmowie, tym jednak razem spokojnie odłożyłam słuchawkę.

Speszona zauważyłam, że nadawcą jednego niewielkiego fragmentu listu, który przed chwilą porwałam w strzępy, był mój znajomy, stary klient. Troskliwie przeszukałam leżące na podłodze kawałki papieru i złożyłam je na tyle, żeby zrozumieć, o co mu chodzi. Odłożyłam sprawę do poniedziałku – nie byłam w odpowiednim nastroju, żeby się nią zająć. Resztki papieru zgarnęłam i wrzuciłam do kosza.

Zła na siebie z powodu wcześniejszego wybuchu, już spokojnie przejrzałam leżące na biurku papiery. Następnie udałam się do damskiej toalety na siódmym piętrze po wodę, aby zmyć blat biurka. Po tym zabiegu wyglądało tak elegancko, że zdecydowałam się umyć również parapety okienne i szafki na dokumenty, po czym już czysta w myślach, mowie i uczynkach zamknęłam biuro i wyszłam na ulicę.

Po drodze do garażu zatrzymałam się przy automacie na pieniądze i pobrałam dziewięćdziesiąt dolarów, a następnie włączyłam się do długiej kawkady samochodów, opuszczających Loop. W piątki, bardziej niż w inne dni, wszystkim spieszy się do domu, a w rezultacie spędzają więcej czasu w ulicznych korkach.

Dochodziła już piąta po południu, kiedy dotarłam do „Windsor Arms” na Kennore.

Hotel został zbudowany w latach, kiedy książe Windsoru był w kwiecie wieku i chętnie użyczał swojego imienia różnym budowlom w przekonaniu, że w ten sposób zwiększa swój splendor. Obecnie książe już nie żył, ale hotel nie miał tyle szczęścia. Fasada budynku nie była pewnie myta od chwili wstąpienia na tron Jerzego VI. Całość już dawno nie przechodziła żadnego remontu, w wielu oknach zamiast szyb widniały kawałki tektury.

Mimo iż nad kontuarem recepcji widniał duży napis: „Zakaz gotowania w pokojach”, w holu czuć było zapach gotowanej kapusty. Z wiszącego tuż obok plakatu uśmiechała się do swoich wyborców Helena Schiller. Przy kontuarze nie było nikogo; w znajdującej się obok salce klubowej spostrzegłam, kilka osób oglądających „Koło Fortuny” na niewielkim, zawieszonym na ścianie ekranie telewizyjnym. Gdy podeszłam do nich i zapytałam o

kierownika hotelu, jedna z kobiet w średnim wieku w sukni bez rękawów spojrzała na mnie podejrzliwie.

Nic dziwnego – osoby ubrane tak jak ja, w strojach biurowych, które tu przychodziły, to niemal z reguły inspektorzy z zarządu miasta lub też prawnicy, występujący z roszczeniami w imieniu rodzin zmarłych rezydentów hotelu.

Uśmiechnęłam się rozbijając:

– O ile mi wiadomo, w tym hotelu zarezerwowano pokój dla Heleny Warszawski.

– No i co z tego? – Moja rozmówczyni najwyraźniej przeciągała sylaby na sposób irlandzki.

– Jestem jej bratanicą. Moja ciotka wprowadzi się za kilka dni, ale ja chciałabym już dzisiaj zapłacić należność za cały miesiąc.

Kobieta zmierzyła mnie baczny spojrzeniem wodnistych, szarych oczu. Najwidoczniej doszła do wniosku, że moja niewinność jest nieklamana, gdyż odwróciła się ponownie do ekranu, poczekala chwilę na reklamę, po czym podniosła się ociężale z pokrytego skajem fotela i ruszyła do holu. Udałam się za nią posłusznie, wyjmując z torebki należną sumę.

Gospodyni dwukrotnie przeliczyła moje dziesięciodolarówki, następnie sprawną ręką wypisała pokwitowanie, a pieniądze włożyła do koperty, którą zapieczętowała i wsunęła, przez szparę do kasetki.

– Nie potrafiłabym otworzyć tej kasetki sama, nawet gdyby się pojawił tu pani przyjaciel i przystawił mi do głowy pistolet. Kasetka jest opróżniana przez specjalną komisję dwa razy w tygodniu.

– Rozumiem panią – stwierdziłam z rezygnacją.

– A teraz pokażę pokój. Pani ciotka może się w każdej chwili wprowadzić. Powinna mieć przy sobie pokwitowanie.

Weszliśmy po schodach na trzecie piętro bardzo powoli, gdyż moja przewodniczka najwyraźniej cierpiała na zadyszkę. Dalej droga prowadziła korytarzem bez dywanu. Puste szklane kinkiety nad drzwiami przypominały o lepszych czasach hotelu, obecnie jednak korytarz był słabo oświetlony przez dwie tylko nagie żarówki.

Moja przewodniczka zatrzymała się przy drugich drzwiach od końca, po lewej stronie korytarza i otworzyła je.

Ktokolwiek był właścicielem tego budynku, to albo pragnął przysłużyć się Marissie, albo też liczył na jej wzajemność. Okno miało wszystkie szyby całe, podłoga była świeżo umyta, a wąskie łóżko starannie posłane. W kącie stała biała komódka z plastyku, a stolik pod oknem uzupełniał skromne umeblowanie.

– Łazienka znajduje się na końcu korytarza. Jeśli ciotka obawia się złodziei, może zamykać swoje rzeczy w skrzyni pod łóżkiem i oddawać mi klucz przy wyjściu. Żadnego gotowania w pokoju, nie mamy ochoty pójść z dymem.

Zgodziłam się zachowując powagę i zesłam za nią w dół po schodach. Kobieta wróciła do oglądania „Koła Fortuny” nie obdarzwszy mnie nawet spojrzeniem na pożegnanie. Nic więc dziwnego, że na zewnątrz odetchnęłam głęboko świeżym powietrzem.

Nigdy nie miałam dość pieniędzy, żeby co roku odłożyć więcej niż tysiąc dolarów na

ubezpieczenie na starość. Co zrobię, kiedy nie będę już w stanie zarobić ani grosza? Myśl o tym, że kiedyś mając sześćdziesiąt sześć lat będę samotną, mieszkającą w małym pokoiku z plastikową szafką o trzech szufladach na moje rzeczy osobą, wywołała we mnie dreszcz przerażenia. Jakaś przerażona matka z trojgiem dzieci wzięła mnie najwidoczniej za pijaną, ominęła więc szybko, nie chcąc, by jej latorośle oglądały nieodpowiednie dla nich widowisko.

Z największym trudem dotarłam do wozu, usiadłam za kierownicą i ruszyłam do domu.

Poczucie winy, jak i obudzone w „Windsor Arms” obawy zepsuły nastrój w czasie weekendu. W sobotę rano poszłam do sklepu spożywczego, by zaopatrzyć się w owoce i jogurt na cały tydzień. Kiedy jednak sięgnęłam po sałatkę owocową, potrzebną mi na piknik tego popołudnia, musiałam zrezygnować z oliwy z oliwek, którą zwykle kupowałam; jak można wydawać jedenaście dolarów na pół litra oliwy, jeśli brakuje pieniędzy na ubezpieczenie? Za to wzięłam jeszcze parmezan. Mama skarciłaby mnie za to ostro, nie pochwaliliby także sałatki owocowej.

Kupiłam wszystkie trzy poranne gazety i przeczytałam je uważnie przed wyjściem do parku. Nie znalazłam w nich informacji o znalezieniu niezidentyfikowanych zwłok starej kobiety, włączającej się po ulicach. Wierzyłam również Fureyowi i Bobby’emu Mallory’emu, że zadzwoniłby do mnie, gdyby Helena została zatrzymana w areszcie. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko przyłączyć się do grających w piłkę w parku kolegów i w ten sposób rozładować nurtujący mnie niepokój.

Okazało się, że jestem jeszcze całkiem niezłą zawodniczką i potrafię wciąż szybko biegać za piłką, tak jakbym miała dopiero dwadzieścia lat. Po grze udałam się wraz z kolegami do restauracji na pieczonego kurczaka z winem, jednak opuściłam towarzystwo przed końcem spotkania, żeby zdążyć wysłuchać o godzinie dziesiątej informacji radiowych.

Wciąż nie było wiadomości o Helenie. W końcu doszłam do wniosku, że ciotka musiała zabawić się w Annie Greensleeves i zdecydowałam pójść do łóżka, poirytowana własną nadwrażliwością.

Miałam nadzieję, że bogowie uniemożliwią przyjęcie u Bootsa za pomocą gwałtownej burzy z piorunami, lecz niedzielny ranek był słoneczny, tak jak całe lato. Pod koniec września dni nie były już tak upalne, niemniej jednak w środkowozachodniej części kraju panowała największa od pięćdziesięciu lat susza.

Rozpalony asfalt jezdni i chodników pofałdował się na skutek gorąca. Od iskier padających spod kół kolei miejskiej zapalały się podkłady, w rezultacie wiele stacji było nieczynnych. Mając na uwadze chroniczny brak pieniędzy w kasie miasta, nie liczyłam że zostaną uruchomione jeszcze za mojego życia.

Jak co dzień pobiegłam z Peppy do Belmont Harbor i z powrotem, a potem przejrzałam gazety – *Sun-Times* był najgrubszy. Nigdy nie byłam w stanie rozgryźć do końca jego schematu informacyjnego, w związku z czym przeczytałam więcej, niż chciałam, o urzędzeniu mieszkania i jakichś festiwalach w Wisconsin, zanim dotarłam do wiadomości z życia miasta.

Kiedy skończyłam przeglądać serwis informacyjny *Herald Star* nie znajdując słowa o Helenie, był już wielki czas, by wziąć prysznic i odpowiednio się ubrać na oczekującą mnie

kosztowną zabawę za dwieście pięćdziesiąt dolarów. Wiedziałam, że Marissa pokazałaby się najchętniej w jedwabnej spacerowej piżamie lub czymś równie ekstrawaganckim, lecz jeśli Rosalyn Fuentes nie zmieniła się ostatnio, z pewnością pojawi się w dżinsach. Do dobrego tonu należy niewychylanie się przed gościem honorowego. Ponadto, wybierając się na piknik, gdzie łatwo pobrudzić ubranie, wolałam nie zakładać czegoś, co potem musiałabym oddawać do pralni. Wybrałam więc spodnie khaki i luźną oliwkową bluzkę, na tym tle mniej widoczne będą ewentualne plamy, ponadto nie zgrzeję się w popołudniowym słońcu.

Michael przyjechał po mnie przed trzecią. Jego czarne włosy i ciemne oczy żywo odcinały się od granatowej wiatrówki i jasnoniebieskiej koszulki polo. Miał zawsze pogodne usposobienie, tym razem wręcz tryskał radością. Lubił duże przyjęcia, cieszył się na spotkanie z kolegami, imponowało mu także obcowanie na przyjęciach z grubymi rybami.

Zrobiłam ukłon pod adresem jego elegancji.

– Naprawdę chcesz jechać do Bootsa ze mną? Przecież to tylko zepsuje twój *image*.

Z uśmiechem pstryknął mnie lekko w nos.

– To dla ciebie tak się ubrałam, pani Warszawski. Chcę z tobą spędzić dzisiejsze popołudnie.

– Slums obok podmiejskiej willi? Bo ja to tak odbieram. Jego podniecenie sprawiało na mnie nieprzyjemne wrażenie.

– Po co ten sarkazm, moja pani? Czy naprawdę odpowiada ci życie wśród śmieci i graffiti? Czy w głębi serca nie pragniesz żyć w czystych i otwartych przestrzeniach?

– Sam przecież mieszkasz w Norwood Park – przypomniałam.

– Tylko dlatego, że ci, którzy służą tobie i chronią cię przed artystami wykonującymi graffiti, muszą żyć w mieście. Ponadto przestępstwa w Chicago są bardziej interesujące niż na przykład w Streamswood.

– Ja też tak uważam i dlatego nie widzę siebie w innym otoczeniu. – Wyjęłam z torebki portfel i włożyłam do kieszeni spodni razem z zaproszeniem. Nie lubiłam zabierać z sobą na party torebki.

– A jednak często przeprowadzasz badania na przedmieściach – zaproponował Michael, gdy już wychodziliśmy.

– Dlatego właśnie wolę mieć do czynienia z przestępstwami w mieście – odparłam, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku. – Tutaj ktoś może nagle stuknąć się czymś twardym w głowę i ukraść portmonetkę. Tego typu przestępcy nie siedzą w salach konferencyjnych i nie radzą o Murzynach w Chicago, dokonując jednocześnie milionowych oszustw i malwersacji.

– Mógłbym cię przedstawić kilku takim rekinom – zaproponował Michael, gdy znaleźliśmy się już na ulicy. – Oni również potrzebują pomocy prawnej. Może przypadłabyś im do gustu? Już widzę, jak bronisz czystych, uczciwych przestępstw, takich, jakie popełniali nasi dziadkowie.

Mimo woli roześmiałam się.

– Dobrze już, dobrze, dajmy spokój twoim rekinom, mam uraz na punkcie tych mieszkańców willowych dzielnic. Jestem bardzo ciekawa, w jaki sposób Boots trafił do

Streamwood?

Michael ujął moją twarz w obie dłonie i ucałował.

– Zrób mi tę przysługę, Wik, i nie pytaj go o to dzisiaj. Uwolniłam się z jego objęć i wsiadłam do swojego samochodu.

– Nie martw się, mama nauczyła mnie, jak się należy zachowywać w miejscach publicznych. Do zobaczenia na przyjęciu.

Wsiadł do corvette, mignął mi kilkakrotnie światłami i z głośnym piskiem opon ruszył w kierunku Belmont.

ROZDZIAŁ 6

Piknik na farmie

Straciłam Michaela z oczu, gdy tylko znaleźliśmy się na autostradzie. Mógł przekroczyć setkę, a mimo to policja drogowa tylko migiała mu po koleżeńsku światłami. Ja na taką jazdę nie mogłam sobie pozwolić. Czekał na mnie przy zjeździe na Northwest Tollway – odtąd droga prowadziła przez wzgórza piętrzące się w kierunku północno-zachodnim, a więc tempo jazdy zmalało, dzięki czemu widziałam od czasu do czasu jego wóz na horyzoncie.

Nie jestem pewna, czy trafiłabym na farmę Bootsa bez Michaela, w każdym razie nie od razu. Wjazd ukryty był w gęstym żywopłocie, ciągnącym się wzdłuż krętej, wąskiej ulicy i odgradzającym farmę od wścibskich spojrzeń z zewnątrz. Pędzący przede mną z dużą szybkością Michael nagle przystopował i gwałtownie, bez ostrzeżenia skręcił, tak że z największym trudem udało mi się zahamować i wjechać za nim na teren farmy.

Czekał na mnie tuż za bramą, która znajdowała się około trzech metrów od przerwy w żywopłocie. Ciągące się wzdłuż jezdni zarośla częściowo zakrywały wysoki na trzy metry parkan, w którym była brama. Ten, kto próbował go sforsować, narażał się na śmierć od kul gorliwych ludzi szeryfa.

– Przepraszam cię, Wik – powiedział skruszony Furey – ale wydawało mi się, że skręt znajduje się o kilometr dalej. Na tak niebezpiecznym odcinku powinien być drogowskaz. – Gdy jeden ze strażników spytał mnie o zaproszenie, Furey wtrącił: – Proszę dać spokój tej pani, jest ze mną.

– Nie tak bardzo, żeby to było aż widoczne – wtrąciłam i sięgnęłam do kieszeni, wyjmując własne zaproszenie, ale strażnik skinął ręką przyzwalająco, nie spojrzawszy nawet na kartonik. Fakt, że wzięto mnie za damę towarzyszącą Michaelowi, popsuł mi humor. Wsiadłam szybko do swojego wozu i podczas gdy on gawędził ze strażnikami, odjechałam, podnosząc za sobą chmurę pyłu. Tuż przed zakrętem spostrzegłam, jak Furey wsiada do samochodu, ale gdy po chwili skręciłam, znalazłam się już sama na trzypasmowej jezdni.

Jeśli nawet letnie upały zaszkodziły tegorocznym zbiorom zboża, nie zaszkodziły specjalnie Bootsowi. Drzewa na farmie miały wspaniałe listowie, wokół zieleniła się trawa. Widać było, że plony są obfite. Najwidoczniej, jeśli ktoś jest przewodniczącym władz okręgowych, potrafi również sprowadzić wodę na swoją farmę.

Wzięłam następny skręt i znalazłam się u celu. Już przy bramie słychać było dochodzącą z oddali muzykę. Teraz miałam w zasięgu wzroku stanowisko orkiestry, znajdujące się tuż obok głównego budynku. Orkiestranci w marynarskich bluzach i słomianych kapeluszach dawali ze siebie wszystko, żeby zabawić słuchaczy. Po drugiej stronie budynku unosił się leniwie dym – tam przypuszczalnie znajdowało się centrum zabawy; Boots najwyraźniej poświęcił jedną ze swoich krów na kampanię na rzecz Roz.

Jeden ze strażników wymachując chorągiewką skierował mnie na parking samochodowy, usytuowany na wielkim placu, na północny wschód od budynku. Prawdopodobnie było to

pastwisko; przypomniałam sobie, że gdy byłam skautką i miałam jedenaście lat, oglądałam podobne. Mimo obecności strażników – a może właśnie z tego powodu – starannie zamknęłam drzwiczki samochodu.

Furey dopadł mnie w momencie, kiedy już szłam w kierunku orkiestry, przy której zgromadziła się większość gości.

– Do diabła, Wik, czemu jesteś taka wściekła? Przystanąłam i zmierzyłam go surowym spojrzeniem.

– Michael – oświadczyłam – zapłaciłam dwieście pięćdziesiąt dolarów za wątpliwą przyjemność uczestniczenia w tym ubawie. Nie przyjechałam tu na spotkanie z tobą, nie jestem też małą kobietką, którą można schować pod ramię i robić wszystko według własnego uznania.

Jego dobry humor prysnął natychmiast jak bańka mydlana.

– O czym ty mówisz, Wik? – zapytał.

– Traktujesz mnie jak dodatek do siebie: najpierw zostawiasz daleko z tyłu na autostradzie, potem mówisz strażnikom, żeby mi dali spokój, ponieważ przyjechałam z tobą. Nie podoba mi się to.

Machnął ręką z irytacją.

– Chciałem ci zrobić przyjemność, oszczędzić kłopotów z chłopcami przy bramie. Gdybym wiedział, że poczujesz się dotknięta, nie robiłbym tego.

Kroczył zdenerwowany w kierunku tłumu. Szłam za nim wolno, rozdrażniona zarówno jego, jak i swoim postępowaniem. Byłam na niego zła za gwałtowne hamowanie przy wjeździe na farmę, ale to nie usprawiedliwiałało mojego zachowania. Wciąż jeszcze niepokoiłam się zniknięciem Heleny. A może był to tylko jeden z objawów mojego wrodzonego złego humoru? Albo też okazywałam w ten sposób niechęć do udziału w imprezie?

Przypomniałam sobie, że ostatnio widziałam Bootsa w telewizyjnych wiadomościach, gdy jeden z jego goryli uderzył pięścią w twarz mężczyznę, który podszedł zbyt blisko do jego bossa po posiedzeniu zarządu. Człowiek ten – co prawda – oskarżył publicznie Bootsa o zamordowanie jego córki. Było to bardzo poważne oskarżenie, niepoparte dowodami – ale złamanie komuś nosa z tego powodu było raczej przesadzoną reakcją. Trzeba oddać sprawiedliwość Bootsowi, że pokrył koszty leczenia szpitalnego poszkodowanemu; ale po co mu w ogóle osobisty ochroniarz?

To był tylko najświeższy publiczny epizod, w który Meagher był zamieszany, skądinąd było jednak wiadomo, że maczał palce w dziesiątkach różnych interesów, które z reguły przynosiły duże zyski. Można było się domyślić, że nie poparłby kampanii wyborczej Rosalyn, gdyby nie liczył na określone koncesje z jej strony.

Nie znaczyło to wcale, że Roz musiała być z nim blisko zaprzyjaźniona. Była organizatorem gminy w Logan Square, kiedy pracowałam jeszcze w urzędzie obrońcy publicznego. Razem uczestniczyłyśmy w kilku seminariach, poświęconych problematyce prawnej, interesującej gminy – chodziło o upowszechnienie elementarnych przepisów prawnych w zakresie prawa mieszkaniowego i imigracyjnego. Roz okazała się rozsądnym,

zdołnym i przedsiębiorczym politykiem. Była też bardzo ambitna, co oznaczało, że mogła nawet pójść do łóżka z Bootsem, byle tylko wypłynąć na szersze wody, poza obszar Logan Square. Ale to nie powinno być mnie obchodzić. No to czemu znalazłam się tutaj?

Przebiłam się przez gęsty tłum do orkiestry, przezroczysty daszek z plastyku chronił estradę od słońca i ewentualnego deszczu. Roześmiane młode dziewczyny w minispódniczkach chodziły wśród gości z tacami kanapek. Stroje zupełnie odpowiednie do upodobań Rosalyn, pomyślałam z przekąsem. Podeszłam do baru i poprosiłam o rum z tonikiem.

Z drinkiem w rękę przepychałam się bez celu między grupkami gości. Tuż za namiotem, w którym serwowano posiłki i napoje orzeźwiające, było ciasniej niż gdzie indziej, hałas zagłuszał dźwięk orkiestry. Dalej było już luźniej – nierówny, zarośnięty trawą i chwastami teren przylegał do niewielkiego lasu. Mimo to większość kobiet miała pantofle na wysokich obcasach. Dwie spośród nich rozłożywszy na trawie pled, usiadły wystawiając na działanie słońca i wiatru długie opalone nogi. Kiedy przechodziłam obok, zawołały:

– Wik, chodź i siadaj obok nas. Ernie powiedział, że będziesz na przyjęciu. LeAnn jest w ciąży, Klara pewnie znów będzie miała dziecko.

Te dwie dziewczyny od wczesnej młodości były niezrozłączne, obecnie mieszkały w sąsiednich domach w Oak Brook, dzięki czemu utrzymywały codzienne kontakty. Pożyczały sobie sukienki, spotykały się na kawie, razem wychowywały dzieci. Gdyby jeszcze kędziory Klary nie kontrastowały wyraźnie z ciemnymi, prostymi włosami LeAnn, byłyby niemal nie do odróżnienia w swoich kusych spódniczkach od Anny Klein.

– Jak się czujesz? Jak ci się tu podoba? – zapytała Klara.

– Czuję się doskonale. Kiedy będzie dziecko?

– W końcu marca. Ale to jest informacja tylko dla przyjaciół. Uśmiechnęłam się. To zastrzeżenie mogło dotyczyć pewnie połowy obecnych na pikniku – z tak dużą liczbą osób Klara była tu po imieniu.

Obie kobiety poznałam dzięki Michaelowi. LeAnn była żoną Erniego Wunscha, a Klara – Rona Grasso. Zdumiewało mnie, że Michael był tak wierny swoim przyjaźniom z dzieciństwa i młodości. Jeśli chodzi o mnie, to od dnia, w którym opuściłam południowe Chicago i podjęłam studia w koledżu, nie spotykałam się z osobami, wśród których wyrastałam. Natomiast Michael, oprócz Erniego i Rona miał jeszcze siedmiu czy też ośmiu przyjaciół z tamtych lat, z którymi przynajmniej raz w miesiącu spędzał wieczór na grze w pokera, w październiku polował na jelenie w Eagle River i witał Nowy Rok razem z ich żonami. Przyjaźnie Michaela były główną przyczyną, że nigdy tak naprawdę nie przypadliśmy sobie do gustu. Ponieważ jednak często przebywałam w jego towarzystwie, LeAnn i Klara traktowały mnie, jakbym była jedną z nich.

Grzecznie zapytałam obie o dzieci i ku swojej wielkiej radości dowiedziałam się, że uczą się bardzo dobrze i o tym, jak bardzo LeAnn jest szczęśliwa z przeprowadzki do Oak Brook, i z tego, że nie musi martwić się teraz o szkołę publiczną dla dzieci. Tę wypowiedź LeAnn Klara uzupełniła stwierdzeniem, że najlepiej im jednak było, kiedy były małymi dziewczynkami w Norwood Park.

– Czy Ron i Ernie są również tutaj? – zapytałam od niechcienia.

– Naturalnie. Kilka godzin temu poszli przynieść coś do picia i przepadli. Mają tutaj tak wielu znajomych, że nas to nie dziwi. – Zaproponowałam, że wobec tego ja im coś przyniosę, ale roześmiały się i oświadczyły, że mogą poczekać, a LeAnn położyła na moim kolanie dłoń zakończoną kolorowymi paznokciami.

– Masz bardzo dobre serce – powiedziała. – Nie chciałybyśmy się wtrącać, ale wiemy, że byłabyś wspaniałą żoną dla Michaela. Właśnie mówiłyśmy o was, gdy nadeszłaś.

Uśmiechnęłam się z przekąsem.

– Dziękuję bardzo. Doceniam wasze dobre chęci. Wstałam, wylewając przy tej okazji drinka na nogawkę spodni.

LeAnn spojrzała na mnie niespokojnie.

– Czyżbym cię uraziła? Nie chciałam tego. Ernie uważa, że zawsze mówię to, co przyjdzie mi do głowy, bez zastanowienia. – Sięgnęła do leżącej torby plażowej i wyjęła z niej kilka chusteczek papierowych.

Wytarłam spodnie.

– Nie ma sprawy. Problem w tym, że mamy z Michaeliem różne gusta, nie sądzę więc, żeby coś kiedykolwiek z tego wyszło.

Zaprotestowały śmiejąc się głośno:

– Nie mówisz tego poważnie, Wik!

Zacząłam się przepychać przez tłum z pustym tym razem kieliszkiem. Tuż przy wejściu do namiotu spostrzegłam Rona i Erniego. Byli pogrążeni w gorącej dyskusji z Michaeliem i kilkoma innymi mężczyznami. Głowy pochylali ku sobie, żeby się lepiej słyszeć wśród hałaśliwego otoczenia. Byli tak bardzo zajęci, że nie zauważyli, jak się do nich zbliżyłam. Klepnęłam Michaela w ramię.

Podskoczył i zaklął głośno. Kiedy mnie zobaczył, objął ramieniem, ale jednocześnie spojrzał pytająco na pozostałych mężczyzn, tak jakby chciał zbadać ich reakcję.

– Ach to ty! – zawołał. – Jak się bawisz?

– Doskonale. Ty – jak widzę – również.

Ponownie spojrzał na swoich przyjaciół, a następnie na mnie.

– Właśnie znajdujemy się w trakcie omawiania pewnej ważnej sprawy. Czy nie mógłbym się do ciebie przyłączyć za dziesięć minut?

Co za pojednawczy gest z jego strony! Uśmiechem pokryłam ogarniającą mnie wściekłość.

– Możesz spróbować – odparłam.

Odwróciłam się na pięcie, ale Ron Grasso schwycił mnie za ramię, nie pozwalając odejść.

– Tak się cieszę, Wiki, że ciebie widzę. Nie zwracaj uwagi na Fureya – chyba wstał dzisiaj lewą nogą z łóżka. Nie ma ważniejszej sprawy niż piękna kobieta i nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż kazać jej czekać.

Pozostali mężczyźni przyjęli ze śmiechem jego słowa z wyjątkiem Michaela, który spojrzał na mnie poważnie. Być może był niezupełnie trzeźwy, rozumiał jednak, że tego

rodzaju żart może zostać przeze mnie źle przyjęty, był więc gotów do akcji pojednawczej. Ja jednak nie miałam najmniejszej ochoty dawać mu takiej okazji.

Ron przedstawił mi dwóch pozostałych mężczyzn – Luisa Schmidta i Carla Martinezę, również budowlańców i zwolenników Kosalyn.

– Jesteś starą przyjaciółką Rosalyn? – zapytał Ron.

Skinęłam głową twierdząco.

– Razem pracowałyśmy w Logan Square.

– Pani była tam organizatorem? – wtrącił Schmidt.

– Byłam radcą prawnym. Zajmowałam się sprawami prawnej natury – imigracją, problemami mieszkaniowymi i tak dalej. Obecnie jestem detektywem.

– Detektywem? Coś podobnego! Tak jak sierżant Furey? – zdziwił się Schmidt, niski, krępy mężczyzna z bicepsami jak rury kanalizacyjne, rozpychającymi mu rękawy.

Wszyscy patrzyli na mnie, wyczekując odpowiedzi.

– Pracuję na własne konto. Jestem kimś w rodzaju chicagowskiego Magnum.

– Wiki zajmuje się sprawami oszustw – wtrącił Ron. – Posiada bogate archiwum różnych osób. Może zna również nasze tajemnice?

Wszyscy grzecznie się roześmieli. Ja ze swej strony uwagę tę potraktowałam jako żart i nawet nie próbowałam na nią odpowiedzieć. Zmieniłam temat.

– Spotkałam LeAnn i Klarę – powiedziałam. – Czekają, że przyniesiecie im coś do picia.

Ernie uderzył się w czoło.

– Skleroza! – zawołał. – Pozwólcie, że zajmę się dziewczynami. Poczekajcie tutaj na mnie.

Ujął mnie pod ramię i pociągnął w kierunku namiotu.

– Czy mogę coś dla ciebie kupić?

– Nie, bardzo dziękuję. – Spojrzał na mnie uważnie, miał ciemne oczy w szczupłej, ogorzałej twarzy. – Nie traktuj zbyt poważnie zachowania się Michaela. Ma zbyt dużo spraw na głowie.

Skinęłam głową poważnie.

– Wiem, Ernie. I sądzę, że jest to odpowiedni moment, by go zostawić i pozwolić mu wszystko przemyśleć.

– Czy nie mogłabyś zostać jeszcze na kolacji i porozmawiać trochę z dziewczętami?

– Przepraszam cię, Ernie. Wiem, że LeAnn ucieszy się bardzo na twój widok. Jest tu niedaleko razem z Klarą. – Uśmiechnęłam się lekko.

– W porządku, Wik, w porządku. Już do nich idę. – Skierował się do namiotu. Coś mi mówiło, że zaczął się zastanawiać, co, u diabła, Michael właściwie widzi we mnie.

ROZDZIAŁ 7

Rozmowa na werandzie

Idąc na parking zauważyłam Marissę stojącą przed tylnym wejściem. Śmiała się serdecznie, słuchając stojącego obok mężczyzny w średnim wieku. Skądś go znałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Z wyraźnym upodobaniem patrzył na Marissę, ubraną w brzoskwińową suknię z głębokim dekoltem.

Postanowiłam skorzystać z nadarzającej się okazji i dać Marissie do zrozumienia, że – zgodnie z obietnicą – przyjechałam na przyjęcie i nie podejmowałam w rozmowach problemu mieszkaniowego. Ruszyłam ścieżką w jej kierunku.

Z bliska jej rozmówca wyglądał starzej – z pewnością już przekroczył sześćdziesiątkę, miał sporo siwych włosów. Opalony i muskularny dźwigał swoje lata z wdziękiem. Wyglądał na kogoś bogatego, jeśli sądzić na podstawie kurtki z wielbłądziej wełny, jaką miał na sobie, i teksaskich butów. Przedstawiał doskonałą zdobycz dla Marissy.

– Wspaniała impreza, Marisso – odezwałam się głośno – dziękuję za zaproszenie.

Nie zauważyła, kiedy zbliżałam się do niej. Uśmiech na jej twarzy zgasł na chwilę, by po chwili znów się pojawić.

– Witaj, Wik, cieszę się, że przyjechałaś.

Nie patrzyła na mnie, należało więc zostawić ich w spokoju. Najwidoczniej zrobiłabym najlepiej, gdybym w ogóle tu nie przyjeżdżała. Właściwie nie zależało mi na spotkaniu z tymi ludźmi, a oni również nie byli spragnieni mojego widoku.

– Do widzenia, Marisso. Dziękuję ci za umożliwienie mi uczestnictwa w tej wspaniałej obywatelskiej imprezie. Chciałam cię tylko zapewnić, iż z nikim tu o problemie mieszkaniowym nie rozmawiałam.

Tym razem spojrzała na mnie.

– Już odjeżdżasz? Dlaczego nie zostaniesz na przemówieniach? Wiem, że Rosalyn chętnie by się z tobą spotkała.

Uśmiechnęłam się powściągliwie.

– Rosalyn ma dziś do uściskania co najmniej tysiąc dłoni. Zadzwoń do niej później.

Mężczyzna w kurtce z wielbłądziej wełny spojrzał na zegarek.

– Oni tam rozmawiają, ale za piętnaście minut najdalej powinni skończyć. Boots mi obiecał, że nie będzie dużo mówił. Chodźmy więc do nich, w każdym razie ja powinienem się tam pojawić. – Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, wyciągnął do mnie rękę: – Jestem Ralph MacDonald.

Przedstawiając mu się, uściśnęłam jego dłoń z należytym respektem, nieczęsto zdarza mi się zawierać znajomość z miliarderem. Gdy wymieniał swoje nazwisko, uprzytomniłam sobie, skąd znam tę twarz: wielokrotnie widziałam ją w gazetach, w których ukazywały się jego zdjęcia, kiedy podejmował finansowanie nowej budowy lub kiedy wręczał czek na dużą sumę z przeznaczeniem na cel charytatywny.

Dziwiło mnie tylko, co tutaj robi – o ile mi było wiadomo, był republikaninem.

Kiedy go o to wprost zapytałam, Marissa spojrzała na mnie z chłodną dezaprobatą, ale on tylko się roześmiał.

– Z Bootsem znamy się już od bardzo dawna. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym głosował na republikanów. I nie wybaczyłby mi, gdybym teraz nie wysłuchał jego przemówienia, prawda, Marisso? – Wyciągnął do niej lewe ramię. – I ty też pójdziesz z nami, Wik? Tak masz na imię, jeśli się nie mylę? – mówiąc to, podał mi prawe ramię.

Kto wie, a może chce porozmawiać ze mną o jakichś sprawach, może ma ochotę zlecić mi jakieś zadanie za kilka milionów? Poza tym chętnie utarłabym nosa Marissie. Przyjęłam więc jego ramię i pozwoliłam poprowadzić się na poszukiwanie Bootsa.

Z dała od domu i namiotu tłoczył się okazały tłum wokół rozpalonego ogniska, z którego unosiły się kłęby gęstego, gryzącego dymu. Z powodu ciżby nie mogłam dostrzec nieszczęsnej krowy, ale domyślałam się, że się piecze. Tuż obok duża grupa otaczała, umocowane na grubym grubym pniu, niewielkie podium, na którym stał Boots, obejmujący ramieniem Roz. Był wysokim, majestatycznie wyglądającym mężczyzną, srebrne włosy spadały mu falami jak lwia grzywa z nieco kanciastej głowy, szerokie ramiona ciasno opinała skórzana kurtka. Śmiał się głośno i serdecznie lekko odrzucając do tyłu głowę. To był jego firmowy wygląd – poza, w której był przedstawiony na plakatach wyborczych. Jednak nawet ludzie mu przychylni – na przykład tacy jak ja – musieli przyznać, że ten uśmiech był zaraźliwy. Otaczali go mężczyźni i kobiety w różnym wieku i różnych ras. Kiedy Boots przestał się śmiać, Rosalyn wykrzyknęła coś po hiszpańsku i pochyliwszy się do przodu, uściśniła czyjaś dłoń. Tak jak się tego spodziewałam, ubrana była w wypłowiałe dzinsy, a jedynym ustępstwem w stroju z uwagi na okoliczność była biała koszula z muszką. Smagła, z żywymi, ciemnymi oczami wyglądała jak przed laty w Logan Square. Być może oceniałam ją zbyt surowo, być może była wystarczająco przebiegła, by radzić sobie w grze politycznej z demokratami, nie sprzeniewierzając się własnym ideałom.

W pewnym momencie Rosalyn zeskoczyła z podium i na chwilę zniknęła mi z oczu. Gdy ją spostrzegłam, razem z Bootsem wymieniali uściski dłoni z obecnymi, śmiejąc się i głośno żartując. Tymczasem Marissie udało się odciągnąć ode mnie MacDonalda. Uśmiechnęłam się do siebie. Najwyraźniej wzbudziłam w niej zazdrość o miliardera, na którym znów tak bardzo mi nie zależało.

Nie opodal spostrzegłam dwóch hiszpańskich przedsiębiorców budowlanych, których wcześniej przedstawił mi Ron. Wpatrywali się we mnie natargiwie, a kiedy spostrzegli, że to zauważyłam, uśmiechnęli się ostrożnie. Pomyślałam, że najwyższy czas wracać do Chicago. Zanim jednak zdążyłam podjąć ostateczną decyzję, obok mnie pojawili się Rosalyn i Boots. Spostrzegłszy mnie, Rosalyn klasnęła w dłonie.

– Wik! Jakże się cieszę, że cię widzę! Byłam taka uradowana, gdy dowiedziałam się, że tu będziesz! – Uściśniła mnie gorąco, a następnie zwróciła się do Bootsa. – To jest Wik Warszawski, kiedyś pracowała również dla ciebie w urzędzie publicznego obrońcy.

– Obecnie pracujesz już na własną rękę, prawda? Mówiono mi, że zostałam detektywem.

Poczułam się jak cudowne dziecko pokazywane znajomym. W końcu udało mi się wydusić z siebie coś w rodzaju odpowiedzi.

– Jakim detektywem, Wik? – Boots obdarzył mnie łaskawym zainteresowaniem.

– Prywatnym. Interesują mnie przede wszystkim sprawy finansowe.

Boots roześmiał się głośno swym legendarnym śmiechem i potrząsnął moją dłońią.

– Szkoda, że okręg panią utracił, wciąż brakuje nam zdolnych prawników. Mam jednak nadzieję, że pani wiedzie się w pracy.

– Dziękuję panu – odpowiedziałam nieco usztywniona. – Życzę powodzenia w kampanii wyborczej na rzecz Roz.

Boots nagle spostrzegł Ralpha MacDonalda, szczyry uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Mac, ty stary draniu! Dobrze, że sobie o mnie przypomniałeś i jesteś tutaj – mówiąc to wyciągnął rękę, żeby poklepać go po ramieniu. – Oczywiście znalazłeś Marissę, zawsze znajdujesz to, co najlepsze?

Twarcz Marissy jakby zastygła na chwilę w drewnianym uśmiechu; w ten sposób kobiety przyjmują zazwyczaj wątpliwe komplementy. Palcami prawej ręki nerwowo pociągnęła za kołnierzyk. Zrobiło mi się jej trochę żal.

Skorzystałam z okazji, żeby usunąć się na bok. Parę kroków dalej Rosalyn rozmawiała ze swoimi rodakami, Schmidtem i Martinezem. Cała trójka była zwrócona w moją stronę i rozmawiała o mnie. Gdy Rosalyn spostrzegła, że patrzę na nią, uśmiechnęła się. W ustach jej błysnął metalowy ząb – dzieciństwo spędziła w biedzie. Mówiła coś z powagą do swoich rozmówców, potem spojrzała na mnie raz jeszcze, czyniąc wyraźne znaki, bym się do nich przybliżyła. Z największym trudem przebiłam się do niej.

– Warszawski! Właśnie rozmawialiśmy o tobie z chłopcami! Znasz już małego Luisa? Jest moim kuzynem: siostra mojej matki wyszła za Niemca w Mexico City, potem zresztą do końca życia żałowała swojej decyzji. Znasz te stare „love stories”. – Roześmiała się wesoło. – Potrzebuję twojej pomocy, Warszawski.

– Masz mój głos zapewniony, Roz, wiesz o tym dobrze.

– Potrzebuję jednak czegoś więcej! – Zanim jednak zdążyła powiedzieć, o co jej chodzi, podszedł Boots w towarzystwie MacDonalda. Prowadzili wesołą pogawędkę, którą przerwali, by wciągnąć Roz na rozmowę do wnętrza budynku.

– Poczekaj na mnie, *gringa*, dobrze? Spotkamy się na werandzie w ciągu godziny! – zawołała w moim kierunku swym zachrypniętym głosem. Po czym odwróciła się ode mnie plecami.

Ponieważ uprawiam męski zawód, ludzie sądzą, że jestem gruboskórna i odporna na spotykające mnie afronty. Gdybym rzeczywiście taka była, w tym momencie opuściłabym towarzystwo, ja natomiast poczułam stare, dobrze mi znane macki poczucia odpowiedzialności. Lotty Herschel twierdzi, że czuję się tak dlatego, iż byłam jedynaczką, dlatego cierpię teraz na tę tak dokuczliwą chorobę. Uważam, że musiałabym przejść długą kurację u psychoanalityka, żeby nauczyć się odpowiadać „nie”, kiedy ktoś zawoła: „Potrzebuję ciebie, Wik”.

Z pewnością ma rację – ta gorzka myśl spłoszona została nagle przez przyprawiający mnie o mdłości zapach pieczonej wołowiny. Na chwilę utożsamiałam się z martwym bydlęciem, które ludzie schwytyli i karmili tylko po to, by je zatłuc i zjeść. Nie miałam

najmniejszej ochoty brać udziału w uczcie. Kiedy gospodarz oznajmił, że pieczeń jest już gotowa, zgarbiłam się i czym prędzej Odeszłam jak najdalej.

Obeszłam budynek, żeby trafić na werandę, o której wspomniała Rosalyn. To, co obecnie było jego tyłem, kiedyś stanowiło główne wejście do powstałej około stu lat temu wiejskiej rezydencji. Kilka niskich stopni wiodło na otoczoną kolumnami werandę, oszkloną nieprzezroczystymi szybami. Przed werandą znajdował się klomb i niewielki, dla celów dekoracyjnych wykopany staw. Było to ustronne, zaciszne miejsce – chociaż nawet tutaj dochodziły dźwięki orkiestry i hałas ciżby. Zbliżyłam się do stawu: tafla wody połyskiwała srebrzyście, odbijały się w niej poróżowiałe w promieniach zachodzącego słońca chmurki. Stadka złotych rybek podpływały do brzegu w oczekiwaniu na okruchy chleba. Przez chwilę przyglądałam mi się z przyjemnością.

– Każdy w tym kraju wyciąga po coś rękę, dlaczego wy miałybyście być inne? Ale w tej chwili nie mam nic dla was.

W pewnym momencie poczułam czyjąś obecność za sobą.

Odwrociłam się w chwili, gdy Michael próbował otoczyć mnie ramieniem. Odsunęłam się od niego na odległość kilku kroków.

– Co się z tobą dzisiaj dzieje? Czy nie podoba ci się, że chcę sama wracać do miasta? Skąd to twoje dziwne zachowanie najpierw przy bramie, a potem w obecności kolegów? Najpierw traktujesz mnie nonszalancko, a potem pragniesz udobruchać.

– Przepraszam – oświadczył. – Chodzi o to, że Ron i Ernie zapoznali mnie z tymi dwoma facetami – Schmidtem i Martinezem. Znaleźli dobrą pracę na budowach, które zostały zdewastowane przez miejscowych wandalów. Ci faceci zwrócili się do mnie z prośbą o pomoc ze strony policji. Waśnie rozmawialiśmy w tej sprawie, gdy się pojawiłaś. Rozumiem, że byłaś na mnie wściekła, ale nie mogłem odprawić ich z kwitkiem. Stąd moje niezrozumiałe dla ciebie zachowanie. Czy możesz mi wybaczyć?

Wzruszyłam niecierpliwie ramionami.

– Problem w tym – odparłam – że ty należysz do innego gatunku ludzi niż ja. Ty należysz do tego typu mężczyzn, których dziewczyny czekają cierpliwie w nadziei, że po kilku godzinach dostaną obiecane drinki. Bardzo lubię LeAnn i Klarę, ale one nigdy nie zostaną moimi przyjaciółmi, gdyż myślą inaczej i żyją inaczej. Uważam, że styl Erniego i Rona jest tobie bliski, w związku z czym nie widzę, w jaki sposób my oboje moglibyśmy znaleźć wspólny język.

Gdy to mówiłam, milczał z posepnym wyrazem twarzy. Po dłuższej chwili odezwał się cicho:

– Być może masz rację. Moja matka wychodzi z domu z przyjaciółmi, kiedy tylko ma na to ochotę, a mój ojciec do klubu. Nigdy nie zauważyłem, żeby razem spędzali czas wolny – nawet nie chodzą wspólnie do kościoła: matka udaje się na poranną mszę w niedzielę, ojciec z reguły przesypia niedzielne poranki. Chyba popełniłem błąd, umawiając się z tobą na to spotkanie.

Słońce już zaszło, powoli zapadał zmrok, ale mogłam jeszcze dostrzec jego nieco zakłopotany uśmiech.

Tafla wody przybrała już czarną barwę, dom za naszymi plecami majaczył jak widmo wielkiego okrętu. Niewątpliwie Michaela odróżniał od jego przyjaciół pewien stopień samokrytycyzmu. Być może warto było mu pomóc w zmianie jego postawy wobec życia. Ale ja już skończyłam trzydzieści siedem lat i nie miałam ochoty na angażowanie własnych sił i energii w to wątpliwe przedsięwzięcie. Zresztą zanim zdążyłam cośkolwiek mu powiedzieć, pojawiła się Roz. Nie oczekiwałam, że przyjdzie na spotkanie – sądziłam, że w tym zamęcie o mnie zapomni. Towarzyszyli jej Schmidt i Martinez.

– Wik! – po wielu publicznych wystąpieniach Roz mówiła zachrypniętym szeptem, choć ze zwykłą sobie energią i temperamentem. – Dzięki Bogu, że czekasz na mnie. Czy możemy ze sobą porozmawiać na werandzie, na osobności?

Przestawiłam Michaela Rosalyn. Potrząsnęła jego dłonią niedbale i poprowadziła mnie przez dziedziniec.

Chociaż trawnik przed domem był gładko przystrzyżony, poruszałyśmy się ostrożnie w panujących ciemnościach. Na werandę wpadało nieco światła zza uchylonych drzwi. Widziałam obok siebie zarys sylwetki Rosalyn, ale głowa pozostawała w cieniu, nie byłam więc w stanie odczytać wyrazu jej twarzy.

Usiadłam na samym szczycie schodów, wsparta plecami o jedną z kolumn i czekałam, aż się Roz odezwie. Przed nami ciemniały postacie Michaela i dwóch towarzyszących im hiszpańskich przedsiębiorców, słychać było, jak orkiestra przyspiesza tempo; do mych uszu docierała coraz głośniejsza muzyka i coraz częstsze wybuchy śmiechu.

– Jeśli wygram wybory, będę mogła pomóc swoim rodakom – Odezwała się w końcu Rosalyn.

– Już teraz dokonałaś wielkiej rzeczy – odparłam.

– Jeszcze za wcześnie na pochwały, Wik. Ja zmierzam wyżej, zdobycie poparcia Bootsa było trudne, ale konieczne. Rozumiesz?

Skinęłam głową, a ponieważ w ciemnościach nie mogła tego zobaczyć, chrząknęłam aprobująco.

– Te wybory to tylko pierwszy krok do celu. Chcę zostać wybrana do Kongresu i znaleźć się w rządzie w ciągu najbliższych ośmiu – dwunastu lat po zwycięstwie demokratów.

Znów chrząknęłam. To, co usłyszałam, nie było dla mnie całkowitym zaskoczeniem – zdawałam sobie sprawę, że nie brakowało jej zdolności i ambicji. Za osiem – dwanaście lat społeczeństwo będzie gotowe zaakceptować ją w roli wiceprezydenta, urodziła się w Meksyku i dlatego myślała tylko o swoim udziale w rządzie.

– Zawsze ceniłam sobie bardzo twoje rady – ciągnęła. Musiałam nadstawić uszu, żeby ją dobrze słyszeć. Głos jej stawał się coraz bardziej chrapliwy.

– Dziękuję za uznanie, Roz – odrzekłam.

– Niektórzy – tacy jak na przykład mój kuzyn – sądzą, że jesteś w stanie mnie skrzywdzić, ale powiedziałam mu, żeby się nie obawiał.

Początkowo nie mogłam zrozumieć. Kluczyła, a kiedy wreszcie powiedziała, o co jej chodzi – dobierała słów bardzo starannie.

– To dlatego, że połączyłam się z Bootsem. Wszyscy wiedzą, że jesteś przeciw niemu.

– Nie zawsze – zaproponowałam. – Nie wszystko o nim wiem. A twój kuzyn przecież mnie nie zna, dziś spotkałam go po raz pierwszy.

– On ciebie zna – twierdziła z uporem. – Ludzie cię znają, jesteś bardzo aktywna.

– Nie musisz mi schlebiać, Roz. Nie powiedziałam ani nie uczyniłam niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Do licha! Nawet wpłaciłam dwieście pięćdziesiąt dolarów na rzecz twojej kampanii. Co ten twój kuzyn sobie wyobraża? To może drobna suma dla takiego jak on przedsiębiorcy, ale dla mnie stanowi duży wydatek.

Położyła dłoń na mojej ręce.

– Dziękuję ci za przybycie na tę imprezę. Wiem, że to dużo ciebie kosztowało nie tylko pod względem finansowym. – Nieoczekiwanie wybuchnęła gorzkim, gardłowym śmiechem. – Ja również zapłaciłam słono za to, że się tutaj znajduję. Dla postronnych cała sprawa przedstawia się bardzo pospolicie. Myślą sobie: „Roz musiała się przespać z Bootsem”.

– Wobec tego o co chodzi Schmidtowi? Boi się, że może jestem z Legionu Obyczajowego i zamierzam wywołać skandal? Doprawdy, czuję się dotknięta takim podejrzeniem. Szczególnie mnie boli, że ty może je podzielasz.

Chwyliła moją rękę.

– Nie, nie, nie o to chodzi. Nie traktuj sprawy w ten sposób. Luis jest moim kuzynem, moim małym braciszkiem i martwi się o mnie – być może czasem niepotrzebnie. Niektórzy mówili mu, jak bardzo krytycznie oceniasz Bootsa. Przejął się tym. Obiecałam mu, że porozmawiam z tobą i to jest wszystko, *gringa*. Boots ma swoje wady, nie jestem ślepa, ale nie mogę odrzucić jego pomocy.

Nie wiedziałam, czy mówi prawdę, czy też nie. Być może sypiała z Bootsem dla dobra wspólnoty hiszpańskiej – chyba nie było tego, czego by nie uczyniła, żeby tylko pomóc swoim rodakom.

– Nie podoba mi się, że przywiązujesz swój wóz do rydwanu Bootsa, ale nic na to nie mogę poradzić – taka jest twoja osobista decyzja. W związku z tym jednak muszę ci coś powiedzieć.

Roz roześmiała się gardłowo.

– Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

– Boots, podejmując temat aborcji na posiedzeniu zarządu dzielnicy w taki sposób, w jaki to uczynił, winien jest coś kobietom tego miasta. Być może pomagając tobie splanca zaciągnięte zobowiązanie?

Roz podniosła się ze stopni schodów i zawołała:

– Hej, Luis, chodź do nas, chłopcze, wypijemy i wymienimy uściski dłoni!

Luis wszedł na werandę z Michaeliem. Carl Martinez najwidoczniej odszedł już wcześniej.

– Wszystko już ustaliłyście, Roz?

Pytanie najwyraźniej nie było przypadkowe.

– Mój drogi, niepotrzebnie się martwisz, jesteś dokładnie taki sam, jak twoja matka – odparła.

Wstałam, Roz uścisnęła mnie serdecznie:

– Warszawski, zadzwonię do ciebie, gdy będziesz mi potrzebna. – Nigdy nie odmówię ci pomocy. Możesz na mnie polegać.

Zeszłam za nią po schodach Luis towarzyszył Roz. Furey wziął mnie za rękę.

– Pozwól, że odprowadzę cię do domu, Wik. Musimy omówić pewne sprawy. Nie chcę, żeby dzieliły nas jakieś nieporozumienia.

Odprowadzałam wzrokiem Roz, dopóki nie zniknęła za węglem budynku. Na próżno usiłowałam sobie uprzytomnić, o co chodziło w tej rozmowie. Byłam tak bardzo zajęta własnymi myślami, że odruchowo przytaknęłam Michaelowi.

ROZDZIAŁ 8

Kochająca matka

Było już zupełnie ciemno, kiedy zatrzymałam swój samochód tuż za połyskującą corvette Michaela na ulicy Racine'a. Sądziłam, że będę w domu na długo przed nim – kiedy siadałam za kierownicą, on rozmawiał jeszcze z Ronem i Erniem. Jednak dzięki dobrej znajomości tras przejazdowych i zawodowej kurtuazji policji drogowej, z której korzystał, udało mu się mnie wyprzedzić. Kiedy mnie zobaczył, wysiadł z samochodu i podszedł do mnie.

– Najwidoczniej, Wik, to nie był nasz dzień. Jadąc odebrałem wezwanie radiowe. Właściwie nie jestem na służbie aż do jutra rana, ale wuj Bobby nie dba o takie drobiazgi, gdy ma do czynienia z trzykrotnym morderstwem. Przykro mi z tego powodu. Zadzwońię to ciębie jutro, okay?

Ubrałam twarz w wyraz głębokiego żalu, ale naprawdę ucieszyłam się, że będę tego wieczoru sama. Myśl o rozkoszy, jakiej doznam zanurzając się w wannie, bez konieczności podtrzymywania rozmowy z drugą osobą kusila mnie w drodze powrotnej. Nie oczekiwałam, że moja rozmowa sam na sam z Michaeliem nie dojdzie do skutku i że się pożegnamy pod drzwiami. A jednak moje marzenia o samotności się nie spełniły.

Gdy tylko weszłam na klatkę, ujrzałam Helenę z torbą u stóp. Siedziała na najwyższym stopniu pierwszego piętra, tuż obok niej dostrzegłam młodą, czarnoskórą, ubraną całkiem bez smaku kobietę. Panujący na klatce półmrok nie był w stanie ukryć głębokich zmarszczek na twarzy Heleny i zszarganej odzieży. Gdy ją zobaczyłam, wszystkie moje związane z nią skrupuły zniknęły całkowicie. Poczułam ucisk w żołądku, jednocześnie ogarnęła mnie tchórzliwa chęć zatrzaśnięcia za sobą drzwi i ucieczki do Streamwood.

Na mój widok Helena poderwała się na nogi i szeroko otworzyła ramiona.

– Wiktorio, kochanie, twój przemiły sąsiad wpuścił nas do środka, żebyśmy nie musiały czekać na ciebie na ulicy. Ten człowiek to najwyraźniej starej daty dżentelmen. Dzisiaj rzadko można spotkać mężczyznę z tak rycerskimi manierami. Powiedział, że wyjechałaś za miasto, więc byliśmy przygotowane na dłuższe oczekiwanie.

– Witaj, Heleno – odparłam słabym głosem. – Znalazłam dla ciebie pokój na Kenmore.

– Och, Wiki, Wiktorio! Wiedziałam, że nie zostawisz starej ciotki w biedzie. To jest Cerise – córka mojej przyjaciółki z „Indiana Arms”. Cerise, to jest moja bratanica, Wiktorio. Najlepszy człowiek, jakiego można spotkać. Jeśli jest ktoś, od kogo możesz oczekiwać pomocy – to tylko od niej.

Cerise wyciągnęła do mnie szczupłą dłoń z lakierowanymi paznokciami.

– Bardzo mi miło panią poznać. – Miała cichy, niemal niedosłyszalny głos.

– Nie mam dla niej miejsca u siebie, Heleno – oświadczyłam posepnie. – Nie mogę przecież zamienić swojego mieszkania w przytułek dla bezdomnych Helena zacisnęła wargi, na jej twarzy odmalował się wyraz przykrości.

– Nie o to chodzi, kochanie. O tym nawet nie pomyślałam. Cerise potrzebuje pomocy

detektywa. Kiedy opowiedziała mi swoją historię, od razu pomyślałam, że tylko ty możesz jej pomóc.

Nie miałam pojęcia, czy mam sobie wyrywać włosy z głowy, czy leż krzyczeć z wściekłości, żeby tylko nie rzucić się z pięściami na ciotkę. Zanim jednak zdążyłam w jakikolwiek sposób zareagować, drzwi po lewej stronie się otwały i wyjrzał z nich „bankier”.

– Ach, to znowu pani – rzekł z dezaprobatą. – Powiniennem był się tego domyślić. Tym razem zaraz dzwonię po policję. Widziałem, że pani alfons przed chwilą odjechał swoją corvette. A może to pani klient – narkoman?

– Czym się pan zajmuje przez cały dzień? – wrzasnęłam na niego. – Szpieguje pan ludzi, którzy wracają nieco później do domu? Widocznie sprawia panu przyjemność wtykanie swojego nosa w cudze sprawy!

– To są również moje sprawy, jeżeli pani je załatwia przez okrągłą dobę.

– Nie, to nie jest tak, mój drogi – wtrąciła ciotka. – Ona jest zawodowym detektywem. Przyszliśmy do niej z prośbą o pomoc. Pan nie powinien gniewać się na nas, gdyż to szkodzi urodzie, wygląd jest nie mniej ważny dla mężczyzny niż dla kobiety. A ma pan bardzo ładne oczy.

– Heleno, zamilknij natychmiast. Sprawę Cerise omówimy u mnie. Idziemy, okay! – Nie miałam ochoty kontynuować rozmowy z tym facetem.

Helena oponowała twierdząc, że chciała mi tylko pomóc w ułożeniu stosunków z sąsiadami, ale w końcu zgodziła się iść za mną. Spojrzałam jeszcze na „bankiera”, zastanawiając się, czy nie powiedzieć czegoś ugodowego pod jego adresem. Zawsze lepiej żyć w zgodzie z sąsiadami. Ostatecznie jednak odezwałam się:

– Proszę nie zapomnieć podać policji nazwy tablicy pojazdu. Człowiek, do którego należy wóz, jest policjantem z Okręgowej Komendy Wydziału Przepływów Kryminalnych. W komendzie bardzo się ucieszą, gdy się dowiedzą, że jest podejrzany o stręczycielstwo. Jeśli panu nie udało się odczytać tablicy, to przeliteruję: fureous. – Są jednak dni, kiedy nie jestem szczególnie ugodowa.

Patrzył na mnie nieufnie i gniewnie ciemnymi oczami, usiłując odgadnąć, czy przypadkiem nie blefuję, w końcu jednak doszedł do wniosku, że chyba nie. Wycofał się do siebie, zatraskując głośno drzwi. Z mieszkania naprzeciwko dochodziło warczenie Peppy, która najwyraźniej chętnie przyłączyłaby się do awantury. Szybko wbiegłam na drugie piętro, w samą porę, by uniknąć słuchania wynurzeń pana Contrerasa.

Wpuściłam Helenę i Cerise do swojego mieszkania.

– Napijecie się czegoś? Kawy? Wody sodowej?

– Chętnie napiłabym się piwa – odparła Cerise.

– Żałuję bardzo, ale nie mam piwa. Tylko kawę, mleko lub sok. Mam jeszcze wodę sodową i coca-colę.

Cerise zgodziła się na coca-colę, Helena poprosiła o dużą kawę, taką, jaką ja zwykle parzę. Postawiłam przed nimi na stole resztki sałatki przygotowanej na wczorajszy piknik i odgrzałam kilka rozków z konfiturą. Nie widziałam nigdy kobiet, które miałyby taki apetyt. Jadły szybko, w milczeniu. W pewnym momencie Cerise zapytała tylko, co to jest takie białe

w sałatce, a dowiedziawszy się, że kalmary, nie odrywała się już ani na chwilę od jedzenia.

– Więc co to za problem, którego rozwiązanie wymaga pomocy detektywa? – zapytałam, gdy już się posiliły.

Cerise spojrzała na Helenę prosząco.

– Chodzi o jej dziecko – odezwała się ciotka.

W jasnym świetle żyrandola zauważyłam, że Cerise jest młodsza, niż mi się początkowo wydawało. Mogła mieć około dwudziestu lat.

– Słucham więc – powiedziałam zachęcająco.

– Sądzymy, że dziecko zginęło w czasie pożaru – stwierdziła Helena.

– Zginęło w czasie pożaru? – powtórzyłam za nią głupio.

– W „Indiana Arms” – ciągnęła, ciotka. – Wiki, nie gap się na mnie jak wrona w kość. Przecież wiesz, o jaki pożar chodzi.

– Tak, wiem, ale to wy tylko tak sądzą? Nie wiecie na pewno?

Zwróciłam się do Cerise. Potrząsnęła tylko głową i znów spojrzała na ciotkę. Helena mówiła z ożywieniem, pomagając sobie gestykulacją rąk i zaciskając mocno wargi dla podkreślenia dramatyzmu sprawy.

– Chodzi o to, że „Indiana Arms” był hotelem osób samotnych, co znaczy, że razem z tobą nie mógł przebywać nawet karaluch, a co dopiero dziecko. A Cerise miała taką małą, czternastomiesięczną, słodką dziecinę. Co ona biedna miała z nią począć, gdy szukała pracy?

Helena przerwała na chwilę, jakby oczekując ode mnie odpowiedzi, ale ja nie miałam zamiaru jej przerywać.

– W tych warunkach zostawiała ją ze swoją matką. Ty byś tak samo zrobiła w jej sytuacji. A Gabriela zachowałaby się podobnie jak matka Cerise. Nie ma nic takiego, czego by nie zrobiła dla córki! Przyjmowała do siebie dziecko ryzykując, że pewnego dnia może zostać wyrzucona z hotelu na zbity tyłek – tu dla dodania wyrazu swoim słowom Helena klepnęła się w odpowiednie miejsce – byle tylko pomóc Cerise w urzędzeniu sobie życia.

Kiedy skończyła, a ja się nie odzywałam, powtórzyła ostatnie słowa z naciskiem.

– Rozumiem – wydusiłam z siebie.

Helena rozpromieniła się i mówiła dalej:

– Jej matka jest dla mnie kimś w rodzaju przyjaciółki. Cerise wyjechała z miasta w środę w nocy, kiedy w hotelu wybuchł pożar. Teraz nie może odnaleźć matki i biedaczka nie wie nawet, czy jej ukochane dziecię ocalało z pożaru.

Klasnęła i spojrzała na mnie wyczekująco. Pomyślałam, że dziś jest już niedziela, a więc od pożaru upłynęły cztery dni: dlaczego Cerise pojawiła się dopiero teraz?

– Powiedziałam biedaczce, że z pewnością jej pomożesz – ponagliła mnie niecierpliwie Helena, ponieważ nie odpowiadałam.

– W jaki sposób? – zapytałam.

– Słuchaj, Wiki – Wiktorio, ona chce odnaleźć swoje dziecko. Jeśli zwróci się w tej sprawie do policji, może mieć kłopoty. Rozumiesz – z powodu przechowywania dziecka w pokoju hotelowym. Ale nie miała innego wyjścia, więc może ty jej będziesz w stanie pomóc.

– Dlaczego Cerise dopiero dzisiaj zaczyna szukać dziecka? – zapytałam.

– Wyjechałam za miasto – dziewczyna po raz pierwszy otworzyła usta od momentu, gdy spytała o kalmary. – Ojciec dziecka, Otis, zabrał mnie do Dells. Próbowaliśmy omówić nasze sprawy. Widzi pani, pragnę wyjść za niego za mąż i stworzyć dom dla siebie i małej Katarzyny, ale on nie chce się zgodzić.

Potałam dłonią czoło, starając się odpędzić myśl o ciężkim losie dziewczyny.

– I dopiero dziś wróciłeś do Chicago?

– Udałam się wprost do hotelu – wybuchła. – Ludzie mówią, że nie kocham Katarzyny, bo zostawiam ją z matką. A ja po prostu nie jestem w stanie nią się opiekować przez dwadzieścia cztery godziny i prowadzić swoje własne życie. Nie mogę nawet znaleźć pracy. Wczoraj dowiedziałam się o pożarze. Cały czas szukam mamy, znalazłam Helenę, ale ona nie wie, gdzie jest moja mama.

– Może strażacy uratowali Katarzynę – wtrąciłam. – Czy próbowałaś dzwonić do nich.

– Nie chcę tam dzwonić. Mogą mi odebrać dziecko, wszyscy mówią, że nie nadaję się na matkę. – Zaczęła gorzko szlochać, długie czerwone kolczyki w jej uszach kołysały się, dotykając ramion.

– Uspokój się, kochanie – Helena objęła ją współczująco ramieniem. – Widzisz, Wiki, właśnie dlatego cię potrzebujemy. Potrzebujemy kogoś, kto potrafi z nimi rozmawiać, kto może załatwić tę sprawę bez wplątania Cerise lub Zerline w poważne kłopoty.

To mnie nie przekonało, choć miałam nadzieję, że Katarzyna przeżyła pożar. Gdyby znaleziono dziecko podczas pożaru, gazety z całą pewnością doniosłyby o tym.

– Przykro mi – oświadczyłam, rozkładając bezradnie ręce. – Przykro mi bardzo, ale to ty jesteś najbardziej właściwą osobą, która powinna się zwrócić do policji i straży pożarnej. Ty jesteś matką dziecka, osobą najbardziej zainteresowaną jego losem.

Przestała płakać, nie patrząc na mnie. Usiłowałam jej wytłumaczyć, iż policji nie obchodzi, czy Zerline wolno było mieć dziecko w swoim pokoju i że z pewnością nie będzie jej przeszkadzała w wynajęciu pokoju w innym hotelu. Wszystko to nie trafiało ani do Cerise, ani do Heleny.

Pomyślałam o kobiecie, którą spotkałam w biurze wynajmu mieszkań, o jej rozpacz, którą dzieliła z innymi osobami, oczekującymi tak jak ona na skierowanie do hotelu. Ktoś tak bezradny jak tamta kobieta musi się liczyć, że policja może utrudnić utrzymanie lokum.

– Dobrze więc – oświadczyłam w końcu. – Jutro wykonam kilka telefonów w twojej sprawie.

Helena uwolniła Cerise ze swych objęć i podeszła do mnie.

– Trzeba było tak od razu. Byłam pewna, że jesteś zbyt podobna do swojej matki, by odmówić pomocy w potrzebie.

– W porządku – zgodziłam się z kwaśną miną. Spojrzałam na stojący na regale zegar. Była już dziesiąta. Nawet gdybym odprawiła teraz Helenę do „Windsor Arms”, nie mogłaby zabrać ze sobą Cerise. Zaciśnawszy zęby, rozłożyłam sofę, wyjęłam z szafy koszulę nocną dla Cerise i wyszłam do swojej sypialni.

ROZDZIAŁ 9

Niedyspozycja Cerise

Obudziłam się wcześnie rano. Przez całą noc śniły mi się płaczące dzieci i pożar: dwukrotnie zrywałam się z łóżka, wydawało mi się, że duszą mnie dym i płomienie. Kiedy w końcu wstałam, miałam uczucie, jakby mi ktoś wsypał do głowy furę piasku.

Była dopiero szósta. Cerise i Helena jeszcze spały, Cerise leżała na brzuchu, a Helena na plecach i głośno pochrapywała. Czułam się więźniem we własnym, domu. Obawiałam się sięgnąć po książkę na półkę lub włączyć telewizję, aby którejs z nich nie obudzić. Cichutko zamknęłam za sobą drzwi, włożyłam dzinsy i zeszłam na dół kuchennymi schodami. Było jeszcze za wcześnie, żeby budzić pana Contrerasa i zabrać ze sobą Peppy. I choć bieg na świeżym powietrzu byłby może najlepszym lekarstwem na ból głowy, nie miałam nań najmniejszej ochoty.

Przeszłam spacerkiem około kilometra do Belmont Dinner, bani otwartego dwadzieścia cztery godziny na dobę i zamówiłam sobie dużą dawkę cholesterolu w postaci naleśników na maśle i dużej porcji bekonu. Siedziałam przy stoliku najdłużej jak mogłam, wertując po kolei zawartość trzech gazet, tym razem nie omijając nawet plotek, które zazwyczaj mnie nie interesują.

W końcu gdzieś około ósmej powlokłam się z powrotem do domu. Życie tętniło już na Racine Avenue, ludzie spieszyli do pracy. – Przed domem natknęłam się na „bankiera” ubranego starannie, z przylizanymi gładko włosami.

– Hej – pozdrowiłam go. – Właśnie wracam z nocnej zmiany. Życzę dobrego dnia.

Udał, że mnie nie słyszy, i przeszedł na drugą stronę ulicy. I bądź tu dobrą sąsiadką.

Niby LBJ lub Duke Wellington Helena potrafiła spać wszędzie i o każdej porze. Gdy otwierałam drzwi do kuchni, usłyszałam jej dochodzące z pokoju chrapanie. Poczułam również ulubiony zapach dymu papierosowego – to Cerise siedziała przy stole i patrząc ponuro przed siebie, paliła papierosa.

– Dzień dobry – odezwałam się najuprzejmiej, jak potrafiłam. – Rozumiem, że jesteś bardzo niespokojna o dziecko, ale proszę, tutaj nie pal.

Obrzuciła mnie nieprzyjaznym spojrzeniem, lecz zgasiła natychmiast papierosa w stojącym obok spodku. Następnie wyszła do kuchni, strząsnęła popiół z talerzyka do śmietniczki, umyła go dokładnie, po czym opadła ciężko na krzesło przy stole. Zaproponowałam jej śniadanie, ale poprosiła tylko o kawę. Postawiłam imbryk z wodą na kuchence i wyjęłam kawę z szafki.

– Na którym piętrze mieszkała twoja matka? – zapytałam.

Spojrzała na mnie niewidzącym wzrokiem i potarła rękami gołe ramiona.

– Mam na myśli „Indiana Arms”. Muszę to wiedzieć, jeśli mam rozpocząć poszukiwania małej Katarzyny.

– Na piątym – odpowiedziała po dłuższej chwili. – Pięć, dwadzieścia dwa. Miała kłopoty, gdy winda była nieczynna, ale nie mogła dostać nic niżej.

– Kiedy zostawiłaś dziecko z matką?

Znowu zmierzyła mnie spojrzeniem, tym jednak razem jej oczy wyrażały jakąś kalkulację.

– W środę – odparła – przed wyjazdem z miasta. Poruszyła ramionami. – Tutaj jest zimno. Muszę zapalić papierosa, żeby się rozgrzać.

Mnie było ciepło, ale ja byłam ubrana, ona miała na sobie tylko koszulę nocną. Wysłałam z sypialni, by przynieść jej swój żakiet. Założyła go na siebie, lecz wciąż czuła chłód i kulila ramiona.

Nasypałam do kubka kawy i zalałam wrzątkiem.

– O której godzinie zostawiłaś dziecko w środę?

– Czy sądzi pani, że widziałam ogień i mimo to zostawiłam córkę z matką? – Ton jej głosu był ponury, a oczy czujne.

Nalałam więcej wody do kubka i próbowałam wzbudzić w sobie współczucie. Jej dziecko z całą pewnością nie przeżyło pożaru. Byłam dla niej obcą, w dodatku białą kobietą. Czuła lęk przed wszystkimi instytucjami państwowymi i społecznymi, a ja byłam z nimi za pan brat, byłam ich częścią składową. Chciała zapalić papierosa, a ja jej nie pozwoliłam.

I mimo to nie miałam najmniejszej ochoty podejść do niej i otoczyć ją współczującym ramieniem, co więcej – nie potrafiłam stłumić zniecierpliwienia, które we mnie budziła.

– Ktoś podpalił hotel – powiedziałam ostrożnie. – Ktoś skrzywdził twoją matkę i być może twoje dziecko. Jeśli byłaś w środę wieczorem w „Indiana Arms”, mogłaś zauważyć podpalacza. Być może on – lub też ona – kręcili się tam wtedy. Jeśli spostrzegłaś kogokolwiek, możemy przekazać policji opis podejrzanego.

Potrząsnęła głową niecierpliwie.

– Nikogo nie zauważyłam. Byliśmy w hotelu z Otisem o trzeciej po południu. Zostawiliśmy matce Katarzynę, a sami pojechaliśmy do Wisconsin. Jasne?

– Jasne. – Nalałam jej do kubka kawy. – Powiedz mi jednak, dlaczego moje pytania tak cię drażnią?

Drżała. Ujęła kubek z kawą w obie ręce, żeby jej nie rozlać.

– Pani zachowuje się tak, jakbym uczyniła coś złego, jakbym to ja była winna temu, co się stało.

– Nie, Cerise, nie o to mi chodzi. Przykro mi, jeśli odniosłaś takie wrażenie. Jestem tylko detektywem – próbowałam się uśmiechnąć. – Chodzi mi o wyjaśnienie sprawy. Spełniam tylko swój zawodowy obowiązek.

Podniosła kubek do ust i nic mi nie odpowiedziała. Zrezygnowałam więc z dalszych pytań i zamknęłam się w sypialni. Łóżko było wciąż niezasałane, a mój dres i pled leżały na podłodze. Podniosłam dres i włożyłam do szafki, a pledem przykryłam łóżko. Sypialnia nie wyglądała tak, jak na kolorowych zdjęciach w House Beautiful, ale na inną nie było mnie stać.

Wyciągnęłam się w łóżku i usiłowałam sobie przypomnieć imię urzędnika ubezpieczeniowego, którego spotkałam w czwartek na zgłiszczach „Indiana Arms”. Brzmiało jakoś tak jak nazwa ptaka. Zamknęłam oczy i wyteżyłam pamięć. Robin* [The robią (ang.) –

skowronek.]. Tak Robin. Nie byłam w stanie przypomnieć sobie nazwiska, ale znając imię, z pewnością dojdę do kłębka.

Wzięłam aparat, ze stolika i położyłam sobie na brzuchu, a następnie wykręciłam numer. Kiedy dyżurna telefonistka połączyła mnie z działem podpaleń i oszustw, zapytałam uprzejmie o Robina.

– Jest tutaj. Zaraz mu oddam słuchawkę – usłyszałam w odpowiedzi.

Coś stuknęło w słuchawce – musiała upaść na biurko – a następnie usłyszałam dźwięczny tenor:

– Przy aparacie Robin Bessinger.

Bessinger. Oczywiście Bessinger.

– Robin, tu Warszawski. Spotkaliśmy się w ubiegły czwartek przy „Indiana Arms”, kiedy grzebałeś w gruzach.

– Ach, to ty jesteś tym detektywem?

– Aha. – Usiadłam na łóżku i postawiłam aparat na stoliku. – Powiedziałeś wtedy, że gdyby ktoś zginął w płomieniach, policja natychmiast wszczęłaby śledztwo. Rozumiem więc, że nie było śmiertelnych ofiar?

– O ile mi wiadomo – nie. – Zapomniałam o jego zawodowej ostrożności w formułowaniu opinii. Był jak ptak, który upewnia się, czy robak nie jest lufą karabinu. – Czyżbyś miała jakieś wątpliwości?

– W środę wieczorem w hotelu było dziecko. Przebywało u swojej babki na piątym piętrze. – Chciał mi przerwać, ale mu nie pozwoliłam. – Wiem, wiem. To nie jest zgodne z przepisami. Babka zniknęła, być może zaczadziła. Nie wiem, czy dziecko znaleziono, czy też nie.

– Dziecko w płonącym hotelu... Boże wielki, nie... Nic mi o tym nie wiadomo, ale mogę spytać o to kogoś w komendzie policji, a potem do ciebie zadzwonię. Czy chodzi może o twoją przyjaciółkę? Tę, która uratowała się z płonącego hotelu?

Zapomniałam, że mówiąc mu o Helenie, wspomniałam, że jest moją przyjaciółką.

– Nie, nie o nią. Babka dziecka była jej bliską znajomą. Matka po powrocie do miasta nie może znaleźć ani córki, ani jej babki. Jest w szoku.

– Rozumiem. – Chwilę milczał. – Bardzo mi przykro. Zadzwonię do ciebie za kilka minut.

Dałam mu swój numer telefonu i odłożyłam słuchawkę. Z niesmakiem obrzuciłam spojrzeniem sypialnię. Ponieważ przebywam tu tylko, gdy śpię, nie zwracam specjalnej uwagi na wygląd pomieszczenia. Dużo miejsca zajmuje królewskie łóżko. Szafa nie zmieściłaby się, więc wstawiłam małą komodę. Zdecydowanie sypialnia nie jest moim ulubionym miejscem, w którym chętnie przebywam w chwilach wolnych od zajęć. Tym bardziej denerwowało mnie dochodzące z salonu chrapanie Heleny.

Kilkakrotnie przemierzałam odległość między drzwiami a wezłowym, uderzając przy tej okazji nogą o łóżko. Nie mogłabym chyba tutaj ćwiczyć śpiewu, szczególnie mając w kuchni Cerise. W końcu położyłam się na podłodze między oknem a łóżkiem i zaczęłam ćwiczyć podnoszenie nóg. Gdy wykonywałam to ćwiczenie już po raz czterdziesty, zadzwonił

Robin. Jego głos w słuchawce był nieco przytłumiony.

– Pani Warshawski? – zaakcentował moje nazwisko. – Rozmawiałem – hm – z komendą policji. Dowiedziałem się, że nie znaleziono śladów dziecka podczas gaszenia pożaru. Czy pani jest pewna, że w hotelu było dziecko?

Wahałam się przez chwilę.

– Zupełnie pewna. Nie mogłabym jednak przysiąc, gdyż nie znam dobrze swoich informatorów.

– Policja ma zamiar wysłać zespół, który jeszcze raz przeczesa zgliszcza i sprawdzi, czy nie ma gdzieś śladu włosów. Chcieliby jednak przedtem spotkać się z panią.

Nie oponowałam. Po rozmowie powoli odłożyłam słuchawkę. Zastanawiałam się, co mam powiedzieć Cerise. Kiedy podchodziłam już do drzwi, nagle usłyszałam stukanie i głos Heleny:

– Halo, Wiki, Wiktorio! Biedna mała Cerise czuje się niedobrze. Czy nie mogłabyś przyjść tutaj i pomóc mi nią się zająć?

Biedna mała Cerise zwymiotowała na stół kuchenny. Podczas gdy Helena wycierała jej twarz mokrym ręcznikiem, ja zajęłam się usuwaniem śladów.

– To z powodu przeżytego szoku. Biedactwo martwi się bardzo o dziecko – stwierdziła ciotka.

Spojrzałam nieco uważniej na młodą kobietę. Było oczywiste, że jest chora, ale zaczęłam podejrzewać, że za jej zachowaniem kryje się coś więcej.

– Uważam, że powinniśmy pojechać z nią do doktora – oświadczyłam. – Pomóż mi ją ubrać i zaprowadzić do samochodu.

– Nie chcę żadnego doktora – oznajmiła Cerise ochrypłym głosem. – Nie potrzebuję doktora.

– Oczywiście, że potrzebujesz – powiedziałam kategorycznie. – A ja nie jestem jednoosobową agencją socjalną, obsługującą bezdomnych. Jeszcze chwila, a zabrudzisz mi całą kuchnię; poza tym nie mam czasu, żeby się tobą opiekować przez cały dzień.

– Żadnego doktora, żadnego doktora! – krzyczała wciąż Cerise.

– Ona naprawdę nie życzy sobie lekarza – szeptem wtrąciła Helena.

– Słyszę, że sobie nie życzy – rzekłam ze złością. – Ubieraj ją, ja będę trzymać jej rękę. I nie zwracaj się do mnie więcej Wiki. Nie lubię, gdy tak mnie nazywasz.

– Wiem, wiem, kochanie – zapewniła mnie Helena. – Czasem o tym zapominam.

Ponieważ mama od wczesnego dzieciństwa wbijała jej do głowy, że nie po to dała mi imię Wiktorina na cześć Wiktora Emanuela, żeby zwracano się do mnie, jak do naiwnej, a nawet głupiotki dziewczynki, nie bardzo mogłam zrozumieć, że Helena mogła o tym zapomnieć.

Ubierając Cerise doszłam do wniosku, że miałam dużo szczęścia, iż nie zostałam pielęgniarzką w szpitalu dla psychicznie chorych. Cerise usiłowała się nam wyrwać, krzyczała i miotała w krzesle. W pewnym momencie wbiła swoje długie paznokcie w moje lewe ramię. Z największym trudem udało mi się ją utrzymać. Helena wszystko robiła na opak, co doprowadzało mnie do rozpacz. Najpierw założyła Cerise majtki tyłem do przodu, a po

dalszych kilkunastu minutach udało jej się wciągnąć na nią spodnie.

– Włóż jej pantofle na nogi – ciężko dyszałam z wysiłku. Klucze leżą na stoliku. Otwórz automatyczne zamki.

Próbowałam jej wyjaśnić, które klucze pasują do których zamków, ale dałam spokój, gdyż Helena była coraz bardziej zdezorientowana. Jakimś cudem udało jej się je otworzyć po niecałej godzinie. Tymczasem Cerise zrezygnowała z dalszego oporu i wsparłszy się o stół, głośno szlochała. Nie sprzeciwiała się, gdy poprowadziłam ją w kierunku drzwi. Odebrałam od Heleny klucze.

– Nie zapomnij zabrać ze sobą torby, po wizycie u lekarza podrzucę cię do hotelu.

Helena próbowała podjąć ze mną dyskusję, ale nie miałam na to najmniejszej ochoty. Opierając Cerise o ścianę powtórzyłam swoje żądanie. Ciotka wróciła więc do mieszkania.

Po dłuższej chwili – zastanawiałam się, czy nie zatrzymała ją moja whisky – wreszcie się pojawiła z torbą. Najwidoczniej zdążyła wziąć prysznic, gdyż włosy wokół głowy zwisały jej w mokrych skrętach, ale makijaż miała kompletny. Z torby wystawał kraj fioletowej koszuli, włókł się za nią po schodach.

ROZDZIAŁ 10

Pomoc od przyjaciół

Klinika Lotty Herschel znajdowała się w odległości około pięciu kilometrów od mojego domu, blisko skrzyżowania ulic Damen i Irving Park. W jazdy do kliniki Cerise najpierw rzucała się niespokojnie na tylnym siedzeniu, następnie dostała drgawek. Chwilami chętnie zatłukłabym Helenę, która klęcząc na przednim siedzeniu – cały czas mnie informowała, co dzieje się z jej podopieczną.

Ostro zatrzymałam samochód przed kliniką, tuż obok hydrantu, i wpadłam do środka. W małej poczekalni, pomalowanej na afrykański busz, tłoczyły się matki z płaczącymi niemowlętami na rękę i wrzeszczącymi wniebogłosy dziećmi. Nad całością panowała pani Coltrain, wypełniająca ze stoickim zaiste spokojem karty chorobowe: od czasu do czasu przyjmowała również telefony. W rozmowach z Lotty często żartowałam, że musiała ją chyba odkryć w specjalnym katalogu, oferującym biurom wynajęcie staromodnych babć: nie dlatego tylko, iż miała dziesięcioro wnucząt, lecz ponadto, jak każda typowa babcia, upinała włosy w kok.

– Panno Warshawski – rozpromieniła się na mój widok. – Cieszę się, że panią widzę. Chce pani rozmawiać z doktor Herschel?

– I to niezwłocznie. W samochodzie siedzi młoda kobieta, która – jak mi się zdaje – jest w szoku. Czy nie mogłaby pani poprosić doktor Herschel, by zechciała ją zbadać?

Pani Coltrain nigdy nie zwracała się do Lotty ani do mnie po imieniu, chociaż już od dawna miała na to przyzwolenie. Sprawę Cerise przekazała natychmiast pielęgniarce, Carol Alwarado, która pojawiła się po kilku minutach, aby mi pomóc przyprowadzić chorą. Cerise miała skórę chłodną, jakby z wilgotnego plastyku. Była jednak wystarczająco przytomna, by z naszą pomocą iść o własnych siłach, choć oddech miała przyśpieszony, a oczy błędne.

Pomruk niechęci przeszedł przez poczekalnię, gdy wprowadziłyśmy Cerise wprost do gabinetu; ludzie oczekujący na wizytę u lekarza nie lubią takich sytuacji. Carol ułożyła Cerise na stole, nakrywszy ją pledem. Lotty pojawiła się po kilku minutach.

– Kogo mi tutaj znów podrzuciłaś, Wik? – zapytała, po czym nie czekając na odpowiedź, zajęła się chorą.

Powiedziałam wszystko, co mi było wiadome o młodej kobiecie.

– Nieoczekiwanie dziś rano zaczęła się skarżyć, że jest jej zimno, potem zwymiotowała. Nie wiem, czy to skutek ciąży, czy narkotyków, czy też jednego i drugiego. Przywiozłam ją tu, gdyż nie mam ochoty brać na siebie odpowiedzialności za jej życie.

Lotty chrząknęła i uniosła w górę powieki Cerise.

– Niech tu zostanie na pewien czas. Czy nie mogłabyś wpaść za kilka godzin – zapytała, po czym zażądała od Carol jakiegoś leku.

Musiałam sobie znaleźć zajęcie na te kilka godzin, podczas których Cerise będzie pod opieką Lotty. Pomyślałam, że dla własnej higieny psychicznej powinnam przez ten czas zająć się czymś innym.

Ze zwieszoną głową wróciłam ociężałym krokiem do samochodu. Zdążyłam już zapomnieć o wymiotach Cerise, ale ostry odór wewnątrz samochodu przypomniał mi o nich. Wróciłam do kliniki i wzięłam od pani Coltrain mokre szmaty i butelkę ze środkiem dezynfekującym. Gdy wycierałam tylne siedzenie, Helena zasypywała mnie pytaniami o chorą.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam jej w końcu znużonym głosem, uruchamiając jednocześnie silnik. – Nie mam pojęcia, co jej dolega i w jaki sposób lekarz zamierza jej pomóc. Może trzeba będzie odwieźć ją do szpitala? Gdy wrócę tu za kilka godzin, wszystko się wyjaśni i wtedy będę mogła odpowiedzieć na twoje pytania.

Helena położyła drżącą rękę na moim ramieniu.

– To tylko dlatego, że przyjaźnię się z jej matką, Wiki – Wiktorio. To tak jakbyś ty znalazła się nagle w trudnej sytuacji, a ja zawiozłabym cię do Zerline z prośbą o pomoc. Nie odmówiłaby ze względu na mnie, mogę cię zapewnić.

Zdjęłam prawą rękę z kierownicy, żeby pogłaskać jej cienkie palce z niebieskimi żyłkami.

– Wiem, Heleno. Rozumiem. Znam twoje dobre serce. Przez pewien czas jechałyśmy w milczeniu. W pewnym momencie zapytałam:

– Jak brzmi nazwisko Zerline?

– Jej nazwisko, kochanie? A po co ci ono?

– Chcę ją odszukać. Jeśli znajduje się w szpitalu, nie mogę w recepcji zapytać o nią, nie znając jej nazwiska.

– Jeśli ucierpiała podczas pożaru, może nie mieć ochoty na spotkanie z tobą.

– Czy rzeczywiście? – Nie byłam w stanie ukryć zniecierpliwienia w swoim głosie. – Jeśli ty i Cerise szczerze życzyście sobie, bym wyjaśniła sprawę dziecka, to, u diabła, powinnam się z nią zobaczyć. A ty powinnaś zrobić ze swej strony wszystko, żeby mi to ułatwić.

– Nie mów w ten sposób, Wiktorio – z dezaprobatą odparła Helena. – To ci wcale nie pomaga w rozwiązywaniu problemów.

– A stosowane przez ciebie uniki nie służą załatwieniu twoich spraw – odparłam. – Podaj mi nazwisko Zerline albo nie oczekuj ode mnie żadnej pomocy.

– Kiedy masz taki wyraz twarzy jak w tej chwili, przypominasz mi swoją babkę.

Skreśliłam na północ, na Kenmore i zatrzymałam się przed samym wejściem do „Windsor Arms”. Moja biedna babka! Gdyby miała więcej stanowczości, dałaby kopniaka Helenie i przepędziła od siebie, zanim ta zdążyła skończyć trzydzieści lat. A tak, niemal cały czas aż do śmierci – z wyjątkiem krótkiego okresu – tolerowała jej obecność przy sobie.

– Oczywiście, twoja rodzina nigdy ciebie nie doceniała – oświadczyłam wyłączając jednocześnie silnik. – A czy teraz w końcu zdradzisz mi nazwisko Zerline?

Helena zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

– Czy to jest ten nowy hotel, kochanie? Jesteś doprawdy aniołem: tyle czasu mi poświęcasz. Nie, nie ruszaj tej ciężkiej torby, jesteś jeszcze młoda i powinnaś się oszczędzać.

Wzięłam od niej torbę i weszłyśmy do holu. Natychmiast odzeglowała do salki klubowej, nawiązując dialog z mieszkańcami. Ja tymczasem zaczęłam grzebać w torebce, poszukując

kwitu uiszczenia czynszu za pokój. Recepcjonistka, która pojawiła się w końcu (na moje wielokrotne dzwonki), oczywiście pamiętała mnie doskonale, mimo to nalegała na okazanie pokwitowania przed wydaniem klucza do pokoju. Zdenerwowałam się, gdyż przez chwilę sądziłam, że może włożyłam go do kieszeni spódnicy, którą miałam na sobie w piątek. W końcu go znalazłam między kartkami kieszonkowego notesu.

Zamierzałam odprowadzić Helenę do jej pokoju i tam wydobyć z niej nazwisko Zerline, ale na przeszkodzie stanęła urzędniczka, która w sposób stanowczy oświadczyła, iż goście z zewnątrz nie mają prawa wstępu do pokoi hotelowych. Helena przekazała mi ręką całusa i obiecała rychło nawiązać ze mną kontakt.

– Mam nadzieję, że powiadomisz mnie o tym, co się stało z Cerise, nieprawdaż?

Z największym trudem przywołałam uśmiech na twarz.

– Ciekawa jestem, w jaki sposób będę to mogła uczynić: może za pomocą sygnałów dymnych?

– Możesz przecież zostawić dla mnie wiadomość w recepcji, prawda, kochanie? – Te ostatnie słowa były skierowane do recepcjonistki.

– Proszę bardzo – niechętnie zgodziła się zagadnięta. – Byle tylko to nie zdarzało się zbyt często.

Kiedy obie kobiety zniknęły już w czeluściach klatki schodowej, wciąż jeszcze słyszałam przez chwilę, jak Helena wyjaśniała recepcjonistce, że jestem najlepszą i najśladszą jej bratanicą. Zaciśnęłam zęby w poczuciu porażki.

Automat telefoniczny dla mieszkańców hotelu znajdował się w sali klubowej z telewizorem, a ponieważ nie miałam ochoty współzawodniczyć z programem „The Price is Right”, wyszłam na ulicę w poszukiwaniu innego aparatu. Po przejściu stu metrów postanowiłam zaniechać poszukiwań i wrócić do siebie.

Gdy znalazłam się pod drzwiami „bankiera”, była już pora kolacji. Zatrzymałam się na chwilę, by odczytać wizytówkę: Vincent Bottone. Byłam zaskoczona, że to właśnie Włoch był dla mnie taki niesympatyczny – czyżby nie wiedział, że jesteśmy rodakami? Spojrzałam na własną tabliczkę: ponieważ nazywałam się Warshawski, mógł się tego nie domyślać. Powinnam przemówić do niego któregoś dnia po włosku, zobaczę, jak zareaguje. Jeśli nie zmieni do mnie stosunku, przynajmniej go zaskoczę.

Robin Bessinger był na jakimś spotkaniu, ale zostawił polecenie, żeby go przywołać, gdy doń zadzwonię. Trzymając słuchawkę przy uchu, ściągnęłam pled z sofy. Rozkładałam materac, kiedy usłyszałam głos Robina:

– Pani Warshawski? Tu Robin Bessinger.

– Wik – przerwałam mu niecierpliwie.

– Och, rzeczywiście Wik. Laboratorium twierdzi, że nie było żadnego dziecka w czasie pożaru. Jednak, jeśli przypadkiem znalazło się w samym centrum ognia, mogło zostać spopielone. Pobrano próbki popiołu do analizy, ale na wyniki trzeba czekać kilka dni. Roland Montgomery z brygady do walki z podpaleniami chciałby z tobą porozmawiać i ustalić, na jakiej podstawie twierdzisz, iż tam było dziecko.

Pomyślałam, że właściwie to nie mam żadnej pewności, że Katarzyna znajdowała się w

„Indiana Arms” podczas pożaru. Co więcej, w tej chwili nie byłam nawet pewna, czy Cerise miała w ogóle dziecko. Ale tego nie mogłam Robinowi powiedzieć.

– Wiem to od matki dziecka – rzekłam. – Gdzie i kiedy Montgomery chce się ze mną spotkać?

– Czy mogłabyś być u niego o trzeciej po południu? Pracuje w komendzie przy Eleventh Street. – Na moment się zastanowił: – Chciałbym wziąć udział w tym spotkaniu, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Śmierć dziecka wpłynęłaby niewątpliwie na wysokość odszkodowania. Będzie tam również Dominik Assuevo z Urzędu Badań nad Pożarami.

– Zupełnie mi to nie będzie przeszkadzało – odpowiedziałam grzecznie. Nie znam Montgomery’ego, z Assuevem spotkałam się już kilka lat temu, kiedy spłonęło moje stare mieszkanie. Był dobrym kolegą Mallory’ego i przyglądał mi się nieufnie.

Zapytałam jeszcze Robina, czy zna nazwisko Zerline. Nie posiadał wykazu osób znajdujących się w czasie pożaru w budynku, ale zapewnił mnie, że je zdobędzie od Dominika, gdy do dzisiaj spotka.

Skończyłam porządkowanie sofy i zabrałam bieliznę pościelową. Zazwyczaj, nie dbam tak obsesyjnie o czystość, tym razem jednak chciałam usunąć wszelkie ślady po Cerise i Helenie. Zdejmując bieliznę pościelową, do prania, przyjmowałam jakby jednocześnie zobowiązanie wobec siebie, że po odebraniu jej z kliniki Lotty nie przyjmę już do siebie Cerise. Co prawda nie miałam najmniejszego pojęcia, co – u diabła – w ogóle z nią pocznę. Być może Cerise podała Lotty swoje nazwisko. Jeśli nie – pomyślałam, to Carol może zadzwonić do szpitala Michaela Reese i zapytać o nazwisko jej matki. Nie chciałam się spotykać z policją przed rozmową z Zerline, zakładając, że znajdę ją u Reese.

W klinice dowiedziałam się, że mój plan – przynajmniej częściowo – wziął po prostu w łeb, gdyż Cerise zniknęła. Carol była zmartwiona, Lotty – wściekła. Lotty podała jej łagodny środek uspokajający i przeciw nudnościom, po zażyciu których spała smacznie około godziny w pokoju badań. Gdy Carol weszła do pokoju sprawdzić, jak czuje się pacjentka, już jej nie było. Pani Coltrain zauważyła, jak wychodziła z kliniki, ale nie widziała powodu, żeby ją zatrzymać, sądziła, że jeśli Cerise przyszła ze mną, to z pewnością ja już zapłaciłam za tę wizytę.

Rzeczywiście, o pieniądzech zupełnie zapomniałam. Sto dolarów za wizytę i ofiara na fundusz pomocy biednym pacjentom kliniki. Lotty była tak zdenerwowana incydentem, że nie pomyślała o obniżeniu dla mnie ceny swoich usług. Co miałam robić – wyjęłam z torebki książeczkę czekową i wypisałam czek.

– Trzeba było ją zawieźć do szpitala – powiedziałałam znużonym, głosem, wręczając czek pani Coltrain.

– Zachorowała tak nagle i niepokojąco, iż obawiałam się, że może umrzeć w moim domu. Nie miałam pojęcia, iż ma problemy neurologiczne i zażywa narkotyki. Jeśli kiedykolwiek zdarzy mi się jeszcze podobna historia – choć mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – z pewnością nie będę już wam zawracała głowy.

Moje słowa nieco utemperowały wzburzenie Lotty. Spokojniejszym już tonem oznajmiła:

– To było połączenie skutków ciąży i heroiny. Aby ocalić płód dziewczyna już od zaraz

powinna rozpocząć kurację odwykową.

– Nie dałabym złamanego szeląga za to, że rozpocznie – stwierdziłam. – Jeszcze dziś spróbuję nawiązać kontakt z jej matką.

Wyjaśniłam, że Zerline może przebywać u Michaela Reese, gdzie powraca do zdrowia. Carol natychmiast poszła zadzwonić do szpitala, by się co do tego upewnić oraz wyjaśnić sprawę nazwiska. Miała skrupuły, że Cerise z jej winy teraz błądzi po ulicach oszołomiona narkotykami. Odnajdując Zerline w pewnym sensie rehabilitowała się.

– To nie twoja wina – próbowałam ją tłumaczyć, kiedy wróciła po kilku minutach. – Nie mogłaś siłą zatrzymać Cerise w klinice.

– Masz rację, Wik – przyznała. – Ale ja przeczuwałam takie zakończenie już od początku. Lotty jest, między innymi, z tego powodu taka zła. – Pracuje wciąż na najwyższych obrotach i jeśli jej się nie uda komuś pomóc, przyjmuje to jako osobistą porażkę. – A na dobitkę był to ktoś, kogo ty przywiozłaś.

– Być może – odparłam z powątpiewaniem. Prawdę mówiąc wcale się nie zmartwiłam, że Cerise uciekła z kliniki. Nie muszę się już więcej o nią troszczyć.

– Jej matka nazywa się Ramsay. Leży w pokoju czterysta dwadzieścia dwa, w głównym budynku szpitalnym. Powiedziałam szefowej pielęgniarek, że jesteś pracownikiem socjalnym, nie powinnaś więc mieć żadnych trudności, chcąc się z nią zobaczyć.

Zrobiłam zachwyconą minę i podziękowałam jej. Pracownik socjalny! Przecież to było dokładne określenie tego, co robiłam od chwili, gdy Helena pojawiła się po raz pierwszy pod moimi drzwiami w ubiegłym tygodniu. Być może, czas już, bym przeszła na stronę republikanów i zaczęła naśladować Nancy Reagan. Od tej pory, jeśli jakiś alkoholik lub narkoman trafi pod moje drzwi, odprowadzę go z kwitkiem.

ROZDZIAŁ 11

Zaczadzona babunia

Osunęłam się ciężko na siedzenie za kierownicą swojego wozu. Było dopiero południe, ale czułam takie zmęczenie, jakbym wciąż od tygodnia zdobywała Mount Everest. Słaby odór wymiotów wciąż unosił się wewnątrz auta, mimo iż przez dwadzieścia minut czyściłam tylne siedzenie. Wreszcie uprzytomniłam sobie, że woń ta pochodzi z mojego ubrania – dzinsy nasiąkły nią, gdy klęcząc na siedzeniu robiłam porządki. Trzęsąc się jak w febrze, przekreśliłam kluczyk w stacyjce i skierowałam samochód na południe. Jechałam brawurowo, nie zwracając uwagi na policję drogową. Pragnęłam tylko jednego: jak najszybciej dostać się do domu, zrzucić z siebie wszystko i wymyć się dokładnie.

Wysiadłam z samochodu i pędem wpadłam na schody. Już w przedpokoju zaczęłam ściągać z siebie dzinsy, koszulę polo i majtki. Do łazienki weszłam kompletnie naga. Prawie przez pół godziny stałam pod gorącym prysznicem, myjąc dokładnie włosy i szorując całe ciało. Wreszcie poczułam się czysta: narkotyki, alkohol, wszystko zostało doszczętnie splukane.

Ubrałam się powoli, zrobiłam staranny makijaż i ułożyłam włosy za pomocą żelu, W złocistego koloru bawełnianej sukni z dużymi czarnymi guzikami poczułam się elegancka i pewna siebie. Na nogi założyłam czarne pantofelki, do ręki wzięłam tegoż koloru torebkę.

Wychodząc pozbierałam zrzuczone z siebie ubranie i zaniiosłam je do pralki. Bielizna pościelowa była już wyprana i gotowa do suszenia, ale zapal do robienia porządków miał swoje granice – wcisnęłam więc dzinsy do pralki z prześcieradłami i uruchomiłam automat od nowa. Było już po pierwszej. Nie miałam czasu na zjedzenie jakiegokolwiek posiłku, jeśli chciałam zobaczyć Zerline przed spotkaniem z Dominikiem Assuevo. Ponadto koniecznie chciałam ją zobaczyć, chociaż mój entuzjazm do rodziny Ramsay zmalał wyraźnie. Gdy w końcu wsiadłam do samochodu, przyjąłm kierunek na Lake Sfaore Drive, włączając się do ruchu zmierzającego na południe.

Szpital Michaela Reese znajdował się nad brzegiem jeziora, przy ulicy Twenty Seventh Street i już z daleka był dobrze widoczny. Musiałam kilkakrotnie okrążyć kompleks budynków szpitalnych, zanim znalazłam miejsce do zaparkowania, jak najdalej od płatnego parkingu – nie miałam ochoty jeszcze dopłacać do tej wizyty. Zamknięty w oszklonej klatce przy wejściu do szpitala strażnik nie zainteresował się nawet, kim jestem, więc nie musiałam korzystać z historyjki o pracowniku socjalnym.

Charakterystyczna woń szpitala: mieszanina zapachu lekarstw, środków antyseptycznych i ludzkiego potu niemal wepchnęła mnie do windy. W młodości byłam częstym gościem w szpitalu i jego woń przypominała mi niedolę tamtych lat. Moja matka zmarła na raka, kiedy miałam lat piętnaście, a kilka lat później zmarł ojciec, cierpiący na rozedmę płuc. Był nałogowym palaczem. Teraz pod wpływem tych zapachów odżyły we mnie wspomnienia tamtych tak bardzo bolesnych przeżyć.

Zerline Ramsay leżała w czteroosobowym pokoju. Cztery pary oczu wlepione były w

ekran telewizora stojącego wysoko na półce, umocowanej na ścianie. Kiedy weszłam do środka, dwie kobiety zmierzyły mnie obojętnym wzrokiem, by natychmiast wrócić, do oglądanego programu, dwie pozostałe nawet na mnie nie spojrzały. Stałam przez chwilę niezdecydowana, usiłując odgadnąć, która z czarnoskórych pacjentek może być Zerline. Żadna z nich niczym nie przypominała Cerise. W końcu zauważyłam znak umocowany do jednego z łóżek, ostrzegający przed paleniem papierosów w czasie, kiedy w użyciu jest tlen. Leżąca na nim kobieta miała obandażowane lewe ramię. Niska, masywnie zbudowana, z trudem mieściła się w ciasnej koszuli szpitalnej. Zerline została przywieziona do szpitala w stanie zaccadzenia, więc – sądziłam – tylko ona mogła potrzebować tlenu. Była podłączona do czegoś, co przypominało komputerowy monitor.

Podeszłam do jej łóżka. Obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem – jej ciemne, osadzone głęboko oczy zwęziły się podejrzliwie.

– Czy pani Ramsay? – Nie odpowiedziała na moje pytanie, ale nie zaprzeczyła. – Nazywam się W. I. Warszawski. O ile mi wiadomo, pani zna moją ciotkę Helenę.

W oczach chorej pojawił się wyraz zaskoczenia. Przyjrzała mi się uważnie.

– Jest pani tego pewna? – zapytała.

Miała głos zachrypnięty, lekko odchrząknęła.

– Ciotka powiedziała mi, że przyjaźniłyście się w „Indiana Arms”, że niejednokrotnie razem piłyście piwo.

– A więc?

Zacisnęłam zęby i ciągnęłam dalej ten osobliwy dialog.

– Wczoraj wieczorem przyszła do mnie z Cerise.

– Z Cerise! Ta dziewczyna znów z nieba spadła? Rozejrzałam się po pokoju: tak jak się tego spodziewałam, pozostałe jego lokatorki bardziej były zainteresowane odgrywaną sceną niż telewizją. Nawet nie próbowały tego ukryć.

– Czy pani nie mogłaby wyjść ze mną na chwilę na korytarz? Chodzi o sprawę prywatną.

– Jeśli któraś z nich pożyczyła od pani pieniądze, nie chcę o niczym słyszeć. Gdzie się nie ruszę, wszędzie ścigają mnie niespłacone długi tej dziewczyny.

– Sprawa nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

Spojrzała na mnie wojowniczo, ale przyjęła pozycję siedzącą. Była tęga, choć nie tłusta: przypominała sekwoję, która zamiast rosnać w górę, rozrosła się nadmiernie na boki. Odsunęła moją rękę, gdy próbowałam jej pomóc wstać. Mrocząc coś do siebie, ześlizgnęła się z łóżka, wsuwając jednocześnie stopy w pantofle starannie ustawione przy łóżku. Monitor był na kółkach; prowadząc go przed sobą skierowała się ku drzwiom i na korytarz – pielęgniarki i inni chorzy ustępowali jej drogi.

Zanim dotarliśmy do małej wnęki na końcu korytarza, trochę się zasapała. Na chwilę przystanęła, po czym usiadła na jednym z wyściełanych foteli, pokrytych popękana ceratą, po raz ostatni mytą pewnie jeszcze za życia Michaela Reese. Ostrożnie przycupnęłam na brzegu drugiego fotela.

– A więc Helena jest pani ciotką? Nie jest pani do niej ani trochę podobna.

– Cieszę się, że to słyszę. Jest starsza o lat trzydzieści i wyprzedza mnie o trzy tysiące

butelek wypitego piwa. – Po czym, nie zwracając uwagi na wybuch śmiechu pani Ramsay, dorzuciłam: – Muszę stwierdzić, że pani również nie przypomina Cerise.

– To te trzydzieści lat, o których pani przed chwilą wspomniała – odparła. – Nie wyglądałam tak źle, gdy byłam w jej wieku. I jestem pewna, że wyglądam lepiej, niż ona będzie wyglądać za lat trzydzieści, jeśli nie zmieni trybu życia. Co ona pani powiedziała? Ona i pani ciotka.

– Chodzi o dziecko Cerise – oświadczyłam krótko – o małą Katarzynę.

Twarz Zerline wyrażała zdumienie. Przez chwilę wydawało mi się, iż usłyszę, że Cerise nie ma dziecka.

– Wybrała sobie osobliwy czas, żeby zatroszczyć się o dziecko. Jak do tej pory nie przejmowała się nim zbytnio.

– Czy Katarzyna nie była razem z panią w czasie pożaru w „Indiana Arms”? – zapytałam.

– Hm, hm – pokręciła głową, była najwidoczniej zdenerwowana. – Zostawiła dziecko ze mną, to prawda, ale ja nie mogłam małej trzymać u siebie w pokoju. Obowiązywały tam bardzo surowe przepisy, o czym Cerise dobrze wiedziała. Ach, ta dziewczyna!

Siedziała z rękami założonymi na kolanach, patrząc w zamyśleniu przed siebie. Monitor popiskiwał uporczywie, jak gdyby w rytm jej myśli. Po chwili popatrzyła mi prosto w oczy.

– Właściwie to mogę pani opowiedzieć całą historię. Nie wiem dlaczego, ale poczułam do pani szczególne zaufanie. Pani nie przypomina niczym swojej ciotki. Z pewnością nie ma pani zamiaru zarobić na tych bolesnych dla mnie sprawach na jeszcze jedną butelkę.

Poczułam się jakoś niezręcznie. To jednak nie to samo wyobrazić sobie własną ciotkę w roli uwodzicielki starych emerytów, a co innego w roli szantażystki za cenę butelki alkoholu.

– Nie twierdzę, że sama nie wypiję chętnie jednego lub dwóch kieliszków. Niejednokrotnie częstowałam alkoholem Helenę, która potrafi mnie rozśmieszyć; w jej towarzystwie zapominałam o zmartwieniach. – Chora ponownie zapatrzyła się przed siebie, jakby zmartwienia odżywały na nowo w jej myślach.

– Tak, Cerise ma dziecko. Katarzyna przyszła na świat w zeszłym roku. Niestety, z dzieckiem jest wiele kłopotów wynikających z narkomanii Cerise. Brała heroinę przez cały okres ciąży. Uprzedzałam ją, że to się źle skończy. Udawała, że jest na odwykówce, kiedy ją aresztowano. Została złapana – razem z chłopcem – na kradzieży. Ponieważ zdarzyło się jej to po raz pierwszy i ponieważ była w ciąży, zwolniono ją pod warunkiem, że się zacznie odzwyczajając od heroiny.

Tu Zerline spojrzała na mnie z uwagą, jakby chcąc się upewnić, czy jej nie potępiam, że okazała się złą matką. Żeby ją uspokoić, przyjąłam jak najbardziej sympatyczny i wyrozumiały wyraz twarzy.

– Urodziło się dziecko – i dopiero wtedy się zaczęło! Najpierw biedne maleństwo przebywało w szpitalu, potem wzięła je do siebie Maisie, druga babka. Ja tego nie mogłam zrobić, pani rozumie. Żyję z tych skromnych oszczędności, jakie posiadam. Niestety nie jestem ubezpieczona, gdyż ubezpieczenia nie dostaje się za sprzątanie mieszkań, co robiłam przez całe życie, dopóki mi serce pozwalało. Zawsze jednak pomagałam jak mogłam Maisie, a czasem nawet przyjmowałam na noc do siebie dziecko.

– Więc Cerise nigdy dzieckiem się nie zajmowała? – zapytałam.

– Ależ nie, zajmowała się nim. Ostatnio, kiedy chodziła z Otisem. Nagle w środę przyszła mi powiedzieć, że nie może opiekować się małą przez całą dobę. Oświadczyłam jej, że powinna była pomyśleć o tym wcześniej, nim wpuściła chłopaka do łóżka. Ostatecznie zostawiła mi dziecko, gdyż – jak powiedziała – wyjeżdża z Otisem do Dallas. Zeszłam na dół do automatu, by zadzwonić do jego siostry, lecz nie znalazłam jej numeru, więc zadzwoniłam do Maisie, która przysłała swojego chłopca po małą. Jeśli jednak pani sądzi, że Cerise naprawdę martwi się o Katarzynę, to muszę pani powiedzieć, że do tej pory nawet mnie nie odwiedziła w szpitalu.

Być może, tak mi się tylko zdawało, ale odniosłam wrażenie, jakby w tym momencie monitor zaczął szybciej popiskiwać. By nie wytrącić z równowagi Zerline, nie chciałam już o nic więcej pytać. Nie miałam także ochoty jej informować, że córka ponownie zaszła w ciążę.

Chciała wiedzieć, dlaczego Cerise przyszła do mnie. Gdy powiedziałam, iż przyszła z prośbą o wyjaśnienie losu dziecka, parsknęła głośnym śmiechem.

– Może myśli, że Katarzyna nie żyje. I właśnie dlatego dotąd mnie nie odwiedziła, gdyż po prostu się wstydzi. Jeśli ona i Helena przyjdą do pani ponownie, radzę uważać na portfel i portmonetkę oraz przeliczyć pieniądze, zanim powie im pani do widzenia.

Słyszając to poczułam niepokój: nie zajrzałam do portfela, przed włożeniem go do torebki. Cerise była raczej zbyt chora, żeby szukać pieniędzy lub kart kredytowych. Nim podniosłam się do wyjścia, zapytałam Zerline, jak długo jeszcze pozostanie w szpitalu.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

– Kiedy mnie znaleziono, byłam nieprzytomna. Stwierdzono, że moje serce ledwo kołacze. Wysokie ciśnienie, dużo cholesterolu we krwi – tego wszystkiego jest zbyt wiele – z wyjątkiem pieniędzy, których wciąż mi brakuje. Tak więc w obecnej chwili nie miałabym nawet gdzie się podziać, nie mam własnego kąta, w którym mogłabym się schronić.

– Rozumiem. – Widziałam już gorsze przestępstwa w swoim życiu. Wstałam z fotela. – Cieszę dziecko jest całe i zdrowe.

Cerise zniknęła dziś w południe, nie mam zamiaru jej szukać. Jeśli jednak ją spotkam, powiem jej, że dziecko jest u Maisie.

Odchrząknęła i powoli podniosła się z fotela.

– Zgoda. Ja jednak zadzwonię do Maisie, żeby nie pozwoliła Cerise zabrać Katarzyny. A ty nie przejmuj się niczym, dziewczyno. Jak ci na imię? Wik? I powiedziałaś, że jesteś o trzy tysiące butelek do tyłu za Heleną?

Odprowadziłam ją do pokoju i przy drzwiach pożegnałam się serdecznie. Gdy byłam już na dole w holu, sprawdziłam zawartość portfela. Bilon zniknął, nie znalazłam również American Express Card. Ocalała tylko moja legitymacja prywatnego detektywa, i to tylko dzięki temu, że wsunęłam ją za podszewkę. Przepadło nawet moje prawo jazdy. Zacisnęłam zęby. Cerise mogła mnie wyczyścić, gdy zamknęłam się w sypialni, ale najprawdopodobniej nie ona to zrobiła. To Helena mnie okradła, gdy zmagaliśmy się z Cerise w kuchni. Poczułam, jak cała drętwieję z bezsilnej wściekłości.

Z automatu szpitalnego zadzwoniłam do towarzystw, które wystawiły moje karty

kredytowe i zameldowałam o kradzieży. Zwykle trzymam awaryjne dwadzieścia centów w małej przegródce portmonetki – okazało się, że znajdują się na swoim miejscu. Przy wyjściu ze szpitala kupiłam za nie kwiaty dla Zerline. To było niewiele, ale na więcej nie było mnie stać w tym momencie.

ROZDZIAŁ 12

Z Robinem w „Golden Glow”

Przed wyjściem ze szpitala na próżno usiłowałam porozumieć się telefonicznie z Robinem Bessingerem. Miałam nadzieję, że uda mi się jeszcze odwołać spotkanie w komendzie policji, ale spóźniłam się: od sekretarki w Ajaksie dowiedziałam się, iż właśnie przed chwilą wyjechał na umówione spotkanie. W tej sytuacji westchnęłam głęboko, uniosłam do góry głowę i ruszyłam do samochodu.

Do niedawna można było bez trudu dotrzeć do komendy głównej policji o każdej porze dnia i nocy. Obecnie jednak w związku z rozbudową Near South Side ulice w tamtym rejonie miasta stały się mniej przejezdne. Ponadto potrzebowałam około pół godziny, żeby znaleźć miejsce do parkowania. W rezultacie spóźniłam się na spotkanie o dziesięć minut, co nie wpłynęło na poprawę mojego nastroju.

Robert Montgomery urzędował w pokoiku wielkości mojego łóżka. Zawalone papierami przepisowe metalowe biurko zajmowało większą część powierzchni tego pomieszczenia, ale gospodarzowi udało się jeszcze wcisnąć cztery krzesła: dla mnie, Robina, Assueva i dla swojego podwładnego. Na parapecie okna oraz na półkach i szafkach leżały również sterty papierów, co było raczej sprzeczne z przepisami przeciwpożarowymi.

Gdy weszłam do pokoju, Montgomery – wysoki, szczupły mężczyzna z zapadniętymi policzkami – zmierzył mnie krzywym spojrzeniem. Zignorował moją wyciągniętą dłoń, wskazał wolne krzesło i zapytał, czy znam Dominika Assuevo.

Assuevo był mocno zbudowany: gruby w karku, szeroki w ramionach i wąski w biodrach. Siwiejące włosy miał obcięte krótko, takie fryzury nosili chłopcy, gdy byłam na trzecim roku studiów. Przywitał się ze mną z jowialną uprzejmością, której jednak nie dostrzegłam w jego oczach.

– Czy pani nie może się trzymać z daleka od pożarów, pani Warszawski? – zapytał.

– Cieszę się, że pana znowu widzę, komendancie. Witaj, Robin. Chciałam się z tobą skontaktować nieco wcześniej, ale w twoim biurze mi powiedziano, że jesteś już w drodze do komendy. – Musiałam ominąć jego długie nogi, żeby usiąść na wolnym krześle.

Robin Bessinger siedział w przeciwległym rogu ciasnego pokoiku. Wydawał mi się nieco starszy niż przy pierwszym naszym spotkaniu, ale wtedy kask ochronny nie pozwolił mi dostrzec, że jest już zupełnie siwy. Uśmiechnął się do mnie, skinął ręką i powiedział:

– Halo!

Przysunął się do siedzącego obok mężczyzny w mundurze i wyciągnęłam do niego rękę:

– Jestem W. I. Warszawski. Spotykamy się chyba po raz pierwszy.

W odpowiedzi wymamrotał coś niezrozumiałego – w ten sposób nie dowiedziałam się, jak się nazywa.

– Tak więc pani sądzi, że podczas pożaru w „Indiana Arms” znajdowało się dziecko, pani Warszawski? – mówiąc to Montgomery wyciągnął ze stosu papierów upatrzoną już wcześniej teczkę. Łatwo było się domyślić, że na pamięć wiedział, gdzie czego w tym bałaganie szukać.

– Rzeczywiście tak sądziłam jeszcze dziś rano, kiedy rozmawiałam o tym z panem Bessingerem. Potem jednak udało mi się odnaleźć babkę dziecka. Właśnie nie dalej niż przed godziną odbyłam z nią rozmowę w szpitalu i dowiedziałam się, że dziecko jeszcze przed wybuchem pożaru zostało zebrane z hotelu przed drugą babką.

– Z tego, co od pani słyszymy, wynika, że wszyscy tutaj niepotrzebnie tracimy nasz czas?

– Brwi Montgomery’ego uniosły się w tym momencie wysoko. Nie usiłował nawet ukryć rozdrażnienia.

Uśmiechnęłam się w sposób nieco wymuszony.

– Proszę sobie wyobrazić, panie poruczniku, że tak jest istotnie.

– A więc pani twierdzi, że w „Indiana Arms” nie było żadnych dzieci podczas pożaru? – pytając przechylił głowę poprzez biurko niby żuraw.

– Tego nie mogę stwierdzić w sposób kategoriyczny. Wiem tylko tyle, że to, o którym mi wcześniej powiedziano – Katarzyna Ramsay – opuściło budynek przed wybuchem pożaru tamtego wieczora. Nie mam natomiast żadnego pojęcia o tym, czy w hotelu znajdowały się wtedy inne dzieci. Pan sam to musi sprawdzić razem z komendantem Assuevo.

Siedzący obok mnie młody mężczyzna w mundurze, zaczął coś pisać w swoim notesie, ale na dany znak przez Montgomery’ego zaprzestał.

– Cieszy się pani opinią osoby niepozbawionej poczucia humoru, panie Warshawski – stwierdził z ponurym wyrazem twarzy porucznik. – Osobiście nie miałem dotąd okazji stwierdzić, że jest to humor rozweselający towarzystwo. Mam jednak nadzieję, że tym razem nie chodziło pani o to, żeby sobie zakpić z policji i ze straży pożarnej.

– Mój talent komediowy został już wcześniej wysoko oceniony przez porucznika Mallory’ego – oświadczyłam chłodno. Byłam zdenerwowana, gdyż odniosłam wrażenie, że Montgomery specjalnie mnie prowokuje. Zależało mi na tym, żeby ostatnie słowo w tym pojedynku należało do mnie.

– W porządku. Następnym razem, gdy pani przyjdzie ochota na żarty, proszę dzwonić do Mallory’ego, nie do mnie. W przeciwnym razie, proszę mi wierzyć, zadzwonię do porucznika, żeby udzielił pani lekcji postępowania, zgodnego z przepisami prawnymi.

Wyglądało na to, że spotkanie zostało zakończone. Z trudem opanowałam rozsadzającą mnie wściekłość; miałam wręcz ochotę wydrapać oczy temu nadętemu policjantowi. Niestety, nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy; zamiast tego wstałam powoli z miejsca, poprawiłam sprzączkę paska, zdjęłam nieistniejący włos ze swojej bluzki i strzepnęłam niewidoczny pyłek ze spódnicy. Następnie obdarzyłam promiennym, spojrzeniem swojego umundurowanego sąsiada i pożegnałam skinieniem ręki Bessingera.

Idąc na dół po schodach nie przestawałam się uśmiechać jak ktoś, kogo przed chwilą spotkało wielkie szczęście. Dopiero na parterze, w holu, ogarnął mnie nowy przypływ wściekłości. O co właściwie – u diabła – chodziło Montgomery’emu? Chyba o jego stosunki z Mallorym. Bobby często mówił o mnie jedno, a myślał co innego: potrafił się o mnie wyrazić w obecności osób trzecich, że jestem jak wrzód na tyłku, a do tego jestem przemądrzała. Taką opinię często wyrażał publicznie, co nie przeszkadzało mu jednak mnie lubić, choćby ze względu na starą przyjaźń z rodzicami.

Ale to bynajmniej nie wyjaśniało skandalicznego wprost zachowania się Montgomery'ego. Mógł mnie przecież zapytać, dlaczego najpierw zadzwoniłam do Bessingera. Potraktowana w tak obcesowy sposób nie miałam najmniejszej ochoty usprawiedliwiać się przed nim. A dlaczego Bessinger nabrał wody w usta? Zła jak osa skierowałam się ku wyjściu.

– Wyglądasz, jakby cię przed chwilą zmija ukąsiła. Nie dostrzegasz nawet przyjaciół. – Zatopiona w myślach nie zauważyłam Michaela Fureya.

– Witaj. Zagapiłam się trochę.

– Co tutaj robisz? Przyszłaś wesprzeć policję w utrzymywaniu porządku i prawa w Chicago? – Spojrzenie jego niebieskich oczu było prowokujące.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Coś w tym rodzaju – odparłam. Wracam ze spotkania z Montgomerym w sprawie pożaru w „Indiana Arms”.

– Tego hotelu, w którym mieszkała twoja ciotka? To było oczywiście podpalenie – brzydka, bardzo brzydka sprawa.

– Tak brudna robota. Ponieważ nikt nie wydaje się sprawą, zainteresowany, być może ja się jej przyjrę.

– Czyżby Monty nie prowadził w tej sprawie śledztwa? – Michael uniósł wysoko brwi. Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie wydaje się, by mu zależało na jej wyjaśnieniu – podtrzymywałam swobodny tok rozmowy.

– Doskonale, w takim razie nie oczekujesz chyba, że ci powiem, abyś pilnowała własnych interesów. – Roześmiał się nieco sztucznie, w jego głosie wyraźnie było słychać rozdrażnienie. – Nie, wcale nie mam zamiaru tego robić. Ale wiedz, że jeśli Monty unika sprawy, to najwidoczniej istnieją ku temu poważne przyczyny.

Spojrzałam na niego badawczo.

– Jakie? Dobrze, to nieważne, możesz mi nie odpowiadać. Przyjmij więc do wiadomości, że nikt mnie dotąd nie prosił, żeby się sprawie przyjrzeć. Ale im częściej słyszę dobre rady, by trzymać się z daleka, tym większą mam ochotę nią się zająć. Wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Rób, jak uważasz, Wik. Ja muszę już iść.

Ruszył przed siebie korytarzem, po przyjacielsku pozdrawiając mijających go policjantów. Skierowałam się ku wyjściu. Już przy drzwiach dogonił mnie Bessinger.

– Nie tak prędko, Wik. Chciałbym wiedzieć, o co właściwie poszło między tobą a Montym.

Stałam, spojrzawszy na niego z wyrzutem.

– Może to ty mi raczej wyjaśnisz, dlaczego na spotkaniu nie powiedziałeś Monty'emu, że zwróciłeś się do niego w tej sprawie jedynie na podstawie mojego telefonu?

Podniósł do góry rękę.

– Miałem do czynienia z wieloma podpaleniami, staram się nie wtykać palców między drzwi. Ale próbowałem z nim rozmawiać, dlatego zostałem jeszcze po twoim wyjściu. Wciąż

jednak nie mogę zrozumieć jego wzburzenia. Wiem, trudności kadrowe policji, ale to wyglądało na potraktowanie sprawy w kategoriach osobistego afrontu. Dlaczego?

Potrząsnęłam głową.

– Sądzę, że jego i Assueva rozwścieczyło przesiewanie popiołów w poszukiwaniu nieistniejących zwłok dziecka. Ale ja zadzwoniłam do ciebie tylko po to, by zapytać, czy ci czegoś nie wiadomo o dziecku. Gdy okazało się, że nic nie wiesz, podjęłam poszukiwania na własną rękę; dowiedziałam się nazwiska matki i odszukałam babkę.

– To wszystko wyjaśniałaś po rozmowie ze mną? – Ton jego głosu wcale nie był oskarżający, raczej wyrażał zdziwienie.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam tej młodej kobiety – matki dziecka. Tego dnia pozostawiła córeczkę u swojej matki Zerline Ramsay w „Indiana Arms”. Nie życzyła sobie, bym rozmawiała z jej matką, twierdząc, że mogę w ten sposób matce narobić kłopotów. Dziewczyna jest narkomanką i dlatego nie wiem, w jakim stopniu jej obawy były efektem narkotyków, a w jakim – troski o matkę.

Staliśmy tuż przy krawędzi chodnika. Przechodzący obok patrol policyjny niemal otarł się o nas. Kiedy odsunęłam się na bok, żeby przepuścić jednego z policjantów, wpadłam niechcący na jakąś kobietę, która zmierzała w kierunku Dearborn.

– Czy pani nie może uważać? – zapytała opryskliwie.

Już otwierałam usta, żeby odparować atak, ale pomyślałam sobie, że jak na jeden dzień już dość nawojowałam – postanowiłam więc ją zignorować.

Tymczasem Robin spojrział na zegarek:

– Nie muszę już wracać do biura. A gdybyśmy wstąpili gdzieś na drinka? Obawiam się, że jeśli zobaczą cię razem ze mną tutaj, Monty gotów jest nas zaaresztować – jest dzisiaj w wyjątkowo złym humorze.

Nagle poczułam się bardzo zmęczona. Od ósmej rano sprzątałam mieszkanie po wizycie Heleny i Cerise. Potem tak różni do siebie ludzie jak Roland Montgomery i Lotty wykończyli mnie zupełnie. Pomyślałam, że jasne, czyste, oświetlone miejsca i szklaneczka whisky – to jakby lekarstwo na mój stan ducha.

Wsiedliśmy do mojego wozu – Robin przyjechał do komendy taksówką – i zaczęliśmy przebijać się przez panujący na jezdni tłok w kierunku „Golden Glow” – mojego ulubionego baru, położonego na południu Loop. Zaparkowaliśmy przy automacie i spacerem poszliśmy kilkadziesiąt metrów do baru. Wewnątrz lokalu oprócz właścicielki Sal Barthele tylko kilku mężczyzn sączyło powoli z kufli piwo. Sal skinęła mi głową majestatycznie, gdy szłam z Robinem do małego stolika w kącie sali. Poczekala, aż usiadziemy, a tymczasem Robin zawołał, żeby przyjęła zamówienie. Na stolikach stały oryginalne lampy od Tiffany’ego.

– Wik, dla ciebie to co zwykle? – zapytała, gdy Robin zamówił piwo.

Zwykle piłam whisky. W tym momencie pojawiła się w mej wyobraźni zaczerwieniona, pokryta fioletowymi żyłkami twarz Heleny i utracona karta kredytowa. Przypomniałam sobie rozmowę z Zerline o trzech tysiącach butelek, o które mnie ciotka wyprzedziła. Gdybym się miała upijać za każdym razem, ilekroć znajdę się w trudnej sytuacji, zaczęłabym pić już dawno temu. Kiedy więc dziś mam ochotę na whisky, niech będzie whisky!

– Tak – przytaknęłam już bez wahania.

– Jesteś tego pewna? – zażartowała Sal, po czym wróciła za kontuar, żeby wykonać zamówienie. Sal zna się na interesach.

„Glow” jest tylko jednym, z jej przedsiębiorstw i właściwie powinna zatrudnić w nim barmana. Ale „Glow” jest jej pierwszym lokalem i ze względów emocjonalnych prowadziła go osobiście.

Robin pociągnął duży łyk z kufła i otworzył szeroko oczy z nieskrywanym uznaniem.

– Przechodziłem, obok chyba setki razy. Jak mogłem tu nie wstąpić!

Serwowany przez Sal gatunek piwa jest specjalnie dla niej sporządzany przez właściciela niewielkiego browaru w Steven’s Point. Nie jestem amatorką piwa, ale wszyscy moi znajomi uważają, że jest znakomite.

Opowiedziałam Robinowi o Sal i jej interesach, a następnie skierowałam rozmowę na „Indiana Arms”.

– Czy znalazłeś może jakieś dowody na to, że właściciel hotelu próbował go sprzedać?

Robi pokręcił głową przecząco.

– Jak do tej pory niczego takiego nie udało się stwierdzić. Obecnie jednak bardziej mnie interesuje stan budynku przed pożarem i sytuacja finansowa właściciela. Wciąż jeszcze nie mam na ten temat wyczerpujących informacji.

– Co o tym wszystkim sądzi Montgomery?

Robin zmarszczył się. Wypił piwo do dna, po czym odpowiedział:

– Nic. Nie ma zamiaru dłużej zajmować się tą sprawą.

– A wy się nie zgadzacie? – zapytałam, po czym łyknęłam trochę wody, a następnie wychyliłam swoją szkocką. Przyjemne ciepło powoli ogarniało moje ciało, począwszy od żołądka, a skończywszy na ramionach: jednocześnie ustępowało napięcie nagromadzone w ciągu dnia.

– Jeśli to było podpalenie, nigdy nie honorujemy roszczeń, dopóki nie mamy stuprocentowej pewności, że nie spowodował go właściciel budynku.

Uniósł pusty kufel w kierunku Sal, więc podała mu następny. Mnie przyniosła butelkę szkockiej, lecz potrząsnęłam głową przecząco i podziękowałam. Nie mogłam zapomnieć obrazu pijanej Heleny.

– Tym razem nie rozumiem zachowania Montgomery’ego. Pracowałem z nim już wielokrotnie. Nie ma łatwego usposobienia, ale nigdy jeszcze nie był tak niesympatyczny jak dziś po południu.

– To pewnie moja wina – oznajmiłam beztrósco. – Niektórzy mężczyźni tak na mnie reagują. – Nie sądziłam, żeby warto było wyjaśniać Robinowi moją teorię na temat stosunków między Montgomerym a Mallorym.

Robin nawet się nie uśmiechnął.

– Coś w tym jest. Dlaczego sprawa została już zamknięta? Oświadczył mi, że powrócił do niej tylko dlatego, że ty twierdziłaś, iż w pożarze zginęło dziecko. Obecnie ma zamiar skierować siły swej jednostki tam, gdzie są bardziej potrzebne.

– Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z jednostką do walki z podpaleniami, ale

zakładam, że niczym nie różni się od innych – wszystkie narzekają na brak ludzi do pracy i na nadmiar przestępstw. W tym, iż Montgomery zaniechał śledztwa w sprawie nisko ubezpieczonego, starego budynku w jednej z bardziej nieciekawych dzielnic miasta, nie widzę nic szczególnego. Policja i straż mają obowiązek chronić każdego, ale oni są także tylko ludźmi i koncentrują swą uwagę na sprawach o większym wydźwięku politycznym.

Robin wykonał gest wyrażający zniecierpliwienie.

– Być może masz rację. Towarzystwa ubezpieczeniowe powinny być bardziej uczulone na podpalenia. Montgomery’emu wolno koncentrować się na Gold Coast, ale nam nie wolno kierować się tymi samymi co on względami. Dlatego nawet jeśli zaniechał śledztwa w sprawie „Indiana Arms”, nam tego uczynić nie wolno. Przynajmniej obecnie.

Albo przynajmniej dopóty, dopóki jego szef nie zmieni swoich priorytetów, pomyślałam, zachowując tę ostatnią myśl dla siebie i pozwoliłam toczyć się swobodnie rozmowie o zadowoleniu z posiadania domów. Robin kupił jednopiętrowy domek w Albany Park; wynajął parter, sam zamieszkał na piętrze. Popołudniami i podczas weekendów remontował cały budynek. Moim zdaniem, zrywanie tynku i malowanie ścian nie jest najlepszą formą spędzania wolnego czasu, ale gotowa jestem przyklasnąć każdemu, kto to chce uczynić.

Po trzecim piwie było rzeczą naturalną skonsumowanie czegoś. Postanowiliśmy przenieść się do „I Popoli” – restauracji rybnej w pobliżu Clark i Howard. Po przekąsce również naturalną rzeczą okazała się wizyta w jego domku w Albany Park w celu dokonania inspekcji prac remontowych.

W ten sposób jedna decyzja pociągała za sobą następną – jednak udało mi się pożegnać z Robinem, zanim sprawy posunęły się za daleko – nie byłam do tego odpowiednio przygotowana. Niebezpieczeństwo AIDS nauczyło mnie ostrożności. Nie lubię robić rzeczy nieodwracalnych już przy pierwszym spotkaniu z mężczyzną. Miło mi było natomiast się przekonać, że wciąż jestem atrakcyjna. Powróciłam do siebie około północy w daleko lepszym nastroju niż ten, który towarzyszył mi w ciągu całego dnia.

ROZDZIAŁ 13

Kłopoty z praniem

Tego ranka obudziłam się późno. Zazwyczaj po obudzeniu wstaję z łóżka i zaczynam się krzątać, nie lubię przedłużać snu drzemką. Tym razem ogarnęła mnie jakaś dziwna ociężałość i uczucie samouspokojenia opartego na świadomości, że mam własny, przytulny kąpiel, w którym jestem bezpieczna. Uliczne hałasy dochodziły do mnie jakby z daleka, trochę przytłumione. Czułam, że przebywam w otoczce własnej prywatności.

W końcu zwlokłam się z łóżka i podreptałam do kuchni, żeby zaparzyć kawę. Pozostałości nieporządków z poprzedniego dnia zakłócały mój błogostan. Co prawda zdążyłam już posprzątać po Cerise, ale brudne szmaty wciąż leżały w zlewie, wydając słaby zapach środka czyszczącego, zmieszanego z wonią wymiotów. Należało je wyprać i od tego postanowiłam rozpocząć dzień.

W znajdującej się w suterenie pralni mój nastrój zepsuł się jeszcze bardziej, gdy zobaczyłam, iż ktoś wyrzucił moje mokre pranie z automatu na podłogę. Na pralce pozostawił napisaną w pośpiechu kartkę: „Pralnia nie jest niczyją prywatną własnością”. Tego z pewnością nie mógł uczynić pan Contreras. Na pierwszym piętrze mieszkali Koreańczycy: również oni nie mogli być autorami tej kartki, gdyż zbyt słabo znają angielski. Moją sąsiadką z drugiego piętra była stara, rzadko wychodząca ze swojego mieszkania Norweżka – również ona nie wchodziła w rachubę. Pozostawał więc tylko „bankier”, „sympatyczny, stary przyjaciel” – Vincent Bottone.

Włożyłam z powrotem swoje ciuchy do pralki z przyniesionymi właśnie szmatami, nalałam podwójną miarkę mydła i wsypałam kubek Cloroxu, po czym wyszłam na ulicę odbyć swój codzienny bieg po zdrowie. Na parterze zabrałam za sobą stęsknioną już bardzo za mną sukę. Pan Contreras – jak zwykle – miał ochotę o coś mnie pytać, Peppy jednak tak bardzo się niecierpliwiła, że udało mi się tych pytań umknąć.

Biegając do Beumont, a potem, dalej przez park zastanawiałam się, dlaczego Vincent Bottone pozwolił sobie tak potraktować moje ciuchy. Oczywiście nie powinnam zostawiać ich na cały dzień w pralce, ale czy musiał je wyrzucać na podłogę i pisać taką notatkę? W pierwszym odruchu przychodziła mi do głowy myśl o zemście: włamię się podczas weekendu do jego mieszkania i oddam jego teczkę psu na poszarpanie. Ale on z kolei mógł w odwecie otruć Peppy – stać go było na to.

Zanim zdążyłam wrócić z joggingu do domu, mój błogostan całkowicie wyparował. Zwróciłam psa panu Contrerasowi i tłumacząc się nawąłem pracy, wykręciłam się od jego pytań. Już na schodach przypominałam sobie o praniu, zbiegłam więc do suterenu, żeby przestawić automat do odwirowywania.

Pranie było już w końcowym cyklu płukania. Wsparta łokciem o wirujący automat usiłowałam przemyśleć plan działania na dzisiaj. Musiałam koniecznie odebrać duplikat prawa jazdy, co oznaczało konieczność odbycia wędrowki do Elston autobusem, nie mogłam bez prawa jazdy korzystać z własnego samochodu. Zastanawiałam się, czy warto szukać

Heleny dla odzyskania zawartości portfela. Nawet jeśli to ona mnie okradła, z pewnością nie będzie chciała przyznać się do tego, a na samą myśl o jej wykrętach robiło mi się niedobrze. Jeśli natomiast okradła mnie Cerise – to również nie miałam ochoty jej szukać, nawet gdybym wiedziała, gdzie się podziewa.

Ponieważ postanowiłam nie zawracać sobie głowy ani jedną, ani drugą – na dziś pozostawali mi tylko klienci. W myślach powtarzałam sobie, co mam do zrobienia w ciągu najbliższej godziny: iść do siebie na górę, ubrać się i jechać do Loop, ale coś mnie zatrzymywało przy wirującej pralce.

Monotonny rytm płukania działał kojąco – wsłuchana w niego odpoczywałam. Jednocześnie zaczęły mi przychodzić do głowy inne problemy ostatnich dni, przejściowo zepchnięte na dalszy plan przez wydarzenia związane z Heleną i Cerise.

Rosalyn. Dlaczego tak bardzo mnie potrzebowała podczas imprezy na farmie? Były tam setki zasobnych w dolary osób, a ona tak uparcie chciała się upewnić co do mojego poparcia.

Pragnęłabym uwierzyć w szczerą jej intencję, ale nie potrafiłam. Przecież wybuliłam dla niej dwieście pięćdziesiąt dolarów, co jest niemało, biorąc pod uwagę fakt, iż nie jest mi szczególnie bliską osobą. Moje publiczne dla niej poparcie nie mogło mieć większego znaczenia w jej kampanii wyborczej. Już od dawna nie byłam aktywna politycznie, moje nazwisko znano bardziej w kręgach finansistów niż polityków. Ludzie, którzy mnie znali chociażby z okresu mojej pracy w charakterze publicznego obrońcy, mogli głosować zarówno na Roz, jak i przeciw niej.

Nie chciało mi się także wierzyć, żeby się obawiała, iż ja wiem coś, czym mogłabym jej zaszkodzić. Być może miała sekrety, a jej kuzynek martwił się, że ja wiem o nich. Chciała zrobić pewnego rodzaju rekonesans.

– Wik, to wszystko jest mało ważne – powiedziałam do siebie na głos. – Być może ma jakieś sekrety, ale kto ich nie ma? To nie twoja sprawa.

Z głębokim westchnieniem przeniosłam ciężkie mokre pranie z pralki do suszarki, poszukując odpowiednich przycisków. Chodzi jednak o to – kontynuowałam rozmyślenia – że sprawa stała się również moja z tego powodu, iż Roz w tak dziwny sposób szukała okazji do rozmowy ze mną. A jeśli stałam się przedmiotem jakiejś rozgrywki między Roz i Marissą? Idąc po schodach w górę, uprzytomniłam sobie, że zapomniałam włączyć suszarkę. Musiałam zejść z powrotem do suterenu.

Przed wyjściem z domu włożyłam na siebie najnowsze dzinsy i różową bluzkę, aby wyglądać porządnie i nobliwie w oczach urzędników z wydziału komunikacji.

Podczas długiej jazdy autobusem i jeszcze dłuższego oczekiwania w kolejce do okienka zabawiałam się dalszym rozważaniem sytuacji Roz na różne sposoby, usiłując dojść do jakiejś konkluzji. Najpierw przyszło mi do głowy, że powinnam udać się do Daley Center i wyjaśnić sobie, czy Roz nie ma przypadkiem sprawy sądowej. Gdyby jednak nie było, gazety by to roztrąbiły natychmiast; jeśli ktoś ubiega się o urząd publiczny, zawsze musi się liczyć, że dziennikarze rozgrzebią jego przeszłość na oczach publiczności.

W pewnym momencie uprzytomniłam sobie, iż nadeszła moja kolejka przy okienku. Szybko wypełniłam formularze, wręczyłam urzędniczce trzy różne dokumenty, stwierdzające

moją tożsamość, znów trochę poczekałam, następnie wyraziłam zgodę na oddanie nerek i gałek ocznych w przypadku, gdybym zginęła w kraksie samochodowej. Na zdjęciach do nowego prawa jazdy wyglądałam jak uciekiniarka z domu wariatów. Być może powinnam zgubić ten duplikat i zacząć wszystko od nowa.

Weszłam do autobusu nr 41 i powtórnie odbyłam długą podróż w przeciwnym kierunku. Perypetie ze zdjęciem przypomniały mi o kimś, kto mógłby wiedzieć coś więcej o Roz. Fotografem była Velma Riter, którą poznałam, gdy pracowała w redakcji *Herald Star*. Zrobiła dla tego magazynu szereg fotoreportaży. Po odejściu z redakcji wykonała wielki foto-esej „Pięćdziesiąt kobiet, które wstrząsnęły Chicago” – wśród tej pięćdziesiątki byłyśmy obie z Roz.

Artystkę zastałam w domu. Najwidoczniej czekała na telefon, gdyż natomiast podniosła słuchawkę i była bardzo zaskoczona, kiedy się jej przedstawiłam.

– W. I. Warszawski – powtórzyła wolno, przeciągając sylaby. – No, no, czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Właśnie przed niecałą godziną odebrałam duplikat prawa jazdy. Chciałabym, żebyś zrobiła mi zdjęcie.

– Zdjęcia do fałszywych paszportów są moją specjalnością – odparła sucho. – Co u ciebie słychać?

– Nic nowego. Ostatniej niedzieli spotkałam Roz Fuentes na wielkim pikniku, zorganizowanym dla niej przez Bootsa Meaghera.

– Słyszałam o tej imprezie, byłam nawet zaproszona. Ostatnio jednak jestem bardzo zajęta przygotowaniem dużej wystawy. Gdyby nie to, że oczekuję w tej chwili telefonu od swojego agenta, nie odebrałabym nawet twojego.

Wydusiłam z siebie coś w rodzaju gratulacji, zapisałam nazwę galerii, w której odbędzie się wystawa i datę jej otwarcia, przeprasząc, że przeszkodziłam jej w pracy. Kończąc rozmowę, spytałam:

– Czy nadal utrzymujesz kontakty z Roz?

– Wykonuję pewne prace w ramach jej kampanii – w głosie Velmy pojawiła się nutka zniecierpliwienia. – Wik, ja naprawdę nie mam teraz czasu na dalszą rozmowę.

– Nie niepokoiłabym ciebie, gdybym miała do kogo zwrócić się w nurtującej mnie sprawie. Roz budzi we mnie troskę. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie wpakowała się w coś, o czym jako przyjaciółki powinnyśmy wiedzieć, żeby jej ewentualnie pomóc.

– Na jakiej podstawie tak przypuszczasz?

– Nie tyle mnie niepokoi to, co mówiła – ile to, jak się zachowała. – Opowiedziałam, jak Roz odłączyła się od tłumu, żeby poznać moją opinię o jej sojuszu z Bootsem.

– Niepotrzebnie martwisz się o cudze sprawy. Niektórzy mówią, że jesteś jak wrzód na tyłku. Zajmij się prawdziwymi kryminalistami i zostaw Roz w spokoju.

Zaczerwieniłam się po uszy i odłożyłam słuchawkę, nie próbując dłużej dyskutować. Wyszło na to, że jestem wścibską dziwaczką i plotkarką.

– Powinna była zapytać mnie jeszcze, czy nie mam zamiaru Roz skrzywdzić – mruknęłam do siebie ze złością.

Ze zwieszoną głową wyszłam z domu. Byłam zwarzona, a w dodatku bez karty kredytowej. Resztę popołudnia wypełniły mi starania o odzyskanie utraconego kredytu w banku i realizacja czeku. Złożyłam również podanie o wydanie mi nowej karty. Dopiero o czwartej pojechałam do Daley Center pogrzebać w dokumentach i zgromadzić nieco materiałów dla mojego starego klienta. Słowa Velmy piekły mnie tak bardzo, iż nawet nie próbowałam szukać informacji dotyczących Roz.

Biblioteka dokumentów została zamknięta o czwartej trzydzieści, więc udałam się do biura, by sprawdzić, czy od piątku nie nadeszły jakieś rachunki i korespondencja. Po drodze zatrzymałam się przy delikatesach i kupiłam duże ciastko czekoladowe, które zjadłam w biurze popijając filiżanką kawy. Po tym skromnym posiłku zapaliłam lampkę stojącą na biurku i przesłuchałam automatyczną sekretarkę. Dzwonili Michael Furey, Robin Bessinger oraz jeden z menedżerów przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego Cartwright i Wheeler, gdzie w miniony piątek byłam ze swoją ofertą.

Westchnęłam ciężko. Taki ważny klient, a ja zupełnie zapomniałam do nich zadzwonić. I to po wydaniu pięciuset dolarów i stracie dwóch dni na przygotowanie oferty.

Być może to już początki sklerozy. Zaprzątnięta wczoraj sprawą Cerise i spotkaniem u Montgomery'ego zapomniałam o ważnych rozmowach telefonicznych. Sprawdziłam w notesie: jak wół odnotowane było – Cartwright i Wheeler, numer telefonu i nazwisko osoby kontaktowej.

Gdy zadzwoniłam, okazało się, iż kierownictwo firmy zdecydowało nie korzystać z moich usług. Oczywiście, skoro w piątek decyzję odłożono, mogłam się tego spodziewać. Velma miała rację: za dużo czasu poświęcam cudzym sprawom zaniedbując własne.

ROZDZIAŁ 14

Na gorącym uczynku

Odpowiedziałam na telefony Fureya i Robina bardziej po to, by nie mieć sobie nic do zarzucenia, niż z potrzeby rozmowy z którymkolwiek z nich. Furey przepraszał mnie za swoje rady udzielane wczoraj w komendzie.

– Nie miałem zamiaru cię krytykować – zapewnił mnie.

– W porządku – odpowiedziałam, zdobywając się na maksimum dobrej woli. – Nie było mi przyjemnie, kiedy Montgomery naskoczył na mnie bez istotnego powodu.

Wymieniliśmy jeszcze parę uwag na temat tego spotkania; Furey dał mi kilka wskazówek, jak postępować z Montym, po czym zapytał o Helenę.

Zupełnie zapomniałam, że go prosiłam o wszczęcie poszukiwań. To ta cholerna skleroza! I wstrętne plotkarstwo!

– Zapomniałam powiedzieć, że ciotka zjawiała się u mnie w niedzielę wieczorem cała i zdrowa z odstrasżającą podopieczną.

– To nieciekawe – stwierdził współczująco. – Z jaką podopieczną? Z kimś, kto również mieszkał w „Indiana Arms”?

– Z córką innej mieszkanki hotelu. – W krótkich słowach opisałam mu portret Cerise. – Na drugi dzień dziewczyna zniknęła jak kamfora: była w ciąży i zażywała narkotyki.

– Podaj mi jej nazwisko. Poproszę chłopców, by mieli na nią oko.

– Uff. – Nie miałam najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z Cerise. Jednak ze względu na dziecko, które nosiła w brzuchu, należałoby leczyć ją z nałogu. I czemu nie policja miałaby się tym zająć.

– W tym tygodniu mam bardzo dużo pracy i nie mogę się z tobą umówić nawet na telefon. Zadzwońię dopiero w następny poniedziałek lub wtorek, okay?

– W porządku, Wik. Czekam, aż się odezwiesz. – Po czym odłożył słuchawkę.

Nie przypuszczałam, że Furey potrafi być aż tak bardzo sympatyczny. Zatrzaszczył się o ciężarną narkomankę, której nigdy nie widział na oczy. Eileen Mallory miała rację – był doskonałym materiałem na dobrego ojca. Ale ja nie szukałam dobrego ojca – przynajmniej dla moich nienarodzonych dzieci.

Zadzwołam do Robina. Laboratorium, do którego się zwrócił, dokonało analizy próbek pobranych z pogorzelniska „Indiana Arms”. Potwierdziły się jego przypuszczenia, iż podpalacz posłużył się parafiną.

Usiłowałam skoncentrować się na tym, co do mnie mówił.

– Czy łatwo ją nabyć?

– Bardzo – odparł. – Poza tym łatwo się z nią obchodzić – nawet w dużych ilościach, dlatego nie sądzę, by, idąc jej śladem, bylibyśmy w stanie wykryć przestępcę. Natomiast interesujący wydaje się instrument użyty do wzniesienia pożaru – kuchenka elektryczna w pomieszczeniu nocnego stróża.

– To może stróż nocny jest podpalaczem? Fakty by na to wskazywały.

– Jak dotąd nie udało nam się go odszukać. Słuchaj, Wik, wykonałaś już tyle dobrej roboty dla Ajaxu w przeszłości. Zastanawiam się – rozmawiałem już na ten temat z szefem – czy nie moglibyśmy wynająć cię dla wyjaśnienia tej sprawy?

– Czego byście ode mnie oczekiwali? – zapytałam ostrożnie. – Na podpaleniach się nie znam, nie potrafię odróżnić środków używanych do wzniesienia pożaru poza zapalkami.

Nie odpowiedział mi wprost.

– Chociaż budynek nie został wysoko ubezpieczony, to jednak odszkodowania wyniosą ponad milion dolarów. Były przypadki zacczadzenia i poparzenia, więc należy oczekiwać roszczeń nie tylko z tytułu strat materialnych. Nam się po prostu opłaci wydać kilka tysięcy dolarów na przeprowadzenie śledztwa, w rezultacie którego możemy oszczędzić duże pieniądze. Chcielibyśmy, żebyś spróbowała odnaleźć podpalacza.

Patrzyłam w zamyśleniu w okna, w których szyby drżały ustawicznie od ciągłego ruchu przejeżdżających dołem wagonów szybkiej kolejki. W rezultacie wstrząsów z szyb opadała część przyklejonego do nich pyłu, nie zwiększało to jednak ich przezroczystości. Stwierdzenie tego faktu nie poprawiło mojego samopoczucia.

– Zdaję sobie sprawę, iż nie cały personel Ajaxu żywi sympatię do mojej osoby. Czy twój szef ma prawo mnie wynająć bez zgody innych członków władz towarzystwa?

– Jak najbardziej. W budżecie firma ma środki na opłacenie kosztów takiego śledztwa. – Na chwilę zamilkł, po czym zapytał: – Czy nie miałabyś ochoty zjeść dzisiaj ze mną kolacji? Wspólnie dokonalibyśmy wyboru lokalu.

Wyobraziłam sobie w tym momencie jego lekko na bok pochyloną głowę jak u ptaka, oczekującego na pojawienie się zdobyczy. Po raz pierwszy od chwili, gdy znalazłam swoje pranie na podłodze w suterenie, zachciało mi się śmiać.

– To wspianiały pomysł – odparłam szybko. Zaproponował „Calliope”, miły lokal na północy Lincolnu, w którym serwują morskie dania po grecku. Nie trzeba tam rezerwować miejsc i można potańczyć w przyległej sali.

Po odłożeniu słuchawki postanowiłam zamknąć biuro na resztę dnia. Znalazłam na biurku kilka nowych spraw, ale nie miałam nastroju do pracy.

Wróciłam do zaparkowanego na północnym obrzeżu Loop samochodu i z największym trudem przebiłam się do domu przez liczne o tej porze dnia korki. Miałam dość czasu na kąpiel i przygotowanie do wyjścia. Pluskałam się w wodzie ze trzy kwadranse, pozwalając myślom bujać w obłokach, a pianie splukiwać ze mnie nurtujące wątpliwości.

Kiedy w końcu wyszłam z wanny i zaczęłam się ubierać, zapadał już lekki zmierzch. Powietrze było szaro-purpurowe. W przydomowym ogródku przebywał pan Contreras, który – mimo iż sezon na pomidory już się skończył – wciąż podlewał swoje kilka krzaków. W półmroku widać było leżącą na trawie Peppy, z nosem wspartym na przedniej łapie, oczekującej ponuro na jakieś zdarzenie, w którym mogłaby wziąć udział.

Zeszłam na dół, żeby im powiedzieć dobranoc. Starszy pan przyjął ten mój gest trochę nadąsany – nie mógł zapomnieć mojej porannej wstrzeźliwości w rozmowie. Pies, jak zwykle, ucieszył się na mój widok i musiałam go uspokoić, by nie pobrudził moich czarnych

jedwabnych spodni wilgotną ziemią lub nawozem, które miał na łapach.

Pan Contreras nie dał się udobruchać rzucanymi przeze mnie od czasu do czasu uwagami i półsłówkami. Omal nie zdecydowałam się go przeprosić i wytłumaczyć swojego porannego zachowania, ale pomyślałam, że przecież nie ma sensu wprowadzenie go w szczegóły mojego prywatnego życia. Ostatecznie postanowiłam go nie przeproszać; pożegnałam go chłodno i wysliznęłam się tylną furtką, tak że Peppy nie zdążyła wymknąć się za mną. Jej sfrustrowane skomlenie towarzyszyło mi jeszcze dobrą chwilę.

Żeby dotrzeć do restauracji, musiałam przejść około półtora kilometra. Obchodząc dziurę w trotuarze, pośliznęłam się na porzuconym hot-dogu i upadłam na kolana. Jeszcze jeden z uroków życia w mieście – w rezultacie pobrudziłam spodnie, ale na szczęście nie rozerwałam.

Robin czekał na mnie przed wejściem do restauracji. W szarych flanelowych spodniach i marynarskiej bluzie wyglądał bardzo elegancko. Przyszedł wcześniej, żeby zająć miejsce przy stoliku; kiedy weszliśmy na salę, kierownik wywoływał właśnie jego nazwisko. Jeśli urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą, nie musisz starać się być dobrym. Robin zamówił dla siebie piwo, dla mnie rum z tonikiem, a do jedzenia dla nas obojga dorsza w galarecie z ikłą; z dania tego „Calliope” słynęła w całym Chicago.

– Jak to się stało, że zostałam detektywem? – zapytał, gdy już złożyliśmy zamówienie.

– Przedtem pracowałam w urzędzie obrońcy publicznego – odparłam rozsmarowując nieco ikry na grzance. – W oddziale procesów – ciągnęłam. – To była okropna praca. Często mogłeś rozmawiać ze swoim klientem dopiero na pięć minut przed rozpoczęciem sprawy. Zawsze miałam więcej spraw niż czasu, aby skutecznie się nimi zająć. Niekiedy musiałam bronić zbirów, którym w głębi serca życzyłam, by nigdy już nie oglądali światła dziennego.

– Wobec tego, czemu nie rozpoczęłaś prywatnej praktyki? – spytał dalej. – Niezłe – stwierdził, przeżuając galaretę z ikłą. – Nigdy przedtem nie jadłem czegoś podobnego.

Danie było rzeczywiście doskonałe, jeśli popijało się je piwem lub rumem. Zanim odpowiedziałam, przelknęłam kolejny kęs i wypiłam drinka.

– Po pięciu latach spędzonych w urzędzie publicznego obrońcy nie miałam ochoty zaczynać tego od początku w ramach prywatnej praktyki. Pewnego razu załatwiłam jakąś sprawę przyjacielowi i uświadomiłam sobie, że to jest właśnie to zajęcie, które mi najbardziej odpowiada i które będzie mi dawało maksimum satysfakcji. Ponadto w nowej roli zostałam własnym szefem – właściwie to ostatnie było dla mnie chyba, najważniejsze. Może już jako dziecko przywykłam chodzić własnymi drogami? A może po matce odziedziczyłam razem z oliwkową cerą wielkie poczucie niezależności.

Gdy kelner przyniósł już sałatki i butelkę wina, zapytałam Robina, jak to się stało, że został specjalistą od podpaleń. Skrzywił się.

– Nie znam nikogo, kto by w pierwszej kolejności wybrał pracę w firmie ubezpieczeniowej, może z wyjątkiem dzieci właścicieli tych firm. Mnie w młodości interesowała historia sztuki, niestety, brakowało mi pieniędzy na studia. Podjąłem więc pracę w Ajaksie. Moim zadaniem początkowo było projektowanie formularzy polis ubezpieczeniowych: w ten sposób próbowano wykorzystać moje zainteresowanie sztuką. – Uśmiechnął się. – Ale ja chętnie pozbyłem się tej pracy tak szybko, jak tylko mogłem.

W trakcie spożywania kolacji Robin zainteresował się, co wcześniej robiłam dla Ajaxu. Z kolei ja tym razem się skrzywiłam; współpraca z towarzystwem nie zawsze się dobrze układała, o czym nie omieszkiałam mu powiedzieć.

Jedząc greckie danie, usiłował mnie przekonać do przyjęcia złożonej uprzednio propozycji. Miałam świadomość faktu, iż powinnam zająć się jakąś poważniejszą sprawą, że mam już dość tej drobnicy napływającej do mnie w ciągu ostatnich kilku tygodni. Dlatego miałam ochotę powiedzieć „tak”, ale powstrzymałam się i poprosiłam, żeby zadzwonił do mnie następnego ranka i wyjaśnił mi przedtem kilka szczegółów.

– Dziś miałam trudny dzień – wyjaśniłam mu. – Teraz wieczorem pragnę zapomnieć o wszystkich praktycznych sprawach.

Odniosłam wrażenie, że mnie zrozumiał. Rozmowa między nami dryfowała swobodnie między tak różnymi tematami jak baseball i dzieciństwo, a tymczasem zjedliśmy wszystko, co było przed nami na stole. Podczas tańca nie rozmawialiśmy wiele. Około północy postanowiliśmy, że Robin odprowadzi mnie do domu. Swoją samochód zostawi pod restauracją – zbyt wiele wypiliśmy, by sięść za kierownicą. Poza tym ciepła, letnia noc była tak piękna...

Szliśmy wolno objąwszy się ramionami, zatrzymując się co chwili na długie pocałunki. Kiedy znaleźliśmy się pod moim domem, uprzedziłam Robina, żeby zachował bezwzględną ciszę – nie życzyłam sobie, by pan Contreras lub Winnie nas zobaczyli. Podczas gdy Robin stał za mną obejmując mnie z tyłu ramionami, sięgnęłam do torebki po klucze.

Nagle rozległ się trzask zamykanych drzwi samochodu i dały się słyszeć kroki, a następnie oślepiło nas światło reflektorów.

– To ty, Wiki? Przepraszam, że przeszkadzam, ale musimy ze sobą porozmawiać. – Pełen ironii głos był mi tak samo dobrze znany jak głos ojca. Nic dziwnego, należał do Roberta Mallory’ego, szefa policji kryminalnej w centralnym okręgu Chicago. Czułam, jak rumienię się po uszy w ciemnościach. Bez względu jak bardzo byłam opanowana, w takiej sytuacji poczułam się nieco wytrącona z równowagi.

– Bardzo mi to pochlebia, Bobby. Jest w tym mieście kilka milionów mieszkańców, w tej liczbie sześcioro twoich wnucząt, a kiedy cierpisz na bezsenność, potrzebne ci jest właśnie moje towarzystwo.

Bobby zignorował moją złośliwość.

– Powiedz dobranoc przyjacielowi, gdyż zabieram cię ze sobą. Robin spróbował czynnie wmieszać się do tej rozmowy – chwyciłam go za ramię.

– Uważaj, bo możesz trafić do aresztu i znaleźć się w jednej celi z bandytami i złodziejami. Masz do czynienia z Robertem Mallorym, porucznikiem policji kryminalnej. A to jest Robin Bessinger z Towarzystwa Ubezpieczeniowego Ajax – przedstawiłam Robina Mallory’emu.

W świetle reflektora zaczerwieniona zwykle twarz Mallory’ego przybrała odcień szarobiały, a niedostrzegalne zazwyczaj zmarszczki pogłębiły się. Jak nigdy dotąd uprzytomniłam sobie wyraźnie, że dobijał już sześćdziesiątki. A byłam przecież już zaproszona z tej okazji na przyjęcie, które miało się odbyć w październiku. Mimo to nigdy

dotąd nie przyszło mi do głowy, że Bobby się już starzeje. W tym jednak momencie odsunęłam od siebie stanowczo myśl o jego starości i odezwałam się głośno:

– Bobby, dokąd pojedziemy i po co?

Nie tyle zobaczyłam, ile przeczułam, jak bardzo skręca go wprost chęć schwywania mnie za rękę i wsadzenia siłą do samochodu. Znakomita większość ludzi nie ma nawet pojęcia o tym, że dopóki nie jesteśmy aresztowani, nie musimy pójść za policjantem tylko dlatego, iż on sobie tego życzy. Wielu natomiast dobrze o tym wie, ale nie chce się sprzeciwiać. Nawet taki porządny policjant jak Bobby traktuje to jako rzecz naturalną i nie lubi sprzeciwu, choć właśnie tacy ludzie jak ja pomagają mu w powściągnięciu jego władczych zapędów.

– Powiedz swojemu przyjacielowi, żeby już sobie poszedł. – Tu skinął głową w kierunku Robina.

Jeśli go posłucham, pomyślałam, to powinien przestrzegać zasad gry. Nie będzie to wielkie z mojej strony ustępstwo, ale jednak ustępstwo. Niechętnie poprosiłam więc Robina, żeby sobie poszedł. Zgodził się pod warunkiem, że zadzwonię do niego, gdy tylko policja mnie zwolni; zatrzymał się jeszcze na skrzyżowaniu i obserwował dalszy rozwój sytuacji. Ogarnęło mnie wzruszenie.

– W porządku, już sobie poszedł. O czym będziemy rozmawiali?

Bobby zmarszczył się i zacisnął usta, najwidoczniej rozdrażniony.

– Nocny strażnik znalazł zwłoki kobiety na terenie budowy około dwudziestej pierwszej trzydzięci. Zmarła miała coś przy sobie, co należało do ciebie.

Przed oczyma mojej wyobraźni pojawił się nagle obraz pijanej ciotki, potraconej przez samochód i pozostawionej samej sobie. Odruchowo oparłam się o ścianę domu.

– Helena? – zapytałam.

– Helena? – powtórzył Bobby.

W jego oczach dostrzegłam zaskoczenie. – Ach, tak, masz na myśli siostrę Tony’ego. Nie, nie o nią chodzi: ofiara wypadku jest o pięćdziesiąt lat młodsza i ma czarną skórę.

A więc Cense, pomyślałam. Znałam również inne czarne kobiety, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić ich zwłok na terenie jakiegokolwiek budowy.

– Kim jest ta ofiara? – zapytałam głośno.

– Właśnie chcemy, żebyś nam to powiedziała.

– Dlaczego ja?

Bobby ponownie zacisnął usta, tego właśnie najwidoczniej nie chciał mi powiedzieć. Nagle za moimi plecami otworzyły się drzwi domu i wyskoczył z nich „bankier” Vinnie.

– Posłuchaj, Warszawski. To już chyba ostatni raz zrywasz mnie na nogi w środku nocy. Policja jest już w drodze. Czy twoi przyjaciele nie mają pojęcia o tym, iż nie należy świecić reflektorami w okna pogrążonym we śnie ludziom? I wrzeszczeć pod ich drzwiami. Czy też może chodzi ci o sprowokowanie awantury?

Tym razem pojawił się nie w pizamie, lecz w dzinsach i białej koszuli. Ciemne, bujne włosy miał starannie przyczesane. A nawet, nim się pojawił, znalazł dość czasu, by spryskać je wodą kolońską.

– Miło mi, że zadzwoniłeś na policję, Vinnie. Z pewnością ucieszą się bardzo, gdy

przyjadą i zobaczą, o co chodzi. Radzi też będą pozostali mieszkańcy sąsiednich domów, kiedy zajadą na sygnałach z głośnym piskiem opon.

Bobby spojrzął na Vinniego.

– To prawda, że wezwałeś policję, synu?

„Bankier” wysunął wojowniczo podbródek.

– Tak, wezwałem. Będą, tu za chwilę. Jeśli jesteś jej alfonsem, masz niewiele czasu, by się stąd ulotnić.

Bobby nadal dopytywał się dobrodusznym tonem:

– Z kim rozmawiałeś, synu: z numerem awaryjnym czy z dziewięćset jedenaście?

Vinnie zachnął się.

– Nie jestem twoim synem. Mnie w ten sposób nie kupisz.

Bobby spojrzął na mnie z krzywym uśmiechem.

– Czyżbyś próbowała go kiedyś przekupić?

Następnie, zwracając się do Vinniego, pokazał mu swoją odznakę policyjną.

– Wiem, iż pani Warshawski nie jest łatwą sąsiadką. Mam zamiar zaraz zabrać ją stąd. Ale najpierw chcę wiedzieć, czy dzwoniłeś na dziewięćset jedenaście, czy na numer awaryjny – żeby odwołać patrol. Nie mogą tracić czasu na próżno tylko dlatego, że masz się na pieńku z sąsiadami.

Vinnie wyduł usta; najwyraźniej nie miał ochoty kapitulować, ale jednocześnie zrozumiał, że nic innego mu nie pozostaje.

– Dziewięćset jedenaście – wymamrotał, po czym dodał już bardziej wojowniczo: – Już najwyższy czas, żeby ktoś się nią zajął!

Bobby spojrzął w kierunku policyjnego samochodu i zawołał:

– Furey!

Michael wygramolił się z samochodu i podszedł do nas. Tego mi tylko jeszcze brakowało, żeby mój romans zamienił się w farsę. Miałam jeszcze jednego świadka mojego uścisku miłosnego z Robinem.

– Ten facet zadzwonił na dziewięćset jedenaście, gdy usłyszał moją rozmowę z Wik. Połącz się z nimi przez radio i anuluj, okay? I wyłącz światła, by mu nie przeszkadzały snuć pięknych snów.

Michael całkowicie zignorował moją obecność. Vinnie poprosił Bobby’ego o numer odznaki policyjnej, by złożyć na niego skargę do zwierzchnika. Bobby położył mu swą ciężką dłoń na ramieniu i zapewnił, iż policja ma doprawdy pełne ręce roboty.

– W porządku, ale niech pan przynajmniej pouczy tę kobietę, by nie załatwiała swoich spraw na korytarzu i w środku nocy – zażądał i zniknął w drzwiach domu.

– Czy to prawda? – zapytał Bobby.

Zacisnęłam zęby, lecz nie próbowałam się sprzeciwić, gdy chwycił mnie za ramię i poprowadził w kierunku samochodu. Nie miałam ochoty, żeby na scenie ukazał się jeszcze pan Contreras wraz z Peppy.

– To była Helena – odpowiedziałam krótko. – Ostatnio odwiedzała mnie kilkakrotnie. Zawsze po północy.

– Nie widziałem jej na oczy od pogrzebu Tony’ego. Nawet nie wiedziałem, że wciąż jeszcze tu mieszka.

– Ja też wołałabym jej nie oglądać. Hotel, w którym mieszkała, spłonął w zeszłą środę; słyszałeś chyba o pożarze budynku w pobliżu McCormick Place?

Bobby chrząknął.

– A więc przyszła do ciebie. A ty w głębi serca nie różnisz się niczym od swoich rodziców.

Słyszac to zaniemówiłam. Bobby otworzył tylne drzwi samochodu. Skinęłam ręką Robinowi i weszłam do środka.

Michael siedział na przednim siedzeniu, John McGonnigal – sierżant, którego Bobby lubił najbardziej i wszędzie zabierał ze sobą – na tylnym. Powiedziałam im „cześć”. Podczas drogi na chwilę nie przerwali ożywionej rozmowy o problemach policyjnych. Nawet gdybym chciała się włączyć do rozmowy, nie potrafiłabym.

ROZDZIAŁ 15

W kostnicy

Jakiś praktyczny biurokrata ulokował okręgową kostnicę w pobliżu Near West Side – dzielnicy o najwyższym wskaźniku popełnianych morderstw. W ten oto sposób oszczędzano na transporcie zwłok. Nawet w dzień betonowy budynek kostnicy wyglądał jak bunkier pośrodku pola bitwy – nie trzeba dodawać, że było to najbardziej przygnębiające miejsce w Chicago.

Gdy podchodziliśmy do ruchomych, metalowych drzwi z napisem „Wjazd”, Furey zaczął wypowiadać szereg formułek, mających uchronić go prawdopodobnie od nagłej śmierci, co zrobiło na mnie nieprzyjemne wrażenie. McGonnigal nie przyłączył się na szczęście do niego. Szybko przeszłam do przodu i znalazłam się w przedsionku kostnicy, przypominającym niewielkie pudło z grubego szkła. Przy biurku recepcyjnym stało kilku urzędników; zajęci rozmową, nie zareagowali na mój widok. Dopiero kiedy obok mnie ujrzeli Bobby’ego, przerwali rozmowę, a jeden z nich nacisnął na przycisk.

Kiedy usłyszałam charakterystyczny brzęczek, popchnęłam drzwi, a gdy się otwały, przytrzymałam je dopóty, dopóki Bobby i jego chłopcy nie znaleźli się po drugiej stronie. Furey ciągle nie zwracał na mnie uwagi. Nie dbałam o to: było jasne, że moja wycieczka z nim na imprezę wyborczą w niedzielę była naszą ostatnią randką.

Dla ludzi przychodzących tutaj w celu dokonania identyfikacji zwłok najbliższych i najdroższych osób urządzono małą, umeblowaną poczekalnię, w której można było oglądać nieboszczyków nie bezpośrednio, ale na ekranie. Bobby widać uważał, że ja nie muszę być traktowana z taką subtelną. Bez słowa popchnął drzwi wiodące do sali autopsji. Weszłam za nim, starając się nie stracić pewności siebie.

Sala wyposażona był w cztery stanowiska pracy dla patologów. W tej chwili jedynym przedstawicielem personelu był dozorca, mężczyzna w średnim wieku; ubrany w dzinsy i zarzucony na ramiona roboczy fartuch, zagłębiany w lekturze magazynu kryminalnego. Obrzucił nas obojętnym spojrzeniem. Wstał z miejsca dopiero wtedy, gdy Bobby mu się przedstawił i powiedział, o co chodzi. Nie śpiesząc się, poprowadził nas do grubych podwójnych drzwi z napisem „Lodówki”.

Wewnątrz znajdowały się ułożone rzędami zwłoki z częściowo owiniętymi w czarną folię korpusami, z głowami odkrytymi i odchylonymi do tyłu. Otwarte usta jak gdyby wyrażały zaskoczenie śmiercią. Poczulałam, iż krew zastyga mi w żyłach. Nie miałam najmniejszej ochoty zasłabnąć w obecności Fureya i McGonnigala. Dzięki Bogu, Furey przestał recytować swoje formułki.

Dozorca spojrzął na trzymaną w rękę listę, podszedł do zwłok, sprawdził dane na przywiązanej do nogi kartce, po czym wózek z denatką przetoczył do sali autopsyjnej.

– Tutaj będziemy mogli lepiej się jej przyjrzeć – rzekł z ulgą Bobby.

Podprowadził mnie do zmarłej i ściągnął folię. Przede mną leżała Cerise. Obnażona

wyglądała na małą i szczupłą. Pod piersiami sterczały żebra, ciąża nie zdążyła jeszcze zaokrąglić jej płaskiego brzucha. Jej włosy były poplątane. Odruchowo wyciągnęłam rękę, by je pogłaskać.

Bobby przyglądał mi się uważnie.

– Znasz ją, nieprawdaż? – zapytał.

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Wygląda jak wiele innych kobiet, z którymi miałam do czynienia. Czemu myślisz, że ją znam?

Zacisnął wargi, miał wyraźną ochotę krzyknąć na mnie, ale się opanował.

– Przestań udawać i skończ z tą grą, Wik. Jeśli wiesz, kim ona jest, to powiedz, by można było powiadomić bliskie jej osoby.

– W jaki sposób zmarła? – zapytałam.

– Tego jeszcze nie wiemy. W piątek zostanie przeprowadzona sekcja zwłok. Prawdopodobnie śmierć nastąpiła w wyniku przedawkowania narkotyków. Czy te informacje pomogą ci w jej zidentyfikowaniu? – sarkazm Bobby’ego nigdy nie był miły.

– Właściwie czego chcesz ode mnie? W tej kostnicy leżą dziesiątki innych zmarłych narkomanów i nikt się nimi specjalnie nie interesuje, a w trzy godziny po śmierci tej narkomanki mamy na miejscu aż trzech przedstawicieli policji kryminalnej? O co tutaj chodzi?

Oczy Bobby’ego błysnęły twardym blaskiem.

– Nie ty jesteś tutaj szefem policji, Wik, i nie ty będziesz decydowała, co mam robić.

Zaskoczył mnie ten wybuch gniewu; było teraz jasne, że nie znajdował się tutaj z własnej woli. Popatrzyłam w zamyśleniu na Cerise. Co takiego było w jej życiu czy też śmierci, że policja tak bardzo się nią interesuje?

– Gdzie ją znaleziono? – zapytałam nagle.

– Na wielkim placu budowy w pobliżu Navy Piers. – Tym razem odpowiedział mi McGonnigal. – Strażnik znalazł ją podczas obchodu w szybie windy i nas powiadomił. Chyba nie leżała tam długo.

– Chodzi o Rapelec Tower, prawda? Co skłoniło strażnika, by spojrzeć w dół szybu windy?

McGonnigal potrząsnął głową.

– Przypadek. Chyba nigdy się nie dowiemy, dlaczego znalazła się na tej budowie. Co prawda można tam było spokojnie skończyć ze sobą, ale dlaczego właśnie tam – trudno znaleźć odpowiedź.

– Co takiego znaleźliście przy niej, iż pomyśleliście o mnie?

Bobby skinął na Fureya, który sięgnął do plastikowej torby z dowodami rzeczowymi i wydobyl mały tekturowy prostokącik z moją fotografią.

– Hmm – chrząknęłam. – Wygląda jak moje prawo jazdy.

Bobby roześmiał się z satysfakcją.

– Słuchaj, Wiktorio, nie jesteśmy tu dla celów towarzyskich i dlatego interesują nas tylko jednoznaczne odpowiedzi. Znasz tę dziewczynę czy nie?

Skinęłam twierdząco głową, aczkolwiek niechętnie. Nie lubię być przesłuchiwana przez policję.

– To jest Cerise Ramsay.

– W jaki sposób weszła w posiadanie twojego prawa jazdy?

– Ukradła mi je dziś rano – stwierdziłam krzyżując ręce na piersiach.

– Czy zameldowałaś policji o kradzieży?

Potrząsnęłam głową przecząco.

Bobby uderzył dłonią o brzeg wózka aż brzęknęło.

– Dlaczego nie, u diabła?

Wyglądał na wściekłego. Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Sądziłam, że je zabrała Helena.

– Ach tak – westchnął. Krew odpłynęła mu z twarzy, uspokoił się. Spojrzał na Fureya i McGonnigala. – Dlaczego nie czekacie na mnie w samochodzie?

Kiedy już wyszli, dodał spokojnym, ojcowskim tonem:

– W porządku, Wik, opowiedz mi teraz całą historię, a nie tylko to, czego się i tak dowiem. Tony powiedziałby ci to samo w tej sytuacji.

Miał rację. Tylko że ja byłam już za stara, żeby cokolwiek czynić tylko dlatego, że ojciec by mi tak kazał. Z drugiej strony nie chodziło o klienta, którego należało chronić. Nie miałam najmniejszego powodu, żeby nie opowiedzieć Bobby’emu wszystkiego, co wiedziałam o Cerise.

Bobby poprosił dozorcę, by wskazał nam jakieś ustronne miejsce, gdzie przy kawie lub kieliszku whisky można spokojnie porozmawiać. Tam opowiedziałam mu całą historię mojej znajomości z Cerise i jej matką, zaznaczając, iż Zerline jest chora na serce, więc wszelkie konfrontacje i rozmowy mogą poważnie zaszkodzić jej zdrowiu.

Bobby skinął głową.

– Zobaczymy. A teraz powiedz mi, co robiłaś na Eleventh Street i co tak zdenerwowało Rolanda Montgomery’ego?

Zmiana tematu nie zaskoczyła mnie bynajmniej.

– Nic – odparłam poważnie – sama nie rozumiem, o co mu poszło.

– Przyszedł do mnie wściekły i zażądał, bym cię przymknął, jeśli jeszcze kiedyś pojawisz się w pobliżu „Indiana Arms”.

Ton Bobby’ego był spokojny i neutralny – nie potępiał mnie, tylko najwyraźniej chciał uprzedzić, iż nie będzie w stanie mnie obronić przed zbyt potężnymi przeciwnikami. Jednocześnie dał mi do zrozumienia, że powinnam mu powiedzieć – jeśli wiem – dlaczego „Indiana Arms” jest tak trefną sprawą. Niestety, na ten temat nie miałam nic do powiedzenia, aczkolwiek on nie bardzo w to wierzył.

Była już druga w nocy, kiedy Furey, prowadząc brawurowo samochód w całkowitym milczeniu, podrzucił mnie do domu. Nie próbowałam nawet być dla niego miła i nie żałowałam, iż zobaczył mnie z Robinem. Wszystko to było farsą, a nie tragedią, a ja nie pretendowałam do roli Desdemony.

Po wyjściu z samochodu poczekałam, dopóki nie odjechał. Mój wóz był zaparkowany po

drugiej stronie ulicy. Wsiadłam doń i zatoczywszy duże „U” pojechałam pustymi o tej porze ulicami w kierunku Navy Piers.

Kompleks budowlany Rapelec robił imponujące wrażenie rozmachem. Nie obejmował samego Navy Piers, gdyż tam jakiegokolwiek zmiany terenu były niedozwolone. Obszar objęty budową leżał po zachodniej stronie Lake Drive, naprzeciwko mola, między rzeką i Illinois Street. Fundamenty położono w maju. Wieżowce miały już obecnie po dwadzieścia pięter, centrum biurowe dźwigało się w nieco wolniejszym tempie. Sznur jarzących się żarówek wyznaczał szkielet żelaznej konstrukcji. Właściwie nie cierpię na lęk wysokości, ale na myśl o znalezieniu się na szczycie wieżowca pozbawionego ścian przejmował mnie lęk. Gdy patrzyło się na budynek z dołu, wyglądał groźnie z czarnymi wnękami okiennymi i stalowymi belkami. Poczulałam, że na całym ciele mam gęsią skórę. Najchętniej uciekłabym do samochodu i wróciła do domu. Posuwając się do przodu, uważałam na każdy krok i jednocześnie przeklinałam własną głupotę, jaką było pozostanie w stroju wyjściowym. Okrążyłam budowę z zewnątrz; nigdzie nie było widać strażników. Jediną przeszkodę w wejściu na jej teren stanowiły drewniane płyty. Trochę nerwowo rozejrzałam się wokół. Wybrałam jedno z wejść, wyznaczonych przez światło, bez wiszących nad nim i grożących upadkiem belek. Moje wyjściowe pantofelki zaskrzypiały na deskach. Na trzecim piętrze deski się skończyły – stapałam po płycie z cementu. Przynajmniej przed mną i po prawej stronie ciemności pochłaniały podłogę, belki i żerdzie, na lewo – sznur światła wydobywał z mroku przejście ułożone z desek. Stąpając wzdłuż korytarza, czułam jak poca mi się ręce i swędzą palce u nóg.

Do tego miejsca piętra otrzymały już swój przybliżony kształt, nie miały jeszcze ścian wewnętrznych. Światło dochodziło tutaj z wiszących na konstrukcjach stalowych nielicznych żarówek, dlatego z trudem sięgałam wzrokiem w zakamarki budynku. Ramiona tych konstrukcji podtrzymywały sufit. Atramentowe ciemne plamy mogły być zarówno otworami w podłodze, jak też częściami jakiejś maszynarii.

W tym momencie pomyślałam o Cerise, która przyszła tutaj, aby umrzeć w samotności i poczułam mimo woli dreszcz przerażenia.

– Halo! – zawołałam jak mogłam najgłośniejszym głosem, przykładając do ust zwinięte w trąbkę dłonie.

Mój głos zabrzmiał jednak słabo i nagle urwał się gdzieś w labiryncie licznych pomieszczeń. Drzwi do jednego z nich stały przede mną otworem. Weszłam do środka. Było oświetlone jedynie przez żarówkę wiszącą na korytarzu. Zaczęłam się rozglądać za kontaktem, znalazłam coś w tym rodzaju, umocowane na grubym kablu. Nacisnęłam nerwowo w obawie przed porażeniem prądem. Cały pokój rozjaśnił się światłem.

Pod jedną ze ścian stały dwa stoły kreślarskie. Półki z książkami, sprawiające wrażenie tapet o olbrzymich wzorach, pokrywały pozostałe ściany. Wyjęłam jedną z nich – była ciężka. Z trudem położyłam ją na stole. Zawierała odbitki światłodrukowe. Niełatwo było w nich się zorientować, ale odniosłam wrażenie, że mam przed sobą plan narożnika dwudziestego trzeciego piętra. Faktycznie, cały tom zawierał poszczególne fragmenty tego piętra. Zamknęłam go i wstawiłam na miejsce.

Na jednym ze stołów kreślarskich leżało kilka kasków ochronnych, pod nimi stosy dzienników wykonywanych robót. Były to łatwiejsze do zrozumienia dla mnie dokumenty. Kolumna z lewej na każdej stronie mieściła wykonawców – tuż obok zapis roboczogodzin.

Ze szczególną uwagą przeglądałam listę wykonawców, poszukując wśród nich znajomych mi nazwisk. Najczęściej powtarzały się: Wunsch i Grasso. Wśród architektów – Hurliney i Frein. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, iż projekty architektoniczne mogą być wciąż przedmiotem obróbki również w trakcie budowy. Obecność jednej z firm tu nawet mnie rozbawiła; chodziło o Farmworks Inc. Co tego rodzaju inwestycja może mieć wspólnego z rolnictwem? Farmworks wypracowało na budowie ponad pięćset roboczogodzin w ciągu jednego tylko tygodnia.

Nagle odgłos ciężkich kroków rozległ się za moimi plecami. Mimo woli upuściłam trzymane w rękę papiery, a serce zaczęło mi bić w przyspieszonym tempie.

– Halo? – zawołałam nieco drżącym głosem, wściekła na siebie za okazaną nerwowość. Nabrawszy oddechu w płuca, wyszłam na korytarz.

Jakiś zwalisty mężczyzna w czarnym kombinezonie patrzył na mnie spode łba. W jednej ręce trzymał latarkę, drugą miał wspartą na kolbie umocowanego na pasie pistoletu.

– Kim pani jest i co, u diabła, pani tu robi? – zapytał nieprzyjaźnie głębokim barytonem.

– Nazywam się Warshawski. Jestem detektywem i przyszedłam tutaj z kilkoma pytaniami odnośnie śmierci dziewczyny, której zwłoki tutaj znaleziono.

– Kilka godzin temu była już ta w tej sprawie policja – stwierdził, zdejmując jednocześnie rękę z pistoletu, lecz oczy nadal wyrażały czujność.

– Przybyłam prosto z kostnicy, tam spotkałam się z porucznikiem Mallorym i sierżantem McGonnigalem. Obaj zapomnieli wyjaśnić wiele kwestii. Skoro więc tutaj jestem, chciałabym przede wszystkim zobaczyć miejsce, w którym ją znaleziono.

Przez chwilę sądziłam, że ma zamiar mnie wylegitymować, ale moja pewność siebie i wymienione nazwiska policjantów uspokoiły go.

– Nie mogę pani tam zaprowadzić bez kasku na głowie. Wzięłam ze stołu jeden z kasków.

– Chyba może mi pan go wypożyczyć? – spytałam.

Zmierzył mnie chłodnym wzrokiem; najwyraźniej nie miał na to wielkiej ochoty, ale też nie było oczywistych powodów, żeby mógł odmówić.

– Powinniśmy wzajemnie szanować swój czas – oświadczył – a ja nie mam go zbyt wiele. Chodźmy więc, lecz ostrzegam, iż nie mam zamiaru na panią czekać, jeśli nie będzie pani nadążała za mną w tym śmiesznym obuwiu.

Włożyłam na głowę kask i pogрузyłam się jego śladem w otaczający budowę mrok.

ROZDZIAŁ 16

Czule miejsce

Szłam za nim potykając się w ciemnościach. Powiedział mi, że nazywa się Leon Garrison, jest nocnym stróżem i kierownikiem grupy na budowie Rapelec. Jego firma, LockStep, specjalizuje się w ochronie placów budowy. Odniosłam wrażenie, iż jego niechęć do mnie miała swoje źródło w tym, że zraniłam jego dumę zawodową, przedostając się na teren budowy bez jego wiedzy. Był tym wyraźnie rozdrażniony. Kiedy oświadczyłam, iż kilkakrotnie usiłowałam kogoś przywołać, nie poprawiło mu to humoru.

Zwiózł mnie na sam dół windą zainstalowaną na zewnątrz budynku. Po wyjściu z niej włączył światła, które wydobyły z ciemności zwoje drutu, sterty desek, zwały brył betonowych okalające budynek.

Idąc tuż za moim przewodnikiem, starałam się spostrzegać wszystkie przeszkody i zrećnie je omijać. Wydawało mi się, że nie był z tego zadowolony.

Nagle przystanął tuż przed głębokim, kwadratowym wykopem.

– Czy pani ma jakieś pojęcie o budowie? – zapytał.

– Najmniejszego – usłyszał w odpowiedzi.

To poprawiło jego nastrój do tego stopnia, że postanowił mi wyjaśnić, iż windy uruchamia się po wybudowaniu szybu i zainstalowaniu maszynarii.

Garrison, prowadząc mnie do otworu, w którym odkrył zwłoki Cerise, zaglądał do innych, by się upewnić, iż nie czekają go już żadne przykre niespodzianki. Kiedy dotarliśmy do właściwego otworu, skierował strumień światła latarki do góry, bym mogła zobaczyć platformę utrzymującą dźwig na wysokości dwudziestego piętra. Patrząc na kołyszącą się lekko nad naszymi głowami ciężką platformę i spoglądając w głąb znajdującego się u naszych stóp wykopu, poczułam mdłości. Cofając się o krok od krawędzi, dostrzegłam na twarzy Garrisona uśmiešek – najwidoczniej sprawiło mu satysfakcję, gdy choć na moment udało mu się wytrącić mnie z równowagi.

– Co pana skłoniło tego wieczoru do spojrzenia w dół wykopu? – Usiłowałam nadać głosowi naturalne brzmienie, choć miałam w tej chwili ochotę wymiotować.

– W ubiegłym tygodniu na jednym z rusztowań wybuchł pożar. Chłopcy lubią wrzucać tu odpadki. Któryś z nich cisnął niedopałek i zaczęło się palić. Dlatego chciałem sprawdzić, jakiego rodzaju śmieci tam się gromadzą.

Poprosiłam, by strumień światła skierował w głąb otworu i wtedy dostrzegłam grubo ciosane szczelby, po których można zejść na dół. Trudno było uwierzyć, że Cerise sama wybrała to miejsce na wstrzyknięcie sobie narkotyku.

– Jak często sprawdza pan te wykopy?

– Jeden raz w ciągu nocy, najczęściej na początku zmiany.

– Gdy pan ją zobaczył, czy zaraz zadzwonił pan na dziewięćset jedenaście?

Podrapał się w tył głowy, tuż poniżej karku.

– Szczerze mówiąc, najpierw zadzwoniłem do Augusta Craya. On w nocy nadzoruje cały teren inwestycji. Zszedł na dół, zobaczył, co się stało, i polecił mi zadzwonić na policję. Sam zaś zadzwonił nieco później do wykonawcy.

– Wunscha i Grasso?

– Musi pani zapytać o to Craya. Ta budowa ma wielu wykonawców i wszyscy bardzo się nią interesują. Zwłoki ludzkie na budowie – to niecodzienna historia.

Wydawało mi się, że na jego twarzy pojawił się głupawy uśmieszek. Zastanawiałam się, gdzie był Cray, kiedy trzykrotnie wołałam „halo”. W każdym razie on powiadomił o wypadku kogoś z firmy Wunsch and Grasso – być może samego Erniego, który z kolei prawdopodobnie zadzwonił do kolegi z lat chłopięcych – Fureya, prosząc o czyste załatwienie sprawy bez rozgłosu w prasie. Takie następstwo faktów było możliwe, a nawet prawdopodobne, chociaż nie wyjaśniało, jaka jest w tym rola Bobby’ego.

Czy Wunsch i Grasso nie wykorzystali przypadkiem swych dobrych stosunków z Bootsem, żeby do śledztwa przyciągnąć samego szefa policji kryminalnej? Ale to nie miałyby sensu – jeśli istotnie byli zainteresowani tym, by wokół sprawy było jak najmniej szumu. Powiadomienie Bootsa i okręgowej policji dawało akurat odwrotny efekt.

Usiłowałam coś więcej wydobyć z Garrisona, ale bezskutecznie. Nie potrafił mi powiedzieć, do kogo Cray dzwonił, ani wyjaśnić, dlaczego miasto przysłało szefa policji kryminalnej na miejsce wypadku.

– Czy pani już wszystko zobaczyła, co chciała wiedzieć? – zapytał mnie ostro w pewnym momencie. – Nie życzyłbym sobie, żeby jeszcze dziś w nocy przyszedł tu jakiś policjant. Mamy wystarczająco dużo roboty.

– Może pan być spokojny – odparłam. – Sądzę, iż policja nie będzie już pana niepokoić, przynajmniej w ciągu najbliższych dwunastu godzin.

– To dobrze. – Zgasił latarkę i ruszył w stronę windy. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli powiem Crayowi o pani wizycie – zawsze lubi wiedzieć, kto przychodzi w nocy na teren budowy.

Pojechaliśmy na trzecie piętro.

– Jak na policjanta jest pani trochę dziwnie ubrana – zauważył, gdy wychodziliśmy z windy.

– To śmiesznie wygląda na placu budowy – poprawiłam go. – Jednak nawet detektywi mają prywatne życie. Śmierć tej dziewczyny zakłóciła moje plany.

– Przypomniał mi się Bobby oświetlający reflektorami samochodu mnie i Robina. Teraz to całe zdarzenie oceniałam bardziej humorystycznie niż przed godziną. Zdusiłam w sobie śmiech.

Garrison zapukał do jednego z niewielkich pomieszczeń.

Cray okazał się tęgim, siwiejącym mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Przyglądał mi się podejrzliwie, podczas gdy Garrison wyjaśniał powody, które mnie tu sprowadziły.

– Czy nie słyszałeś nic, gdy pani tu przedtem była? – zapytał Craya.

– Byłem w ubikacji – odparł krótko. – Czy pani wie już wszystko, co trzeba? Następnym razem proszę najpierw zadzwonić.

Uśmiechnęłam się promiennie.

– Następnym razem z pewnością tak uczynię. Proszę mi jednak powiedzieć, do kogo pan zadzwonił, gdy Garrison doniósł panu o znalezieniu zwłok? Do Erniego czy też do Rona?

Cray zmarszczył się.

– A czy to takie ważne?

– W pewnym stopniu tak. Śmierć narkomanki nie powinna zaprzętać głowy szefa policji kryminalnej, próbuję ustalić, dlaczego stało się inaczej.

– To dlaczego pani nie zapyta o to swojego szefa? – W głosie Craya pojawił się ostry, nieprzyjemny ton.

– Porucznika Mallory’ego? – zapytałam, ale nic na to nie odpowiedział. – Poza tym on nie jest moim szefem.

– Chwileczkę. – Cray podniósł się z krzesła. – Proszę mi okazać legitymację służbową.

Wyjęłam portfel i pokazałam mu miniaturę licencji detektywa.

– To pani nie jest z policji? My zawracamy sobie panią głowę, a pani nie jest policjantką? Do diabła, należałoby panią posadzić.

Uśmiechnęłam się ponownie:

– Mogę panu dać numer domowego telefonu porucznika Mallory’ego, jeśli chciałby pan go o to prosić. Ja nikomu nie oświadczyłam, że jestem z policji, a panu Garrisonowi powiedziałam, iż jestem detektywem. Mógł mnie zapytać o służbową legitymację, ale tego nie uczynił. Poza tym znam Erniego i Rona – mogę do nich zadzwonić jutro rano i dowiedzieć się, do którego z nich pan zadzwonił. – Proszę więc to zrobić, a teraz jak najszybciej opuścić tę budowę, zanim zdarzy się tu jakiś wypadek i coś ciężkiego spadnie na pani przebiegłą główkę.

Oddychał ciężko. Nie widziałam powodu dla takiego zdenerwowania, ale pomyślałam, że zrobię roztropnie, gdy opuszczę ten teren.

Gdy znalazłam się już za kierownicą samochodu, nagle poczułam ogromne zmęczenie. Bolały mnie stopy. Rzeczywiście zrobiłam głupstwo, przybywając tu w takim obuwii. Zdjęłam pantofle z nóg, zimny pedał przyjemnie chłodził spód mojej stopy. Na klatce schodowej odrzuciłam złośliwą pokusę naciśnięcia dzwonka do Vinniego – nie dlatego, żeby mi się zrobiło go żal, ale chciałam przede wszystkim spać, a on z pewnością na moją prowokację odpowiedziałby awanturą.

Za drzwiami pana Contrerasa skomlała cichutko Peppy, słysząc moje kroki, ale na szczęście nie zaczęła szczeleć. Starszy pan był wystarczająco głuchy, żeby nie słyszeć skomlenia, natomiast z pewnością usłyszałby szczenie. U siebie natychmiast się rozebrałam. Gdy weszłam do sypialni, byłam już naga. Leżąc na łóżku, natychmiast zasnęłam.

Spałam twardo, lecz niespokojnie; Helena i Cerise ścigały mnie wśród stalowych konstrukcji budowlanych. Kiedy już sądziłam, że udało mi się przed nimi uciec, nagle pojawił się przede mną głęboki szyb windy, a gdy chciałam się cofnąć, dojrzałam na jego dnie nagą Cerise, ze splątanymi warkoczami, wyciągającą do mnie ramiona i błagającą o ratunek. Gdzieś z tyłu dochodziło do mnie echo głosu Velmy Riter: „Pilnuj swoich spraw, Wik, wiele

osób mówi o tobie, że jesteś wrzodem na siedzeniu”.

Do mojej świadomości doszedł nagle dzwonek telefonu. Z trudem podniosłam się z pościeli po słuchawkę aparatu.

– Słucham – wymamrotałam.

– Pragnę rozmawiać z Wiktoria Warshawski – usłyszałam rzeczowy głos sekretarki.

Uprzytomniłam sobie, iż chodzi o mnie. Po chwili zostałam połączona.

– To ty, Wik? Tu Ernie Wunsch. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, chociaż moja dziewczyna powiedziała, że chyba wyrwała cię ze snu.

Pomyślałam, że niedawno LeAnn nazywał swoją dziewczyną; gdy została jego żoną, dziewczyną jest sekretarka. Wyrwana ze snu, powoli zbierałam myśli, więc tylko chrząknęłam.

– Kilka minut temu dzwoniło do mnie z Rapelec, że byłeś tam w środku nocy.

Znów odpowiedziałam chrząknięciem.

– Czy moglibyśmy może w czymś pomóc? Nie kryję, że trochę zdenerwowała mnie wiadomość o twojej wizycie poza naszymi plecami.

– Poczekaj, Ernie, zaraz wrócę – odłożyłam na bok słuchawkę i wyszłam do łazienki. Nie śpiesząc się, wstąpiłam do kuchni, by wypić szklankę wody. Kiedy podniosłam słuchawkę, wyczułam, iż Ernie jest wściekły, ale ja myślałam już przytomnie.

– Przepraszam cię, Ernie, ale twój telefon zaskoczył mnie w trakcie, gdy byłam czymś innym zajęta. Wiesz już, oczywiście, o zwłokach młodej kobiety, znalezionych ubiegłej nocy na terenie budowy?

– Jakaś czarna narkomanka. A dlaczego to ciebie interesuje?

– Była moją podopieczną, Ernie. Obiecałam jej matce, że się nią zaopiekuję i niestety nie wyszło mi. – W tym momencie wyobraziłam sobie udręczoną twarz Zerline Ramsay, co zresztą nie poprawiło mojego nastroju.

– A więc?

– Więc kiedy usłyszałam, że ją znaleziono na placu budowy Rapelec, pomyślałam, że lepiej sama spróbuję sprawdzić, dlaczego tam się znalazła.

– Jeśli ci jeszcze raz przyjdzie ochota rozmawiać z moimi ludźmi, najpierw zadzwoń do mnie. Cray był wściekły, że przyszedł tam, udając oficera policji. Nalegał, żeby cię aresztować. Gdybym nie wiedział, że to diabelnie zmartwiłoby Michaela, chyba bym to uczynił. Jeśli już chcesz zabawiać się w detektywa, rób to gdzie indziej. – Głos miał wyraźnie nieprzyjazny.

– Ponieważ już jednak zabawiam się w detektywa, może powiesz mi, Ernie, dlaczego tą sprawą zajął się wyższy oficer policji? Gdyby ją powierzono zwykłemu policjantowi, zameldowałby po prostu o śmierci narkomanki i prawdopodobnie na tym by się skończyło.

Już w trakcie formułowania tego pytania przyszła mi do głowy – przynajmniej częściowo – odpowiedź. Emie zadzwonił do Fureya, gdyż był jego kolegą. Furey powiadomił Bobby’ego. Nie, to chyba nie miało sensu – Fureyowi powinno zależeć, aby Mallory był jak najdalej od tej sprawy, by ją możliwie zminimalizować. Być może coś spartaczył i nie mógł tego ukryć przed Bobbyem. Lecz to też nie miało sensu, gdyż Bobby był wściekły, iż został w

tę sprawę wplątany. Ktoś najwidoczniej polecił mu się nią zająć wbrew jego życzeniu.

Gdy te myśli chodziły mi po głowie, Ernie brutalnie oświadczył:

– Pilnuj lepiej własnego nosa, Wik, wtedy wszyscy będą cię lubili.

Ta rada zdenerwowała mnie.

– Jeśli sądzisz, że mnie przestraszysz, to bardzo się mylisz. To, co powiedziałeś, nie zrobiło na mnie najmniejszego wrażenia.

Zdawało mi się, iż w ostatniej chwili, kiedy odkładał słuchawkę, usłyszałam:

– Nie mogę zrozumieć, co Michael w niej widzi.

A ja nie potrafię zrozumieć, co takie słodkie stworzenie jak LeAnn w Erniem dostrzegło.

Na bolących i spuchniętych po ostatniej eskapadzie nogach weszłam do kuchni, by napić się kawy. Czy Ernie zdenerwował się tak dlatego, że nie okazałam respektu dla jego nadzoru na budowę? Czy też w śmierci Cerise było coś takiego, co szczególnie go zaniepokoiło? Wciąż nie potrafiłam zrozumieć, czemu Bobby wbrew woli został wplątany w to śledztwo. Miałam wrażenie, że głowę wypełnia mi wata. Nic rozsądnego nie przychodziło mi na myśl.

Nie uległam pokusie moczenia całej raności bolących stóp w wannie. Byłam przekonana, że najlepszym sposobem na ból głowy jest jogging. Nie mogłam również skazać Peppy jedynie na stateczny spacer z panem Contrerasem.

Gimnastyka poranna zabrała mi tym razem więcej czasu niż zwykle. Mimo to wciąż nie czułam się w formie. Gdy ubrana w dres schodziłam na dół, Peppy natychmiast mnie usłyszała i skomląc rzuciła się na powitanie. Zawsze była gotowa przejść natychmiast od głębokiego snu do intensywnego ruchu. Jak szalona obiegła mnie kilkakrotnie dookoła, a następnie rzuciła się w dół po schodach, by po chwili do mnie wrócić. Pan Contreras stał w drzwiach mieszkania, gdy przechodziłyśmy obok.

– Zabieram Jej Jaśnie Oświeconą Psią Mość ze sobą na mały spacer – oświadczyłam.

Skinął głową bez słowa i cofnął się do środka. Wciąż jeszcze był obrażony. Zaciśnęłam zęby, ale nie próbowałam go zatrzymywać. Nie byłam gotowa do żadnych pojedynczych gestów.

Szłam wolno aleją do Belmont, co chwila wołając na Peppy. W porcie poczułam się całkowicie rozluźniona i mogłam rozpocząć bieg. Po kilometrze zawróciłam i biegłam w nieco wolniejszym tempie. Zaprowadziłam Peppy na jej ulubione miejsce w pobliżu laguny. Natychmiast rzuciła się w pogoń za stadem kaczek. Dopóki ostatecznie nie odrzuciły na jezioro, udawała, że nie słyszy moich nawoływań; była to chyba jej zemsta za moją kilkudniową obojętność. W końcu wróciła, łasząc się do mnie z wywieszonym jęzorem, po psiemu uśmiechnięta szeroko, jakby mi chciała powiedzieć: Słyszałam, że mnie wołałaś, ale mi tego nie udowodnisz.

W powrotnej drodze głowa przestała mi ciążyć. Poczułam się już wystarczająco dobrze, by pogodzić się z panem Contrerasem. Zapukałam ostrożnie do jego drzwi, a kiedy mi otworzył, oświadczyłam, iż pracowałam do czwartej rano, czy może więc zaprosić mnie na filiżankę kawy. Ten krok wymagał ode mnie nie lada hartu ducha, gdyż kawę parzył obrzydliwą.

Otwierając szeroko drzwi stwierdził, iż trochę kawy zostało mu ze śniadania i

jednocześnie surowo spojrział najpierw na psa, a potem na mnie.

– Dlaczego pozwoliłaś naszej księżniczce wejść do wody? – zapytał z wyrzutem. – Pomijając to, że jest zimna, nie jest czysta.

Ciekawe. Aby uzyskać przebaczenie, najpierw musiałam być skarcona. Przywołałam na usta coś w rodzaju uśmiechu.

– Wiem, wiem – odparłam – prosiłam ją i błagałam, ale wie pan, jak to jest: gdy dama sobie czegoś życzy, nigdy nie pyta innych o zdanie.

Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem.

– Zdaje się, że już poznałem takie damy, niestety. Ale to oni zabrali ciebie, nie pytając o zdanie.

Uśmiechnęłam się znacząco.

– Ma pan rację. Tak było rzeczywiście. A co będzie z tą kawą?

ROZDZIAŁ 17

Ciotka w swoim pokoju czuje się jak w twierdzy

Pan Contreras odczuwał nieco satysfakcji, gdy relacjonowałam wydarzenia ostatniej nocy. Słyszał hałas, kiedy Bobby przeszkodził mi w tête-à-tête z Robinem, ale ponieważ czuł się urażony, nie wytknął nawet nosa na ulicę.

– Przecież wiem, że zawsze lubisz sama załatwiać swoje sprawy, moje dziecko – oznajmił.

Nie wypuścił nawet Peppy z domu. Ale kiedy opowiedziałam mu o przeżyciach w kostnicy, a potem na budowie, okazał po prostu zazdrość.

– Trzeba było mnie zabrać ze sobą, dziecino – Mogli ci przecież zrzucić coś ciężkiego na głowę. Ja wiedziałbym, jak z nimi postępować.

– Wierzę panu – przytaknęłam, wzdrygnąwszy się lekko. Prawdę mówiąc, przychodził mi raz czy dwa z pomocą w moich koszmarnych snach ze stalową rurą w ręku. – Dziękuję panu za wyśmienitą kawę. A teraz muszę już iść, mam ważne spotkanie.

Wbiegając po schodach na swoje piętro, pomyślałam znów o Helenie. Trzeba ją będzie dobrze przycisnąć, aby poznać prawdę choć w przybliżeniu. Ale najpierw przysznic. Tym razem splukałam się gorącą wodą dość pobieżnie, za to wytarłam dokładnie, po czym naciągnęłam dzinsy i włożyłam jedwabną różową bluzkę.

Właśnie zamykałam drzwi, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

Wróciłam i podbiegłam do aparatu. Dzwonił Robin. Zapomniałam o telefonie do niego, ale on najwyraźniej się tym nie przejął.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytał.

– Zależy co masz na myśli. Potrzebna im byłam do identyfikacji dziewczyny, której zwłoki znaleziono na terenie budowy.

Westchnął współczująco.

– Zidentyfikowałaś?

– Tak. To była biedna czarna narkomanka, happy end był raczej niemożliwy. Niemniej jednak przeżyłam szok.

– W takich sytuacjach policja powinna zachowywać się bardziej po ludzku.

– Sądzę, iż chcieli, bym przeżyła wstrząs i powiedziała im prawdę.

Wahał się przez chwilę.

– Nie chciałbym być natrętny, szczególnie po takiej nocy, ale czy znalazłaś trochę czasu, żeby pomyśleć o mojej propozycji zbadania sprawy „Indiana Arms” dla Ajaxu?

Poczułam w piersi ciepło. Ktoś jednak cenił mnie za kompetencje i nie uważa za wrzód na siedzeniu. Właściwie minionej nocy podjęłam decyzję, ale było mi przyjemnie, że to mężczyzna dzwoni i namawia do podjęcia trudnego zadania, a nie odsyła mnie do kuchni.

– Bieda w tym, że niewiele wiem o pożarach i podpaleniach i nie sądzę, bym była w

stanie szybko się tego nauczyć...

– Nie jesteś nam potrzebna do wykonania prac techniczno-inżynierskich – to robią pracownicy laboratorium. Od ciebie oczekujemy sprawdzenia stanu finansów właściciela hotelu i wyjaśnienia, czy istniały jakieś motywy do podpalenia budynku. O ile wiem, trudno o lepszego specjalistę do wykonania tego zadania.

Uczucie ciepła przeniosło się z piersi na policzki. Zapisałam nazwisko i adres właściciela: Saul Seligman, mieszka na północy Estes. Przekroczył siedemdziesiątkę i jest pół-emerytem, często odwiedza po południu swoje biuro przy Irving Park Road. Zapisałam także numer jego telefonu.

– Czy moglibyśmy umówić się na kolację? – zapytał. – Gdzieś w pobliżu mojego domu, żeby policja nie mogła nas znaleźć.

Roześmiałam się.

– Może w piątek? Jestem trochę zmęczona i mam dużo pracy na najbliższe kilka dni.

– Doskonale, zadzwonię do ciebie w piątek rano. Wspólnie wybierzemy restaurację. Dziękuję za przyjęcie propozycji.

– W porządku – powiedziałam odkładając słuchawkę. Było wczesne popołudnie. Jeśli ciotka nie zmieniła zwyczajów, to teraz właśnie wstaje z łóżka. Prowadziłam samochód brawurowo, by po dziesięciu minutach znaleźć się przed „Windsor Arms”. Jakaś podejrzana, pogrążona w kłótni para siedziała przy wejściu na chodniku: spierali się o to, kto zawinił, że Biffy zniknął. Minęła spora chwila, zanim się zorientowałam, że chodzi o kota. Skłócona para nie zwróciła na mnie żadnej uwagi. Recepcjonistka oglądała w sali klubowej program telewizyjny z kilkoma jeszcze osobami – wszyscy całkowicie zaabsorbowani tym, co się działo na ekranie. Ktoś z nich spojrzał na mnie, ale natychmiast zaczął się znów wpatrywać w telewizor. W tej sytuacji nie pytając nikogo o zgodę, zaczęłam się wspinać schodami na górę. Pokonując po dwa stopnie naraz, szybko znalazłam się pod drzwiami pokoju Heleny. Nacisnęłam na dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoniłam ponownie – cisza. Jeśli mnie rozpoznała, ta zabawa mogła trwać godzinami.

W końcu jednak doszedł do mnie zza drzwi zaspany głos:

– Proszę sobie odejść. Mam takie samo prawo do spokojnego snu jak i ty, tępa kurwo.

Dzwoniłam uparcie, dopóki nie otwarła drzwi. Ujrzawszy mnie, próbowała je zatrzaskać przed nosem, ale udało mi się wcisnąć za nią do pokoju.

– Bardzo mi przykro, że ci przerwałam błogi sen, ciociu – powiedziałam z uśmiechem. – Czy jednak trochę nie przesadzasz, nazywając pokojówkę tępą kurwą?

– Ach to ty, Wiktorio, kochanie. Co tutaj robisz?

– Przyszłam cię odwiedzić, Heleno. Mam złe wiadomości o Cerise.

Fioletowa koszula nocna wciąż jeszcze nie była w pralni. Zapach stęchłego piwa i potu był okropny. Podeszłam do okna, by je otworzyć, lecz nie dałam rady. Usiadłam na łóżku – materac okazał się bardzo cienki. Głośno zaskrzypiały sprężyny i jakiś drut wbił mi się w pośladek.

– Złe wiadomości o Cerise, kochanie? – powtórzyła. – Co się z nią dzieje?

Spojrzałam na nią poważnie.

– Niestety, nie żyje. Ubiegłej nocy policja zabrała mnie z domu, bym zidentyfikowała jej zwłoki.

– Nie żyje – powtórzyła.

Na jej twarzy wyraz otępienia ustępował miejsca przerażeniu. Kilka łez wolno spłynęło po jej zniszczonych policzkach. – Nie powinnaś przychodzić do ludzi z takimi wiadomościami. Mam nadzieję, że nie byłaś jeszcze u Zerline w szpitalu nie wyrwałaś jej ze snu, powiadamiając o śmierci córki. Gabriela nie pochwaliłaby cię za to. A ja miałam nadzieję, że się zaopiekujesz tą biedną dziewczyną. Dlaczego pozwoliłaś jej uciec i popełnić samobójstwo? – Najwyraźniej w sposób sztuczny usiłowała wywołać w sobie gniew.

– Zrobiła to na własną odpowiedzialność. Gdy wróciłam tamtego dnia do kliniki doktor Herschel, już jej tam nie zastałam. Zadzwoiłam na policję, żeby ją odszukano. Niestety, Cerise zmarła na skutek przedawkowania narkotyku na terenie wielkiej budowy Rapelec.

Helena potrząsnęła głową zaciskając wargi.

– To straszne, kochanie, straszne! Nie potrafię pogodzić się z myślą, że Cerise nie żyje. Czy nie powinnaś jednak pójść już i pozwolić mi oswoić się z tym w samotności? Wybiorę się do Zerline i powiadomię ją o tym, co się stało, lecz teraz idź już sobie, Wik. Dobrze, że przysłałaś mi to powiedzieć, ale teraz zostaw mnie samą.

Nie przestawałam uśmiechać się i patrzeć na nią poważnie.

– Zaraz cię zostawię, Heleno, naprawdę zaraz. Zanim jednak wyjdę, powiedz mi, jakie to małe draństwo popełniłyście razem z Cerise, że obie postanowiłyście uciec?

Nastroszyła się i przybrała minę obrażonej damy.

– Draństwo, Wiktorio? Fe, to brzydkie słowo.

– Ale dobrze oddaje to, co zrobiłyście. Cóż więc takiego to było?

– Ta biedna dziewczyna jeszcze nie wystygła, a ty już szkalujesz jej pamięć. Wstydz się, Wik. Matka by cię za to nie pochwaliła – mówiąc to nerwowo skubała kraj koszuli.

Wzmianka o matce w tej sytuacji wywołała na mych ustach uśmiech rozbawienia:

– Przyznaj się, Heleno. Wyznanie prawdy przychodzi z trudem, ale potem człowiek czuje się zdrowszy. Moja matka wierzyła w oczyszczającą moc prawdy.

– Moja droga, nie mam pojęcia, o czym w tej chwili myślisz.

Potrząsnęłam głową.

– Chyba nie mówisz mi całej prawdy, ciociu. Przyszłyście do mnie, ty i Cerise, pełne obaw o los małej Katarzyny. W ciągu nocy te obawy jakoś was opuściły. Cerise zniknęła, a tym do końca grasz rolę niewiniątka. Gdyby któraś z was tak naprawdę była przejęta losem dziecka, próbowałyby nawiązać ze mną kontakt.

– Cerise prawdopodobnie nie miała numeru twego telefonu. Pewnie nawet nie zapamiętała twojego nazwiska.

Skinęłam głową.

– To mnie nie dziwi – oświadczyłam. – Ale wystarczyło, by poczekała na mnie w klinice. Wam chodziło o coś innego. Inaczej bez oporu przekazałybyście mi nazwisko Zerline.

– Po prostu sądziłam, iż nie powinnaś jej niepokoić.

– Bajki opowiadasz. W ubiegłą środę powiedziałaś Zerline, że nie wolno jej mieć przy

sobie dziecka w „Indiana Arms”. Szantażowałaś ją dla butelki? Brzydka sprawa, Heleno, ale to właśnie ocaliło dziecko. Kiedy byłaś u mnie z Cerise, dobrze wiedziałaś, że Zerline oddała dziecko drugiej babce. Chciałabym wiedzieć, co, u diabła, zamierzałaś i po co mnie w to wszystko wmieszałaś?

– W miarę mówienia podniecałam się coraz bardziej i coraz uważniej patrzyłam na ciotkę.

Łzy, jak na zawołanie, wypełniły jej oczy.

– Wyjdź stąd natychmiast, Wiktorio Ifigenio... W tej chwili wyjdź. Przepraszam, iż cię niepokoiłam po tym, jak spłonął mój hotel. Jesteś po prostu zasmarkaną gówniarą, która nie ma najmniejszego szacunku dla osób starszych. Tobie się zdaje, że całe Chicago należy do ciebie, ale to jest mój pokój i mogę wezwać policję, jeśli go natychmiast nie opuścisz.

Rozejrzałam się po pokoju i mój gniew rozwiął się całkowicie. Zastąpiło go uczucie wstydu i beznadziejności. Helena nie była w stanie wypełnić swojej groźby – nie miała nawet telefonu. Wszystko, co miała, mieściło się w jej torbie. Przełknęłam łzy i wyszłam bez słowa. Usłyszałam za sobą zgrzyt klucza w zamku. Siedząca przed hotelem para zaprzestała już kłótni i zgodnie piła ripple z jednej butelki. Wsiadłam do samochodu i oparłam czoło o kierownicę. Czasem życie jest tak bolesne, że boli nawet najmniejszy ruch.

ROZDZIAŁ 18

Dziwaczny starzec

Nagle opanowało mnie pragnienie ucieczki, choćby na sam koniec świata, tam gdzie ludzkie nieszczęście nie przyjmuje tak nagiej postaci. Ponieważ na jego realizację zabrakłoby mi środków, pozostała inna możliwość: mogłam położyć się do łóżka i nie wstawać choćby przez cały miesiąc. A jednak i to niezupełnie było możliwe, bo przecież któregoś dnia nadejdzie rachunek hipoteczny, który w przypadku niezapłacenia spowoduje, że bank mnie wykopie, a wtedy sama znajdę się w sytuacji nędzarki, która wsparta o mur budynku będzie saczyć kiepskie wino w nadziei, że znajdzie w nim zapomnienie.

W tej sytuacji podjęłam, jedyną słuszną decyzję: przekręciłam kluczyk w stacyjce samochodu i ruszyłam na północ, w poszukiwaniu biura Saula Seligmana.

Był to mały, nędzny lokal. Dolną część okien zabito deskami, u góry na szybach widniał nieco zatarty, wymalowany złotą farbą napis: „Seligman Property Management”. Poprzez szpary między deskami i pokrywającą szyby grubą warstwą kurzu nie byłam w stanie niczego dojrzeć, odniosłam jednak wrażenie, że w środku pali się światło.

Z wielki trudem udało mi się otworzyć drzwi. Okazało się, że zaczepiły o źle ułożone na podłodze linoleum. Gdy w końcu udało mi się wcisnąć do środka, spróbowałam rozprostować stopą zwinięte linoleum, nie było to jednak takie proste, dałam więc za wygraną i ruszyłam naprzód ku wysokiej, choć mocno już nadwerężonej balustradzie, skutecznie oddzielającej Saula od świata zewnętrznego. Jeśli w swoim życiu złupił cokolwiek, to po jego biurze nie sposób było tego poznać.

W głębi pomieszczenia stało pięć biurek, z których tylko jedno było zajęte. Siedząca przy nim mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta czytała wypożyczony z biblioteki egzemplarz jakiejś książki Judith Kranz. Miała wypłowiałe blond włosy starannie ułożone w fale. Od kiedy weszłam, nie raczyła oderwać ani na chwilę wzroku od książki, chociaż nie mogła nie słyszeć, jak zmagalam się z drzwiami. Palcem, na którym nosiła złoty pierścionek, przewróciła kartkę i czytała dalej z lekka przy tym poruszając ustami. Cóż, być może dziś upływał jej termin w bibliotece, a ona nawet nie dotarła jeszcze do połowy lektury.

– Mogę pani opowiedzieć, jak się ta historia kończy – powiedziałam głośno.

Z wyraźną niechęcią odłożyła książkę na bok.

– Czy droga pani czegoś sobie życzy? – zapytała.

– Pana Seligmana – oznajmiłam rzeczowym tonem.

– Nie ma go – mówiąc to sięgnęła po książkę.

– A kiedy mogłabym go zastać? – Nie rezygnowała.

– Jest na emeryturze i nie przyjmuje interesantów. Zwolniłam znajdujący się po wewnętrznej stronie bariery zatrask i przeszłam na drugą stronę.

– Być może pani jest w stanie mi pomóc. Czy pani jest kierownikiem tego biura?

– Tutaj nie wolno wchodzić, droga pani, ta część pomieszczenia jest prywatna – oburzyła

się leciwa dama.

– Jestem detektywem, madame – spokojnie zamknęłam za sobą furteczkę. – Zostałam wynajęta przez Towarzystwo Ubezpieczeniowe Ajax w celu zbadania okoliczności pożaru, hotelu „Indiana Arms”.

– Och, chodzi o „Indiana Arms” – westchnęła i przekreśliła pierścionek zaręczynowy tak, że wbił się jej głęboko w pulchny palec. – Czy są jakieś trudności?

– Podpalenia zazwyczaj pociągają za sobą kłopoty – podeszłam bliżej do jej biurka. – Towarzystwo nie wypłaci żadnej rekompensaty, póki nie będzie pewne, że pan Seligman nie ma z podpaleniem nic wspólnego.

Gwałtownie wyprostowała się na krześle, a jej bladoniebieskie oczy zapłonęły ogniem za szklami okularów.

– To jest wstrętne pomówienie! Też myśl! Pan Seligman nigdy by... Czy ma pani na to jakieś dowody?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Nie oskarżam go o podpalenie. Po prostu chcę się upewnić, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Bo rzeczywiście nie ma. Ręczę pani.

– Doskonale. Nasza rozmowa będzie więc krótka i przyjemna. Ilu nieruchomości, nie licząc „Indiana Arms”, pan Seligman jest właścicielem?

– Pan Seligman jest bardzo uczciwym i bardzo miłym człowiekiem. Jest żydem, a ja katoliczką. Sądzi pani, że to mu kiedykolwiek przeszkadzało? Kiedy mąż zostawił mnie samą z dwiema córkami, to jak pani sądzi, kto pokrywał koszty ich nauki w St. Inana? On kupował im prezenty pod choinkę, nie mówiąc już o prezentach dla mnie. Sama byłam temu przeciwna ze względu na jego żonę, Fanny. Po jej śmierci zmienił się zresztą całkowicie, stracił dotychczasowy zapał do interesów. Dlatego ten, kto przypuszcza, że on mógł podpalić własny hotel, nie może być przy zdrowych zmysłach!

Oddychała szybko, a na jej twarz wystąpiły rumieńce. Trudno było wątpić w autentyczność tego uniesienia.

– Czy pani odbiera czynsze tutaj, pani...

– Donnelly – podpowiedziała. – Zbieraniem czynszów zajmują się kierownicy hoteli. A swoją drogą, czy nie byłaby pani łaskawa okazać mi jakiś dokument uprawniający panią do zadawania tych wszystkich pytań?

Wyjęłam z torebki legitymację i wręczyłam jej razem z wizytówką: *W. I. Warshawski*
Badania finansowe.

Przyjrzała im się podejrzliwie, zwłaszcza zdjęciu, porównując go z oryginałem.

– Mówiła pani, że przychodzi z towarzystwa ubezpieczeniowego? – Jej głos był niepewny, ale pytanie dość racjonalne.

– W każdej chwili może pani zadzwonić do towarzystwa i poprosić Robina Bessingera z działu podpalen. On potwierdzi to, co powiedziałam, Jej wzrok spoczął na chwilę na aparacie, w końcu musiała jednak uznać, że sprawa niewarta jest zachodu.

– W porządku – oświadczyła. – Proszę pytać o to, co panią interesuje. Z całą pewnością

nie znajdzie pani jednak nic, co byłoby chociaż cieniem dowodu, że pan Seligman miał z tym pożarem coś wspólnego.

– Jakie stanowisko piastuje pani w tej firmie, pani Donnelly?

– Jestem kierowniczką biura. – Widoczne na jej twarzy napięcie nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że gotowa jest odeprzeć każdy skierowany na pana Seligmana atak.

– Pani więc...

– Przyjmuję skargi od lokatorów, sprawdzam je u zarządców hoteli i pozostałego personelu w zależności od potrzeby. Wydaję odpowiednie zlecenia, gdy należy wykonać jakieś roboty. Zabawiam detektywów rozmową, gdy przyjdzie im na to ochota.

Nie oczekiwałam z jej strony takiego przebłysku humoru, uśmiechnęłam się więc z uznaniem.

– Ile nieruchomości posiada firma? – ciągnęłam wywiad.

– Jeden hotel na Ashland, drugi przy Forty Seyenth – liczyła na palcach – i tak dalej, razem z „Indiana Arms” jest ich siedem.

Zanotowałam wszystkie adresy, by móc w razie potrzeby im się przyjrzeć. Sądząc po lokalizacjach, nie mogły być zbyt dochodowe.

Nie, czynsze nie spadały. Owszem, w biurze pracowało więcej osób, ale to było dawniej, gdy pan Seligman był młodszy, wtedy ciągle sprzedawał i kupował nowe nieruchomości, do czego potrzebował więcej personelu. Teraz w firmie pracowali we dwoje i, doprawdy, jak zawsze tworzyli doskonały zespół. W całym, mieście ze świecą by szukać tak życzliwego człowieka.

– Doskonale. – Podniosłam się i roztarłam bolące miejsce, gdzie wpiła mi się krawędź biurka. – À propos, jaki jest wasz bank, to znaczy bank firmy?

Na jej twarz powrócił wyraz szczególnej ostrożności, niemniej jednak odpowiedziała bez zwłoki:

– Edgewater National.

Już z drugiej strony balustrady rzuciłam jeszcze jedno pytanie:

– Kto dziedziczy po panu Seligmanie. Czy ma dzieci?

Podniosła na mnie spuszczone przed chwilą oczy.

– Nie ośmieliłabym się wypowiadać w tak bardzo osobistej dla niego sprawie. I proszę go o to nie pytać, dotąd jeszcze nie wrócił do równowagi po śmierci żony.

Wyjątkowa powściągliwość, rzeczywiście. Prawdopodobnie znała każdą myśl Seligmana od lat co najmniej dwudziestu. Kiedy mocowałam się z drzwiami i linoleum, myślałam jednocześnie o dzieciach pani Donnelly, o których wykształcenie starszy pan tak serdecznie się zatroszczył.

Zanim wsiadłam do samochodu, odszukałam automat telefoniczny i zadzwoniłam do Robina. Nie zastałam go, gdyż był na jakimś zebraniu, ale sekretarka obiecała przygotować potrzebne mi upoważnienie następnego dnia rano.

Było już popołudnie, a ja od rana nic nie jadłam z wyjątkiem kanapek i filiżanki kawy u pana Contrerasa. Trudno myśleć przy pustym żołądku. Wypatrzyłam więc w pobliżu niewielką polską restaurację, gdzie podano mi porcję kapuśniaku i parę kromek chleba

domowego wypieku. Tak mi to smakowało, iż poprosiłam jeszcze o ciasto z malinami i filiżankę kawy, nim wybrałam się na poszukiwanie pana Seligmana.

Estes jest cichą, spokojną ulicą. Seligman mieszkał w brzydkim, obskurnym domu z cegły. Małe podwórko, mimo słonecznego dnia, wyglądało posepnie – zaniedbane trawniki i kwietniki były porośnięte wybujałymi chwastami, a ścieżka – bardzo nierówna, z pewnością niebezpieczna dla starszych ludzi, zwłaszcza zimą.

Schody też nie były w lepszym stanie – o mały włos nie skręciłam sobie kostki na jednym z wyszczerbionych stopni. Gdy nacisnęłam na dzwonek, którego dźwięk rozległ się donośnym echem za ścianą budynku, poślizgnęłam się na porwanej wycieracze. Odczekałam parę minut, po czym zadzwoniłam jeszcze raz. Po następnych kilku minutach czekania doszłam do wniosku, że musiałam się z Seligmanem minąć i właśnie zamierzałam odejść, gdy usłyszałam zgrzyt odsuwanej zasuw. Trwało to dość długo, osoba z drugiej strony drzwi miała wyraźny kłopot z otwarciem wszystkich zamków. Wreszcie drzwi się rozwarły i stanął w nich właściciel.

Seligman wyglądał na człowieka, który wziął całkowity rozbrat z resztą świata. Jego twarz pokryta była głębokimi zmarszczkami, miał na sobie wytartą wełnianą kamizelkę, powpychaną pod gumkę spodni od piżamy. Nie wyglądał na specjalistę od podpalania nieruchomości.

– Słucham? – Miał miękki, matowy głos.

Przywołałam na usta uśmiech i wyjaśniłam cel wizyty.

– Pani jest z policji, młoda damo?

– Jestem prywatnym detektywem. Pańskie towarzystwo ubezpieczeniowe wynajęło mnie, bym zbadała okoliczności pożaru „Indiana Arms”.

– Towarzystwo ubezpieczeniowe? Zdaje się, że zapłaciłem wszystkie składki, może to zresztą pani sprawdzić u Rity. – Gdy wzburzony potrząsał głową, zauważyłam w jego lewym uchu aparat słuchowy.

Zaczęłam mówić głośniej i wyraźniej.

– Wiem, że uiszczył pan wszystkie składki. Zostałam wynajęta, by wyjaśnić, kto i dlaczego podpalił pański hotel.

– O! Kto podpalił mój hotel! – Kiwnął głową pięć albo sześć razy. – Nie mam pojęcia. To był dla mnie szok, wielki szok. Oczekiwałam wizyty kogoś z policji albo straży pożarnej, ale dziś na darmo płacimy składki! Najpierw pozwolono, aby hotel doszczętnie spłonął, a teraz nie robi się nic, by ująć sprawców!

– Całkowicie się z panem zgadzam. Dlatego właśnie Ajax mnie wynajął, bym zbadała tę sprawę. Czy mogłabym wejść do środka i porozmawiać o tym z panem?

Przez chwilę uważnie mi się przyglądał, wreszcie doszedł pewnie do wniosku, że nie wyglądałam zbyt groźnie, bo zaprosił mnie do środka. Gdy tylko znalazłam się wewnątrz, zaczął po kolei zamykać zamki, a ja żałowałam, że nie zdecydowałam się porozmawiać z nim przed drzwiami. Wszystko w tym domu przesiąknięte było odorem pleśni i zjełczałego tłuszczu. Nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób Seligman przebywając w takiej atmosferze uniknął zatrucia.

Wprowadził mnie do chłodnego i mrocznego pokoju. Potknąwszy się o niski stolik, powstrzymałam cisnące mi się na usta brzydkie słowo i cofnęłam się. Zrobiłam to jednak zbyt gwałtownie i uderzyłam się boleśnie w nogę o jakiś ciężki, metalowy przedmiot. Tym razem nie wytrzymałam i głośno zakląłam.

– Ostrożnie, młoda damo, to wszystko są rzeczy mojej zmarłej żony i nie chciałbym, by któraś z nich uległa zniszczeniu.

– Będę ostrożna, proszę pana – odparłam potulnie i wstrzymawszy nawet oddech, czekałam bez ruchu, aż gospodarz upora się z zapaleniem światła. Gdy w końcu żarówka w abażurze z frędzlami rozbłysła, stwierdziłam, że omal nie weszłam na elektryczny piecyk, który genialnym zamysłem ustawiony został na środku pokoju. Ponieważ nigdzie nie było widać kominka, domyśliłam się, że to było jego właściwe miejsce. Powoli utorowałam sobie drogę pomiędzy licznymi gratami, których ustawienie przywodziło na myśl zasieki, do fotela i zagłębiłam się w jego miękkie, pokryte kurzem siedzenie.

Seligman zajął miejsce na stojącej obok kanapie, tak że rozdzielala nas tylko pusta, mosiężna klatka dla ptaków.

– A teraz, młoda damo, proszę mi powiedzieć, czego pani sobie życzy.

Wyraźnie źle słyszał i był przygnębiony, niemniej jednak umysł miał jasny. Gdy zrozumiał istotę sprawy, z którą do niego przybyłam, jego policzki zaróżowiły się.

– Moje towarzystwo sądzi, że podłożyłem ogień pod własny hotel? To dopiero. Płacę podatki, a policja nie okazuje mi żadnej pomocy, płacę składki ubezpieczeniowe, a moje towarzystwo obraża mnie...

– Panie Seligman – wtrąciłam – przecież nie od dziś mieszka pan w Chicago. Od urodzenia? Ja także. Musi pan dobrze wiedzieć, że podpalanie nieruchomości w celu wyłudzenia odszkodowania nie należą do rzadkości. Cieszy mnie, że pan jest uczciwym człowiekiem, niemniej jednak trudno mieć pretensję do towarzystwa, że chce się o tym przekonać, zanim wypłaci pieniądze.

Powoli dał się udobruchać i rumieniec gniewu zniknął z jego policzków, ale bez przerwy mruczał pod nosem coś o rabusiach, którzy chętnie pobierają pieniądze, wszak gdy na nich przyjdzie kolej, to zamiast wypełniać zobowiązania, pokazują figę. W każdym razie uspokoił się na tyle, by odpowiedzieć na rutynowe pytania.

W środę wieczorem leżał w łóżku u siebie w domu, nie powinnam przecież sądzić, że ktoś w jego wieku włóczy się nocą po mieście jak Don Juan.

– Czy podejrzewa pan kogoś o podłożenie ognia?

Zirytowany uniósł ręce.

– To był stary budynek, nikomu nieprzydatny, nawet mnie. Płacisz podatki, ubezpieczenie, rachunki za wodę i elektryczność, a gdy się zbierze czynsz, to nie starcza go nawet na farbę. Wiem, że instalacja elektryczna była już stara, ale, proszę mi wierzyć, młoda damo, nie stać mnie było na jej wymianę.

– Jeżeli hotel przynosił straty, to czemu pan się go nie pozbył?

– Jest pani taka sama jak wszyscy. Widzi pani tylko dolary, a ludzkiego serca nie potrafi dojrzeć. Mówią, że jestem starym, głupim człowiekiem, a ja po prostu mam serce.

Współczująco pokiwałam głową nad upadkiem młodego pokolenia.

– To była moja pierwsza nieruchomości. W pocie czoła zbierałem środki na jej zakup. Przez wiele lat jeździłem samochodem dostawczym i oszczędzałem każdego zarobionego pensa, a kiedy się ożeniłem z Fanny, wszystko zainwestowałem w „Indiana Arms”.

Mówił bardziej do siebie niż do mnie, jego matowy głos stał się tak cichy, że musiałam się lekko pochylić, by go rozumieć.

– Wtedy to był piękny hotel. Nawet kuchnie były piękne. Ja wyrosłem z dwupokojowego mieszkania. Mieszkało nas tam ośmioro, bez kuchni, bez łazienki i bez wodociągu. Kiedy były właściciel hotelu splajtował, wyskrobałem ostatnie oszczędności i kupiłem go. – Jego wyblakłe oczy zaszły mgłą. – Potem wybuchła wojna, napłynęło wiele kolorowych, a ja i Fanny przeprowadziliśmy się tutaj, nie mogliśmy przecież wychowywać dzieci w hotelu, nawet jeśli sąsiedzi byli przyzwoici. Nigdy jednak nie przeszło mi przez myśl, by go sprzedać. Teraz go już nie ma, pogodziłem się z tym.

Z szacunku dla jego wspomnień słuchałam w milczeniu rozglądając się po pokoju. Moje spojrzenie zatrzymało się przez chwilę na stojącym na niskim stoliku portrecie młodej pary w ślubnych strojach – on stał z uroczystą miną, ona uśmiechała się lekko, jakby z zażenowaniem.

– To Fanny i ja – powiedział, zauważywszy, na co skierowałam wzrok. – Trudno uwierzyć, prawda?

Taktownie, powoli kontynuowałam wywiad: kogo zatrudnił, co wie o dozorczy z „Indiana Arms”, kto odziedziczy po nim firmę, kto mógł w wyniku pożaru skorzystać. Odpowiadał dość chętnie na moje pytania i spostrzegłam, że nie potrafi źle myśleć o którymkolwiek z byłych pracowników, a tym bardziej o swoich dzieciach, które po nim odziedziczą majątek.

– Zbyt wiele zresztą nie skorzystają – stwierdził. – Wszystko co mam, to siedem mocno zniszczonych budynków.

– Dał mi adresy swoich dzieci i obiecał zlecić Ricie, żeby mi udostępniła pełną listę pracowników: zarządców, dozorców i obsługi hotelowej.

– No cóż, nie płacę wiele moim pracownikom i może ktoś zgodziłby się podpalić hotel za odpowiednio duże pieniądze. Proszę jednak spojrzeć na mnie i warunki, w jakich mieszkam – nie jestem przecież diabelnie bogaty i płacę tyle, na ile mnie stać.

Gdy wychodziłam, ciągle jeszcze narzekał, że zawsze płacił podatki, a nie otrzymał nic w zamian, że rzetelnie wynagradzał swoich pracowników. Chyba nie mogli odplacić mu czarną niewdzięcznością? Po wyjściu za próg słyszałam zgrzyt kolejno zamykanych zamków.

ROZDZIAŁ 19

Niespodziewane odwiedziny

Zanim udałam się do domu, musiałam tego dnia wykonać jeszcze jedno zadanie. Zwiesiłam z rezygnacją ramiona i nie bacząc na ścisk na jezdni ruszyłam w kierunku południowym do Michaela Reese.

Zerline znajdowała się wciąż w tym samym czteroosobowym pokoju, choć jedno z łóżek było puste, a dwa pozostałe zajęte przez nowe pacjentki, które obrzuciwszy mnie nieobecny, przelotnym spojrzeniem podjęły oglądanie „Koła Fortuny”.

Na mój widok Zerline odwróciła się, a ja przeżyłam chwilę wahania: mogłam przecież jeszcze odejść i nie zaczynać trudnej rozmowy o Cerise. „Ci, którzy łatwo rezygnują, nigdy nie zwyciężą, zwycięzcy nigdy nie rezygnują” – dodawszy sobie otuchy tą maksymą zebrałam się w sobie i podeszłam do jej łóżka.

– Słyszała pani już o Cerise, pani Ramsay?

Przez dłuższą chwilę jej czarne oczy patrzyły na mnie nieruchomo. W końcu usłyszałam jednak potwierdzające chrząknięcie.

– Bardzo mi przykro, musiałam dziś zidentyfikować jej zwłoki. Wyglądała tak młodo...

Z jej piersi wydarł się gwałtowny szloch, wielkim wysiłkiem woli starała powstrzymać się od płaczu.

– Coście jej zrobiły, pani ze swoją ciotką, że odebrała sobie życie?

– Jest mi bardzo przykro, pani Ramsay – powtórzyłam. – Być może zrobiłam zbyt mało, by ją odnaleźć, ale ona uciekła z kliniki, do której ją zawiozłam, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Próbowałam dowiedzieć się czegoś od Heleny, niestety bezskutecznie.

Pozostałam przy jej łóżku przez następne pięć minut, nie odezwała się słowem. Uznałam, że najlepiej zrobię, jeśli sobie pójdę.

Kiedy znalazłam się znów w samochodzie, długo nie ruszałam z miejsca, siedziałam i rozmasowywałam napięte mięśnie ramion. W myślach szukałam jakiegoś miejsca, w którym znalazłabym chwilę wytchnienia. Dom odpadał, nie miałam ochoty na spotkania ani z Vinniem, ani z panem Contrerasem, na to, by wyjechać z miasta, byłam zbyt zmęczona, także myśl o panującym w restauracjach gwarze działała odstraszająco. Najlepszy byłby jakiś mały, cichy klub, w którym dyskretna obsługa pozostawiłaby mnie w całkowitym spokoju aż do chwili, w której będę miała jakieś życzenie.

Uruchomiłam silnik i bocznymi ulicami pojechałam na północ. Straciwszy wiele czasu na licznych światłach, dojechałam wreszcie do ulicy Racine’a i zaparkowałam przed domem. Pierwsze kroki skierowałam do sutereny, gdzie pozostawiłam pranie. Znalazłam je porzucane na podłodze – komuś potrzebna była widać suszarka. Powoli wszystko pobierałam i jeszcze raz nastawiłam pranie. Usiadłam po turecku na rozpostartej na podłodze gazecie i zapatrzona tępo przed siebie cierpliwie poczekałam, aż się skończy. Wreszcie mogłam wyjąć z pralki mokre rzeczy i przenieść je do suszarki. Czy „Malborough Club”

zapewniłby mi równie odprężający wieczór?

Cały dzień nie było mnie w domu, co oznaczało, że nie znajdę w kuchni nic zdatnego do spożycia. Zadzwoiłam po pizzę i usadowiłam się przed telewizorem, w którym leciała powtórka „Magnum”. Zanim ułożyłam się do snu, zesłałam po pranie. Z ulgą stwierdziłam, że uprzedziłam innych korzystających z pralni lokatorów i moje pranie nie znalazło się tym razem na podłodze. Podziękowałam w duchu Bogu za ten cud.

W czwartek rano podpisałam umowę w Ajaksie i odebrałam od nich upoważnienie. Resztę dnia i cały piątek poświęciłam na szukanie córek Seligmana i na rozmowy z pracownikami jego hoteli. Pani Rita Donnelly pozwoliła mi nawet, aczkolwiek niechętnie, zajrzeć do ksiąg buchalteryjnych. W piątek wieczorem byłam już pewna, że staruszek nie miał z tym pożarem nic wspólnego. Obie córki nie uczestniczyły w interesach ojca. Jedna z nich wyszła za handlarza akcesoriami i nigdzie nie pracowała. Druga, kierowniczka marketingu w hurtowni Schaumburg, w dniu pożaru była ze służbową wizytą w Brazylii. Nie oznaczało to, że nie mogła wcześniej zorganizować podpalenia, trudno było jednak znaleźć przekonujący motyw. Dziedziczyły po ojcu i – teoretycznie – mogły wpaść na pomysł, by dzięki pieniądзом wypłaconym przez ubezpieczalnie zwiększyć wartość przyszłego spadku, była to jednak długa i daleka droga do majątku, a nadto bardzo niepewna. Nie mogłam jednoznacznie skreślić ich z listy podejrzanych, niemniej jednak wątpiłam, by były w sprawę zamieszane.

Najtrudniej mi było wyrobić sobie zdanie o pani Donnelly. Z jednej strony robiła wrażenie lojalnego pracownika, z drugiej zaś nie mogłam się pozbyć myśli, że wie więcej, niż jest skłonna powiedzieć. Moją uwagę zwróciło jej spłoszone spojrzenie, ilekroć temat rozmowy schodził na jej dzieci i ich oczekiwania wobec pana Seligmana. Gdyby nie to, byłabym gotowa wystawić im wszystkim świadectwo niewinności.

W sobotę udało mi się w końcu odnaleźć byłego nocnego stróża z „Indiana Arms”. Po pożarze, aby uniknąć przesłuchania, ukrył się u brata mieszkającego na South Side. Odbyłam z nim długą i trudną rozmowę. Początkowo usiłował mnie przekonać, że ani na chwilę nie opuścił powierzonego jego opiece hotelu. Trochę później zmienił wersję i twierdził, że usłyszał jakiś hałas i na moment wyszedł, by sprawdzić, co się działo. W końcu pod wpływem gróźb i zachęt, których nie żałowałam, przyznał, że gdy wybuchł pożar, nie było go na miejscu. Opowiedział, że w poprzedzającą pożar środę otrzymał pocztową przesyłkę, zawierającą wykaz odbywających się tego wieczora wyścigów konnych wraz z pięćdziesięciodolarowym talonem na zakłady. Nie miał pojęcia, kto był nadawcą, nie zachował też koperty. Pomyślał, że nie będzie wielkiej szkody, jeżeli on wyjdzie sobie na godzinę lub dwie na tor wyścigowy. Kiedy z powodu sprzeczki z kolegami wrócił dość późno, hotel już stał w płomieniach. Przez chwilę przyglądał się akcji straży pożarnej, po czym pojechał do swojego brata w Sangamon.

Podpalacz musiał zadać sobie trud poznania zamiłowań stróża i wiedział, iż ten nie oprze się pokusie zakładów konnych. Tym podpalaczem nie mógł jednak być Saul Seligman. Wyłożyłam to w raporcie napisanym dla Ajaxu, wystawiłam mu rachunek i zapytałam, czy życzą sobie, abym nadal prowadziła sprawę.

Jeśli chodzi Wam przede wszystkim o odnalezienie sprawcy, to mogę spróbować ustalić, kto przysłał stróżowi pieniądze. Ponieważ koperta została zniszczona, a pan Tancredi twierdzi, że nie zauważył nikogo kręcącego się wokół hotelu, znalezienie nadawcy może okazać się trudnym i kosztownym przedsięwzięciem. Jeżeli zaś potrzebna wam jest tylko pewność, że ubezpieczony nie podpalił sam własnego budynku – mogę Was zapewnić, że zgodnie z moim najgłębszym przekonaniem ani pan Seligman, ani jego pracownicy nie mają z podłożeniem ognia nic wspólnego.

Wrzuciłam list do skrzynki i poszłam na Wrigley Field, gdzie obejrzałam mecz, w którym Cubs dostali tęgie lanie od Expos. Miałam wielkie szczęście, że w ogóle udało mi się dostać bilet, wszystkie lepsze miejsca zajęte już były przez pijanych yuppies, którzy chociaż nie znali reguł gry, chodzili na mecze zgodnie z panującą modą.

Było już po piątej, gdy znalazłam się przed moim domem. Tuż obok hydrantu stał nieprawidłowo zaparkowany czarny chevrolet – najnowszy model. Przyjrzałam się mu ze zwykłą ciekawością, jaką wywołuje policyjny samochód zaparkowany przed domem, w którym się mieszka. Okna samochodu były zasunięte i przez przydymione szyby nie można było nic zobaczyć. Nagle drzwi samochodu się otworzyły i moim oczom ukazał się sam Bobby Mallory. Ku mojemu zdziwieniu po raz pierwszy przyjechał do mnie bez eskorty. Podeszłam do niego.

– Bobby, jakże się cieszę, że cię widzę! Chyba nic złego się nie stało?

Pogładził mnie po włosach; od czasu, kiedy ukończyłam studia, nieczęsto robił wobec mnie takie ciepłe gesty.

– Chciałem się tylko z tobą zobaczyć, Wik, i upewnić, że nie igrasz z takim ogniem, w którym mogłabyś spłonąć.

– Rozumiem – powiedziałam i nastroszyłam się nieco. – Czy chcesz to załatwić tutaj, czy może wolisz wejść na górę i usiąść ze mną przy filiżance kawy?

– Jeżeli masz bezkofeinową, to chętnie się z tobą napiję. Zwykłej kawy nie pijam o tej porze, doganiam już sześćdziesiątkę.

– Wiem o tym. – Przyszło mi do głowy, że Bobby może chcieć dowiedzieć się ode mnie, co Eileen zaplanowała na jego wielki dzień. Trudno mi było jednak sobie wyobrazić, żeby uciekał się do tak chytrego sposobu. Otworzyłam drzwi i grzecznie przepuściłam go przodem.

Bobby wyraźnie się starał, by mnie nie zdenerwować i nie zwrócił nawet uwagi na nieuprzątnięte sterty papieru zajmujące honorowe miejsce w pokoju gościnnym. Postanowiłam, że nie pozwolę, aby bałagan w pokoju krępował mnie wobec starego przyjaciela moich rodziców, i na chwilę ukryłam się w kuchni.

– Niestety, skończyła się kawa bezkofeinową! – krzyknęłam z kuchni. – Mogę za to zaproponować ci wino lub colę.

Wybrał colę. Miał dwie święte zasady: w mojej obecności nigdy nie kłął i nigdy nie pił ze mną alkoholu, by mnie przypadkiem nie zdemoralizować. Upił ze szklanki trochę coli, zjadł parę krakersów, po czym wskazał na pianino i spytał, czy ciągle ćwiczę śpiew. Moja matka była utalentowaną śpiewaczką operową, której karierę zniweczyła ucieczka przed faszyzmem

do Ameryki. Jedną z zaskakujących cech Bobby'ego było zamiłowanie do muzyki operowej – był szczęśliwy, gdy mama śpiewała dla niego utwory Pucciniego. Wolałby, gdybym poszła w jej ślady i została śpiewaczką koncertową, a nie małpowała ojca, próbując swych sił jako detektyw.

Musiałam przyznać, że ostatnio zaniedbałam głos.

– Czy udało ci się ostatnio spotkać jakiegoś ciekawego ptaka?

Obserwowanie ptaków i robienie im zdjęć było innym zaskakującym zamiłowaniem Bobby'ego. Gdy opowiadał o wycieczce do lasu, na którą się wybrał ze swoimi wnukami w miniony weekend, zastanawiałam się, kiedy w końcu przestanie udawać, że przyszedł do mnie w celach towarzyskich.

– Michael wybiera się z nami jutro – powiedział. – To dobry chłopiec. Powinienem powiedzieć mężczyźna, ale znam go od niemowlaka.

– Mówił mi, że jesteś jego ojcem chrzestnym. – Obserwowałam go znad szklanki.

– Eileen i ja mieliśmy nadzieję, że się pobierzecie, choć ona uważa, że nie da się tego zrobić na siłę.

– Mamy inne upodobania i dlatego nic z tego nie będzie.

– Podobnie jak on lubisz sport i wyścigi konne, chętnie udajesz policjantkę, ale rozumiem, że potrzebujesz chłopca o rozleglejszych zainteresowaniach.

Chciałam mu się rzucić do gardła za określenie mojej pracy jako „udawanie policjantki”, trochę jednak rozbawiła mnie ta charakterystyka.

– Być może w ogóle nie chcę wychodzić za mąż – stwierdziłam. – Michael żyje w środowisku, w którym żona spędza czas w domu i zajmuje się dziećmi. Być może taki jest i twój ideał kobiety, ale to nie jest w moim stylu i nigdy chyba nie będzie.

– Nigdy – to powiedziane za mocno. – Uniósł rękę w geście pojednania, gdy zobaczył, że krew napłynęła mi do twarzy. – Nie gniewaj się, nie chciałem wcale powiedzieć, że nie masz racji.

Gdy wyobraziłam sobie Bobby'ego i Eileen, jak siedzą przy stole i jedzą obiad, planują moje małżeństwo ze swoim chrześniakiem, ogarnęła mnie wściekłość. Miałam ochotę wybuchnąć, ale zdałam sobie sprawę, iż to by mi zaszkodziło w oczach Bobby'ego.

– Nigdy nie pytałem Michaela o jego stosunek do ciebie – ciągnął. – Ale zauważyłem, że odkąd zobaczył, jak ścisłałaś się z tamtym facetem, zachowuje się jak kot na rozpalonym dachu.

– Nie mogę do niego dzwonić i przeproszać za to, co przypadkiem zobaczył pod drzwiami mojego domu.

– Wik, bądź dla niego miła, dobrze? Lubię tego chłopca. Nie życzę sobie dąsów wśród mojego personelu. Wiem, że coś było między tobą i Johnem, chociaż nie przyznajecie się do tego. Nie chciałbym niezgody między nimi ani między tobą a Michaeliem. Możesz mi wierzyć, że i ciebie bardzo lubię.

Moje policzki znów zapłonęły rumieńcem, tym razem z zakłopotania.

– Między mną i McGonnigalem nigdy nic nie było. Ubiegłej zimy podrzucił mnie nocą do domu. Byłam bardzo zmęczona, a on najwidoczniej pomyślał, że wyglądam ładnie i

pocałował mnie. Obydwoje pamiętaliśmy, iż nie możemy posunąć się dalej. I niech mnie diabli, jeśli czuję najmniejszą nawet potrzebę przeproszenia kogokolwiek.

– Nie przeklinaj, Wik, bo ci z tym nie do twarzy – mówiąc to odstawił swoją szklanę na bok i podniósł się z miejsca. – Rozmawiałem wczoraj z Montym – on wie, że ja ciebie znam. Twierdzi, że wciąż wężysz wokół sprawy pożaru w „Indiana Arms”, a przecież prosiliśmy cię, byś dała temu spokój.

Uśmiechnęłam się.

– Ja tylko bawię się w policjantkę, więc nie przejmuj się, to nic poważnego.

Położył swoją dużą dłoń na moim ramieniu.

– Myślisz oczywiście, że jesteś już dorosła i nie potrzebujesz pouczeń. Ile ty właściwie masz lat: trzydzieści pięć, trzydzieści sześć? Ale twoi rodzice już nie żyją, a byli moimi przyjaciółmi. Nikt z nas nie jest dość dorosły, by nie potrzebował żadnej opieki. Jeśli Monty uważa, że należy trzymać się z daleka od tej sprawy, to radzę ci go posłuchać. Podpalenie jest jednym z najbardziej paskudnych przestępstw. Wolałbym, abyś się w tę sprawę nie mieszała.

Zacisnęłam mocno usta, żeby mu nie powiedzieć nic brzydkiego. W ciągu pięciu minut dotknął mnie boleśnie w czułe miejsce przynajmniej dziesięć razy. Odprowadziłam go wzrokiem do drzwi bez pożegnania.

Kiedy usłyszałam już, jak odjeżdża, usiadłam do pianina i dałam upust emocjom wydobywając z instrumentu serię grzmiących akordów. Rzeczywiście powinnam ćwiczyć głos, póki jeszcze jestem młoda i struny głosowe nie utraciły elastyczności. Powinnam być również dobrą i grzeczną dla wszystkich dziewczynką. Lecz żeby zachować szacunek dla samej siebie, muszę wyjaśnić sprawę podpalenia.

Wstałam od pianina i pośpiesznie napisałam drugie pismo do Robina.

Dziś rano wysłałam ci swój raport z dochodzenia w sprawie podpalenia „Indiana Arms”. Po dodatkowym przemyśleniu sprawy doszłam do wniosku, iż sprawą o zasadniczym znaczeniu jest ustalenie, kto wysłał Jimowi Tancredi pieniądze na zakład w wyścigach konnych.

Dopiero po wysłaniu tego listu uspokoiłam się na tyle, by pomyśleć, po co przyjechał do mnie Bobby: czy porozmawiać ze mną o Michaelu, czy ostrzec mnie przed prowadzeniem dochodzenia w sprawie podpalenia hotelu.

ROZDZIAŁ 20

Poważne ostrzeżenie

Wizyta Bobby'ego pozostawiła we mnie tak duży niesmak, że pomyślałam, czy nie zadzwonić do Eileen, iż nie będę mogła wziąć udziału w przygotowywanym przez nią przyjęciu. Bobby miał rację w jednej sprawie: nie należy podcinać gałęzi, na której się siedzi po to tylko, by ocalić swoją dumę.

Wykonałam kilka telefonów do przyjaciół z zapytaniem, czy nie wybiorą się do kina. Niestety, żadnego nie zastałam. Wysłałam do kuchni, żeby usmażyć jajecznicę. Zwykle samotność w domu mi nie dokuczwała, lecz wizyta Bobby'ego skłoniła mnie do refleksji; czy przypadkiem ze względu na charakter na stare lata z konieczności nie będę na nią skazana.

Włączyłam telewizor, by następnie w kiepskim nastroju zmieniać kanały w oczekiwaniu, że – podobnie jak inni samotnicy – znajdę dla siebie coś interesującego. Niestety, na próżno. Dlatego, kiedy zadzwonił telefon, bez żalu wyłączyłam telewizję w nadziei, że jest to odzew na jeden z moich telefonów. Byłam bardzo zaskoczona, gdy w słuchawce usłyszałam zachrypnięty głos Roz Fuentes.

Nawet nie powiedziała „halo” na powitanie, lecz z miejsca napadła na mnie, że wtykam nos w jej sprawy.

– O co chodzi, Warszawski? – Głos jej, jak zwykle, miał głęboki, gardłowy tembr, a wibracja poprzez aparat sprawiała, że zaczęło mi dzwonić w uchu.

– Nie mam najmniejszego zamiaru wyrządzić ci krzywdy, Roz. Dlaczego nie pilnujesz swojej kampanii, tylko mnie niepokoisz?

Jej perlisty śmiech dotarł do mnie, nie był to jednak śmiech radosny.

– Dzwoniła Velma i oświadczyła, iż najwyraźniej chciałaś wykorzystać ją do obrzucenia mnie błotem, lecz udzieliła ci właściwej odpowiedzi. Jakiego błota na mnie szukasz, jeśli cię można o to zapytać?

Z uśmiechem odparłam:

– Bądź spokojna, Roz. Velma udzieliła mi właściwej odpowiedzi.

– Wik, ja muszę to wiedzieć – ciągnęła Roz spokojnie, lecz z naciskiem. – Ta kampania wyborcza znaczy dla mnie i moich przyjaciół wszystko. Powiedziałam ci to już w ubiegłym tygodniu. Nie znoszę sytuacji, kiedy ktoś czyha w ukryciu, by w odpowiednim momencie strzelić mi w plecy.

Była już zbyt późna pora, a ja zbyt zmęczona, żeby bawić się w subtelności.

– Roz, nic mnie to nie obchodzi, czy śpisz z Bootsem, czy z całym zarządem okręgu. Mnie tylko niepokoi twój sposób zabiegania o moje poparcie. Jak możesz myśleć, że ja podpiszę się pod sprawą, której nie jestem pewna. Denerwuje mnie, jeśli ktoś chce ze mnie zrobić durnia.

– Zwróciłam się do ciebie ze względu na naszą starą przyjaźń – odparła wzburzona. – A ty dopatrujesz się w tym jakiegoś podstępu. Velma ma rację, powinnam być bardziej ostrożna

i nie zwracać się ze swymi problemami do białej kobiety.

– A biały mężczyzna w niczym ci nie przeszkadza? – Krew mnie zalewała, gdy słuchałam tych bredni. – Boots może być twoim sojusznikiem, ale ja nie? Idź sobie ratować hiszpańskie Chicago, Roz, a mnie daj spokój.

Zakończyłyśmy rozmowę. Byłam tak wściekła, że początkowo chciałam zadzwonić do Velmy i zapytać, dlaczego jako biała nie jestem godna zaufania, lecz doszłam do wniosku, iż rozmowa ta do niczego by nie doprowadziła.

W niedzielę rano miałam dalsze dowody, że w kotle Fuentes-Meagher coś się upitrasilo, gdyż Marissa niespodziewanie zaprosiła mnie na drinka. Miało to być niezobowiązujące spotkanie – tak to ujęła – z ludźmi, dla których nie znalazła dość czasu podczas kampanii wyborczej. W odpowiedzi oświadczyłam, iż jestem wręcz wzruszona jej pamięcią i niczego bardziej w tej chwili nie pragnę jak udziału w tym spotkaniu. Marisa nie pozwoliła wytrącić się z równowagi i przyjęła moje słowa za dobrą monetę.

O piątej po południu byłam na miejscu. Zaparkowałam przy jednym z dwupiętrowych budynków wypolerowanym do połysku. Marissa wynajmowała komuś parter, sama zaś zajmowała dwa górne piętra. Gdy wysiadłam z windy na pierwszym piętrze, czekała już, by wprowadzić mnie do pokoju, który nazwała salonem. Jak zawsze, wyglądała wspaniale. Miała na sobie jedwabne czerwone spodnie, dopasowany, uszyty jak piżama żakiet i mnóstwo srebrnej biżuterii. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ubrała się tak specjalnie po to, bym ja w swoim poczuła się niepewnie.

Salon, który powstał na miejscu dwóch sypialni, ciągnął się na całą długość budynku z oknami zwróconymi na Cleveland. Cokolwiek złego sądziłam o Marissie, nie dotyczyło w żadnej mierze jej smaku. Wnętrze salonu urządzone było prosto, lecz pięknie – dominował styl późno wiktoriański. Uwagę zwracały dywany tureckie rozłożone w strategicznych miejscach. Egzotyczne krzewy stwarzały specyficzny, ciepły klimat.

Gdy ją głośno pochwaliłam za wystrój wnętrza, roześmiała się i oznajmiła, że zieleń zawdzięcza siostrze, właścicielce firmy wynajmującej rośliny – dzięki niej co kilka tygodni dokonuje ich wymiany.

– Pozwól, Wik, że cię przedstawię moim gościom – zaproponowała.

Kilkanaście obecnych w salonie osób prowadziło żywą, swobodną rozmowę. Kiedy podprowadziła mnie do najbliższej stojących, rozległ się u drzwi dzwonek. Przeprosiła mnie, proponując drinka i rozejrzenie się, czy nie znam tu kogoś.

Oczekiwałam, że mogę tu spotkać Roz, a nawet duet Wunsch i Grasso, ale jedyną osobą, którą udało mi się rozpoznać wśród gości, był Ralph MacDonald. Pomyślałam, iż Marissa musiała być lepiej ustosunkowana, niż sądziłam, jeśli tego kalibru człowiek spędza niedzielny wieczór u niej na przyjęciu.

Rozmawiał z grupą mężczyzn przypominających wyglądem bankierów, ubranych – jak wypada podczas weekendu – w białe koszule z rozchylonymi kołnierzykami i luźne marynarki. Dwie kobiety, będące w ich towarzystwie, prowadziły cichy dialog, by nie przeszkadzać swym panom. Obraz przykładowego zachowania się tych pań sprawił mi więcej satysfakcji, niżeli ewentualne towarzystwo własnego męża opromienionego sławą wybitnego

prawnika.

W barku zaimprovizowanym w jednym z rogów salonu za wysokim krzewem, było wszystko, czego dusza zapagnie, nie wyłączając szampana. Jeśli chodzi o whisky, była tylko J & B, za którą nie przepadam, wobec czego nalałam sobie chardonnaya.

Zajęłam miejsce w jednym z foteli i obserwowałam Marisę, która wprowadziła właśnie nowych gości – młode małżeństwo powyżej trzydziestki entuzjastycznie powitane przez grupkę osób stojących blisko mnie. Marissa, jak przystało na godną panią domu, zatrzymała się na chwilę przy nich, a następnie przeszła do drugiej grupy, w której był MacDonald.

Tymczasem do salonu weszły dwie kobiety w luźnych czarnych spodniach i białych bluzach, niosąc tace z ciepłym daniem. Ralph MacDonald skorzystał z okazji, gdy częstowałam się rogalikiem ze szpinakiem, podszedł do mnie w towarzystwie dwóch dam.

– Wik? Jestem Ralph MacDonald, poznaliśmy się na pikniku u Bootsa w ubiegłym tygodniu.

– Oczywiście, że pana dobrze pamiętam. Dziwię się tylko, że pan mnie sobie przypomina.

– Szybko przełknęłam ostatni kęs rogalika.

– Niech pani nie udaje takiej skromnej, Wik. Jest pani dziewczyną, którą niełatwo zapomnieć.

Komplement był pozornie niewinny, ale ton niepozbawiony pewnego szczególnego akcentu. Zanim zdążyłam mu podziękować, przedstawił mnie obu kobietom, które były zachwycone mną w tym samym stopniu, co ja nimi. Nałożywszy na talerzyki po odrobinie zakąski, powróciły do swoich bankierów, gdy tymczasem Marissa podeszła do nas z mężczyzną, którego przedstawiła jako Clarence'a Hintona. Obydwaj panowie znali się doskonale.

– Ralph, przypominasz sobie Wik? Poznałeś ją ubiegłej niedzieli.

– Właśnie usiłowałam ją przekonać, że nie powinna przesadzać ze skromnością – odparł. A zwracając się do mnie powiedział: – Prawdopodobnie nie zapamiętałaby pani, gdybym po jej odejździe nie natknął się na Clarence'a.

Skinęłam głową.

– Clarence i ja przyjaźniliśmy się z Edwardem Purcellem. Zarumieniłam się wbrew woli. Purcell był prezesem firmy Transicon i autorem wielkiego oszustwa, które wykryłam. To nie z mojej winy popełnił samobójstwo w przeddzień aresztowania.

Na pozór obojętnym głosem zapytałam Clarence'a, czy również reprezentuje branżę budowlaną.

– Och, ja zajmuję się koordynacją różnych projektów budowlanych. Chociaż – przyznaję – nie mam energii MacDonalda. Ralph, mam ochotę na drinka, pani również ma pusty kieliszek. Za chwilę będę z powrotem.

Po jego odejściu MacDonald zwrócił się do mnie:

– Cieszę się, że pani przyszła, Wik – mam nadzieję, iż będę miał okazję z panią porozmawiać.

Uniosłam wysoko brwi.

– Czyżby o Edwardzie Purcellu? To taka stara sprawa sprzed dziesięciu laty.

– Zawsze miałem pretensję do Teddy’ego za tamtą historię. Nie należy nigdy robić tego, czego nie jesteś w stanie obronić w sądzie.

– Szczególnie w tym mieście – dorzuciłam sucho. Uśmiechnął się w sposób wymuszony, jakby chcąc dać do zrozumienia, iż nie sądzi, by mój żart był szczególnie udany.

– Nie mam zamiaru mówić o Teddym. Chciałbym porozmawiać o czymś bardziej aktualnym.

Być może była to w moim życiu największa okazja. Być może miałam szansę zrobić interes, który przyprawiłby stryja Piotra o atak serca. Lecz nim zdążyłam zapytać o cokolwiek, powrócił Clarence z drinkami i Ralph zaprosił nas na dół, do małego pokoju, który w przeszłości był zapewne przeznaczony dla pokojówki. Obecnie przemalowano go na biało i urządzono salkę telewizyjną.

Usiadłam na jednym z twardych krzeseł, wygładzając fałdy spódnicy na kolanach. McDonald stanął przede mną, oparłszy nogę o brzeg kanapy, podczas gdy Hinton pochylił się w kierunku drzwi. W ich oczach nie było groźby, jednak przyjęte pozycje mogły budzić pewną obawę. Napiłam się trochę wina i czekałam.

Kiedy stało się jasne, iż nie mam zamiaru odezwać się pierwsza, przemówił MacDonald:

– Donnel Meagher od wielu lat jest przewodniczącym Zarządu Cook County.

– I sądzi pan, że czas najwyższy, by już zrezygnował?

Potrząsnął głową przecząco.

– Nic podobnego, jest człowiekiem mądrym, jakiego w tym mieście trudno znaleźć. Pani z pewnością nie zgodzi się z nim we wszystkich sprawach, ale jestem pewien, iż jego poglądy wzbudzą pani uznanie.

– Jeślibym darzyła szacunkiem jego poglądy, zaakceptowałabym również jego działania.

– Chodzi o poglądy polityczne – uśmiechnął się powściągliwie.

– Kiedy Clarence przypomni mi, kim pani jest, zainteresowało mnie, co sądzą o pani inni. Przeważa opinia, że chce pani uchodzić za osobę dowcipną.

– Niepozbowioną własnego zdania – dorzuciłam.

Nie podjął polemiki.

– Boots poparł Fuentes ze względu na powszechne poparcie, którym ona się cieszy za zasługi polityczne. Jest to decyzja, która – jak rozumiem – wprawiła panią w zakłopotanie.

W głębi duszy nie oczekiwałam, że pragnie skorzystać z moich usług detektywa, ale też i nie sądziłam, iż chodzi mu tylko o to, by mnie ostrzec.

– Bardzo dobrze rozumiem ten rodzaj decyzji. Boots jest graczem politycznym i jeśli Roz cieszy się jego uznaniem, przyszłość jej przedstawia się różowo.

– Czy to znaczy, iż nie ma pani zamiaru torpedować jej kampanii? – Hinton wtrącił się po raz pierwszy do dyskusji.

– Zachowanie obu panów budzi we mnie zdumienie – oświadczyłam. – Najpierw Marissa namawia mnie, bym dokonała wpłaty na fundusz wyborczy Rosalyn w imię naszej dziesięcioletniej przyjaźni. Wyasygnowałam na ten cel więcej niż kiedykolwiek na jakiegokolwiek kandydata i gdy sądziłam, że już mam te sprawy z głowy, Roz mnie pyta, czy nie mam zamiaru jej skrzywdzić. A obaj panowie zamykają się ze mną w tym pokoju i piorą

mi mózg. Nie znam żadnych sekretów Rosalyn i nie interesowałyby mnie wcale, gdyby ona i ludzie z jej otoczenia nie wychodzili ze skóry, żeby mnie nimi zaciekać.

– Naprawdę lepiej będzie, jeśli będzie pani pilnowała tylko własnych interesów – stwierdził Hinton tonem nieco złowieszczym.

MacDonald spojrział na niego z dezaprobatą.

– Na nią groźby nie robią wrażenia, Clarence – dowodzi tego jej dotychczasowe życie... Niech pani posłucha, Wik. Roz potrzebuje poparcia Bootsa, jeśli chce zwyciężyć. Ale on także jej potrzebuje – społeczność pochodzenia hiszpańskiego będzie głosowała tak, jak ona jej nakaze.

W tym, co mówił, nie było dla mnie nic nowego, więc się nie odzywałam.

– W młodości Roz popełniła wielką niedyskrecję. Wyznała to kiedyś Bootsowi. Jego zdaniem, ta nieostrożność nie powinna już jej zaszkodzić po upływie pięciu lat od chwili wyborów, gdy zdobędzie szerokie poparcie społeczne. Gdyby jednak miejscowe społeczeństwo dowiedziało się o tym teraz, mogłoby to spowodować niepotrzebne zamieszanie. Właśnie na pikniku ktoś jej doniósł, iż pani może jej zagrozić, dlatego próbowała upewnić się co do tego.

– O jaką niedyskrecję chodzi? – zapytałam.

MacDonald pokręcił głową.

– Nawet gdybym wiedział, nie mógłbym tego powiedzieć. – Boots jest starym graczem politycznym i nie ma zwyczaju udostępniać sekretów ludziom, którzy ich znać nie powinni.

– Rozumiem, ale pan też zna moje zasady i zdaje sobie sprawę, iż nie dbam o jej sekrety, ale nigdy nie podpiszę się pod żadnym oszustwem.

MacDonald uśmiechnął się.

– Widzi pani, każdy pojmuję inaczej moralność. Znajdzie pani w Aumboldt Parks o wiele więcej ludzi, których bardziej interesują sekrety, niż pieniądze zdobyte na realizację robót publicznych. Proszę więc nie stosować własnych zasad przy ocenie zarządzania okręgiem.

Uśmiechnęłam się słodko.

– Dopóty, dopóki ktoś nie będzie próbował robić ze mnie kozła ofiarnego.

Pomógł mi się podnieść z krzesła.

– Do tego zadania użyto by z pewnością zdolniejszych facetów niż my. – Proponuję jednak wrócić do towarzystwa – mam wielką ochotę skosztować trochę lososia, nim ten tłum ignorantów pochłonie go całkowicie.

Gdy powróciliśmy do salonu, Marissa spojrziała niespokojnie na Ralpa. Skinął głową uspokajająco, co prawdopodobnie miało znaczyć, iż zostałam przekonana. Ale do czego?

ROZDZIAŁ 21

Ciotka znów znika

Kiedy wróciłam do domu, słońce już zaszło, lecz w powietrzu wisiała wciąż jeszcze łagodna poświata. Wolno weszłam po schodach na swoje piętro, otworzyłam drzwi i znalazłam się u siebie. Podeszłam do okna w saloniku i wyjrzałam na ulicę. Ujrzałam Vinniego, jak gramoli się do swojego samochodu – jednego z najnowszych modeli mazdy. Gromada nastolatków przebiegła ulicą z wrzaskiem, śmiejąc plastikowymi torbami po chipsach.

Opuściłam zasłonę w oknie i usiadłam w fotelu. Nie miałam ochoty poznać żadnej tajemnicy Roz. Najmniejszej. Chciałam mocnych kobiet na stanowiskach w urzędach publicznych, a ona była lepsza niż inne. Więc po co to całe zamieszanie?

Nie zapaliłam lampy. W zapadającym zmroku pokój wydał mi się upiorny. Oczyma wyobraźni ujrzałam martwą twarz Cerise; ogarnął mnie niezmierny smutek na myśl o tym, że poniosła śmierć w tak młodym wieku. Powróciło niepokojące pytanie, co robił Bobby w tak tragicznym miejscu? Po co właściwie przyjechał do mnie wczoraj? Wątpliwości dokuczały mi przez cały dzień jak bolący ząb.

Ajax zlecił mi zadanie: miałam wyjaśnić, czy Saul Seligman nie podpalił własnego hotelu. Szereg osób: Bobby Mallory, Velma Riter, Ralph MacDonald ostrzega mnie, bym, broń Boże, niczym nie zaszkodziła Roz. Policja uprzedza, iż sprawa podpalenia hotelu i śmierć Cerise to nie mój interes.

Wstałam z fotela i na sztywnych nogach zeszłam do pana Contrerasa, by wziąć ze sobą psa na spacer. Tym razem starszy pan oszczędził mi swego wścibstwa, co zdarzało mu się rzadko i przekazał mi Peppy ze ścisłą instrukcją dotyczącą jej karmienia.

Z Peppy okrążyliśmy dom i wróciłyśmy do mnie. Psina z pewnością pomyślała, że to trochę za mało. Ale kiedy postawiłam przed nią miskę makaronu z pomidorami i grzybami, jej nastrój wyraźnie się poprawił. Szybko wyczyściła talerz i ułożyła się u moich stóp, a ja tymczasem podniosłam słuchawkę telefonu.

Murray Ryerson należał w Chicago do czołowych dziennikarzy zajmujących się problematyką kryminalną. Już od jedenastu lat pracował w redakcji *Herald-Star*; najpierw pisał krótkie notki kryminalne, potem poważniejsze reportaże, obecnie był najwyższym autorytetem w sprawach przestępczości i polityki.

Gdy zadzwoniłam do niego, wcale się nie ucieszył. Był czas, kiedy byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni i o krok od wzajemnego zakochania. Lecz stanowiliśmy zbyt silne osobowości, by dojść do porozumienia. Doszło do otwartego konfliktu na gruncie zawodowym. Murray był wściekły. Do tej pory nie zapomniał, co nas wtedy poróżniło. Był przekonany, że nie przekazałam mu wszystkich danych, dotyczących pewnej sprawy, w czym zresztą się nie mylił.

Obecnie oświadczył powściągliwie, iż jest bardzo zajęty i proponuje, bym zadzwoniła w interesującej mnie sprawie jutro do jego biura.

– Czy teraz na przeszkodzie stoi jakaś kobieta? – próbowałam żartować.

– Warszawski, mów krótko, o co chodzi, nie mam nastroju do żartów.

Nie miałam wiele do powiedzenia.

– Chodzi mi o Roz Fuentes. Kandyduje w wyborach okręgowych. Sądzi, że ja ją podejrzewam o ukrywanie czegoś przed opinią publiczną. Czy – twoim zdaniem – rzeczywiście coś ukrywa?

– Mój Boże, Wik, nie mam pojęcia. Jeśli tylko dlatego niepokoisz mnie w domu, żeby zapytać...

– I jeszcze jedno – przerwałam mu. – Czy wiesz, kim jest Ralph MacDonald?

– Tracisz czas, Warszawski. Wszyscy znają MacDonalda. Jest głównym udziałowcem w wielkiej inwestycji, uczestniczy w budowie stadionu i otaczającego go kompleksu.

Nie wiedziałam tego; Murray pouczył mnie wyniośle, iż widocznie wielu jeszcze rzeczy nie wiem, gdyż jest publiczną tajemnicą, że Boots i MacDonald są ze sobą zaprzyjaźnieni.

– I nie ma sensu, byś dzwoniła do mnie i odkrywała mi tę swoją tajemnicę, że Ralph MacDonald jest poważnie zaangażowany w realizację okręgowych planów budowlanych. Wychował się z Bootsem, razem z nim wyrastał. Wszyscy o tym wiedzą. Wnioski same się nasuwają.

Zasepiłam się, ale parlałam dalej, jak przystało na dobrą skautkę.

– Ralph kombinuje z damą, którą trochę znam – Marissą Duncan. Marissa chętnie angażuje się w działalność polityczną i kampanię wyborczą. Napuściła go na mnie dziś po południu u siebie w domu, przy Lincoln Park, bym nie ruszała Roz.

– Znam również i Marissę. Bierze udział we wszystkich oficjalnych wydarzeniach. Jeśli ona i Ralph życzą sobie, byś dała im spokój – wiedzą, co robią, gdyż masz opinię przysłowiowego wrzoda na siedzeniu. Ale z tym również mogłaś poczekać do rana.

Kiedy się nie odezwałam, niechętnie wyznał, że nie wie o Roz niczego, co by jego gazeta zataiła przed czytelnikami. Niestety, często przemilczają więcej, niż ufna publiczność sądzi – nie piszą o sprawach, które mogłyby urazić płatników reklam lub osobistości kościelnych. Co gorsza, omijają jak jeża sprawy, które mogłyby dotknąć większość czytelników.

– Ale jutro sprawdzisz to dla mnie? – nalegałam.

– Pod warunkiem, że otrzymam od ciebie prawo wyłączności pisania o twoim pogrzebie. Skrzywiłam się.

– Sądząc po ilości wypijanego przez ciebie alkoholu, powinnam cię przeżyć. Murray... Czy słyszałaś coś o śmierci narkomanki na budowie Rapelec?

Czułam, iż w tym momencie usiłował rozstrzygnąć, z jakiego powodu do niego zadzwoniłam – z powodu Roz czy narkomanki.

– Nic o takiej sprawie nie słyszałem – odpowiedział ostrożnie. – Czy chodzi o jakąś twoją przyjaciółkę?

– W pewnym stopniu. – W tym momencie Peppy się podniosła i zaczęła węszyć po kątach. – Dokonałam identyfikacji jej zwłok. Wydawało mi się dziwne, że był przy tym szef miejskiej policji kryminalnej. Sądziłam, iż coś wiesz o tym. W porządku, przepraszam, że cię niepokoiłam w domu – jutro zadzwonię do redakcji.

– Warszawski, niech cię diabli. Poszukaj sobie kogoś innego do swoich celów. – Odłożył słuchawkę z trzaskiem.

Peppy znalazła za pianinem pokrytą kurzem piłkę tenisową i zaczęła ją żuć intensywnie. Wyjęłam jej ją z pyska i zaczęłyśmy ulubioną zabawę – siedząc na tylnych łapach, chwytając pyskiem piłkę w locie. W pewnym momencie musiałam sięgnąć po piłkę za pianino, gdy nagle zadzwonił telefon. Szybko się wyprostowałam, podniosłam słuchawkę, rzucając jednocześnie piłkę Peppy, która tym razem odprowadziła mnie spojrzeniem pełnym pogardy.

Dzwonił Michael Furrey. Zesztywniałam na myśl, iż robi to za radą Bobby’ego.

Furey był bardzo miły. Nie musiałam się wysilać, by poczuł się odprężony.

– Przepraszam bardzo, że tak późno cię niepokoję. Czy znajdziesz dla mnie wolną chwilę? Mam sprawę do omówienia. Czy mogę wpaść do ciebie?

– Czy to pomysł Bobby’ego? – zapytałam.

– Tak... a właściwie to nie – chcę wpaść do ciebie, ale...

– Możesz mu powiedzieć, żeby się odczepił ode mnie.

– Proszę cię, Wik, nie utrudniaj mojej i tak już niełatwej sytuacji; to nie jest wyłącznie twoja osobista sprawa, nawet jeśli byś tego chciała.

Na chwilę odsunęłam słuchawkę od ucha.

– Czyżby nie chodziło ci o to, co stało się we wtorek w nocy? – zapytałam z głupia frant.

– Nie. Ani też o nic podobnego. Chociaż muszę przyznać, iż winien jestem ci przeprosiny. Tym jednak razem chodzi o twoją ciotkę, trudno mi jednak mówić o tym przez telefon.

Moje serce zaczęło bić mocniej.

– Czyżby nie żyła?

– Nie, nic podobnego. Wolałbym nie mieć z tym nic do czynienia, ale wuj Bobby – to jest porucznik – sądzi, że lepiej będzie, jeśli my oboje – biorąc pod uwagę łączącą nas przyjaźń – tę sprawę załatwimy.

Przychodziły mi do głowy najbardziej szalone myśli o tym, co mogło stać się z Heleną, nawet to, iż ona właśnie spowodowała pożar „Indiana Arms”. Przysiadłam na stołku stojącym przed pianinem i zażądałam od Michaela, żeby wyjaśnił mi bliżej, o co chodzi.

– Sprawa nie jest prosta. Parokrotnie zauważono ją w Uptown, jak nagabuje mężczyzn, głównie starszych, zdarzało się jednak, iż zaczęła również młodszych.

Gdy to usłyszałam, poczułam ulgę i zaczęłam się głośno śmiać. Wyobraziłam sobie Helenę podrywającą kogoś takiego jak „bankier” Vinnie, a nawet sam Furey. Chichotałam jak szalona, tak że Peppy przybiegła do mnie i patrzyła z niepokojem.

– To nie jest takie śmieszne, jak ci się wydaje, Wik. Jeśli dotąd nie została aresztowana, to tylko ze względu na jej rodzinne związki z przedstawicielami policji. Mam nadzieję, że porozmawiasz z nią, by zaprzestała tego procederu.

– Zrobię, co tylko będę mogła – odpowiedziałam z trudem łapiąc oddech, lecz z góry uprzedzam, iż ona nigdy nie liczyła się z tym, co jej mówiono. – Usiłowałam stłumić śmiech.

– A może ja bym ci towarzyszył? – zaproponował. – Wuj Bobby uważa, że mogłoby to wyrzucić na nią większy wpływ, gdyby obok ciebie zobaczyła przedstawiciela policji.

– Powiedz mi prawdę: Bobby’emu zabrakło odwagi, żeby z nią rozmawiać?

Michael wołał przemilczeć to pytanie, aniżeli krytycznie wypowiadać się o swoim przełożonym i chrzestnym ojcu. Zapytał mnie natomiast z pewnym wahaniem, czy nie mogłabym z nim załatwić tej sprawy jeszcze dzisiaj. Spojrzałam na zegarek: była ósma trzydzieści.

– Jeśli nawet zastaniemy ją w hotelu, z pewnością będzie pijana – ostrzegłam go.

– Często widuję pijanych. Za dwadzieścia minut będę u ciebie. Miałam na sobie wciąż jeszcze spódnicę ze sztucznego jedwabiu, w której byłam na przyjęciu u Marissy. Zmieniłam ją na dzinsy – nie chciałam, by Furey pomyślał, że to dla niego się wystroiłam. Kiedy dokładnie po dwudziestu minutach rozległ się sygnał domofonu, odprawiłam Peppy do pana Contrerasa. Była bardzo niezadowolona – nie było ani biegów, ani zabawy i do tego ona znów będzie musiała siedzieć w zamknięciu, gdy tymczasem ja wyruszam na nową przygodę, podczas której z pewnością nie zabraknie pościgów za wiewiórkami i kaczkami.

Michael znów zachowywał się wobec mnie jak dawniej. Powitał mnie serdecznie pytając, czy nie przeżyłam szoku podczas identyfikacji zwłok Cerise. Uprzedzająco grzecznie trzymał otwarte drzwi swojej corvette, gdy ja z trudem gramoliłam się do środka (nigdy nie mogłam pojąć, w jaki sposób Magnum potrafi wskakiwać i wyskakiwać ze swojego ferrari).

– Gdzie ona mieszka? – zapytał, uruchamiając z hałasem silnik.

Podalam mu adres „Windsor Arms” bez wskazania kierunku, wiedząc, iż jak każdy chicagowski policjant świetnie zna miasto. Być może należałoby wprowadzić obowiązek rocznej służby w policji drogowej dla wszystkich taksówkarzy.

Michael skorzystał z przywileju policji i zaparkował przed hotelem, blokując hydrant. Kilku pijaków podeszło bliżej, by przyjrzeć się corvette, lecz natychmiast zniknęli w ciemnościach, spostrzegłszy pistolet policyjny u boku Michaela. Gdy weszliśmy do holu, w recepcji nie było nikogo. Weszłam na schody, Michael podążył za mną. Nagle ktoś zawołał:

– Halo! Na górę wolno wchodzić tylko mieszkańcom. Odwróciwszy głowy, ujrzeliśmy mężczyznę w zielonym roboczym ubraniu, podnoszącego się z fotela w otwartej na oścież sali klubowej, z której dochodziły hałasy włączonego telewizora. W młodości mężczyzna z pewnością był świetnie zbudowany, może grał w piłkę nożną, obecnie – grubas ze sterczącym brzuchem. Michael odsłonił w uśmiechu zęby.

– Policja, przyjacielu. Musimy rozmawiać z jedną z waszych mieszkanek.

– Proszę o okazanie legitymacji służbowej; każdy może powiedzieć, że jest z policji.

Najwyraźniej był nietrzeźwy, gdyż nie brakowało mu odwagi. Michael nie miał ochoty na dyskusję, ale spostrzegł, iż go bacznie obserwują, sięgnął więc do kieszeni spodni i wyjął legitymację.

– Kogo tutaj szukacie? – zapytał stróż.

– Heleny Warshawski – odparłam, zanim Michael zdążył wtrącić swoje: „Nie twój interes”. – Czy jest u siebie?

– Nie ma jej tutaj.

– Sami sprawdzimy – oświadczył Michael.

Mężczyzna wrzucił ramionami.

– To bezcelowe. Trzy dni temu wyprowadziła się od nas. Spakowała swoje rzeczy i wyszła.

– W czwartek? – zapytałam.

Pomyślał chwilę, licząc dni w pamięci.

– Tak, chyba w czwartek. Ma jakieś kłopoty?

– To moja ciotka – stwierdziłam. – Jest samotna i próbuje sobie kogoś znaleźć. Chciałabym się upewnić, że nic jej nie grozi. Czy pan może wie, dokąd poszła?

Potrząsnął głową przecząco.

– Siedziałem tutaj i oglądałem telewizję, gdy się wymykała cichaczem. „Hej, siostrzyczko” – zawołałem – „prawo nie zabrania wychodzić z hotelu w środku nocy, nie musisz więc tego robić ukradkiem”. Zachnęła się speszona i poprosiła, bym wyszedł na ulicę i sprawdził, czy jest spokojnie. Niczego podejrzanego nie zauważyłem, poszła więc sobie, przez nikogo niezaczepiana. To był ostatni raz, kiedy ją widziałem.

Ciekawy scenariusz. Coś ją wystraszyło tak, że opuściła wygodny kąt, ale nie do tego stopnia, by rzucić pod moje drzwi.

– Czy mogę wejść na górę i zajrzeć do jej pokoju? – zapytałam nagle. Może coś po sobie zostawiła, jakiś znak, dlaczego odeszła.

Stróż przyjrzał mi się badawczo przepitymi oczami. Sprawdziwszy moje prawo jazdy, doszedł pewnie do wniosku, że jestem osobą ze wszech miar godną zaufania. Poprowadził nas schodami na trzecie piętro. Michael zapytał mnie szeptem, czy mam pojęcie, dokąd Helena mogła się udać.

– Hm. – Wzruszyłam ramionami niecierpliwie. – Prawdopodobnie jej jedyna przyjaciółka z „Indiana Arms” przebywa wciąż jeszcze w szpitalu, wobec czego nie ma się gdzie zatrzymać w mieście.

Dozorca pracowicie przebierał wśród pęka kluczy wiszących u jego pasa, zanim znalazł ten do pokoju Heleny. Przekreślił kontakt, zabłysła jedyna w pokoju żarówka. Pokój był pusty. Helena pozostawiła nieposłane łóżko z wymiętą pościelą. Kołdra częściowo leżała na podłodze, odsłaniając cienki, wytarty materac. Przetrzaśnięłam całą pościel, znajdując tylko brudny i rozciągnięty biustonosz. Pudło pod łóżkiem było puste. Stróż miał klucze do pokoju, mógł więc zawsze wejść do środka i zabrać wszystko, co zostało, o ile mi jednak było wiadomo, Helena nie posiadała nic wartościowego. Zwinęłam biustonosz i włożyłam do swojej torebki.

– Chętnie porozmawiałabym na jej temat z innymi mieszkańcami hotelu. Może ktoś byłby w stanie powiedzieć, dokąd poszła.

Dozorca potarł swoje wielkie dłonie o spodnie.

– Czemu nie, lecz kiedy zobaczą panią w towarzystwie policjanta, nie będą pewnie chcieli. Zresztą wątpię, czy pani ciotka bliżej знаła tu kogokolwiek.

Po pijanemu była w stanie powierzyć przygodnemu rozmówcy swoje największe sekrety. Przy butelce każdy był dla niej starym przyjacielem. Zapytałam go, kiedy przychodzi do pracy – z nim rozmawiało się łatwiej niż z recepcjonistką.

– O szóstej – odparł. – Jutro i we wtorek mam dni wolne. Jeśli chcę porozmawiać z

mieszkańcami hotelu, muszę to zrobić jeszcze dziś. Ramiona opadły mi ze zniechęcenia. Michael obserwował mnie życzliwie.

– Słuchaj, Wik. Podaj dokładny rysopis Heleny, przekażę go chłopcom. Jest szansa, iż ją odnajdziemy bez większego nakładu sił i czasu.

– Dziękuję ci – uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Michael czasem potrafił być sympatyczny.

Zeszliśmy za dozorcą na dół. Przed wyjściem postanowiłam zapewnić pokój Helenie na paździenik. Fred Cameron – tak się nazywał dozorca – wręczył mi niewprawną ręką napisane pokwitowanie.

Już w samochodzie podałam Michaelowi dokładny opis Heleny i jej garderoby. Przekazał to przez radio, podkreślając jednocześnie pilny charakter zadania, wraz z prośbą, by wszelkie uzyskane informacje kierować wprost do niego.

Gdy skręciliśmy na południe, zapytałam, kiedy ostatnio widziano Helenę zaczepiającą mężczyzn na ulicy.

– Jeśli to było po czwartku, musiano ją widzieć w pobliżu miejsca, w którym znalazła przytułek.

– Słuszna uwaga. Gdy wrócę do komendy, sprawdzę natychmiast wszystkie raporty. – Zakręcił nagle na skrzyżowaniu i włączył się do ruchu wzdłuż Broadwayu w kierunku południowym. Lubiałam tego rodzaju manewry w jego wykonaniu.

– Nie masz pojęcia, dlaczego tak nagle opuściła hotel? – zapytał.

– Coś musiało ją przestraszyć, ale nie wiem co. Była trochę zaprzyjaźniona z dziewczyną, której zwłoki znaleziono na budowie Rapelec. Wiadomość o jej śmierci była dla Heleny szokiem, ale została w hotelu do następnej nocy. Doprawdy nie wiem, co się mogło stać. Muszę porozmawiać z innymi mieszkańcami.

Michael zatrzymał samochód tuż przed moim domem i wyłączył silnik.

– Wbrew temu, co sądzi ten frant Cameron, uważam, że ludzie będą ze mną rozmawiać. Pozwól mi się tym zająć, dla ciebie ta sprawa jest zbyt bliska, a to zawsze utrudnia rozmowy.

Zgodziłam się z nim nawet chętnie. Po krótkiej chwili milczenia zapytałam go jeszcze, czy policja próbowała wyjaśnić, dlaczego Cerise wybrała Rapelec, by tam wstrzyknąć sobie heroinę.

– Nie. Zajęliśmy się tą sprawą tylko dlatego, że Boots zainwestował trochę pieniędzy w realizację budowy i chciał mieć pewność, że nie ma nic niezwykłego w znalezieniu na terenie zwłok dziewczyny. Jest szczególnie uczulony na możliwość skandalu w okresie kampanii wyborczej. Wuj Bobby był wściekły, że wciągnięto go w tę sprawę. Ernie przeklinał ciebie, kiedy się dowiedział, że kręcisz się na budowie.

– Wiem, zadzwonił do mnie.

Michael bawił się kluczykami do samochodu.

– Słuchaj, Wik, bardzo mi przykro, iż zachowałam się tak głupio tamtej nocy. Byłem po prostu zazdrosny, kiedy cię zobaczyłem z innym facetem, po tym jak mi wcześniej oznajmiłaś, że nie masz czasu na spotkanie ze mną.

– To był mój potencjalny klient. A w takich kontaktach często jedna sprawa pociąga za

sobą drugą.

Przed nami zatrzymała się mazda Vinniego. Wsiadł z samochodu z innym wysokim, nonszalanckim i najwidoczniej blisko z nim zaprzyjaźnionym mężczyzną. No, no. Kto by pomyślał.

– Zastanawiam się, czy nie mógłbym do ciebie wstąpić, by naprawić to, co zepsułem.

– Nie – odpowiedziałam łagodnie, ale stanowczo. – W ostatnim tygodniu bardzo skomplikowaliśmy nasze wzajemne stosunki. Nie miałabym siły w tej chwili tego wszystkiego odkręcać.

– Za to będziesz się nadal spotykać z tym swoim potencjalnym klientem.

– To nie twoja sprawa, Michael.

Uderzył niecierpliwie dłońmi w kierownicę, – Do diabła, Wik. Jeślibym teraz zrobił ci awanturę, nigdy już nie zgodziłabyś się ze mną spotkać. Dam ci znać, kiedy coś będę wiedział o twojej ciotce.

Wsiadłam z samochodu. Ledwo zdążyłam za sobą zatrzaskać drzwi, gdy ruszył przed siebie z rykiem silnika.

ROZDZIAŁ 22

Wdzieram się na teren budowy

Dan Ryan

Spałam źle, przyśniła mi się Helena. Szukałam jej zagubiona w labiryncie pustych korytarzy nocnego Chicago. Słyszałam jej płaczliwy głos: „Wiki, kochanie, gdzie jesteś? Musisz mi pomóc”. Lecz jej samej nie mogłam nigdzie dostrzec. Przy mnie stał Michael i kręcąc głową, powtarzał: „Nic nie poradzę, Wik, gdyż nie chcesz mnie wpuścić do środka”.

Wstałam około siódmej, bolał mnie kark po źle przespanej nocy. Powoli zwlokłam się z łóżka. W głowie kołatała mi myśl: czy postąpiłam słusznie, odprawiając z kwitkiem Michaela ubiegłego wieczoru? Czy zechce teraz potraktować poważnie rozmowę na temat Heleny z mieszkańcami hotelu? Czy nie powinnam przeprowadzić jej sama? Czy w ogóle powinnam zastanawiać się, dokąd się udała moja ciotka? Uprzymiwniwszy sobie całą bezduszną ostateczną wątpliwość, zawstydziałam się. Kto właściwie ma obowiązek troszczyć się o nią, jeśli nie ja, jej bratanica?

A może Zerline Ramsay. Stosunki między obu paniami były dość specyficzne, ale można je było uważać za przyjaźń. Wypiłam drugą filiżankę kawy, po czym zabrałam Peppy na mały bieg nad jezioro. Po powrocie i prysznicu włożyłam eleganckie spodnie, beżowy wełniany sweter i żakiet. Dochodziła godzina dziewiąta.

Karą za wczesne wstawanie i pośpiech są dla zmotoryzowanych korki na jezdni. Gdybym spokojnie zjadła śniadanie – zamiast kanapki przełkniętej naprędce – byłabym w szpitalu o tej samej godzinie. Na miejscu spotkało mnie rozczarowanie – Zerline wypisano w piątek i nikt nie wiedział, dokąd się udała.

Wróciłam do samochodu zdenerwowana. W jaki sposób ją teraz odnajdę? Wszystko, co o niej wiedziałam, to imię drugiej babki jej wnuczki oraz imię przyjaciółki Cerise. Szukaj teraz wiatru w polu.

Chociaż byłam prawie pewna, iż Zerline nie będzie w stanie mi pomóc, pojechałam do szpitala, bo przecież należało coś robić. Teraz mogłam już tylko czekać na wyniki poszukiwań Heleny przez policję: mając jej rysopis, z pewnością ją odnajdą.

Znalazłszy się w Loop, zaparkowałam w podziemnym garażu. Dopóki Ajax nie poleci mi kontynuować śledztwa, dopóty nie mam podstaw do dalszych działań wokół sprawy „Indiana Arms”. Miałam więc czas na wykończenie drobnych zleceń i wysłanie ofert do określonych firm, którym moja fachowa pomoc mogłaby się ewentualnie przydać. Będąc u siebie w biurze, zabrałam korespondencję od klientów i pojechałam do Daley Center.

W niepojęty dla mnie sposób, zamiast gromadzić informacje o Johnie Doe i Jane Roe, zaczęłam grzebać w przeszłości Rosalyn Fuentes i jej kuzyna Luisa Schmidta. Co się tyczy Roz, nie znalazłam nic ciekawego, ale o Luisie było coś niecoś. Kilka lat temu zaskarżył do sądu władze miejskie, iż odrzuciły jego ofertę naprawy nawierzchni w Humboldt Park Community Service Center. Twierdził, iż jest dyskryminowany z powodu hiszpańskiego

pochodzenia, że zlecenie wykonania robót otrzymał czarnoskóry przedsiębiorca, serdeczny przyjaciel burmistrza. Dwa lata później skarżył władze okręgowe, że odrzuciły jego ofertę budowy gmachu sądowego w Deerfield. Wspólnikiem Luisa w obu przypadkach był Carl Martinez. Po sześciu miesiącach, nie czekając na wyrok, wycofał obie skargi. Wyglądało na to, że ktoś wsunął mu do ręki trochę dolarów.

Jeśli nawet coś takiego miało miejsce, to było zbyt pospolite, żeby zaszkodzić kampanii wyborczej Roz. W Chicago obowiązuje prawo: pilnuj własnego nosa. Przypomniałam sobie, iż to Luis ostrzegał Roz przede mną na przyjęciu u Bootsa.

Weszłam na następne piętro, by sprawdzić akta spółek i korporacji. Roz miała niewielki udział w Alma Mejicana, kuzyn jej prowadził przedsiębiorstwa budowlane. Trudno to jednak było zakwalifikować nawet jako powszednie grzechy. Jeśli Ralph MacDonald powiedział mi prawdę, że Roz ukrywa jakiś błąd młodości, musiał on mieć miejsce chyba w Meksyku. Więc, u licha, czego się obawiała?

– Nie twój interes, Wik – powiedziałam głośno do siebie. – Pamiętaj, że są tacy, którzy uważają, że jesteś jak wrzód na siedzeniu.

Korzystający obok z mikrofiszek mężczyzna spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Nie odrywając wzroku od stojącego przede mną ekranu, zacisnąwszy usta, udawałam, że niczego nie powiedziałam i niczego nie słyszałam.

Był czas najwyższy zająć się sprawami klientów. Niemniej jednak, sporządziłam jeszcze notkę, zapisując nazwisko Schmidta i adres na Ashland. Być może tą drogą dotrę do bliższych danych o jego interesach. Mogę jeszcze w dziale danych okręgowych sprawdzić, jakie ostatnio zawarł kontrakty. To jednak był zły trop, ponieważ tam należało znać nazwę projektu budowy, by się dowiedzieć, kto przyjął ofertę. Nie pozwolą mi grzebać w dziesiątkach tysięcy fiszek w poszukiwaniu jednego wykonawcy.

Kiedy skierowałam się ku wyjściu, drzwi na końcu korytarza nagle się otwały i do środka wszedł Boots w towarzystwie kilku mężczyzn, uważnie przysłuchujących się temu, co mówi. Wchodząc do gabinetu, zauważył mnie i uśmiechnąwszy się, skinął mi ręką. Doznałam dziwnego uczucia – wbrew woli poczułam się dowartościowana, więc odpowiedziałam mu uśmiechem.

Z pewnością, by się otrząsnąć z magicznego wpływu Bootsa, postanowiłam zrobić kolejny krok w wyjaśnianiu spraw związanych z Roz. Zadzwoiłam do Alma Mejicana, oświadczając, iż jestem z redakcji miesięcznika *Architecture* i chciałam wiedzieć, gdzie wylewają dziś fundamenty. Mężczyzna, który podniósł słuchawkę, mówił słabo po angielsku i nie mógł zrozumieć pytania. Po kilku bezowocnych próbach odłożył słuchawkę, każąc mi zaczekać.

Luisa Schmidta słyszałam tylko jeden raz, ale odniosłam wrażenie, iż ten pełen podejrzliwości głos w słuchawce należy do niego. Na wszelki wypadek zaczęłam mówić przez nos, powtarzając pytanie.

Przerwał mi, nim zdążyłam skończyć.

– Nie mamy żadnych problemów i nie chcemy tu nikogo, zwłaszcza prasy.

– Ja nie twierdzę, że macie problemy – było mi trudno mówić płynnie z nosowym

akcentem jednocześnie. – Mówią, iż budowlane firmy kolorowych właścicieli mniej przestrzegają przepisów bezpieczeństwa niż białych. Przeprowadzamy wyrywkową kontrolę, która ma wykazać, że tak nie jest.

– To jest czysty rasizm – oświadczył z oburzeniem. – Nie pozwolę, żeby rasiści przyglądali się, jak pracują moi ludzie. Proszę się czym prędzej rozłączyć, zanim oskarżę panią o oszczerstwo.

– Chcemy panu pomóc – mówiłam z nosowym akcentem, ale nim zdążyłam skończyć, odłożył słuchawkę.

W porządku. Alma Mejciana nie życzy sobie współpracy z prasą. Nic w tym dziwnego. Wiele przedsiębiorstw postępuje podobnie. Wobec tego daj jej spokój, Wik. Wróć do spraw, za załatwienie których ludzie ci zapłacą.

To był mądry pomysł, który mnie zaprowadził do biblioteki Uniwersytetu Illinois. Kiedy się tam znalazłam, coś mi kazało zajrzeć do komputerowego wykazu firm, opublikowanego w *Herald-Star*. Ku swojej radości znalazłam w nim również Alma Mejciana i dowiedziałam się, że firma bierze udział w realizacji rekonstrukcji Dan Ryan. W lutym gazeta opublikowała wykaz wszystkich firm uczestniczących w tej budowie. Oferty Luisa musiały wywrzeć wrażenie na władzach federalnych, jeśli podpisały z nim kontrakt.

Przypomniałam sobie protesty czarnych przedsiębiorców w związku z małym wykorzystaniem ich firm w tej inwestycji; biorąc pod uwagę rasowy izolacjonizm w Chicago, nie przypuszczam, żeby uspokoił ich fakt, iż Alma Mejciana miała duży w niej udział.

W drodze powrotnej do Loop postanowiłam wstąpić na tę budowę – nie musiałam z tego powodu wiele zbaczać.

Poprzez Halsted dotarłam do Cermak, po czym z trudem wypatrzyłam drogę, którą można było dostać się na teren budowy. Samochody i ciężarówki stały zaparkowane w pobliżu Lake Share Drive, wzdłuż prowizorycznie wybudowanej rampy. Zjechałam z jezdni na rozjeżdżoną samochodami gołą ziemię i zaparkowałam obok eleganckiego, dobrej marki samochodu.

Znowu nie byłam ubrana stosownie, by bezpiecznie poruszać się po budowie. Wybrałam drogę między wykopami, stertami poskręcanych rur, żelaznych sztab i innych śmieci, by w końcu dotrzeć do południowej rampy.

Tutaj huk maszyn był ogłuszający. Żelazne monstrialne potwory kruszyły beton i olbrzymimi ramionami dźwigów unosiły w górę trzymetrowej długości płyty. Za nimi szereg pneumatycznych młotów ubijał ziemię, miażdżąc każdą nierówność terenu. Potężne ciągniki usuwały wszelkie pozostałości. Setki robotników, wśród nich kilkanaście kobiet, ręcznie wykonywało inne prace.

Bacnie się rozglądałam po tym wielkim polu bitwy, wypatrując kogoś, do kogo mogłabym się zwrócić ze swoimi pytaniami. Kiedy się już tutaj znalazłam, nie mogłam zrezygnować z doprowadzenia sprawy do końca. Niestety, nie byłam odpowiednio ubrana, nie miałam roboczego ubrania, a przede wszystkim kasku. Tak ubrana jak byłam, nie mogłam się kręcić w pobliżu maszyn i chodzić po prowizorycznych chodnikach placu budowy. Gdy zbliżyłam się do krawędzi rampy, jakiś niski mężczyzna w kombinezonie odszedł od grupy robotników i przybliżył się do mnie.

– Halo, proszę pani! – zawołał. – Tu nie wolno przebywać bez kasku. – W głosie jego słyszałam było nagane.

– Czy pan tutaj jest brygadzystą? – zapytałam.

Pokręcił przecząco głową.

– Tutaj mamy wielu brygadzystów. Kogo pani szuka?

– Kogoś, kto byłby w stanie wskazać mi załogę Alma Mejicana. Chociaż zwinęłam dłonie w trąbkę i wrzasnęłam mu prosto do ucha, musiałam powtórzyć pytanie.

Spojrzał na mnie z ubolewaniem charakterystycznym dla fachowców, którym ktoś niepotrzebnie zawraca głowę.

– Mamy tu setki wykonawców. Trudno znać wszystkich.

– Dlatego właśnie szukam brygadzysty! – wykrzyknęłam z całej siły.

– Niech się pani zwróci do kierownika budowy – tu wskazał na przyczepę oplecioną gęsto przewodami elektrycznymi, zaparkowaną przy końcu drogi. – I następnym razem proszę nie kręcić się tutaj bez kasku.

Obróciwszy się na pięcie, pomaszerował do swojej grupy, zanim zdążyłam mu podziękować.

Potykając się co chwila, brnęłam cierpliwie do celu. Wszędzie było pełno błota, kawałków betonu i śmieci. Mojej żółtawej wędrowce do przyczepy towarzyszyły gwizdy robotników, które cierpliwie ignorowałam.

Wewnątrz przyczepy zastałam chaos na matą skalę. Przewody telefoniczne i elektryczne pokrywały każdy niemal centymetr kwadratowy przestrzeni. Stoły zavalone były światłodrukami, aparatami telefonicznymi i ekranami komputerowymi – wszystko, co niezbędne dla zarządzania terenem budowy, zostało tu zgromadzone. W tym ciasnym pomieszczeniu tłoczyło się co najmniej dwanaście osób. Niektórzy prowadzili dialog między sobą, inni wykrzykiwali przez telefon polecenia do pracujących na placu budowy zespołów. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Poczekalam, aż najbliżej stojący obok mnie mężczyzna skończył rozmowę przez telefon, i zagadnęłam go, zanim zdążył połączyć się z kimś ponownie.

– Szukam zespołu Alma Mejicana. Kto może mi powiedzieć, gdzie pracuje?

– Po terenie budowy nie wolno poruszać się bez kasku.

– Wiem o tym – odparłam. – Jeśli pan mi powie, gdzie oni pracują, niezwłocznie otrzymam od nich kask.

– Czy pani ma jakiś szczegółowy powód, żeby ich teraz szukać? Jego małe szare oczy patrzyły na mnie bystro.

– Czy pan jest kierownikiem inwestycji?

Przez chwilę wahał się, po czym stwierdził, iż jest asystentem kierownika.

– A kim pani jest?

Z kolei ja się zawahałam. Jeśli opowiem historyjkę o redakcji lub coś podobnego, z pewnością zażąda ode mnie legitymacji albo upoważnienia. Nie miałam ochoty, by Luis się dowiedział, iż wtykam nos w jego interesy, lecz nie miałam wyjścia.

– Jestem W. I. Warszawski – detektyw – oświadczyłam. Mam kilka pytań dotyczących

bezpieczeństwa pracy w Alma Mejicana.

Wstał od stołu i podszedł do przepierzenia dzielącego przyczepe na dwie części. Jego tegi korpus wypełnił przejście. Widziałam, jak porusza ramionami, wymachując rękoma poza zasięgiem mojego wzroku.

Po chwili wrócił ze szczupłym, czarnym mężczyzną.

– Jeff Collins, jeden z kierowników inwestycji.

– Czego pani sobie życzy?

– W. I. Warszawski – uściśnęłam podaną dłoń i powtórzyłam swoją prośbę.

– Odpowiadam tutaj za bezpieczeństwo pracy. Nic takiego nie słyszałem, by zainteresować się bliżej Alma Mejicana. Ma pani jakieś szczególne problemy? – Nie był niesympatyczny, starał się zachować autorytatywnie.

Ponieważ w ogóle nie miałam pojęcia o problemach związanych z bezpieczeństwem pracy na budowach, nie byłam w stanie rozmawiać na ten temat. Mój umysł gorączkowo poszukiwał jakiegoś wyjścia.

– Prowadzę badania finansowe – rzekłam, zbierając jednocześnie myśli. – Mój klient uważa, że sprzęt, jakim Alma dysponuje, jest przestarzały. Martwi się o ulokowane tam swoje pieniądze. Chciałabym przyjrzeć się technicznemu wyposażeniu tego przedsiębiorstwa, by zorientować się, czy sprzęt, jakim się posługują, jest w dobrym stanie, i czy jest ich własny, czy wypożyczony.

To, co powiedziałam, w moich własnych uszach zabrzmiało fatalnie, ale Collins przyjął to bez zdziwienia.

– Niestety, nie mogę pani puścić na teren budowy. Mamy tu kilka tysięcy ludzi. Wszystko, co się tu dzieje, jest dokładnie skoordynowane. Nie mogę pozwolić postronnym, nieupoważnionym osobom kręcić się po terenie.

Chciałam podjąć dyskusję, lecz on zmarszczył brwi, zwrócił się do krępego mężczyzny.

– Zadzwoń do nich, Chuck, i zapytaj o sprzęt i transport. Przekaż tej damie uzyskane informacje.

– To wszystko, co mogę dla pani uczynić. Zrobiłem więcej, niż powinienem.

– Jestem panu bardzo wdzięczna – odparłam najszczerzej, jak tylko mogłam. Właściwie to mnie nie satysfakcjonowało – chciałam widzieć Almę przy pracy, może coś interesującego wpadłoby mi w oko. Ale nie miałam wyboru.

Collins wrócił do swojego biurka za przepierzeniem, a Chuck do stolika z aparatem. Po upływie dziesięciu, a może piętnastu minut głośnej rozmowy z różnymi partnerami, poprosił mnie do siebie.

– Sądziłem, że oni znajdują się w sektorze pięćdziesiątym dziewiątym, ale okazało się, iż zostali przesunięci do dwudziestego pierwszego. – Nie musi się pani martwić. Cały sprzęt, z jakiego korzystają na budowie, należy do Wunsch and Grasso.

Kiedy spojrzałam na niego wzrokiem bez wyrazu, powtórzył głośno informację.

Obdarzywszy go jak najśłodszy uśmiechem, gorąco podziękowałam.

ROZDZIAŁ 23

Znalazłam Zerline

Kiedy wróciłam do Loop, było już za późno, by udać się do Daley Center. Zaparkowałam nieprawidłowo przed Pulteney, by szybko sprawdzić w biurze pozostawione informacje. Weszłam do windy i dopiero po kilku minutach uświadomiłam sobie, że jest nieczynna. Wchodząc po schodach na czwarte piętro, analizowałam w myślach nowo poznane fakty.

Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że Luis korzystał z transportu Wunsch and Grasso? Fakt ten poraził mnie niczym piorun, ale być może nie ma on aż tak wielkiego znaczenia. Luis i jego partner znają dobrze Erniego i Rona, to było widoczne na przyjęciu u Bootsa. Jeśli Alma Mejicana szukała oparcia w budowlanym biznesie w Chicago, to wypożyczenie sprzętu z wielkiej firmy było tym, na czym jej zależało najbardziej.

– Pilnuj swego nosa, Wik – powiedziałam głośno, otwierając biuro. – Jeśli Roz ukrywa jakieś grzeszki z czasów młodości, to nie jest twoja sprawa.

Zapaliłam światło i sprawdziłam automatyczną sekretarkę. Dzwonił Robin oraz Darrough Graham – ten ostatni pytał, kiedy, u diabła, otrzyma informacje. Najpierw oddzwoniłam do Grahama, ponieważ był moim starym klientem, wyjaśniając, iż przez kilka dni nie było mnie na miejscu i jutro z rana zajmę się jego sprawą. Nie był uszczęśliwiony, lecz po moich wyjaśnieniach zgodził się poczekać. Pomyślałam, iż naprawdę nie powinnam tak zaniedbywać swoich klientów.

W oczekiwaniu na rozmowę z Robinem spojrzałam mimo woli na plik leżących na biurku wycinków prasowych. Nie odsuwając od ucha słuchawki, przykleiłam pierwszy z wycinków na ścianie przed biurkiem.

– *To jest twoja praca* – odczytałam na głos. – *Nie podejmuj nowych zadań, dopóki nie wykonałaś już rozpoczętych.*

– Wik? – usłyszałam w słuchawce głos Robina. – Jesteś przy telefonie?

– Tak, tak, Robinie. W tej chwili po prostu głośno myślałam. Kiedy pracuje się samemu, przestaje się odróżniać myśli i słowa.

– Zastanawiam się, czy nie płacisz zbyt wysokiej ceny za indywidualny charakter swojej pracy.

Przez kilka minut gawędziliśmy o tym i owym, a w końcu zapytał, czy nie mam ochoty zjeść kolacji w jego towarzystwie. Kiedy wyraziłam zgodę, przeszedł do interesów.

– Otrzymaliśmy dzisiaj twoją notatkę – twoje dwie notatki. Byłem z nimi u szefa, postanowiliśmy prosić cię o dalszą współpracę. Nie kwestionuję tego, co napisałaś o uczciwości Seligmana, ale ktoś przecież wywabił stróża nocnego z hotelu. Jest rzeczą oczywistą, iż był to ktoś, kto znał jego upodobania, musiał więc to być albo mieszkaniec hotelu, albo osoba z otoczenia Seligmana.

– Albo ktoś z zewnątrz, kto go obserwował – wtrąciłam.

– Masz rację. Rzecz jednak w tym, iż jedyną osobą, która mogła odnieść korzyści z

pożaru, jest staruszek lub jego dzieci. Zanim wypłacimy odszkodowanie, chcemy mieć pewność, że to nie Seligman przysłał facetowi pieniądze na zakłady. Czy możesz poświęcić nam jeszcze jeden tydzień?

Przebiegłam w myślach grafik zajęć. Jeśli jutro rano przygotuję informację dla Grahama, będę mogła resztę czasu poświęcić sprawie podpalenia i zakończyć ją do piątku, jednak pod warunkiem, iż nie będę więcej zwracała sobie głowy Roz i jej problemami.

– Jesteś wciąż przy aparacie, Wik?

– W porządku, sądzę, że będę mogła poświęcić waszej sprawie kolejny tydzień. Czy zapłacicie mi teraz, czy doręczyć wam rachunek po wykonaniu całego zadania?

– Skierowałem już odpowiednie zlecenie do księgowości. W ciągu dziesięciu dni powinnaś otrzymać czek. Twierdzisz, że Seligman nie ma strat, ale i wiele nie zarabia?

Grubym flamastrem zakreśliłam kółko na bloku.

– Sądzę, iż on nie myśli teraz o pieniądzach. Mogę spróbować odszukać jego stare księgi i porównać obecne wpływy z tymi sprzed piętnastu laty. On nie wygląda na człowieka oplakującego utracone miliony.

– W porządku. Przeprowadź więc dodatkowe dochodzenie. Zobaczymy, co się uda jeszcze ustalić. Wiem, iż twoja sympatia do dziadka nie przysłoni ci faktów. Spotkamy się o wpół do ósmej.

– Dobrze.

To, co powiedział, brzmiało jak komplement, w rzeczywistości jednak było ostrzeżeniem. Sentymentalizm to najgorszy wróg detektywa. Pośrodku koła narysowałam oczy, nos i bokobrody. Nie mogłam uwierzyć w winę staruszka, chyba że byłby chory psychicznie, czego podczas dwukrotnej z nim rozmowy nie zauważyłam. Robin mógł mieć rację. Seligman miał motywy – jego dzieci będą po nim dziedziczyły i – być może – były na tyle przebiegłe, aby podpalić budynek już za życia ojca, żeby uniknąć podejrzeń. Dorysowałam do twarzy wymięty strój i rękę wyciągniętą po pieniądze. Może któryś z mieszkańców „Indiana Arms” coś zauważył, lecz był zbyt ostrożny, by o tym donieść policji. Jeśli ktoś należy do marginesu społecznego, stara się nie rzucać nikomu w oczy. Gdybym mogła odnaleźć kogoś z byłych mieszkańców hotelu, może potrafiłabym pociągnąć go za język. Może powinnam zdobyć zdjęcia córek staruszka, chociaż – nie musiały osobiście podpalić hotelu, mogły to zrobić cudzymi rękami.

Szkopuł w tym, że nawet jeśli Rita Donnelly dałaby mi nazwiska niektórych pensjonariuszy „Indiana Arms”, odszukanie ich zajęłoby mi dużo czasu. Znajomość nazwiska Zerline i ciotki nie ułatwiała zadania, gdyż nie wiedziałam, co się z nimi dzieje i gdzie ich szukać. Dla inteligentnego detektywa nie jest to oczywiście żaden problem. Zerline mogę przecież odszukać za pośrednictwem kostnicy. Odbierając zwłoki Cerise, musiała zostawić tam swój adres.

Potrzebny był jednak ktoś, kto zdobyłby ten adres dla mnie. Mógł to uczynić oficer policji, ale niezręcznie było prosić o pomoc Fureya, skoro kilka dni temu dałam mu odprawę. Bobby raczej wołałby zobaczyć mnie na marach, niż pomóc w dochodzeniu. John McGonnigal trzyma się ostatnio z dala ode mnie. Jest jednak ktoś wśród chłopców

Bobby'ego, kto się do mnie odnosi życzliwie – Terry Finchley. Nie mogę powiedzieć, iż jestem z nim zaprzyjaźniona, ale wszystkie nasze kontakty w przeszłości były raczej sympatyczne. Pewnego razu, a było to kilka lat temu, powiedział mi, że mu się podoba moja solidarność wobec przyjaciół. Warto spróbować.

Jakimś cudem zastałam Finchleya na miejscu. Ucieszył się, gdy usłyszał mój głos.

– Potrzebuję pomocy – oświadczyłam.

– Nie wątpię, pani Warshawski, inaczej byś nie dzwoniła. Czy chodzi o Fureya? – Miał poczucie humoru, mówił przyjemnym tenorem.

– Nie, nie – zaprzeczyłam pośpiesznie. Oczywiście, wszyscy w jednostce Bobby'ego wiedzieli o moich stosunkach z Michaeliem.

Opowiedziałam mu o Cerise i o tym, że muszę odszukać jej matkę. Odpowiedział mi chłodno, że nie może mi pomóc.

– Przykro mi. Sądziłam, że mogę na ciebie liczyć.

– Zapytaj Fureya lub McGonnigala – rzekł stanowczo.

– Słuchaj – powiedziałam szybko, nim zdążył odłożyć słuchawkę. – Zadzwoiłam do ciebie dlatego, że nie mogłam zwrócić się do nich. Wiem, wiem, iż znam ich lepiej od ciebie, miałam jednak nadzieję, że to nie jest takie ważne. To nie jest sprawa służbowa, ale może ją załatwić tylko policjant, a ja nie. Muszę odszukać panią Ramsay, by się dowiedzieć, czy czegoś nie zauważyła, co może być ważne w sprawie „Indiana Arms”.

Ponieważ milczał, zakończyłam tonem pełnym rezygnacji:

– Przepraszam cię bardzo. Następnym razem nie będę cię już niepokoiła.

– Mówisz, że nie możesz zadzwonić do Fureya ani do McGonnigala. Dlaczego?

To pytanie rozdrażniło mnie trochę.

– To właściwie nie jest twoja sprawa, lecz moja osobista, ale o ile mi wiadomo, stanowi wdzięczny temat publicznych dyskusji w pewnym komisariacie.

– Rozumiem – milczał przez chwilę, zastanawiając się, a potem nagle zapytał: – Czy nie dlatego, że jestem czarny?

– Ach! – Poczułam, iż moje policzki płoną. – Chodzi ci o to, że pani Ramsay jest czarna? W żadnym razie nawet mi to nie przyszło do głowy. Przepraszam cię bardzo. Nie o to mi chodziło.

– Nie szkodzi – oświadczył. – W każdym razie tym razem nie szkodzi. Nie dąsaj się na Fureya, to niezły chłopak, choć czasem trochę nieokrzesany. Podaj mi swój numer telefonu.

Podalam mu numer i zakończyliśmy rozmowę. Podeszłam do okna i patrzyłam na przejeżdżające wagony szybkiej kolei miejskiej. Nie byłam pewna, czy to ja zawiniłam, czy Finchley nieco przesadził. Chyba jednak przyczyna tkwiła gdzie indziej: czarny chłopak w ciągu dnia tak często spotykał się z lekceważeniem, iż niewłaściwie odczytał moje intencje.

Z uwagą obserwowałam gołębie na parapecie. Niezależnie od koloru upierzenia wzajemnie się iskały. Jednak pewnego dnia, gdy przyłączyła się do nich mewa, gołębie dziobały ją i biły skrzydłami dopóty, dopóki nie odleciała z krwawiącą szyją.

Usiadłam przy biurku, by przejrzeć korespondencję, która napłynęła w ciągu ostatnich dni. Były tam zaproszenia do udziału w seminariach na temat, jak urządzić lepiej biuro, jak

poprawić nadzór techniczny nad jego wyposażeniem, specjalna oferta na zakup broni i amunicji. Wyrzuciłam to wszystko do kosza na śmieci. Zirytowana, iż tak bardzo zaniedbałam swoje codzienne obowiązki, zaczęłam przeglądać teczki interesantów i przygotowywać pisma do wysłania.

Zdażyłam zredagować tylko trzy, gdy zadzwonił telefon. To nie był Finchley, lecz ktoś z kostnicy, kto mnie poinformował na jego prośbę, iż zwłoki Cerise zostały wydane Otisowi Armbrusterowi, zamieszkałemu przy ulicy Christiana.

Podziękowałam za informację i sięgnęłam po plan miasta. Christiana nie jest bynajmniej najsympatyczniejszą z ulic. Nie jest bezpieczna dla kobiety, a zwłaszcza dla białej. Zastanawiałam się, czy nie odłożyć sprawy do jutra rana, powróciły jednak do mnie reminiscencje rozmowy z Finchleyem. Jeśli tam mogły poruszać się Cerise i Zerline – mogę i ja.

Gasila światła, gdy zadzwonił Furey. Początkowo zlekłam się, sądząc, iż to może Finchley zrelacjonował mu naszą rozmowę, okazało się, że chodziło o Helenę.

– Wciąż nic o niej nie słyszałaś? – zapytał. – Otrzymaliśmy kolejną skargę o nagabywanie wczoraj wieczorem z baru w Uptown – być może to była ona.

Potałam tył karku dłonią, by rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

– Nic nowego o niej nie słyszałam, ale teraz wyjeżdżam na spotkanie z kobietą, z którą była zaprzyjaźniona w „Indiana Arms”. Może od niej dowiem się czegoś.

– Czy nie chciałabyś zabrać mnie ze sobą? – zapytał, usiłując daremnie ukryć nadgorliwość.

– Nie, dziękuję ci. Ona nie jest zbyt chętna do rozmów. Widok policjanta mógłby ją całkowicie speszyć.

– Zadzwon do mnie później, dobrze? Powiesz mi, czego się do niej dowiedziałas?

– Na pewno. – Podniosłam się z miejsca. – Muszę już jechać. Na razie.

Odłożyłam słuchawkę, zanim zdażył zapytać o coś więcej i wyszłam szybko, by uniknąć dalszych telefonów. Przeskakiwałam po dwa stopnie naraz – chciałam mieć jak najszybciej za sobą to raczej nieprzyjemne dla mnie spotkanie.

Pod wycieraczką samochodu znalazłam bilet parkingowy. Wykroczenia w Chicago nie popłacają – zwłaszcza jeśli idzie o parkujących nielegalnie kierowców.

Jechałam wzdłuż Van Buren, ale na widok długiego sznura samochodów zmierzających w kierunku Congress postanowiłam skrócić w boczne ulice. W ciągu kilku minut byłam na miejscu.

Ulica znajdowała się około dwunastu kilometrów na południe od Rapelec. Jeśli Cerise rzeczywiście tutaj mieszkała, dlaczego tak daleko szukała miejsca, by wstrzyknąć sobie heroinę? Nie mogłam tego zrozumieć.

Wzdłuż ulicy szare trzypiętrowe budynki przeplatały się z wolnymi parcelami. Powybijane i zabite deskami okna wskazywały, iż dużo budynków znajduje się w stanie ruiny. W świetle dziennym ulica przypominała Bejrut. O tej porze dnia łagodny zmierzch rzucał już zasłonę na rumowiska i porzucone samochody, otulając wszystko mgłą tajemniczości.

Niemal na każdym rogu otwarte były tawerny i bary, przy których parkowało po kilka samochodów. Jakiś facet jechał mi na ogonie od ulicy Csermak do Seventeenth, co mnie denerwowało; gdy zjechałam na prawo, wyminął mnie na głośnym sygnale. Było to upiorne miasto, w którym tu i ówdzie widać było grupki stojących mężczyzn przed drzwiami barów, którzy spierali się między sobą lub żartowali.

Zatrzymałam samochód tuż przed domem Armbrustera, jednej z wielu trzypiętrowych kamienic. Żółte światło przenikało na zewnątrz przez zasłony w oknach pierwszego i drugiego piętra. Okna trzeciego piętra zabite były deskami. Przez uchylone lufciki drugiego piętra dochodziła głośna muzyka z radia.

Na klatce schodowej czuć było silny zapach Pine-Sol – środka mającego zniwelować odór moczu. Jednak tego, co pozostało w powietrzu, wystarczyło, by wnętrzości podeszły mi do gardła. Armbrusterowie zajmowali drugie piętro. Klatka schodowa nie była oświetlona, poruszałam się w ciemnościach, ostrożnie stawiając nogi na stopniach. Dwukrotnie moja stopa trafiła w próżnię, dostarczając mi nieznaną dotąd emocji.

Gdy byłam już na drugim piętrze, usłyszałam płacz dziecka, który mieszał się z odgłosami radia. Zastukałam do drzwi jak najgłośniejszy. Za drugim razem głęboki głos kobiecy zapytał:

– Kto tam?

– Jestem W. I. Warszawski – odpowiedziałam. – Pragnę się widzieć z panią Ramsay.

W drzwiach znajdował się wizjer: ustawiłam się tak, by można było dojrzeć moją jasną, uczciwą twarz. Przez chwilę panowała kompletna cisza, gdyż radio i dziecko nieomal jednocześnie zamilkły, po czym dał się słyszeć zgrzyt kolejno otwieranych zamków.

Na progu ujrzałam szczupłą kobietę w średnim wieku z dzieckiem na ręku. Twarz dziecka była mokra od łez. Gdy zobaczyło, iż patrzę na nie, odwróciło głowę i zanurzyło pulchne rączki w gęstych starannie uczesanych włosach schludnie ubranej kobiety. Tuż za nią stała Zerline. Domyśliłam się, że mam przed sobą Maise i małą Katarzynę.

– Jak mnie pani znalazła? – zapytała Zerline.

– Kostnica dostarczyła mi adres osoby, która odebrała zwłoki Cerise. Przypuszczam, iż panią tutaj znajdę. Cieszę się mogąc poznać również drugą babkę Katarzyny.

Twarze obu kobiet znajdowały się w cieniu, gdyż źródło światła było za ich plecami. Czekałam cierpliwie, że zostaną poproszona do środka, niestety – na próżno.

– Pani zakłóca spokój tego domu – rzekła gniewnie Maise, tuląc do siebie dziecko.

Ze znużeniem potarłam czoło.

– Dwa tygodnie temu podpalono hotel. Na szczęście nikt nie zginął w pożarze, ale wiele osób ucierpiało, w ich liczbie pani Ramsay. Być może jest ona jedyną znaną mi osobą, która jest w stanie dostarczyć mi jakichś informacji mogących naprowadzić na ślad podpalacza.

– Nie jestem jedyną znaną pani osobą z tego hotelu – zaprzeczyła gwałtownie Zerline. – Niech się pani zwróci z pytaniami do swojej szanownej cioci.

– Kiedy ostatnio widziałam się z ciotką, powiadomiłam ją o śmierci Cerise. Tam się tym przejęła, iż uciekła ze swego miejsca zamieszkania. Od tamtej pory gdzieś się ukrywa. Wydaje mi się, że na pani bardziej można polegać.

Jej silna twarz przybrała uparty wyraz.

– Może pani sobie wyobrazić to, co jej się tylko podoba. To z powodu pani i jej ciotki umarła moja córka. Nie mam pani nic więcej do powiedzenia.

Nim Maise zdążyła zatrzaskać przede mną drzwi, wręczyłam Zerline swoją wizytówkę.

– Jeśli pani zmieni zdanie, proszę do mnie zadzwonić o dowolnej porze.

Wraz ze zgrzytem pierwszego zamka usłyszałam ponownie muzykę płynącą z radia – jej rytmiczne tempo towarzyszyło mi w ciemnościach klatki schodowej i na ulicy.

ROZDZIAŁ 24

Idę na ratunek ciotce

Spędziłam noc u Robina. Jest mądrym i czułym kochankiem, nie był jednak w stanie zatrzeć we mnie uczucia niesmaku, jakie wyniosłam z odwiedzin u Maisie i Zerline. Zapadając w kapryśny sen, co chwila budziłam się z koszmaru, w którym śniłam, że idę wzdłuż ulicy Christiana, a jakiś samochód najjeżdża na mnie. Budziłam się, kiedy tuż-tuż miałam się znaleźć pod jego kołami.

Błądziłam ręką po nocnym stoliku, by odnaleźć swój zegarek. W ciemności z trudem dostrzegłam ułożenie wskazówek: była czwarta trzydzieści. Ponownie położyłam głowę na poduszkę, próbując zasnąć. W obcym łóżku, niespokojna przez senne koszmary, nie wypoczywałam. W końcu gdzieś po piątej poddałam się i wyszłam do łazienki, żeby się umyć i ubrać.

W kuchni znalazłam jakiś notes, wydarłam z niego kartkę i napisałam kilka słów do Robina wyjaśniając powody, dla których wychodzę.

O pół do szóstej miasto dopiero się budziło. Światła paliły się już w mieszkaniach robotników, którzy wcześniej rozpoczynali pracę, ale na ulicach wciąż jeszcze było pusto. Zaroilo się nieco na głównej magistrali.

Znalazszy się u siebie poczułam takie zmęczenie, iż położyłam się do łóżka. Tym razem spałam do ósmej. Obudziłam się półprzytomna i zdenerwowana. Naciągnawszy bluzę od dresu i majtki, wyszłam do kuchni. Przy filiżance kawy pogrążyłam się w lekturze gazet, dopóki nie zadzwonił telefon.

W słuchawce usłyszałam głos Fureya.

– Wik, miałem nadzieję, że zadzwonisz do mnie ubiegłego wieczora.

Nie lubię, jak okazuje mi zniecierpliwienie.

– Ja również miałam taką nadzieję, ale zapomniałam o tym telefonie. Gdybym miała coś do doniesienia, z pewnością bym nie zapomniała, lecz kobieta nie wpuściła mnie nawet do mieszkania.

– A może podasz mi jej nazwisko i ja spróbuję? – Z trudem ukrywał gniew.

– Czemu byś nie miał dać spokoju tej sprawie, Furey? Helena nie robi nic złego. Tobie potrzebne są potworne morderstwa i gwałty, żebyś był zadowolony. Ona pojawi się w jakimś momencie sama, jak zwykle pijana i skruszona. Nie sądzę, by teraz należało tracić pieniądze z kasy miasta na jej poszukiwanie.

– Wuj Bobby chciał ci tylko zaoszczędzić poręczenia za nią przed sądem kobiecym – odparł sucho. – Jeśli chodzi o mnie, to tracę tylko czas zajmując się tą sprawą.

– Wobec tego pozwól, że zadzwonię do Bobby'ego i powiem, żeby dał jej spokój. – Rzuciłam okiem na zegar i nagle przypomniał mi się zaplanowany grafik zajęć. Do diabła. Już dwadzieścia minut temu powinnam znajdować się w Daley Center i zbierać informacje dla Grahama.

– Bardzo żałuję, Michael, ale muszę już wyjść.

– Poczekaj, Wik – zatrzymał mnie przy aparacie. – Nie mów nic porucznikowi. Byłby wściekły na mnie, gdyby się dowiedział, że się skarżę.

– W porządku – zgodziłam się zirytowana – ale w takim razie przestań już zawracać mi głowę Heleną. Jeśli będę potrzebowała twojej pomocy, zgłoszę się do ciebie. A teraz do widzenia.

Rzuciłam słuchawkę i wybiegłam do sypialni. Gdy już zapinałam dzinsy, znów odezwał się telefon. Chciałam go zignorować, sądząc że to ponownie Furey, w końcu jednak poddałam się i podniosłam słuchawkę.

– Chcę mówić z Wiktoria Warshawski – głos miał charakterystyczny akcent i należał do mężczyzny, z którym już wczoraj rozmawiałam w Alma Mejjicana.

Moje nazwisko wymówił: „Warschawssy”. Poprawiłam głośno wymowę nazwiska i zapytałam, z kim mam przyjemność.

– Tu Luis Schmidt, pani Warschassy. Jakiś ptaszek powiedział mi, że pani wściubia swój nos do pracy mojego zespołu przy Ryan. Chcę panią prosić, by pani pilnowała swoich spraw.

– Sądzę, iż pan pomylił numer – odjęłam słuchawkę od ucha, naciągając jednocześnie bawełnianą bluzę. – Tutaj nie ma osoby, która by się nazywała Warschassy.

– To nie jest Wiktoria Warschassy, prywatny detektyw? – dopytywał.

– Jestem prywatnym detektywem, ale moje nazwisko brzmi Warshawski – starałam się być grzeczna.

– Właśnie o ciebie mi chodzi, kurwo. Mówię do ciebie. Pilnuj swoich interesów i nie wtykaj swojego przekłętą nosa w cudze sprawy.

– Och, Luis, Luis. Jak tak bardzo nie lubię, gdy obcy mężczyzna nazywa mnie kurwą. A robisz takie dobre interesy przy budowie Ryan z Alną Mejjicana.

– Radzę ci, Warschassy, trzymać się z daleka od moich interesów. Inaczej pożałujesz. – Z trzaskiem odłożyłam słuchawkę.

Zawiązałam trampki i zbiegłam na dół, pokonując po dwa stopnie naraz. Za drzwiami pana Contrerasa słyszałam skomlenie Peppy. Poznała moje kroki i chciała wybiec za mną. To nie było fair. Nie zabrać jej ze sobą i skazać na całodzienne przebywanie z panem Contrerasem, który nie mógł biegać!

Omam nie krzyczałam pod wewnętrznym ciśnieniem nurtujących mnie emocji. Pies. Furey. Helena. Graham. Pozostali klienci. A teraz to starcie z Luisem. Zresztą diabli z nim, po co próbuje mnie nastraszyć.

Gdybym tylko mogła dostać trochę pieniędzy tytułem zaliczki, wyjechałabym, żeby odpocząć od tego miasta, choć na pół roku. Zaciśniełam zęby na samą myśl, jak bardzo próżne są takie nadzieje w moim przypadku i mocno dodałam gazu.

Okolo trzeciej zakończyłam wyczerpujące szperanie w życiu i romantycznych przygodach przyszłego wiceprezydenta marketingu Grahama. W notatce umieściłam również, iż facet miał stałą przyjaciółkę i dziecko.

Dopóki nie napisałam notatki i nie wysłałam jej przez posłańca do adresata, nie przerywałam pracy mimo dokuczliwego głodu. W końcu jednak głód wywołał ostry ból

głowy; mimo to moje samopoczucie uległo poprawie, gdyż mogłam skreślić z listy jedną poważną sprawę.

Wstąpiłam do kawiarni wegetariańskiej tuż za rogiem ulicy, zjadłam zupę i wypiałam kubek jogurtu. To załatwiło sprawę głodu, lecz ból głowy jeszcze bardziej się wzmógł. Próbowałam nie zwracać nań uwagi, starałam się myśleć o Luisie Schmidcie i jego gniewnej reakcji na moją obecność na placu budowy Ryan. Ból głowy nie pozwalał mi jednak myśleć logicznie. Gdy wsiadłam do samochodu, miałam tylko jedno pragnienie: jak najszybciej dojechać do domu i położyć się do łóżka. Przedtem jednak musiałam zdobyć zdjęcia córek Seligmana.

Nie był rad z mojej ponownej wizyty. Nie miał także ochoty dać mi zdjęć swoich córek. Z trudem udało mi się nakłonić go do tego.

– Na pańskim miejscu również byłabym niezadowolona. Ma pan rację oczekując rekompensaty za uczciwie płacone podatki. Niestety, ludzi nieuczciwych jest tak wiele, że uczciwi zmuszeni są ponosić przykre tego skutki.

Nasza rozmowa trwała już bez mała godzinę, gdy w końcu Seligman wykonał gest wyrażający szczyt zniecierpliwienia. Podeszedł do masywnego sekretarzyka w kącie pokoju i otworzył go.

Sterna papierów wypadła na podłogę. Nie zwracając na to uwagi, dopóty grzebał w szufladzie, dopóki nie znalazł kilku zdjęć.

– Odnoszę wrażenie, iż pani nie wyszłaby z tego pokoju, gdybym nie dał tych zdjęć. Proszę zostawić pokwitowanie i dać mi spokój. I proszę nie przychodzić tutaj, dopóki nie oczyści pani z podejrzeń mojego nazwiska.

Były to zdjęcia grupowe, wykonane podczas rodzinnego spotkania. Pośrodku stała matka, przy niej córki, jedna po lewej, druga po prawej stronie, Rita Donnelly zaś i dwie inne młode kobiety po bokach. Były to prawdopodobnie jej córki, ale to mnie w tej chwili nie interesowało.

Wyciągnęłam z torebki notatnik, wyrwałam z niego kartkę i napisałam żądane przez Seligmana pokwitowanie. Litery skakały mi przed oczyma – nie byłam pewna sensu tego, co napisałam. Gospodarz włożył pokwitowanie do sekretarzyka, zamknął szufladę i odprowadził mnie do wyjścia.

Musiałam się zdobyć na szczególną koncentrację, by dotrzeć do domu. Gdy znalazłam się u siebie, byłam spocona i trzęsłam się jak w gorączce. Po kąpieli poczułam się nieco lepiej. Przed pójściem do łóżka założyłam ciepłą bluzkę poło i skarpetki. Stopniowo robiło mi się coraz cieplej, poczułam odprężenie w całym ciele i zapadłam w głęboki sen.

Obudził mnie dzwonek telefonu. Byłam pogrążona w głębokim śnie, oprzytomniałam dopiero po dłuższej chwili. Czułam się już dobrze, ból głowy minął całkowicie i tylko głos dzwonka nie pozwalał mi trwać w błogostanie. W końcu wyciągnęłam rękę i podniosłam słuchawkę.

– Halo? – Głos miałam przytłumiony i zachrypnięty.

– Wiki? Wiki, czy to ty?

To był głos Heleny, szlochającej spazmatycznie. Spojrzałam na zegarek z rezygnacją:

było dziesięć minut po pierwszej. Tylko Helena mogła mnie budzić o tej porze.

– Tak, ciociu, to ja. Uspokój się, przestań płakać i powiedz, o co chodzi.

– Ja... Och, Wiki... jesteś mi potrzebna, przyjedź tu i pomóż mi. Sądząc po głosie była roztrzęsiona. Usiadłam na łóżku i zaczęłam wciągać na siebie dzinsy, które leżały na podłodze przy łóżku.

– Powiedz, gdzie jesteś i co się stało.

– Ja... Och... – zaczęła znów szlochać, po czym nastąpiła cisza w słuchawce.

Przez chwilę sądziłam, że straciłam łączność, ale później uświadomiłam sobie, że mogła przykryć słuchawkę ręką lub ktoś inny to zrobił. Czyżby uciekała przed kimś, kto ją gonił? Czekałam rozdzierana niepewnością. Zastanawiałam się, czy odłożyć słuchawkę i wezwać Fureya, czy też czekać, dopóki nie uzyskam pewności, że rzeczywiście straciłam z nią połączenie. Ponieważ nie miałam pojęcia, skąd dzwoni, przeżyłam kilka minut udręki, zanim usłyszałam ją ponownie.

– Uciekłam – pociągała nosem płaczliwie. – Biedna mała Helena przestraszyła się i uciekła.

Tak więc nie było to śmiertelne przerażenie, tylko powtórzenie poprzedniej sytuacji. Z trudem panowałam nad swoim głosem.

– Wiem, że uciekłaś, ciociu. Tylko dokąd uciekłaś?

– Zamieszkałam w jednym ze starych budynków w pobliżu „Indiana Arms”, pustym od kilku miesięcy. Wiele pomieszczeń jest w niezłym stanie, można tu spać całkiem dobrze. Ale oni mnie znaleźli i zabijają, jeśli mi nie pomożesz.

– Czy jesteś w tej chwili w tym budynku?

– Stoję przy telefonie na rogu ulicy – wykrztusiła. – Zabijają mnie, jeśli tu zobaczą. W dzień nie mogę wyjść na zewnątrz. – Musisz przyjechać, Wiki, on nie powinien mnie tutaj znaleźć.

– Kto chce ciebie zabić, Heleno? – Chciałabym ją w tym momencie nie tylko słyszeć, ale i widzieć, by się przekonać, ile jest prawdy w tym, co do mnie mówi.

– Ludzie, którzy przyszli po mnie – szlochała. – Przybywaj, Wiki, przestań zadawać te swoje przekłete pytania, zachowujesz się teraz jak poborca podatkowy.

– W porządku, w porządku – powiedziałam uspokajająco jak do małego dziecka. – Powiedz mi, gdzie znajduje się ten budynek, będę u ciebie w ciągu pół godziny.

– Tuż za rogiem „Indiana Arms”. – Przestała szlochać, tylko głos jej drżał.

– Od strony Indiana czy Cermak? – Zawiazywałam sznurowadła.

– Od strony Indiana. Mam czekać na ciebie?

– Już wychodzę. Czekaj na mnie przy telefonie. Jeśli zauważysz, że ktoś cię śledzi, zadzwoń pod dziewięćset jedenaście.

Zapaliłam lampkę na nocnej szafce i zadzwoniłam do Fureya do domu – niestety, bezskutecznie. Zadzwoniłam na komendę. Dyżurny powiedział, że go nie ma. Nie było również Bobby’ego, Finchleya i McGonnigala.

Z wahaniem otwierałam w szafce skrytkę, w której trzymam swój pistolet. Trzymając słuchawkę przy uchu wyjaśniłam dyżurnemu, że porucznik zlecił Fureyowi odszukanie

Heleny, która właśnie przed chwilą dzwoniła do mnie z porzuconego budynku przy Indiana. Twierdzi, że czuje się zagrożona. Jadę, by to sprawdzić. Proszę o przekazanie informacji Fureyowi i porucznikowi.

Dyżurny obiecał przekazać ją przez radio Michaelowi. Odłożyłam słuchawkę i sprawdziłam magazynek. Był naładowany – dziewiąta kula znajdowała się w lufie. Ostrożnie sprawdziłam bezpiecznik, włożyłam pistolet do futerału i przerzuciłam go przez ramię.

Kiedy byłam już na parterze, za drzwiami pana Contrerasa rozległo się ujadanie Peppy. Nie widziałam mnie przez cały dzień, nie była na codziennej przechadzce i tym razem była zdecydowana wybiec za mną. Jej szczekanie słyszałam jeszcze długo na ulicy.

Wchodząc do samochodu ujrzałam wychyloną z okna głowę Vinniego. Coś zawołał, ale nie dosłyszałam.

Jechałam w kierunku Lake Shore Drive. Bliższa droga prowadziła obok Dan Ryan, ale nie miałam ochoty korzystać z objazdów obok placu budowy. Z tego samego powodu ominęłam Congress i wjechałam w Michigan Avenue zamiast przedzierać się przez labirynt ulic za McCormick Place.

Księżyc był w pełni. Kiedy wyjechałam z zasięgu lamp ulicznych na południową Michigan, jego chłodny blask podzielił świat na obiekty oświetlone nienaturalną jasnością i ich smolisto-czarne cienie. Poczułam się trochę słaba, chora i głodna, ale mój umysł pracował z przenikliwą jasnością. Widziałam dokładnie wszystkich pijanych na ławkach w Grant Parku, a kiedy skręciłam na Cermak i znalazłam się na Prairie, z całą ostrością dostrzegałam przebiegające wśród ruin i śmieci szczury.

W świetle księżyca Near South Side wyglądała jak powojenny Berlin. Kupy gruzów otaczały opustoszałe i pozbawione życia domy handlowe i fabryki. Kiedy wydostałam się na Twentyfirst, drżałam na całym ciele, takie wrażenie wywarło na mnie to ponure otoczenie.

Wyciągnęłam latarkę z podręcznego schowka i wsunęłam do kieszeni zakietu. Wyjęłam również pistolet z futerału. Jadąc wolno w cieniu budynków na Twentyfirst, ścisłałam broń w prawej ręce. Zimny metal studził moją gorączkę. W każdej chwili byłam gotowa do strzału – mogłam wziąć na cel przebiegającego właśnie przez ulicę kota. Zawarczał na mnie i odprowadził błyszczącymi w świetle księżyca ślepiami.

Zastanawiałam się, w jakim stopniu panika Heleny była uzasadniona. Pamiętałam, iż wielokrotnie w przeszłości zrywała ze snu ojca po to tylko, by mu opowiadać po pijanemu różne bzdury. Być może dziś historia się powtórzy i niepotrzebnie alarmowałam Fureya.

Nurtujące wątpliwości nie przeszkodziły mi w zachowaniu czujności. Znalazłszy się na Indiana, zatrzymałam się w cieniu porzuconego samochodu. W napięciu rozglądałam się wokół, nadsluchując jednocześnie. Martwiłam się, że mogę mieć trudności ze znalezieniem kryjówki Heleny, ale w okolicy, oprócz „Indiana Arms”, znajdował się tylko jeden hotel. W świetle księżyca widoczne były martwe neony „Prairie Shores Hotel”.

Usłyszałam jakiś szmer, uklękłam natychmiast i odbezpieczyłam pistolet. Z ulgą stwierdziłam, że to tylko plastikowa torba poruszona przez wszędobylskie szczury. Wyobraziłam sobie ich żółte zęby rozdzierające moje bezbronne ręce i mimo woli przycisnęłam pistolet do siebie. Zgrzytając zębami ruszyłam wzdłuż ulicy. Po drugiej stronie

ulicy majaczyły wypalone mury „Indiana Arms”. Ostre nocne powietrze niesło drażniącą woń zwęglonych belek – musiałam się powstrzymać, żeby nie kichnąć głośno. Zauważyłam automat telefoniczny na rogu budynku, ale nie było tam śladu ciotki. Błądziłam po ulicy przez kilka minut i miałam już wielką ochotę wrócić do domu. W końcu zdecydowałam się podejść do „Prairie Shores Hotel”.

Wejście było zabite deskami; ostrożnie okrążyłam budynek. Drzwi z tyłu były zamknięte na łańcuch, ale od północnej strony można było bez trudu wejść do środka przez wybite okno.

Zapaliłam latarkę i zajrzałam do wnętrza. Miałam przed sobą spiżarnię, znajdującą się tuż przy kuchni. Przesunęłam strumień światła latarki po ścianach i podłodze. Pomieszczenie było puste, tylko szmery i cienie przemykające po połamanych półkach i podłodze wskazywały na obecność moich starych żółto-zębnych znajomych.

Pożałowałam, że nie mam na głowie czapki. Usiłowałam nie myśleć o obserwujących mnie bacznie szczurzych ślepiach, gdy wdrapywałam się na metalowy parapet okienny. Odłamki szkła wbijały mi się w pośladki. Na chwilę przestałam się poruszać, żeby usunąć szkło, uważnie nasłuchując. Ani śladu człowieka.

Znalazłszy się w środku, przeszłam ze spiżarni do kuchni. Zapach zjełczałego tłuszczu wciąż jeszcze wisiał w powietrzu. Zgubiłam się na moment w labiryncie służbowych pomieszczeń, w końcu jednak trafiłam na drzwi prowadzące na strome schody.

Przed zejściem na dół nasłuchiwałam przez dobrą chwilę. Schodząc oświetlałam każdy stopień. Nie miałam ochoty wpaść w jakąś wyrwę. Co kilka kroków cicho nawoływałam ciotkę.

Od podestu schodów prowadził korytarz, po obu stronach były pokoje. Zaglądałam do każdego, ale prócz zniszczonych mebli i sprzętu niczego ciekawego nie dostrzegłam. Przy końcu korytarza skręciłam na prawo, wyciągając jednocześnie rękę, by się oprzeć o ścianę – trafiłam w próżnię. Odskokczyłam na stronę, łapiąc równowagę natychmiast. W świetle latarki zobaczyłam windę ręczną.

Znowu zaczęłam wołać ciotkę – żadnej odpowiedzi. Na chwilę wyłączyłam latarkę, żeby skoncentrować się na nasłuchiowaniu, ale oprócz szmerów i pisku gryzoni niczego nie usłyszałam.

Wolno, na palcach, ciągle nasłuchując, posuwałam się bocznym korytarzem. Po drodze zaglądałam do każdego mijanego pokoju. Niektóre były zupełnie puste, inne zawałone starymi, zniszczonymi meblami, sofami z wyglądającą z rogów wyściółką, dziurawymi materacami, zardzewiałymi sprężynami. Co jakiś czas zatrzymywałam się zaalarmowana szelestem, nie jednak oprócz czerwonych ślepi gryzoni nie zauważyłam.

Wreszcie dotarłam do najodleglejszego końca korytarza. Dostrzegłam przymocowany do ściany automat telefoniczny. Był to stary model z literami zamiast cyfr na tarczy. Podniosłam słuchawkę – nieczynny. Tak samo martwy jak cały hotel.

Poczułam przyływ złości. Jak ona mogła ściągać mnie tutaj, w te zaszczurzone ruiny tylko dlatego, że coś ją przestraszyło? Stanowczym krokiem zaczęłam zmierzać ku wyjściu. W pewnym momencie wydało mi się, że słyszę swoje imię. Przystanąłam i zaczęłam nasłuchiwać.

– Wik!

Wyraźnie usłyszałam ochryply szept dochodzący z pokoju po lewej stronie korytarza. Sądziłam, że do niego zaglądałam, ale teraz już nie byłam tego pewna. Popchnęłam drzwi i zaświeciłam do środka: ujrzałam stos starych mebli. Na stojącej pod ścianą sofie dostrzegłam leżącą postać. Przeoczyłam ją podczas pierwszej inspekcji pokoju.

– Heleno! – zawołałam ostrym tonem. – To ty? Uklękałam przy sofie. Moja ciotka leżała na niej odwrócona bokiem i okryta brudnym kocem. Jej torba stała pod ścianą i jak zwykle wyglądała z niej fioletowa koszula nocna. Poczułam ulgę i jednocześnie przyplływ gniewu. Jak ona może spać po tym alarmującym telefonie do mnie? Potrząsnęłam nią energicznie.

– Heleno! Wstawaj! Musimy stąd odejść natychmiast!

Nie odpowiedziała. Jej głowa kołysała się bezwładnie, gdy nią potrząsałam. Ogarnęły mnie mdłości. Położyłam ją delikatnie. Oddech miała przyśpieszony. Obmacałam jej głowę – z tyłu poczułam coś lepkiego: upadła i uderzyła się, czy zadano jej cios?

Usłyszawszy jakiś ruch za plecami, przestraszona sięgnęłam po pistolet. Zanim jednak zdążyłam wstać na nogi, noc nade mną rozbłysła tysiącami gwiazd i pograżyłam się w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 25

Ocalenie

Ból głowy powrócił z całą siłą. Chciało mi się wymiotować. Czułam się tak bardzo chora, że nie miałam ochoty ruszyć się z łóżka, a przecież powinnam iść do kuchni, by położyć sobie zimny kompres na głowę i napić się coki. Mama zawsze dawała mi cocę na ból brzucha i wtedy zawsze mi pomagało.

Gdy usiadłam, moją głowę przeszył tak ostry ból, aż krzyknęłam. W tym samym momencie uprzytomniłam sobie, że nie leżę we własnym łóżku, ale na tapczanie śmierdzącym tak obrzydliwie, iż nie miałam chęci położyć się ponownie mimo przeszywającego bólu.

Siedziałam z głową wspartą na kolanach. Na tapczanie nie było żadnej poduszki. Sięgnąwszy przed siebie ręką, poczułam sterczące kępki tworzywa wypełniającego materac i dotknęłam czyjegoś kolana. Rękę cofnęłam tak szybko, że gwiazdy zatańczyły mi przed oczami i znów mnie zemdlilo. Kiedy spazm nudności minął, ponownie wysunęłam rękę przed siebie i namacałam delikatnie kolano oraz rąbek bawełnianej sukienki.

Helena. Zadzwoiła do mnie i przyzywała do wypalonych murów „Indiana Arms”. A później? Co było później? Dlaczego straciłam przytomność? Rozdzierający ból głowy przeszkadzał mi w myśleniu. Dotknęłam bolącego miejsca. Było lepkie. Skąd krew? Zostałam uderzona, czy upadłam? Nie mogłam sobie przypomnieć.

Ale Helena też miała ranę na głowie. Może nie żyje? Poszukałam miejsca, gdzie powinno bić jej serce. Pod cienkim materiałem sukni uderzało słabo i nierówno. Najwidoczniej otrzymała cios w głowę i leżała tu nieprzytomna, podczas gdy napastnik zaczął się, a potem uderzył mnie w tył głowy.

Poczułam satysfakcję, że przypominam sobie tak dokładnie wszystko, co się wydarzyło. Chyba jednak nie dość dokładnie. Przecież powinnam znajdować się nie w „Indiana Arms”, lecz w porzuconym hotelu po drugiej stronie ulicy. Na „Indiana Arms” wskazywał wyraźny swąd spalenizny.

Uniosłam głowę: swąd spalenizny nie ustępował. Wiatr tej nocy nie był tak silny, by woń pogorzeliśka przenieść tutaj, tym bardziej że od pożaru upłynął już tydzień. Czy swąd mógłby być jeszcze tak bardzo odczuwalny? Pewnie paliło się teraz gdzieś w pobliżu. Ale w tej chwili nie tym powinnam się przejmować najbardziej, powinnam jak najszybciej się stąd wydostać.

Co się stało z latarką? Przewyciężając nudności zeszedłam z tapczanu i na czworakach zaczęłam jej szukać. W pewnym momencie natknęłam się na jakiś metalowy przedmiot. Uprzytomniłam sobie, że to mój pistolet. Sprawdziłam, czy jest zabezpieczony i wsunęłam do futerału.

Nie mogłam odszukać latarki – na śmierdzącej podłodze leżały tylko strzępy porwanej poduszki. Gdy wróciłam na tapczan i dotknęłam ciepłego ciała Heleny, nie mogłam powstrzymać okrzyku bólu. Stałam na chwiejących się nogach, czułam zawrót głowy. Nie

potrafiłam się zmusić do dalszych poszukiwań latarki. Zrozumiałam, że wyjścia z budynku będę musiała odszukać po ciemku.

Błądziłam po pokoju, potykając się o jakieś sprzęty, zahaczałam o wystające z tapczanu sprężyny, które raniły mnie boleśnie. Dobrze. To dobrze, Wiktorio. Niech cię ranią, może w ten sposób uda ci się zapomnieć o bólu głowy.

Kiedy w końcu znalazłam drzwi, nie mogłam ich otworzyć. Ciągnęłam za klamkę z całej siły, jednak ani drgnęły. Być może otwierały się z zewnątrz. Wszystkie moje wysiłki okazały się daremne – byłam zamknięta.

Miałam ochotę usiąść na podłodze i płakać, ale myśl o robactwie trzymała mnie na nogach. Trzeba zachować spokój, Wik, tu musi być jakieś rozwiązanie. Masz teraz kłopoty, bo cię boli głowa.

W przypiływie nagłego olśnienia wyciągnęłam pistolet, odbezpieczyłam, przyłożyłam do dziurki od klucza i wystrzeliłam. Odrzut był silny – poczułam ból w ramieniu. Huk wystrzału odbił się stokrotnym echem w mojej czaszce.

Drzwi jednak nie ustąpiły.

– Muszę coś wykombinować, siłą nie dam rady – głośno napominałam samą siebie. Jeśli strzał w dziurkę od klucza nie poskutkował, to widocznie drzwi nie zostały zamknięte, tylko zabite gwoździami. Byłam zbyt zmęczona, żeby odszukać miejsca, w które zostały wbite, oddałam więc cztery kolejne wystrzały w zawiasy. Przy ostatnim, powietrze było pełne dymu, a w głowie huczało mi jak w śmigłowcu. Upadłam na kolana i zwymiotowałam. Odpoczywałam przez chwilę, chwytając łapczywie powietrze ustami.

Kiedy stanęłam na nogach, z całych sił popchnęłam drzwi – nieco ustąpiły. Wsunęłam pistolet do futerału i nabierając powietrza w płuca napałam prawym ramieniem, tuż przy ich krawędzi. Coś pękło po przeciwnej stronie. Popchnęłam jeszcze raz – zmurszałe drewno w końcu pękło, a przede mną pojawił się wystarczająco szeroki otwór, bym mogła wyjść z przymusowego zamknięcia.

Na korytarzu poczułam więcej dymu niż w pokoju, co więcej – iż nie jest to dym od wystrzałów. Gdzieś się paliło.

Z przerażeniem uprzytomniłam sobie, że pali się budynek, w którym się znajdowałam. To nie był swąd spalenizny z „Indiana Arms”. Ktoś zadał mi cios w głowę, zamknął w pokoju i podpalił „Prairie Shores Hotel”. W wyobraźni ujrzałam kołyszący się na wietrze neon.

Nie tym jednak powinnam zaprzętać sobie głowę. Muszę opuścić ten budynek, w przeciwnym razie Robin Bessinger rankiem będzie szukał w zgłiszczach moich kości.

Wróciłam do ciotki i zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób ruszyć ją z miejsca. Z wysiłku, jaki w to wkładałam, jeszcze bardziej rozboleła mnie głowa. Z trudem przezwyciężyłam impuls, by położyć się przy Helenie, zasnąć, a następnie obudzić się z tego koszmaru, w jakim się znalazłam.

Helena wcale nie była tęga, ale nawet gdybym była w pełni sił, nie byłabym w stanie dźwigać jej zbyt długo. Poza tym obawiałam się, by ratując nie spowodować jej śmierci. Nie znajdując innego sposobu, postanowiłam ciągnąć ją na materacu.

Z kieszeni spodni wyjęłam klucze i wywierciłam nimi w materacu otwory. Porwałam

nocną koszulę Heleny na pasy, powiązałam ze sobą i przewlokłam przez dziury w materacu. Nawet ten stosunkowo niewielki wysiłek wzmógł ból głowy – wsparta o ścianę czekałam, aż nieco ustąpi i odzyskam siły do dalszej realizacji zamierzonego planu. Gdy poczułam się trochę lepiej, uklęknęłam przy Helenie i przyłożyłam ucho do miejsca, gdzie powinno bić serce; było nierówno, lecz wciąż jeszcze było.

Związałam ze sobą końce tej zaimprovizowanej uprząży, zarzuciłam na ramiona i zaczęłam ciągnąć Helenę do wyjścia. W drzwiach zdjęłam z siebie uprząż i ostrożnie – by drzazgi z wyłamanych drzwi nie pokaleczyły nieprzytomnej ciotki – ręcznie wymanewrowałam materac z leżącym na nim ciężarem na korytarz.

Rozpoczęłam koszmarną podróż po płonącym budynku. Wokół w ciemnościach popiskiwały zaniepokojone ogniem i dymem szczury. Oszołomione włąziły na materac i przebiegały po nieprzytomnej ciotce i po moich stopach. Wstrząsały mną dreszcze obrzydzenia, zrobiło mi się słabo.

Oparłam o ścianę, żeby oprzytomnieć, całym wysiłkiem woli starałam się zapomnieć o dręczących mnie dolegliwościach. Czulałam napływający dym. Miałam ochotę przysiąc, ale przerażały mnie biegające po podłodze gryzonie.

W końcu znalazłam się tuż przy podeście schodów wiodących do suterenu. Z faktu, że dym tu gęstniał, wywnioskowałam, iż nie będę w stanie przedrzeć się tędy do wyjścia.

Oczy mi łzawiły, w gardle piekło, w piersiach czulałam ucisk. Mogłam próbować przedrzeć się przez płomienie i dym z głową okreconą we własną bluzę, pozostawiając Helenę. Ale zostawić Heleny nie mogłam.

Ruszaj do przodu, Wik. Nie stój tutaj. Załóż uprząż, zawróć i ciągnij dalej!

Ręce trzęsły mi się z nadmiernego wysiłku. Ponieważ nie mogłam sobie oprzytomnić żadnego wyuczonego poematu, zaczęłam nucić piosenkę śpiewaną w dzieciństwie w czasie zabawy ze skakanką, by narzucić rytm swoim ruchom i odwrócić uwagę od fizycznego zmęczenia.

Skacz, dziewczyno, skacz, hop na jednej nodze.

Ale hop dokąd? Nie pamiętałam, żebym w suterenie widziała jakieś inne drzwi. Na zakręcie korytarza przypomniałam sobie o ręcznej windzie, którą przypadkowo odkryłam.

Wyciągnąwszy rękę stwierdziłam, iż było to dość obszerne pomieszczenie, używane w przeszłości do przewożenia różnego sprzętu i mebli. W okresie prosperity hotelu ta część Chicago należała do najbardziej ekskluzywnych. Elektryczność nie była jeszcze powszechna.

Jeśli ogień był wewnątrz budynku, szyb windy może ułatwić jego rozprzestrzenienie, jeśli ogień podłożono na zewnątrz – miałyśmy dużą szansę. Oczywiście, należało się liczyć i z taką możliwością, że szczury poprzegryzały liny. Wszystko być może, Warszawski – jak zwykł był mawiać mój stary nauczyciel łaciny. Musiałam to sprawdzić.

Zdjęłam Helenę z materaca mówiąc:

– Jedziemy w górę, ciociu. Odpręż się i oddychaj normalnie. Wciągnęłam ją do windy i ułożyłam na boku. Spojrzałam na materac. Zabrać go ze sobą czy zostawić? Wepchnęłam go

do środka, bacząc, by nie przygnieść nim ciotki.

Winda była zabrudzona, pokryta kurzem i szczurzymi odchodami.

– Ale, dzięki Bogu, nie ma tu szczurów, wszystkie szukają schronienia w dziurach pod budynkiem. A my wzniesiemy się w górę ponad nie.

Po ciemku odnalazłam linę i zaczęłam ciągnąć. Coś zaskrzypiało, ale pudło ani drgnęło. Pociągnęłam po raz drugi, zakołysało się nieco. Być może nie za tę linę ciągnęłam. Przytrzymując się jej lewą ręką, prawą macałam w ciemnościach. Znalazłam inną linę po przeciwnej stronie. Przesunawszy ciężar ciała, pociągnęłam za linę oburącz. Winda drgnęła i powoli ruszyła w górę. Paliły mnie dłonie, a mięśnie ramion bolały z nadmiernego wysiłku. Drwiąc z samej siebie, wróciłam do swych skakankowych przyśpiewek.

Zdażyłam je powtórzyć dwukrotnie, zanim winda zatrzymała się na parterze. Drzwi do wyjścia były zamknięte. Nacisnęłam dłonią klamkę. Parzyła. Nieciekawa sytuacja. Spojrzałam do góry – bez sensu, przecież w ciemnościach niczego nie mogłam dostrzec.

Ponownie zaczęłam ciągnąć linę, sprawdzając co kilka pociągnięć, czy nie zbliżam się do sufitu. Ból głowy mi minął, lecz miałam dziwne uczucie, jakby moja głowa znajdowała się daleko od korpusu, a ilekroć przestaję ciągnąć linę – opada na miejsce z głuchym łoskotem. Czy było to takie samo uczucie jak po wstrzyknięciu heroiny? Czy to właśnie odczuwała Cerise, gdy umierała na Rapelec?

Ostatniej nocy oraz poprzedniej nocy dwudziestu czterech rozbójników stukalo do moich drzwi.

Gdy zapytałam ich, czego szukają – odpowiedzieli mi...

Słowa te dźwięczały mi w uszach niejednokrotnie wbrew mojej woli jeszcze długo, długo potem. Miałam wrażenie, że w oczach zapalają mi się fajerwerki. Przyszłość i przeszłość połączyły się w teraźniejszość obiektywnej rzeczywistości, na którą składały się: liny, zmęczone mięśnie, bolące, obdarte ze skóry ręce, mój głos nucący dziecięcą piosenkę.

Nagle lina przestała się posuwać. Przez kilka jeszcze sekund usiłowałam ją ciągnąć, niezadowolona z bezruchu. Wnet jednak uświadomiłam sobie, że się skończyła, stanęła i należało ją teraz opuścić.

Przysiadłam na materacu. Czułam, że mam sztywne kolana. Dotknęłam drzwi windy, były zimne.

Wbrew moim obawom nie były zamknięte. Z całej siły pchnęłam je nogami trzęsącymi się ze zmęczenia. Zatrzeszczały w zawiasach. Podkurczywszy nogi do siebie, kopnęłam je z uczuciem desperacji. Wypadły z ram. Wysłam z windy na korytarz, ale zaraz wróciłam po ciotkę. Była nieprzytomna, miała trochę przyśpieszony oddech.

Wyciągnęłam ją z windy i posadziłam pod ścianą, po czym powlokłam się korytarzem. Teraz, gdy znalazłam się na najwyższym piętrze, do wnętrza budynku przedzierał się słaby blask księżyca i światło latarni ulicznych, oświetlając mi drogę. Z oddali dochodziły odgłosy syren wozów strażackich. Pozostało mi tylko znaleźć okno, w którym będę widoczna na zewnątrz.

– Miłość odnajdzie drogę... – nuciłam cicho. – W dzień czy w nocy miłość odnajdzie drogę...

Sunęłam w gorączce korytarzem, niemal płynęłam. Mój kuzyn Boon-Boon i ja wybraliśmy się na pokrytą lodem lagunę. Biegaliśmy po lodzie dopóty, dopóki nie straciliśmy równowagi padając na zimną taflę. Nikt nie wiedział, gdzie byliśmy – jeśli lód nie wytrzymałby ciężaru naszych ciał, niechybnie utonęlibyśmy. Kuzyn był lepszym niż ja łyżwiarzem, ale nie był silniejszy ode mnie.

Był gdzieś blisko mnie, dobrze o tym wiedziałam, lecz nie mogłam go znaleźć. Szukałam wszędzie, zaglądając do każdych drzwi – wszelako na próżno. Weszłam na parapet i wyjrzałam na zewnątrz – sądziłam iż Boon-Boon stoi tuż za mną, gdy się odwróciłam, już go nie było. Kiedy ponownie spojrzałam w okno, zobaczyłam tylko własne odbicie. Za szybą był jednak ratunek.

Próbowałam otworzyć okno – bezskutecznie. Rozejrzałam się po pokoju za jakimś przedmiotem – niestety. Prawą nogą kopnęłam szybę z całej siły – rozbiła się z głośnym brzękiem. Kopnęłam ponownie, ustąpiła cała dolna rama okienna.

Spojrzałam w dół, płonął budynek, ogień sięgał coraz wyżej. Byliśmy na trzecim piętrze, powinniśmy wrócić czym prędzej na parter. Wyjście przeciwpożarowe znajdowało się z tyłu budynku. Tam powinny stać również wozy strażackie.

Chwiejąc się na nogach przeszłam długi korytarz, dotarłam do Heleny i ponownie ułożyłam ją na materacu. Czułam krańcowe wyczerpanie. Trzeba było maksymalnego wysiłku, by zmobilizować się do działania.

Gdy znalazłyśmy się przy wyjściu awaryjnym, owinęłam ramię bluzą i wybiłam szybę.

– Musisz tu na mnie poczekać, ciociu. Wrócę po ciebie, a ty oddychaj głęboko i niczego się nie bój. Przyprawdę pomoc, inaczej nie dałabym rady.

Powoli, z trudem podnosząc stopy, jakby były z ołowiu, weszłam na prowadzące w dół schody, zagłębiając się w chmurę dymu. Przestałam czuć, widzieć i oddychać, by w końcu dotrzeć do kresu wędrówki i upaść bez sił.

Wokół budynku krzatali się strażacy, policjanci i mnóstwo gapiów. Jakiś umundurowany mężczyzna zbliżył się i surowo mnie zganił, iż znalazłam się w pobliżu budynku poza policyjnymi barierami.

– Moja ciocia – wyjąkałam. – Jest tuż przy wyjściu awaryjnym, w środku budynku. Byliśmy w suterenie, gdy wybuchł pożar. Proszę ją ratować.

Nie zrozumiał mnie, więc zwróciłam się do strażaka ciągnącego węża. Schwytałam go za rękaw i nie puściłam, dopóki nie odwrócił się do mnie rozdrażniony. Pokazałam mu ręką kierunek i jakoś z siebie wydusiłam, o co mi chodzi – po czym straciłam przytomność.

ROZDZIAŁ 26

Lekarskie zalecenia

Dlaczego jesteś ubrana? – zwróciła się do mnie Lotty Hershel ostrym, nieprzyjaznym tonem. – Wracam do domu. – Ubranie się z pomocą zabandażowanych rąk było niełatwym zadaniem. – Wiesz, że nie lubię szpitali. To jest miejsce, dokąd wysyła się ludzi na pewną śmierć.

– Wobec tego ktoś powinien je spalić – zauważyła chłodno Lotty. – Pachnie tak obrzydliwie, że z trudem wytrzymuję ten zapach.

– To jest zapach krwi i dymu – wyjaśniłam. – Myślę, że może jeszcze woń potu, który z siebie wydzieliłam, ciągnąc linę windy.

Lotty skrzywiła się z niesmakiem.

– Jeszcze jeden powód, by zdjąć ubranie. Doktor Homerin nie byłby w stanie zbadać cię w tej cuchnącej odzieży.

W tej chwili dostrzegłam szczupłego mężczyznę w średnim wieku stojącego cierpliwie za Lotty – był to chyba lekarz, który chciał się zająć moją głową.

– Do diabła, nie potrzebuję żadnych badań. Po spędzeniu tu jednej doby czuję się jak pieczeń w rondlu, którą każda gospodyni w Chicago może odwracać.

– Doktor Homerin jest neurologiem. Otrzymałaś silny cios w głowę. Pragnę się upewnić, że twoja twarda polska czaszka nie odniosła niepowetowanej szkody.

– Czuję się doskonale – odparłam ze złością. – Nie widzę podwójnie, mogę zawiązać swoje buty z zamkniętymi oczyma, nawet w baseballowych rękawicach, i zapewniam, iż poczuję wbite w pięty szpilki.

Lotty podeszła do mnie bliżej, oczy jej płonęły gniewem.

– Wiktorio, właściwie nie wiem, dlaczego sobie zawracam tobą głowę. Już trzeci raz zostałam uderzona tak mocno, że miałam dużą szansę, by przenieść się na tamten świat. Nie mam ochoty na stare lata leczyć cię na chorobę Parkinsona lub Alzheimera – co jest zupełnie możliwe przy twoim trybie życia. Jeśli natychmiast nie ściągniesz z siebie ubrania, nigdy więcej nie podejmuję się ciebie leczyć. Zrozumiałaś?

Jej gniew był tak gwałtowny, że poczułam słabość w kolanach. Usiadłam na łóżku i czułam, jak krew napływa mi do głowy.

– Czy posyłałam po ciebie? To jest szpital Michaela Reese, a nie twoja klinika. Ktoś usiłował zamordować mnie i ciotkę. Ucieczka z płonącego budynku była dla mnie najcięższym doświadczeniem w życiu. A ty teraz krzyczysz na mnie z powodu mojego ubrania i grozisz mi Alzheimerelem. Jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia – to dziękuję ci za taką opiekę medyczną.

Doktor Homerin chrząknął znacząco.

– Pani Warshawski, rozumiem pani zdenerwowanie – jest rezultatem wstrząsu, jaki pani przeżyła ostatniej nocy. Ale jeśli już tutaj jestem, to sądzę, iż mogę panią zbadać. A jeśli pani

zdejmie z siebie te szmatki i włoży strój szpitalny – to tylko ułatwi mi zadanie.

Zmierzyłam go groźnym spojrzeniem. Zwrócił się do Lotty przeprasząc:

– Doktor Hershel?

– Och, już dobrze – ucieła. Obróciwszy się na pięcie z gracją tancerki na lodzie, wyszła z pokoju.

Doktor Homerin zaciągnął zasłonę wokół mojego łóżka.

– Będę czekał na zewnątrz. Proszę mi dać znać, kiedy pani będzie już gotowa.

Mogłam nie posłuchać i wyjść – śladem Lotty – z pokoju, ale było mi jakoś głupio. Ze złością zrzuciłam z nóg pantofle. Spuchniętymi palcami podpinałam guziki koszuli i rozsunałam suwak spodni. Przebrałam się, po czym uroczyście oznajmiłam, iż jestem gotowa.

Doktor Homerin usiadł na krześle przy łóżku.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało.

– Ktoś mnie uderzył w tył głowy – burknęłam niechętnie.

Nie zareagował na mój zły humor.

– Czy pani wie, kto uderzył i czym?

Potrząsnęłam przecząco głową, przed oczyma pojawiły się czarne koła.

– Nie, on ukrył się w pokoju. Byłam zajęta pijaną ciotką, która leżała na tapczanie. – Zmarszczyłam brwi. – Nie, ja tylko myślałam, że jest pijana. Ona została ogłuszona. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że ten ktoś, kto ją uderzył, być może znajduje się w pobliżu. Kiedy zerwałam się na nogi, zostałam uderzona w tył głowy.

Skinął głową jak doświadczony profesor, który podczas egzaminu usłyszał od studenta prawidłową odpowiedź.

– Bardzo dobrze, że pani tak dużo pamięta. Często pacjenci w podobnych przypadkach nie pamiętają, co się zdarzyło bezpośrednio przed wypadkiem; medycyna określa to jako amnezję zachowawczą.

Potarłam ręką bolącą głowę.

– Za to ja nie pamiętam, co się działo potem. Wiem, iż ciągnęłam za linę w windzie, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób wydostałam stamtąd Helenę. Potem znalazłyśmy się na zewnątrz. Strażacy musieli wynieść ciotkę, ja chyba wyszłam o własnych siłach...

Usiłowałam szperać w zakamarkach pamięci. Mignęło mi wspomnienie twarzy Mallory'ego i Fureya, podczas gdy udzielano mi pierwszej pomocy w szpitalu. W tłumie ludzi wokół płonącego budynku był ktoś, czyja obecność wzbudziła we mnie uczucie zaskoczenia. Niesiona przez sanitariuszy ponad policyjnymi barierkami czułam się śmiertelnie zagrożona. Tamta twarz funkcjonowała w mojej pamięci gdzieś na samej granicy świadomości. Wysilek, jaki włożyłam, by sobie ją przypomnieć, sprawił, że łzy bezsilności napłynęły mi do oczu.

– Nie pamiętam – oznajmiłam bezradnie.

– Czy może pani coś powiedzieć na temat tego, co się stało? Jego szare oczy patrzyły na mnie dobrotliwie spoza grubych szkieł, ale ja natychmiast zeszywniałam.

– Czy Bobby, to znaczy porucznik Mallory – zlecił panu przesłuchanie mnie?

Przypomniałam sobie scenę na ostrym dyżurze, kiedy Bobby ryczał na mnie jak słoń

ogarnięty szalem. Wtórowali mu Dominie Assuevo i Roland Montgomery z Wydziału Podpaleń, dopóki lekarze nie wyrzucili ich za drzwi.

Homerin pokręcił przecząco głową.

– Policja nie rozmawiała ze mną na ten temat. W tej chwili sprawdzam po prostu pani zdolność formułowania logicznych odpowiedzi na moje pytania.

W przerwach między snem i miotaniem się na łóżku w bólu sprawdzałam siebie sama, niestety, bez pozytywnego rezultatu. Być może podpalacz zauważył wychodzącą z budynku Helenę. Poszedł za nią, słyszał jej rozmowę ze mną, a gdy wróciła – uderzył ją w głowę i czekał na moje przybycie, żeby mnie ogłuszyć i podpalić budynek. Wydarzenia mogły mieć taki przebieg, pozostawały jednak pytania, na które brakowało mi odpowiedzi: Dlaczego przestępca nie podpalił hotelu, kiedy Helena wyszła do telefonu? Czyżby go zauważyła i obawiał się rozpoznania? I dlatego musiała umrzeć? A jeśli tak, to dlaczego była mu potrzebna również moja śmierć? Głowa mi pękała, nie potrafiłam skojarzyć sobie różnych faktów. Pragnęłam wrócić czym prędzej do domu, ale brakowało mi siły, by dźwignąć się z łóżka.

Widząc moje zmęczenie i zakłopotanie Homerin zmienił rodzaj zadawanych pytań. Zapytał mnie, jak się nazywa prezydent i kto jest burmistrzem Chicago, czy znam różne osobistości w mieście. Sypałam nazwiskami bez trudu. Następnie przeszłam pomyślnie przez próbę klucia stóp szpilkami i stukanie drewnianym młoteczką w kolana, naciskania palcami określonych miejsc na głowie – rutynowe sprawdziany stosowane przez neurologów.

Gdy badania zostały zakończone, patrząc mi w oczy usiadł na krześle i powiedział:

– Rozumiem, pani Warshawski, że pani pragnie jak najszybciej opuścić ten szpital, ale ja radziłbym zostać tu jeszcze na jeden dzień.

– A ja nie mam na to ochoty! – Byłam bliska załamania, chciało mi się płakać.

– Pani mieszka sama, nieprawdaż? Nie sądzę, żeby była pani w stanie zapewnić sama sobie właściwą opiekę. Głowa jest w porządku, jeśli nie brać pod uwagę drobnych skutków wstrząsu. W środę rano prześwietlano pani głowę – klisza nie wykazała żadnych zmian. Ale będzie lepiej, jeśli pani pozostanie w szpitalu jeszcze jeden dzień pod obserwacją.

– Nienawidzę wszelkiej obserwacji, nie mogę już tego wytrzymać. – Nie chciałabym znaleźć się w takim stanie, w jakim był mój ojciec, który w końcu stał się tak bardzo słaby i bezradny, iż nie potrafił bez pomocy oddychać. Ostry świst jego oddechu dotąd tkwił w mojej pamięci i wyciskał mi łzy z oczu.

Homerin czekał cierpliwie, aż osuszyłam oczy i wytarłam nos. Następnie zapytał, czy chcę może coś jeszcze dodać, ale wspomnienie o śmierci rodziców było dla mnie zbyt bolesne, by mówić o tym z obcym człowiekiem. Zapytałam więc:

– Czy Lotty ma rację? Czy grozi mi choroba Alzheimera? Na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Martwi się o panią, dlatego mnie wezwał. Nie jestem prorokiem, ale trzy uderzenia w ciągu siedmiu lat – to zbyt wiele jak dla kobiety. Należy zachować ostrożność. Proszę o natychmiastowy kontakt telefoniczny w przypadku wystąpienia jakichś symptomów.

Wyjął wizytówkę z portfela i wręczył mi ją: Mez Homerin, neurolog. Adresy: jeden na

północy Michigan, drugi – w Edgewater.

– O jakich symptomach pan mówi? – zapytałam podejrzliwie.

– Och, mam na myśli kłopoty ze wzrokiem, z pamięcią, swędzenia w palcach rąk i nóg. Proszę się nie przejmować zbytnio tym, co mówię – byłbym raczej zaskoczony, gdyby pani miała jakieś problemy. Należy się skoncentrować na odzyskiwaniu sił. Ale proszę dzwonić do mnie, jeśli coś panią zaniepokoi.

Położył akcent na „coś”, a ja poczułam, że łzy cisną mi się do oczu.

– Chciałam jeszcze zapytać o moją ciotkę – wyjąkałam. – Czy pan wie, co się z nią dzieje?

– Pani ciotka? Ach, ma pani na myśli tę kobietę, którą pani uratowała... Została uderzona w głowę? Czy ona także jest w tym szpitalu?

Nie wiedziałam, ale Homerin obiecał, że sprawę wyjaśni i mnie poinformuje. Miałam zamiar wstać i ubrać się zaraz po jego wizycie, ale płacz mnie zmęczył. Ledwo doktor znikł za drzwiami, głęboko zasnęłam.

ROZDZIAŁ 27

Służymy i chronimy

Dopiero w sobotę ucisk w głowie ustąpił całkowicie. Opuściłam szpital już w piątek, po czym przyznałam – co prawda tylko sama przed sobą – że doktor Homerin miał rację: z powrotem do domu nie powinnam była się śpieszyć. W piątek oczekiwało na mnie tak wiele trudnych spotkań, że żałując, iż nie przedłużyłam pobytu w szpitalu, postanowiłam się położyć do łóżka. Najtrudniejsze byłoby spotkanie z policją, przed którym lekarz skutecznie do końca mnie chronił.

Oczywiście, policji najbardziej zależało na przeprowadzeniu ze mną rozmowy.

Już w środę rano na ostrym dyżurze Montgomery z Mallorym i Fureyem usiłowali nawiązać ze mną kontakt: podwładni Montgomery'ego przebywali w szpitalnej poczekalni przez resztę środy i cały czwartek. Rezultatem spotkania Homerina z policją był napis na mojej karcie: „Żadnych wizyt”, co wzbudziło poruszenie wśród personelu szpitalnego, a także różne komentarze.

Ze szpitala do mojego samochodu dojechałam taksówką. Chevrolet podczas rozruchu powitał mnie pełnym wyrzutem zgrzytem, który mi towarzyszył aż do samego domu. Pierwszą osobą, którą zobaczyłam na progu, był obładowany zakupami pan Contreras.

– Kochanie, powinnaś mnie uprzedzić o swym powrocie. Przyjechałbym po ciebie do szpitala – nie wolno ci prowadzić samochodu tak poranionymi rękami.

Po prostu chciałam być sama choć przez chwilę. W szpitalu przez dwadzieścia cztery godziny byłam obiektem do badań dla wszystkich studentów medycyny z miasta.

– Nie powinnaś wszystkiego robić sama, moja droga. To żaden wstyd poprosić kogoś o pomoc od czasu do czasu. Wiedziałem, że nie zjesz dziś po południu nic, jeśli ci czegoś nie przyniosę. Wystarczy słowo, a pójdziemy sobie – i ja, i nasza księżniczka. Oczywiście, pod warunkiem, że najpierw zjesz coś w naszej obecności.

Zgodziłam się prosząc, by chwilę poczekał w sąsiednim pokoju. Musiałam umyć się i przebrać. Peppy korzystając z przyzwolenia towarzyszyła mi nawet w łazience.

Lotty miała rację w jednej sprawie – moje ubranie śmierdziało tak obrzydliwie, że z trudem mogłam w nim wytrzymać. Nawet nie miałam ochoty go wyprać, chociaż były to moje najlepsze dzinsy. Wepchnęłam wszystko do torby plastikowej i postawiłam za drzwiami, mając zamiar wszystko wyrzucić.

W końcu czysta od stóp do głów wróciłam do starszego pana, który przygotował prawdziwą ucztę – jedzenia było więcej, niż byłam w stanie skosztować, zwłaszcza w moim stanie. Staruszek był poirytowany okolicznością, iż o wszystkim, co się stało, dowiedział się z drugiej ręki.

– Jeśli miałaś zamiar podejmować tak niebezpieczną akcję, trzeba było mnie wcześniej o tym uprzedzić – gderał. – A ja dowiedziałem się o wszystkim dopiero z porannych gazet. Ten szczeniak Ryerson opisał całą historię w artykule „Najbardziej wścibski detektyw w

Chicago”. Zacząłem czytać i widzę, że cała rzecz jest o tobie: o tym, że uratowałaś ludzi z płonącego budynku, że zostałaś uderzona w głowę i znalazłaś się w szpitalu – i nawet do mnie stamtąd nie zadzwoniłaś. Wtedy powiedziałem do księżniczki: możesz zostać nawet sierotą, a i tak dowiesz się o tym ostatnia.

Peppy uderzyła ogonem o podłogę, jakby chcąc podkreślić, że się z nim zgadza. Ani na chwilę nie spuszczała ze mnie swoich wilgotnych, bursztynowych ślepi, podczas gdy ja pochłaniałam stek.

– Gdy dwa tygodnie temu moja ciotka wtargnęła w moje życie, pan mnie skarcił za to, że go obudziłam w środku nocy. Sądziłam, że jeśli pana znów obudzę, żeby powiedzieć, dokąd się udaję, usłyszę również odpowiednie pouczenie.

– To nie jest fair, co mówisz. – Czuł się dotknięty. Jego zdaniem rzuciłam się w wir wspaniałych, niebezpiecznych przygód, zostawiając go na boku. – Przecież już niejednokrotnie okazywałem ci pomoc. Mam nadzieję, iż jeszcze pamiętasz, jak pomogłem tobie i doktor Lotty, kiedy jej klinika znalazła się w niebezpieczeństwie. A jak załatwiłem tych facetów, którzy próbowali włamać się do twojego mieszkania? Co prawda mam już siedemdziesiąt siedem lat, ale jestem wciąż w dobrej formie i mogę się przydać w walce...

Doskonale pamiętałam obydwie historie, które należały do najweselszych epizodów mojego życia – nie mogłam mu jednak przecież tego powiedzieć. Wytłumaczyłam więc, że ze względu na pociąg Heleny do alkoholu nigdy nie traktowałam poważnie tego, co mówiła o grożącym jej niebezpieczeństwie. Kiedy skończyłam mówić, kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Wiem, o czym mówisz, kochanie. Kiedyś pracowałem z podobnym facetem. Oczywiście, najczęściej przychodził do pracy pijany, a jeśli nawet czasem przyszedł trzeźwy, to nigdy nie wytrwał w tym stanie do końca dnia. Pewnego razu nie wyłączył szlifierki i Jake – pamiętasz Jake’a? – stracił mały palec u lewej ręki. A ten pijak, Crenshaw, twierdził, że to ja włączyłem szlifierkę w nieodpowiedniej chwili.

Humor mu się poprawił, ciągnął więc opowieść. Spokojny ton jego głosu, ciepły posiłek, poczucie bezpieczeństwa sprawiły, że poczułam się senna. Siedzący obok fotela pies lizał pieszczotliwie moją dłoń.

Ostry dźwięk dzwonka telefonicznego przywrócił mi przytomność. Wyciągnęłam rękę i uniosłam słuchawkę.

– Próbowałem opisać twoje zejście z tego świata, Warszawski, ale ty ożyłaś. Ile jeszcze razy masz zamiar dokonać podobnej sztuki?

Był to energiczny głos Murraya.

– Słyszałam, iż nazwałeś mnie najbardziej wścibskim detektywem w Chicago – powiedziałam z wysiłkiem.

– W tym, co napisałem, nie ma nic oszczerczego. Wszystko sprawdziłem w wydziale prawnym. Możesz mnie skarżyć tylko w przypadku, jeśli napisałem, nieprawdę. Chciałbym tylko wiedzieć, kto to zrobił? Czy ktoś z obozu Roz Fuentes, czy też jakiś przyjaciel zmarłej narkomanki?

– Spytaj policjantów – miasto im płaci za ściganie podpalaczy i morderców.

– A ty masz zamiar siedzieć w domu i oglądać telewizję, podczas gdy oni będą grzebali w

sprawie? – wybuchnął głośnym śmiechem. – Nawiasem mówiąc, co tam wtedy robiłaś?

Mówił głośno. Czarne punkciki zaczęły mi latać przed oczyma. Odsunęłam nieco słuchawkę od ucha.

– Mam zamiar świętować w domu swój bohaterski wyczyn. Rozumiem, iż o wszystkim przeczytałeś już w gazetach.

– Dalej, dalej – zachęcał mnie do mówienia. – Ja ci tak bardzo słów nie skąpiłem. Czekam na przynajmniej kilka zdań.

Miał rację. Skoro prosiłam go o pomoc, powinnam również mu coś powiedzieć. Zrelacjonowałam więc wszystko, co się działo od momentu pojawienia się Heleny, aż do ucieczki z płonącego hotelu. A na koniec stwierdziłam:

– Twoja kolej. Jak to się stało, że straż pożarna pojawiła się tak bardzo na czas?

Pan Contreras wpatrywał się we mnie równie intensywnie jak Peppy, zirytowany, że opowiadam wszystko szczegółowo swojemu rozmówcy. Chciał koniecznie poznać nowe fakty. Przeniosłam aparat na kanapę i wyjęłam z torebki notatnik. „Anonimowy telefon” – napisałam na kartce i podałam mu, słuchając jednocześnie, co mówi Murray. – Ktoś zadzwonił na dziewięćset jedenaście z automatu na rogu Cermak i Michigan. Policja nie ma pojęcia, kto zadzwonił, wiadomo tylko, iż to był głos męski.

– Uważasz, że to był ktoś, kto chciał zabić twoją ciotkę? – zapytał Murray. – A jak się ona teraz czuje?

– W tej chwili nic jeszcze nie uważam. W głowie mi huczy jak na placu budowy. A moja ciotka, która ma odporność starej kozy, przyjęła wczoraj pierwszy posiłek. Nie chce ze mną rozmawiać i wygląda na to, że jest poważnie chora. Lekarze nie dopuszczają do niej policji. Możesz zadzwonić do szpitala i próbować z nią rozmawiać, ale przekonasz się, że nic z tego nie wyjdzie. Teraz wiesz już wszystko, a ja kładę się spać. Do widzenia!

Położyłam słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć i nie podniosłam jej, mimo natarczywego sygnału. Pan Contreras troskliwie poprawił poduszki i koc na tapczanie, chciał zostawić ze mną Peppy, zaparzyć herbatę i załatwić tysiąc innych spraw. To sprawiło, że małe czarne punkciki zamieniły w wielkie spirale.

– Chcę koniecznie być sama jedna w swoim łóżku. Nie potrzebuję już pomocy. Cenię sobie pańskie dobre intencje, ale jeśli pan natychmiast nie wyjdzie i nie zabierze ze sobą psa, zemdleję albo zacznę krzyczeć.

Czuł się tym nieco dotknięty, ale miał już do czynienia z przypadkami wstrząsu mózgu i wiedział, że musi upłynąć trochę czasu, zanim człowiek wróci do normy. Zaczął mnie uspokajać:

– Dobrze dziecko, dobrze, zaraz cię zostawimy. Sen jest najlepszym lekarstwem.

Zabrał ze stołu brudne talerze, mruzczał niezadowolony, że nie zjadłam wszystkiego, ale życzył mi powrotu do sił.

– Dziecko, przecież ty straciłaś w ciągu kilku tych dni chyba z pięć kilogramów.

W końcu zabrał psa i skierował się ku wyjściu. Zamknęłam za nim drzwi na trzy spusty i potykając się ze zmęczenia udałam się do sypialni.

Powoli miejsce spirali zajęły małe punkciki, a ja zapadałam w niespokojny sen. Obraz

Heleny i jej twarz oddalały się w głęboką przepaść. Była dla mnie jak „wrzód na siedzeniu”, ale ktoś chciał ją zabić, a ja w tej sytuacji nie mogłam jej zostawić na pastwę losu.

Chciałam z nią pomówić przed opuszczeniem szpitala, lecz udawała, że śpi.

– To nieładnie symulować, ciociu. Jeszcze nieraz będziesz chciała ze mną porozmawiać – ostrzegałam.

Doktor Homerin, biorąc mnie za ramię, wyprowadził z pokoju.

– Przeżyła ciężki szok – powiedział – i nie należy jej niepokoić. Potrzebuje absolutnego spokoju – żadnych stresów, żadnych zmartwień. Zabroniłem policji dostępu do niej, czy mam zabronić i pani? Ona potrzebuje pomocy, a nie inwigilacji.

– Niech pan jej zabroni raz na zawsze wdzierać się do mojego życia. Niech przestanie do mnie dzwonić i nachodzić mnie w domu. Proszę mi dać pewność, że nie posłuży się moim adresem jako własnym, a nazwiskiem – jako gwarancją niezapłaconego rachunku.

Homerin przyglądał mi się uważnie, a następnie powiedział cicho, iż powinnam się zastanowić, czy nie należy zabrać ciotki do domu na okres rekonwalescencji. To miało miejsce tuż przed moim wyjściem ze szpitala – zanim mu poradziłam, żeby powiesił się na stetoskopie.

Teraz jednak przewracając się z boku na bok na łóżku, zadreślałam się odpowiedzią na pytanie – co właściwie byłam winna swojej ciotce. Czy stryj Piotr ponosił jakąś winę za to, co się stało, oświadczając kategorycznie „nie”? Oczywiście, iż nie. Nawet do niego nie zadzwoniłam, mógł więc nadal trwać w stanie samozadowolenia. Czy wobec tego ja miałam wobec Heleny jakieś obowiązki, z których nie zdawałam sobie sprawy?

Matce, podczas jej choroby, gdy jej ręce nie były w stanie nic utrzymać, podawałam szklanki z wodą, wypróżniałam nocniki ojca, kiedy nie mógł już chodzić. Robiłam wszystko, co do mnie należało – powtórzyłam, wszystko, co trzeba było. Ale nie mogłam samej siebie przekonać.

Mój niespokojny sen przerwała około czwartej policja w osobach Rolanda Montgomery’ego i Terry Finchleya. Montgomery naciskał na dzwonek przy drzwiach tak długo, dopóki się nie podniosłam, a następnie oznajmił przez interkom, że jeśli go nie wpuszczę, to wykorzysta pisemny nakaz zabrania mnie na policję siłą w celu przesłuchania. To było w stylu Montgomery’ego. Terry Finchley był wyraźnie niezadowolony z zachowania porucznika, ale nie miał nic do powiedzenia.

Przyjęłam ich w saloniku zawinięta w pled. Trochę się spociłam w czasie snu i dlatego, gdy wstawałam z łóżka, poczułam dreszcz chłodu. Czarne punkciki znikły sprzed mych oczu, ale głowa wciąż ciążyła. Siadłam na tapczanie z podwiniętymi nogami.

– Proszę opowiedzieć przebieg całej historii, Warszawski. Co pani robiła w budynku? Jak to się stało, iż wtedy właśnie wybuchł pożar?

– Pewnie za sprawą mojej ognistej osobowości – wymamrotałam.

– Co takiego? – zapytał ze złością Montgomery.

Finchley lekko pokręcił głową z dezaprobatą.

– Zadzwoniłam do Fureya – powiedziałam przypominając sobie nagle. – Chciał wiedzieć, gdzie znajduje się moja ciotka, zostawiłam wiadomość u dyżurnego, dokąd się udaje. Czy

odebrał ją? Czy dlatego obaj z Bobbym znaleźli się na miejscu pożaru?

– To ja jestem od zadawania pytań – uciął Montgomery. – Dlaczego pani zadzwoniła na komendę?

– Niech pan przestanie strugać waźniaka, poruczniku, i niech pan słucha uważnie. Właśnie przed chwilą powiedziałam, dlaczego zadzwoniłam. Czy Furey odebrał pozostawioną dla niego wiadomość?

Zanim Montgomery był w stanie zareagować wrzaskiem, Finchley wyjaśniał mi szybko:

– Furey grał w pokera; radiotelefon pozostawił w kieszeni płaszcza i o niczym nie wiedział aż do chwili, gdy wyszedł po cygaro. Zadzwonił na komendę, odebrał wiadomość i pojechał na Near South Side. W tym czasie ktoś zameldował o pożarze hotelu. Porucznik Mallory dał wycisk dyżurnemu, iż nie powiadomił nikogo innego o otrzymanej wiadomości, ale pani nie wspomniała, że sprawa jest pilna.

– Furey i Bobby znaleźli mnie w szpitalu. W jakim celu pan przyjechał tutaj?

– Pani Warshawski – przerwał zimnym tonem Montgomery. – Sierżant Finchley przybył ze mną, by mi pomóc w śledztwie. Dlaczego on, a nie ktoś inny, to nie pani sprawa.

Miałam ochotę mu przypomnieć, że to policja znajduje się na służbie u obywateli, a ja jestem jednym z nich, ale czułam się zbyt zmęczona, żeby podejmować dyskusję. Owinęłam się mocniej w pled i lekko drżąc z chłodu odpowiadałam na pytania Montgomery'ego ze wszystkimi szczegółami. Mówiłam o zniknięciu Heleny i o wizycie Fureya, który jej poszukiwał, o jej do mnie telefonie – i tak dalej, i tak dalej.

– Dlaczego komuś mogło zależeć na waszej śmierci? – zapytał. – Tę sprawę pozostawiam wam do wyjaśnienia, poruczniku.

Ja wiem tylko, że ktoś Helenę przestraszył, że znalazłam ją w suterenie hotelu na materacu ogłuszoną, że ktoś mi zadał cios w tył głowy i że mam teraz przyjemność uczestniczyć w tej inteligentnej rozmowie, eksploatując resztki ocalałego dowcipu.

Finchley najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i zanotował coś w notesie. W słabym świetle lampy jego krótko obcięte włosy ledwo były widoczne na czarnej gładkiej skórze.

Montgomery popatrzył na mnie wilkiem, ale powiedział tylko: – „Prairie Shore Hotel” stoi akurat naprzeciw „Indiana Arms”, którego pożar tak panią ostatnio podniecał.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Zabawne, ale tak jest rzeczywiście.

– Zastanawiam się, czy pani sama nie wznieciła pożaru, by skłonić policję do dalszego śledztwa w sprawie „Indiana Arms”.

Poczułam wstrząs, jaki czujemy, uświadomiwszy sobie, iż nasza planeta pędzi przez kosmos, a my nawet nie poruszyliśmy się z miejsca. Finchleyowi opadła szczęka. Z całą pewnością nie był wtajemniczony w przypuszczenie Montgomery'ego.

– Nie braliśmy wcześniej pod uwagę takiej możliwości, Monty – zauważył łagodnie.

– A ja nigdy nawet was nie podejrzewałam o tak bujną wyobraźnię – dorzuciłam. – Wygląda na to, że za dużo w przeszłości rozczytywaliście się w Tomie Clancy.

Finchley ukrył uśmiech tak szybko, iż nie byłam pewna, czy go w ogóle spostrzegłam.

– Monty, jakie posiadamy dowody na poparcie tego podejrzenia wobec pani Warshawski? Montgomery zignorował go.

– W ubiegłym tygodniu usiłowała pani narazić policję na stratę czasu, twierdząc, że w „Indiana Arms” zginęło dziecko, którego tam nigdy nie było. Jedną z cech charakterystycznych podpalaczy jest to, że nie znoszą, by ich przestępstwa były ignorowane.

– Hmm – pokręciłam głową z namysłem. – Radzę jednak panu pójść sobie teraz i przeprowadzić śledztwo w kilku elementarnych sprawach, zanim pan przyjdzie tu znowu zawracać mi głowę. Niech pan najpierw wyjaśni sprawę egzystencji prawnej hotelu i tego, kto miał do niego dostęp, jak również, dlaczego miałabym sama sobie wymierzyć cios, a potem podłożyć ogień i następnie wygrzebać się z płonącego budynku. Po wyjaśnieniu tych spraw będziemy mogli kontynuować naszą pogawędkę.

– Z pewnością pani korzystała z czyjejs pomocy w dokonaniu przestępstwa – stwierdził zadowolony z siebie. – Kto był pani pomocnikiem?

Usadowiłam się wygodnie w kącie kanapy i przymknęłam oczy.

– Do widzenia, poruczniku, drzwi zamkną się automatycznie za panem.

Zaczął na mnie krzyczeć, a kiedy nie odpowiadałam, wstał z miejsca, chwycił mnie za ramię i zaczął potrząsać z całej siły.

– Jeśli pan natychmiast nie przestanie, złożę skargę na brutalne zachowanie – oświadczyłam chłodno. – Jeśli pan nie ma nakazu aresztowania mnie, proszę wynosić się do diabła.

Gdyby nie było Finchleya, chyba by mnie uderzył, ale nie mógł nie dostrzec, po czyjej stronie była życzliwość policjanta.

– Pilnuj lepiej swojego tyłka, Warshawski. Obiecuję ci, że postaram się dobrać do ciebie. Niech cię tylko na czymś przyłapię!

– Dziękuję za ostrzeżenie, poruczniku. Zawsze dobrze wiedzieć, kto jest naszym wrogiem.

Kiedy drzwi zatrzęsnęły się za wychodzącymi, pozamykałam wszystkie zamki – sprawdziłam również drzwi kuchenne. Byłam zbyt zmęczona, by się zastanawiać nad tą wizytą lub też dzwonić do Bobby’ego, żeby z niej zdać relację. Powlokłam się do sypialni, rzuciłam na łóżko i zasnęłam głębokim, niespokojnym snem.

ROZDZIAŁ 28

Kilka miłych słów od przyjaciela

Późnym wieczorem zadzwonił jeszcze Robin, zmartwiony, że w szpitalu nie dopuszczono go do mnie i ucieszony, iż jestem cała. Miał ochotę złożyć wizytę rekonwalescentce. Poprosiłam, by przyszedł w sobotę, wtedy pewnie już będę się czuła lepiej.

Przed zakończeniem rozmowy spytałam go:

– Powiedz mi, czy „Prairie Shore Hotel” był ubezpieczony w Ajaksie?

– Nie. Zdążyłam to już sprawdzić, choć z reguły nie ubezpieczamy porzuconych budynków. Mogę cię uspokoić, iż nie stanowił własności twojego podopiecznego, Saula Seligmana. A może podpalacz ma się na pieńku z rodziną Warshawski?

Ostatnia uwaga miała charakter żartobliwy, ale mnie przypomniała Helenę, jej zaczerwienioną, z obwisłymi policzkami, pustą twarz. W odpowiedzi mruknęłam, iż czuję się zbyt kiepsko, żeby żartować i odłożyłam słuchawkę. Nie jestem aniołem, żeby przebywać razem z Heleną. Nie jestem, nie jestem, nie jestem. Powlokłam się do komody i zaczęłam grzebać w szufladach w poszukiwaniu papeterii. Upłynęło sporo czasu od dnia, w którym napisałam ostatni list prywatny, nic więc dziwnego, że pudełko z papeterią znalazłam obok srebrnego nakrycia stołowego. Patrzyłam na nieoszołomiona, zadając sobie jedno pytanie: dlaczego włączyłam je ze sobą po Chicago przez całe jedenaście lat, które upłynęło od mojego rozwodu?

Nie miałam zamiaru teraz podejmować decyzji co do jego dalszych losów i wrzuciłam je z powrotem do szuflady na stare miejsce. Sama zaś usiadłam nad poźółką kartką papieru, by napisać list do stryja Piotra. To był dla mnie trudny list – musiałam przezwyciężyć niechęć do stryja, żeby prosić o pomoc dla Heleny. Opisałam całą historię, podkreślając, iż ocaliłam ciotce życie i zakończyłam prośbą, by zabrał ją do siebie lub umieścił w jakimś ośrodku opiekuńczym, w którym powróciłyby do zdrowia. Rankiem wysłałam list ekspresem do Mission Hills. To było najlepsze, co mogłam dla niej zrobić.

W lustrze dostrzegłam wychudłą twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i zapadłymi oczami, których szary kolor robił wrażenie czerni na tle bladej skóry. Nic dziwnego, że pan Contreras, widząc mnie taką, pragnął nakarmić swoimi stekami. Weszłam na wagę: mój ciężar spadł poniżej sześćdziesięciu kilogramów. Nie mogłam sobie pozwolić na dalszy spadek wagi ciała, jeśli chciałam dalej pracować w zawodzie. Nie czułam głodu, ale powinnam coś zjeść.

Powędrowałam więc do kuchni. Po kilku dniach nieobecności zawartość lodówki była więcej niż w oplakanym stanie. Powąchałam jogurt – nadawał się jeszcze do spożycia. Ale owoce i warzywa były nadpsute, sok pomidorowy – sfermentował.

Wyjęłam z lodówki fettucini i odciąłam kawałek za pomocą rzeźniczego noża. Podczas gdy się gotował, wypiął z apetytem jogurt wprost z kartonowego pojemnika.

Usiłowałam uporządkować myśli o tym, co mi się ostatnio przydarzyło. W ubiegłym

tygodniu naraziłam się przynajmniej kilku osobom. Ralph MacDonald zstąpił ze swego tronu, aby mi udzielić ostrego napomnienia, gdyż wtrącam się w sprawy Roz Fuentes. Saul Seligman był niezadowolony, ponieważ Ajax wciąż nie honorował jego roszczeń. Zerline Ramsay oskarżała mnie i Helenę o spowodowanie śmierci córki. Były to poważne pretensje, ale chyba nie na tyle, by wzbudziły nienawiść zagrażającą mojemu życiu. Oczywiście i Lotty też była na mnie wściekła, lecz to zupełnie inna historia.

Pozostał Luis Schmidt. We wtorek nazwał mnie kurwą i zagroził, że jeśli będę weszła wokół Alma Mejicana – pożałuję. Jeżeli więc mam szukać ludzi niebezpiecznych, on niewątpliwie zajmuje pierwsze miejsce.

Syczenie gotującej się wody przywróciło mnie do rzeczywistości. Fettucini się ugotowało, ale zgasł palnik, a ja nie mogłam nigdzie znaleźć zapalek. Zaczęłam trzaskać drzwiami ze złości. Nie mogłam dłużej znieść takiego trybu życia, życia w samotności. Wracam do domu po takich przeżyciach i nie znajduję nic do zjedzenia ani jednej zapalki, ani pieniędzy. Chwyciłam garść sztuczków z szuflady i rzuciłam je z wściekłością o drzwi kuchni.

Trzask uderzających o drzwi i spadających na podłogę noży, łyżek i widelców oprzytomnił mnie nieco. Z rezygnacją schyliłam się, by je pozbierać. Jedna z łyżek wylądowała na lodówce, sięgając po nią straciłam na podłogę pudełko z zapalkami. Dzięki Bogu, nie na próżno się złościłam. Włożyłam sztucce do szuflady i zapaliłam gaz w kuchence.

Sprawy ciotki wymagały spokojnego rozważenia. Nie miałam ochoty wciąż myśleć o niej i być jej aniołem stróżem. Jej kłopoty wciągnęły mnie w wir wydarzeń, które omal nie zakończyły się moją śmiercią. Nie powinnam się angażować więcej w jej problemy.

Wciąż nie odczuwając głodu, przygotowałam sobie skromny posiłek. Trochę pasztetu, trochę sera cheddar. Zazwyczaj proste i łatwe czynności przychodziły mi z dużym trudem z powodu obandażowanych rąk. Ból w ramionach był tak dokuczliwy, iż w końcu się poddałam i zaniechałam dalszych wysiłków. Prawa dłoń rozboleła mnie tak wściekle, że wręcz obawiałam się, iż zerwę z niej strup poprzez opatrunek.

Talerz do saloniku zaniiosłam w lewej ręce. Zadając sobie niemal gwałt, przełknęłam kilka łyżek, po czym znów zagłębiłam się w myślach o ciotce Helenie. Uciekła z hotelu, gdy dowiedziała się o śmierci Cerise. Prawdopodobnie coś ją przestraszyło. Tak mało wiedziałam o jej codziennej egzystencji. Przy trybie życia, jaki prowadziła, można domyślać się różnych powodów takiego zachowania.

Ale od czegoś należało zacząć. Powiązanie ucieczki Heleny z hotelu ze śmiercią Cerise nie było pozbawione sensu. Tylko jakiś szczególny silny impuls mógł ją skłonić do opuszczenia bezpiecznego skądinąd miejsca w „Windsor Arms”. Po utracie własnego bungalowu w Norwood Park wynajmowała lokale dość przypadkowe, czerpiąc ze skromnych środków, jakie jej zostały po sprzedaży nieruchomości. „Windsor Arms” był więc dla niej przytuliskiem nie do pogardzenia.

Niewątpliwie Helenę i Cerise łączyły jakieś ciemne interesy. Gdy powiadomiłam ją o śmierci dziewczyny, zachowała się niespokojnie i jednocześnie przebiegle. Po rozmowie ze mną z pewnością udała się do ich wspólnej meliny. To też nie było pozbawione sensu –

dopiero w dwadzieścia cztery godziny po tym, jak dowiedziała się o śmierci Cerise – podjęła ucieczkę z hotelu. Miała więc dość czasu na rozmowę z kimś trzecim i doszła do wniosku, że...

Do jakiego wniosku? Że Cerise zamordowano? Czy taka jest prawda? Bo co innego mogło ciotkę przerazić tak, że uciekła? Może usłyszała: „Spójrz tylko, co się stało z twoją przyjaciółką – to również może przydarzyć się tobie. Wystarczy wlać ci w gardło ćwiartkę whisky i spowodować przypadkową śmierć na Navy Piers...”

Potarłam dłonią wciąż bolącą głowę. Tworzysz powieść kryminalną, Wiktorio. Potrzebne są dowody, że tak właśnie było. Sądzisz, iż Helena i Cerise trzymały tygrysa za ogon? Winnaś skłonić Helenę do mówienia. Ją – albo Zerline Ramsay; choć jest mało prawdopodobne, by Cerise zwierzała się ze wszystkiego matce.

Książka telefoniczna była przykryta stosem nut – dawno już po nią nie sięgałam. Nie znalazłam w niej Armbrusterów. Nie pozostało mi nic innego, jak ponownie odbyć wędrowkę do północnego Landwale. Zaciśnęłam zęby wobec tej perspektywy. A potem będę jeszcze musiała sprawdzić, gdzie każda z zagniewanych na mnie osób znajdowała się wczesnym rankiem w środę. Jeśli to Ralph MacDonald lub kuzyn Roz nastawiali na moje życie, mogli do tego celu użyć innych osób. Niemniej jednak, warto będzie wiedzieć, gdzie wtedy byli. Obecnie zadanie to przerastało moje siły rekonwalescentki. Z podjęciem go będę musiała poczekać do niedzieli.

Bolały mnie oczy od telewizji i czytania. Czułam się jak potłuczona. Po wmuszeniu w siebie talerza fettucini weszłam do łóżka. Mój dzień zamknął o ósmej trzydzieści telefony Lotty, która zadzwoniła z pytaniem, czy jeszcze żyję.

– Czuję się nieźle – odparłam ostrożnie. Gdybym się przyznała, że cierpię piekielne męki, musiałabym wysłuchać, że mam to, na co sobie zasłużyłam.

– Homerin powiedział mi, że zwolnił cię dzisiaj, sądzi jednak, iż wyszłaś ze szpitala za wcześnie. Zapewniłam go, że masz żelazny organizm i że gdyby cię nie puścił, mogłabyś zrobić jakieś głupstwo.

– Dziękuję ci, Lotty. – Leżałam w ciemnościach ze słuchawką na poduszce. – Gdybym odwróciła się plecami od ludzi, którzy przychodzą prosić mnie o pomoc w potrzebie, wyobrażam sobie, jakbyś się cieszyła. A gdybym unikała jakiegokolwiek ryzyka i siedziała tylko w domu oglądając szmiry w TV – słyszałabym od ciebie same pochwały.

– Czy ty naprawdę nie potrafisz znaleźć złotego środka między bezczynnością i narażaniem życia? – wybuchnęła. – Czy ty nie potrafisz sobie wyobrazić, co ja czuję, ilekroć widzę cię na noszach i nie wiem, czy tym razem nie zostałam nieodwracalnie okaleczona. Czy też może sądzisz, iż potrafisz tak układać swoje sprawy, że zawsze ci się uda umknąć najgorszego i masz może zgodę policji na takie postępowanie?

– Chcesz powiedzieć, że przyjaciel lub kochanek jest w stanie przeżywać razem z nami nasze kłopoty? – Nie czułam gniewu, byłam tylko oszołomiona. – To wszystko dzieje się z wyższego nakazu, Lotty. Nie zawsze będę w stanie przeskakiwać przez okna ani ciągnąć liny. Kiedyś będzie to za mnie robił ktoś inny. Ale to nie będzie policja. Na razie muszę z nią walczyć o prawo do prowadzenia śledztwa o podpalenie. Na razie stać ich tylko na jedną

reakcję na moje ocalenie z pożaru – oskarżanie mnie...

Jestem kompletnie załamana. Być może Cerise i Helena widziały podpalacza „Indiana Arms” i szły za nim. Albo za nią. Albo też za nimi. Jeśli tak było, to może podpalacz zmusił je do milczenia. A może doszedł do wniosku, że wyznały mi wszystko i że ja również powinnam odejść. Policja oświadczyła, iż śmierć Cerise była efektem przedawkowania narkotyku i w tym przypadku wszystko jest proste i jasne.

– Wiem, że nie powinnam się tobą denerwować, lecz lękam się, iż mogę cię utracić – powiedziała Lotty.

– Rozumiem – odrzekłam znużona. – Jest to dla mnie źródłem jeszcze jednego stresu, Lotty. Przez kilka dni walczyłam chyba z setką osób, żeby wykonać swoje zadanie. Jeśli ty jesteś tą sto pierwszą, to czuję, iż powinnam się położyć i umrzeć.

Przez długą chwilę nie odzywała się ani słowem.

– Wobec tego, żeby ci pomóc, powinnam akceptować wszystkie twoje poczynania, które przyprawiają mnie o ból głowy? Muszę to przemyśleć, Wiktorio... Jednej jednak rzeczy nie potrafiłabym zaakceptować: gdybyś poświęciła życie swojej ciotce. Homerin wspomniał mi coś o rozmowie, jaką z tobą przeprowadził. Odparłam, że gdybyś była mężczyzną, z pewnością nie poruszyłby tego tematu.

– A co on na to?

– On? Chrząknął tylko i stwierdził, iż wciąż swój pomysł uważa za dobry. Ale istnieją pewne granice poświęcania się dla innych, Wiktorio. Omal nie zginęłaś ratując Helenę. Nie wolno ci jednak dla niej poświęcać swojej duszy.

– W porządku, pani doktor – wymamrotałam. Przełknęłam łzy. Byłam tak słaba, że to jedno zdanie wyrażające współczucie omal nie spowodowało wybuchu szloch.

– Jesteś wyczerpana – rzekła szorstko. – Leżysz już w łóżku? To dobrze. Śpij spokojnie. Dobranoc.

Kiedy odłożyła słuchawkę, włączyłam automatyczną sekretarkę. Po ciemku odnalazłam dzwonek i wyłączyłam go, po czym zapadłam w głęboki, tym razem spokojny sen.

ROZDZIAŁ 29

Złowieszcze kwiaty

Gdy obudziłam się w sobotę, było już po pół do dziesiątej. Spałam ponad trzynaście godzin i po raz pierwszy w ciągu tygodnia poczułam się wypoczęta. Niemniej jednak, przychodziłam do przytomności powoli, lękając się powrotu czarnych punkcików przed oczami.

W łazience odwinęłam bandaż. Dłonie były spuchnięte i przybrały barwę pomarańczowożółtą. Zrobiło mi się słabo na ten widok. Kiedy jednak delikatnie usunęłam z rąk plamki zaschniętej krwi, odniosłam wrażenie, że się goją. Przypomniałam sobie, iż rany wyglądają najgorzej podczas gojenia, niemniej jednak ten widok przyprawiał mnie o mdłości. Nie byłam pewna, czy będę umiała zabandażować dłonie. W szpitalu zaopatrzone mnie w zapasowy bandaż, ale użycie go nie było takie proste.

Trzymając dłonie na brzegu wanny, mogłam się jednak wykapać. Odkręciłam krany, wlałam trochę płynu kąpielowego i podreptałam do kuchni zaparzyć kawę. Było to dość kłopotliwe zajęcie, ponieważ mogłam posługiwać się tylko palcami. Nim zdążyłam przygotować filiżankę kawy, wanna wypełniła się po brzegi. Weszłam do wanny ostrożnie, trzymając filiżankę w palcach. Kiedy zanurzyłam się krzyżując nogi, wylało się trochę wody, ale rąk nie zamoczyłam.

Leżałam w wannie w bezruchu, dopóki woda nie stała się chłodniejsza, początkowo nie myślałam o niczym. Po pewnym czasie podjęłam na nowo rozpoczętą wcześniej analizę. Wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego śmierć Cerise przeraziła Helenę tak bardzo, że postanowiła się ukryć. Mogłoby się wydawać, iż dowiedziała się, że przyjaciółka jej została przez kogoś naszprycowana heroiną i skazana na śmierć w samotności. Nie miałam żadnych dowodów, iż tak właśnie było, choć wyjaśniałoby to kolejność wydarzeń, które po sobie nastąpiły. W ciągu dwudziestu czterech godzin po mojej u niej wizycie Helena dowiedziała się o przyczynie śmierci Cerise i w panice sama uciekła w środku nocy z hotelu. Dlaczego jednak potem w szpitalu milczała jak zaklęta, korzystając z osłony, jaką stwarzali jej lekarze i pielęgniarki? Tego nie potrafiłam zrozumieć. W tej sytuacji postanowiłam na razie dać spokój sprawie.

Pozostawało mi jeszcze przyjrzeć się bliżej firmie Alma Mejjicana. Postawiłam filiżankę z kawą na parapecie okiennym i z niesmakiem spojrzałam na swoje dłonie. Jutro będzie idealna okazja, by się wśliznąć do biur firmy, ale ja pewnie nie będę się czuła o wiele lepiej aniżeli dzisiaj.

Splukałam z siebie mydło i ostrożnie wyszłam z wanny. Wytarcie się okazało się znacznie trudniejsze. Dopiero wtedy kiedy nie można posługiwać się rękami, uświadamiamy sobie, jak bardzo są potrzebne. Gdy po raz trzeci upuściłam ręcznik na podłogę, zrezygnowałam z wycierania.

Naciągałam dzinsy, gdy u drzwi rozległ się dzwonek. Zupełnie zapomniałam o

zapowiedzianej wizycie Robina. Szybko włożyłam zakiet i wpuściłam gościa do środka.

– Wik! Jakże się cieszę, iż widzę cię całą. – Ogarnął mnie krytycznym spojrzeniem. – Nie wyglądasz tak tragicznie, jakby to wynikało ze sprawozdań prasowych. Jak się czujesz?

– Lepiej niż kilka dni temu, a najważniejsze, że głowę mam całą i na miejscu.

W rękę trzymał bukiet kwiatów z własnej, troskliwie uprawianej małej działki. Pozwoliłam mu wejść do kuchni i napełnić dzban wodą na kwiaty. Coś w tych jasnozłoty stokrotkach było takiego, iż poczułam wielki apetyt na wiejskie śniadanie – złożone z naleśników, jajek i bekonu.

Chociaż Robin zjadł śniadanie zaledwie godzinę temu, chętnie zgodził się wyjść ze mną do pobliskiej restauracji. Nawet przewyciężył obrzydzenie i zabandażował mi ręce. Sądziłam, iż będę mogła obandażowanymi rękami zapiąć na sobie biustonosz, ale zadanie to przekraczało moje możliwości. Włożyłam więc luźną bluzę.

Wychodząc natknęliśmy się na pana Contrerasa z Peppy. Obrzucił Robina krytycznym spojrzeniem. Peppy skoczyła na mnie i polizała po twarzy. Bawiąc się jej uszami, dokonałam prezentacji.

– Dokąd wychodzisz, moja droga?

– Na śniadanie. Od poniedziałkowego wieczora nie zjadłam przyzwoitego posiłku.

– Mówiłem ci wczoraj, że wyglądasz mizernie. Gdybyś powiedziała, przynieśliśmy z księżniczką śniadanie, oszczędzając ci fatygi. Nie zrobiłem tego tylko dlatego, iż sądziłem, że śpiesz w najlepsze.

– Potrzebuję trochę ruchu – odparłam. – Robin dopilnuje, bym się nie przemęczyła.

– W porządku, ale dzwoń, kiedy będziesz czegoś potrzebowała. Bądź ostrożna i daj mi mój numer. Nie chciałbym się dowiadywać dopiero z gazet, że zemdlałaś albo że coś innego przydarzyło ci się w restauracji.

Zapewniłam uroczyście, że dostąpi zaszczytu cucenia mnie solami, gdy zajdzie taka potrzeba. Spojrzał na nas spode łba i wszedł z Peppy do mieszkania.

– Kto to taki? – zapytał Robin już na ulicy. – Czy to może jest twój dziadek?

– To mój sąsiad, emeryt, a ja jestem jego hobby.

– Czemu tak gderał, gdy powiedziałaś, iż wychodzisz na śniadanie?

– Chodziło mu nie o śniadanie, lecz o ciebie. Gdyby był dwadzieścia lat młodszy, nie dopuściłby do mnie żadnego mężczyzny. Jest to męczące, ale w gruncie rzeczy to dobry człowiek i nie potrafię zrobić mu przykrości.

Droga do „Belmont Diner” zmęczyła mnie trochę – wciąż jeszcze byłam osłabiona. Wiedziałam, iż powrót do zdrowia odbywa się najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Ale z natury jestem niecierpliwa. Gdy znaleźliśmy się w lokalu, głód odezwał się we mnie ze zdwojoną siłą.

Większość kelnerek знаła mnie dobrze – zjadałam tu przynajmniej jeden posiłek tygodniowo. Wszystkie czytały o moich niebezpiecznych przeżyciach, otoczyły więc stolik, by zobaczyć, jak się czuję i z kim przyszłam. Barbara, w sektorze której zajęliśmy miejsce, odsunęła je energicznie od stołu, gdy zaczęły proponować mi soki i bułeczki. Kiedy zamówiłam u niej omlet z serem, ziemniaki, bekon, grzankę i jogurt z owocami – pokreśliła

tylko głową.

– Przecież pani nie zje tego – to jest dwa razy więcej, niż pani zamawia po biegu na pięć kilometrów.

Uparłam się, ale ona miała rację. Zjadłam zaledwie pół omleta i trochę ziemniaków, a resztę pozostawiłam nietkniętą. Mając pełny żołądek, poczułam nagle, że ogarnia mnie senność, lecz zmusiłam się do rozmowy z Robinem na tematy zawodowe.

– Wiesz coś niecoś o pożarze w „Prairie Shores Hotel”? Czego tam użyto do rozniecenia ognia? Czy wszystko miało taki przebieg jak w „Indiana Arms”?

Pokręcił przecząco głową.

– W „Indiana Arms” akcja została przeprowadzona w sposób bardziej przemyślany, gdyż hotel był zamieszkały. Wygląda na to, że do przewodów elektrycznych podłączono zapalnik pod nieobecność nocnego stróża. Zapalnik został podłączony z pojemnikiem parafiny i mechanizmem zegarowym w suterenie. Tak więc podpalacz nie musiał przebywać na miejscu. Pożar, w którym się znalazłaś, nie wymagał takich kombinacji. Po prostu rozlano benzynę w kuchni i pod drzwiami suterenu, podpalono i sprawa załatwiona. – Spojrzał na mnie ze śmiertelną powagą. – Miałas szczęście, Wik, cholernie dużo szczęścia.

– Szczęście potrzebne jest w każdej robocie. Napoleon zawsze przedkładał generałów, którym dopisywało szczęście, nad teoretyków. – Denerwuje mnie zawsze, gdy ktoś mnie poucza podkreślając, iż o włos uniknęłam śmierci. Tak, miałam szczęście, lecz szczęście całego świata by mi nie pomogło, gdybym nie była w dobrej fizycznej i psychicznej formie. Dlaczego nie liczą się moje umiejętności?

– Tak, ale w końcu Napoleon został pobity... Czy chociaż domyślasz się, kto dokonał na ciebie zamachu? Moje kierownictwo zastanawia się, czy to, co się wydarzyło, nie jest związane ze śledztwem, które prowadzisz wokół „Indiana Arms”, i czy nie wiesz czegoś, czego nam nie wyznałaś?

Usiłowałam opanować narastający gniew.

– Nie wiem, kto chciał mnie zabić. Być może ma to związek z tym, co robię dla was. Ale nie jestem tego pewna. Gdybym wiedziała, nie chowałabym tej wiadomości dla siebie, możesz mi wierzyć.

Przez chwilę wahał się, obracając w palcach solniczkę.

– Zastanawialiśmy się wczoraj z szefem, czy sprawy Seligmana nie powinniśmy powierzyć innemu detektywowi...

Wyprostowałam się na krześle.

– Zdaję sobie sprawę, że wciąż nie osiągnęłam oczekiwanego przez was rezultatu, ale poniosłam już określone nakłady i przeprowadziłam szereg badań. Jeśli życzycie sobie, żeby ktoś inny odbył rozmowę z nocnym stróżem lub dowiedział się, co robią córki Seligmana – to wasza sprawa, proszę bardzo.

– Widzisz, Wik, ten zamach na twoje życie spowodował, iż niektórzy zaczynają kwestionować twoje opinie.

Staralam się opanować.

– Udałam się tam na wezwanie swojej ciotki. Ponieważ ciotka ma skłonność do alkoholu,

chciałam sprawę wyjaśnić sama, nie wciągając osób postronnych. Gdybym zdawała sobie sprawę, iż grozi mi prawdziwe niebezpieczeństwo, postąpiłabym inaczej. Ale ja naprawdę mam już dość tego podziwu, poczynając od lekarzy, poprzez policję, a na tobie kończąc.

– Z zamkniętymi oczami, odchyłona do tyłu, oddychałam ciężko. W głowie czułam przenikliwy ból.

– Wik, przepraszam cię bardzo. Cieszę się, że żyjesz. Wykonałaś wspaniałą robotę, lecz my się zastanawiamy, czy ktoś inny nie wniósłby do dochodzenia nowych elementów. Już sam fakt, że w sprawę została zamieszana twoja ciotka, podważa twój obiektywizm.

– Masz rację – przyznałam sucho. – Ale jeśli wprowadzicie do śledztwa kogoś drugiego, ja nie zechcę mu się podporządkować. Udostępnię swoje notatki, przekażę wnioski, ale przestanę dla was pracować.

– Poczekaj, być może nie tak zaraz wynajmiemy kogoś drugiego. Mamy przecież w policji Wydział Walki z Podpaleniami i Zamachami Bombowymi.

– Który, jak dotąd, nie zainteresował się poważnie sprawą podpalenia „Indiana Arms”. Nie licz na nich zbytnio. Wczoraj odwiedził mnie Montgomery. On już wykrył podpalacza w mojej osobie.

Robin spojrział na mnie zdumiony.

– Żartujesz chyba?

Kiedy mu zrelacjonowałam przebieg spotkania z Montgomerym, zrobił kwaśną minę.

– Co, u diabła, dzieje się z tym facetem. Wiem, iż bardzo nie lubi, gdy ktoś z zewnątrz wścibia nos w prowadzone przez niego dochodzenie, ale w tym przypadku przebrał chyba miarę.

Wzmianka o ludziach z zewnątrz przywołała mi na myśl twarz, którą spostrzegłam w czasie pożaru, a której wciąż jednak nie mogłam sobie z nikim znanym mi skojarzyć.

– Nie wiesz przypadkiem, kto pierwszy zawiadomił straż o pożarze? Gdyby straż nie przybyła tak szybko, nie jestem pewna, czy udałoby się ocalić ciotkę.

Robin poruszył głową przecząco.

– Mam dobrych znajomych w straży, przekazali mi wszystkie informacje o obu pożarach. Telefon na dziewięćset jedenaście był anonimowy.

Powiodłam widelcem po talerzu, usiłując sobie uprzytomnić, o co jeszcze mogę zapytać Robina? Czy policja ma listę obecnych przy pożarze gapiów lub może znaleziono coś na miejscu, co mogłoby naprowadzić na trop podpalacza?

Gnębiło mnie wciąż to, że zakwestionowano moje zawodowe umiejętności. A może w całej tej historii zachowałam się jak słoń w składzie porcelany? Należało wezwać policję – zadzwoniłam przecież do Fureya, ale bez skutku. Gdybym w normalnym trybie zawiadomiła policję kryminalną, być może przyjechałby cały oddział, a ja i ciotka uniknęłybyśmy śmiertelnego niebezpieczeństwa. Ale gdyby cała historia się powtórzyła, zachowałabym się podobnie. W żadnym razie nie pozostawiłabym ciotki na łasce i niełasce policji. To była dla mnie sprawa osobista, którą musiałam załatwić sama. Nie wiem, czy świadczy to o mojej sile, czy też słabości. Po prostu taka jestem.

Zapłaciłam swój rachunek i wracaliśmy w milczeniu. Tuż pod moim domem Robin,

poprawiając bandaż na mojej prawej ręce, powiedział, ostrożnie dobierając słowa:

– Wik, sądzę, iż na kilka najbliższych dni przystopujemy nieco śledztwo w sprawie Seligmana. Zlecimy komuś przeprowadzenie bardziej szczegółowej rozmowy z nocnym stróżem. Gdy poczujesz się lepiej w przyszłym tygodniu, zobaczymy razem, co udało mu się ustalić, i wtedy będziesz mogła podjąć decyzję, czy chcesz pociągnąć śledztwo dalej.

Takie rozwiązanie uznałam za fair. Poczułam się nieco mniej spięta, choć uczucie przygnębienia wciąż mnie nie opuszczało. Kiedy otwierałam drzwi do mieszkania, na klatce schodowej pojawił się pan Contreras z Peppy, oboje zaczęli się wspinać po schodach na górę. Pan Contreras karcił sukę łagodnie, że płacze mu się pod nogami i przeszkadza. Powitałam ich w drzwiach bez zwykłego uśmiechu. Starszy pan wyjął zza siebie ogromne pudło wyglądem wskazujące, iż pochodzi z kwaciarni.

– To przyniesiono, gdy byłaś nieobecna – wysapał zadyszany. – Sądziłem, że mogę to przyjąć, inaczej gotowi byli przyjść z tym, gdy będziesz spała.

– Dziękuję bardzo – powiedziałam jak najgrzeczniej. – Właśnie miałam ochotę położyć się do łóżka i odpocząć.

– Dobrze, moja droga, cieszę się, że mogę ci pomóc. A co się stało z twoim przyjacielem? Poszedł sobie?

Pan Contreras położył pudło na progu i wytarł pot z czoła.

– Powiedziałam mu, że chcę odpocząć – oznajmiłam akcentując ostatnie słowo.

– Rozumiemy, kochanie, rozumiemy. Potrzebujesz trochę czasu dla samej siebie. Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

Miałam zamiar podziękować mu stanowczo za dobre chęci, w ostatniej jednak chwili przypomniałam sobie o liście, który chciałam wysłać do stryja Piotra ekspresem. Tak bardzo chciało mi się spać, że z całą pewnością nie poszłabym przed wieczorem na pocztę.

Pan Contreras był zachwycony, że może mi się przysłużyć i zrobić to za mnie. – Za żadną cenę nie zgodziłbym się – oświadczył – byś sama, mimo wielkiego osłabienia, nosiła ten drobiazg na pocztę.

Gdy szedł już ze schodów z listem, wykrzyknął:

– Nie dawaj mi teraz pieniędzy, rozliczymy się później! Wniosłam opakowanie z kwiatami do środka. Był to wspaniały bukiet purpurowych i złotych egzotycznych kwiatów. Nigdy jeszcze takich nie widziałam. Leżały w pięknym drewnianym pojemniku, owiniętym w plastik. Spojrzałam na bilecik.

Cieszę się, że opuściła pani szpital. Następnym razem radzę wybrać spokojniejszą pracę – przeczytałam.

Podpisano inicjałami R. M. Czulałam tak wielkie zmęczenie, że nie próbowałam nawet rozstrzygnąć, czy słowa te są dobrodusznym żartem, czy ostrzeżeniem. Zamknęłam drzwi na wszystkie spusty, wyłączyłam telefony i padłam na łóżko.

ROZDZIAŁ 30

Szykuję się do skoku

Gdy obudziłam się w niedzielę rano, wiedziałam, że minął już kryzys. Chociaż nie odzyskałam jeszcze pełni sił, ból głowy całkowicie ustąpił i przybyło mi energii. Depresja, w którą popadłam w czasie śniadania z Robinem, zniknęła. Zakwestionowano przecież moje umiejętności organizacyjno-zawodowe, a nie kwalifikacje w ogóle. Nawet stan moich rąk się poprawił. Nie zdjęłam jeszcze opatrunków, ale już mogłam wykonywać proste czynności domowe bez obawy, że rany zaczną krwawić.

Było wręcz nieprawdopodobne, że ktoś może odwiedzić biuro Alma Mejicana w niedzielę – a jeszcze mniej, iż uczyni te z samego rana.

Przed wyjściem z domu udałam się do saloniku, by wykonać uproszczoną wersję porannych ćwiczeń – wciąż jeszcze nie mogłam biegać, a przecież musiałam dbać o kondycję. W pokoju dominowały kwiaty od Ralpha MacDonalda. Zupełnie o nich zapomniałam. Wyciągnięta na dywanie, nagle ujrzałam przed sobą piękno tropiku. Nie wiem, czy ich ofiarodawcy chodziło o to, by mnie przestraszyć, czy też chciał mi sprawić przyjemność – w tym drugim przypadku byłby to gest zbyt wielki jak na kogoś, kto prawie mnie nie znał.

Gdy zakończyłam ćwiczenie nóg – podniosłam każdą do pionu dwudziestopięciokrotnie, na tyle starczało mi sił – naciągnęłam na siebie dżinsy i luźną bluzę. Z trudem zaniiosłam kwiaty do samochodu i pojechałam do delikatesów na Broadwayu, gdzie kupiłam drożdżówkę, jabłko i trochę mleka.

Stan mój był już na tyle dobry, iż próbowałam jednocześnie jeść i prowadzić samochód. Wnet jednak poczułam ból w ręce, którą trzymałam kierownicę. Wobec tego zatrzymałam się na rogu Diversey i Pine Grove, by zjeść spokojnie zakupione wiktuały. Kwiaty wypełniły wnętrze samochodu tak silnym zapachem, że poczułam nudności. Otworzyłam okno na całą szerokość, ale to niewiele pomogło. W końcu wypięłam tylko mleko i ruszyłam na południe, odkładając drożdżówkę na później.

Jazda na ulicach Chicago w niedzielny poranek nie przedstawia najmniejszych trudności. Dziеляcą mnie od Michaela Reese odległość piętnastu kilometrów pokonałam w ciągu piętnastu minut bez najmniejszego pośpiechu.

Dźwigając ciężki bukiet na czwarte piętro trochę się zmęczyłam. Gdy wyszłam z windy, jakiś sympatyczny pracownik szpitala zaproponował mi pomoc.

– Są wspaniałe, do którego pokoju je zanieść?

Dałam mu numer pokoju Heleny. Niósł je z taką łatwością, jakby to była piłka futbolowa. Szłam za nim aż do pokoju Heleny. Kobieta w moim wieku, ubrana w żółty szlafrok, siedziała na łóżku Heleny, czytając *Tribune*.

Zaskoczona patrzyłam na nią.

– Moja ciotka... – powiedziałam trochę bez sensu. – Moja ciotka leżała na tym łóżku jeszcze w piątek.

– Być może została wypisana – zauważył towarzyszący mi pracownik.
– Czula się nie najlepiej. Być może ją przeniesiono. – Popędziłam do pokoju pielęgniarek. Kobieta w średnim wieku odnotowywała coś w karcie chorobowej. Chciałam jej przerwać, ale wstrzymała mnie gestem ręki. W końcu spojrzała na mnie.

– Słucham.

– Jestem Warszawski – przedstawiłam się. – Moja ciotka, Helena Warszawski, leżała na tym oddziale. Co się z nią stało?

Pielęgniarka skinęła głową majestatycznie.

– Opuściła szpital w dniu wczorajszym.

– Opuściła? – powtórzyłam za nią jak echo. – A przecież powiedziano mi wcześniej, iż się źle czuje i powinna pozostawać pod troskliwą opieką przynajmniej w ciągu miesiąca. Dlaczego pozwolono jej opuścić szpital?

– Nie pozwolono. Wyszła sama. Ukradła sukienkę pacjentce i zniknęła.

– W głowie mi się kręci. – Musiałam przytrzymać się krawędzi biurka. – Kiedy to się stało? Dlaczego mnie nie powiadomiono?

Pielęgniarka oświadczyła, iż nie musi znać wszystkich szczegółów.

– W takich przypadkach szpital powiadamia zawsze najbliższego członka rodziny.

Może ona podała nazwisko Piotra, a ja nie powinnam, być może, podawać się za osobę jej najbliższą.

– Czy pani może mnie poinformować, kiedy chora opuściła szpital?

Stuknęła ołówkiem w biurko z irytacją.

– Proszę zapytać o to policję. Wczoraj po południu przysłali do nas sierżanta. Był bardzo niezadowolony, chociaż otrzymał od nas wszelkie informacje.

Miałam ochotę krzyczeć z desperacji.

– Proszę mi podać nazwisko tego policjanta, chcę z nim rozmawiać.

Westchnęła ciężko i wyszła do sąsiedniego pokoju. Mężczyzna z kwiatami stał cierpliwie przez cały czas za mną.

– Czy zechce je pani odebrać? – zapytał.

– Niech pan zanieśe bukiet pacjentowi, którego od dawna nikt nie odwiedzał – poprosiłam.

Pielęgniarka powróciła z papierową teczką. – „Michael Furey, sierżant” – odczytała nie spoglądając na mnie i wróciła do wypełniania kart chorobowych. Rozmowa była zakończona.

Gdy znalazłam się w samochodzie, ręce wciąż mi się trzęsły.

Helena znów uciekła. Czy powinnam się tym przejmować? Policja wie o tym. Prawdopodobnie jej poszukuje. Mam własne sprawy do załatwienia.

Zamiast jechać do Alma Mejicana, na południowy Ashland – taki miałam pierwotny zamiar – ruszyłam w stronę „Prairie Shores Hotel”. Silnik zaczął znów skrzypieć, gdy skręciłam w Indiana.

– Widzę, iż się tu źle czujesz – mruknęłam. – Ja również nie miałam ochoty przyjeżdżać tutaj. Poza tym bolą mnie ręce.

Piekły mnie dłonie pod opatrunkami. Czulałam, jak pulsują na twardej kierownicy.

Następny samochód, który, kupię, będzie sterowany automatycznie.

„Prairie Shores Hotel” upodobił się do „Indiana Arms”. Puste, wypalone okna obu budynków przyglądały się sobie z przeciwległych stron ulicy. Mogła się tu ukrywać nie tylko Helena. Były również i inne opustoszałe budynki w bezpośrednim sąsiedztwie: stary dom towarowy, zabita deskami szkoła, ruiny hotelu dla pielęgniarek. Helena mogła znaleźć przytulisko w każdym z nich. Nie miałam dość siły, by jej tam szukać. To jest zadanie dla policji, nie dla mnie.

Jechałam wzdłuż Cermak pięćdziesiątką, przeżuając w sobie wściekłość. Co, u licha, ona sobie myśli? Bawi się ze mną w chowanego? Ile już czasu jej poświęciłam? Dostałam także nauczkę – tę historię niemal przypłaciłam życiem. A Helena zamiast spotkać się ze mną, ukrywa się w nadziei, iż w ten sposób umknie prześladowcy.

Skreśliłam w Halsted, tuż przed wściekle trąbiącym i gwałtownie hamującym autobusem. To mnie szybko ostudziło. Nie można zrobić nic głupszego, niż sięść za kierownicą w złym humorze. Usłyszałam to kiedyś od ojca, który za karę, że go nie posłuchałam, zabrał mi kluczyki od samochodu na miesiąc. Miałam wtedy siedemnaście lat i była to dla mnie bardzo surowa kara. To na długo wyleczyło mnie z lekkomyślnej jazdy.

Dalej pojechałam już ostrożnie w kierunku Amfiteatru, za którym na Ashland znajdowały się biura Alma Mejicana. Upłynęło już chyba dwadzieścia pięć lat od czasu, kiedy ojciec zabierał mnie tutaj na pokazy konne i wystawy psów. Zdążyłam już zapomnieć o labiryncie ślepych uliczek w tej części miasta, między Ashland i Halsted. Omijając je i jadąc głównymi ulicami znalazłam się w ciągu dwudziestu minut przed budynkiem firmy.

Przejeżdżałam wolno wzdłuż muru z czerwonej cegły. Wejście było zamknięte na olbrzymią kłódkę. Wysoko ulokowane brudne okna nie zdradzały najmniejszych oznak życia. Aleją objechałam wolno budynek od tyłu – z tej strony również drzwi były zamknięte na kłódkę systemu American Master, która spinała dwa ogniwa łańcucha.

Dojechałam aleją do Ashland i zawróciłam. Zostawiłam samochód na zakręcie, tuż przy skwerku. Jakiś staruszek spacerował z psem – żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi. Szłam aleją trzymając się prosto, pewnie, jak ktoś miejscowy. Mijając żelazną bramę, którą ktoś nagle zatrzasnął z hukiem, podskoczyłam. By poradzić sobie z American Master, trzeba było mieć palnik acetylenowy lub piłkę do cięcia metalu. Z kwaśną miną oglądałam grube łańcuchy. Gdy obeszłam budynek naokoło, stwierdziłam, że do okien bez drabiny się nie dostanę. Pozostaje dach, ale tamtędy można wejść tylko nocą.

Przy końcu alei, tuż obok znajdującego się tam budynku, stał słup telefoniczny, po którym można było się przedostać na teren Alma Mejicana. Wyciągnęłam do góry ręce – do pierwszych haków brakowało mi około jednego metra. Gdybym skorzystała z odpowiedniej wysokości podnóżka, dalsze wspinanie nie przedstawiałoby większych trudności.

Między słupem a budynkiem Alma Mejicana znajdowały się trzy różnej wysokości zabudowania o płaskich dachach. Spróbowałam na oko wymierzyć odległość między nimi – najszersza przerwa nie przekraczała półtora metra. Nawet przy obecnym stanie zdrowia taki skok mieścił się w granicach moich możliwości.

Wypatrywałam jakiegoś obiektu, który mógłby mi posłużyć za punkt orientacyjny

podczas zdobywania Alma. Zauważyłam, iż wszystkie budynki wzdłuż alei są otoczone drewnianymi płotami tej samej wysokości. Wyjątek stanowił garaż, przylegający bezpośrednio do ulicy. Nie powinnam mieć trudności z jego zlokalizowaniem za pomocą ręcznej latarki elektrycznej.

Gdy powróciłam do samochodu, staruszek z towarzyszącym mu pieskiem siedział na ławce i czytał poranną gazetę. Nie spojrzeli nawet na mnie nawet wówczas, gdy siadając za kierownicą głośno zatrzasnęłam drzwi od auta. Ruszyłam w kierunku Ryan. Samochód okropnie hałasował przy szybkości dziewięćdziesięciu kilometrów na autostradzie, ale uciszył się, kiedy zwolniłam do siedemdziesięciu. Zdażyłam do domu na rozpoczęcie meczu piłki nożnej pomiędzy „Niedźwiedziami” i niezwykłymi „Billami”. Jak wszyscy przyzwoici mieszkańcy Chicago wyłączyłam fonie, a włączyłam komentarz radiowy.

W czasie przerwy w meczu przeglądałam niedzielną prasę. Właśnie miałam w ręku *Star*, gdy w oko mi wpadło nazwisko Seligmana. Dokonano włamania do biura jego firmy na Montrose. Pani Rita Donnelly, lat pięćdziesiąt siedem, zatrudniona w firmie od lat trzydziestu, została zamordowana.

Wyłączyłam radio i pograżyłam się w lekturze. W *Star* było tylko kilkanaście wierszy. Przeczytałam jeszcze notki w *Tribune* oraz *Sun Times* i miałam już pewien obraz wydarzenia.

Zdaniem policji przestępstwo zostało popełnione w piątek, późnym popołudniem. W sobotę do otwartego lokalu wszedł listonosz z listem poleconym i odkrył leżące na podłodze zwłoki. Pani Donnelly pozostawiła dwie córki: Shannon Casey (lat trzydzieści dwa) i Star Wentzel (lat dwadzieścia dziewięć) – obie zamężne – oraz troje wnucząt. Msza żałobna odbędzie się w kościele parafii St. Inanna, we wtorek po południu, trumna ze zwłokami zostanie wystawiona w poniedziałek wieczorem w Domu Pogrzebowym w Callahon. Pieniądze na kwiaty można wysyłać na fundusz parafialny St. Inanna.

Tymczasem „Niedźwiedzie” i „Bille” walczyli zapamiętane o piłkę na niemym ekranie – rozpoczęła się druga część meczu. Wyłączyłam telewizor i podeszłam do okna. Mógł to być napad przypadkowy – do biura wpływały pieniądze. Ktoś, kto o tym wiedział, mógł wejść do środka i zabić kobietę, zanim zdażyła zanieść pieniądze do banku.

– Pamiętaj, iż istnieje również taka możliwość – pouczyłam samą siebie głośno. – Nie przywiązuj się za bardzo do własnych teorii i nie zapominaj o wielkiej liczbie przypadkowych przestępstw w tym mieście.

Czy jednak był to przypadek? A śmierć Cerise, napad na mnie i Helenę, dwa pożary? Czy te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego? Morderca przetrząsnął papiery, ale nie zabrał żadnych pieniędzy, nawet torebkę ofiary pozostawił nietkniętą.

Wiadomość o śmierci pani Donnelly spowodowała, że zatelefonowałam do Fureya, by zapytać o Helenę, na co wcześniej nie miałam ochoty.

Odniosłam wrażenie, iż się ucieszył, że mnie słyszy, choć oderwałam go od towarzystwa. Odgłosy rozmowy docierały do mnie przez słuchawkę.

– Bardzo nas wszystkich zmartwiłaś, Wik. Czy czujesz się już dobrze?

– Czulałam się znacznie lepiej, dopóki dziś rano nie wybrałam się do szpitala, aby odwiedzić ciotkę. Powiedziano mi, iż byłeś tam przede mną i otrzymałeś szczegółową

informację.

– Zgadza się. Trzykrotnie próbowałem dodzwonić się do ciebie, ale na próżno. Miałem nadzieję, iż wiesz, dokąd się udała. W tej chwili ciotka jest jedynym źródłem informacji o środowym pożarze.

– Oprócz mnie. – Opowiedziałam mu o podejrzeniach Montgomery’ego.

– Och, Monty. – Zdarza się, że trochę przesadza. Nie przejmuj się zbytnio tym, co mówi. A co z twoją ciotką? Sprawdziłem w tym hotelu na Kenmore, ale tam się nie pojawiła, odkąd zniknęła dziesięć dni temu.

Wspomniałam mu o opustoszałych budynkach na Near South Side – obiecał, że wyśle tam patrol, który je przeczesa. Dziś wpadli do niego koledzy, żeby się zabawić, musi teraz zająć się gośćmi. Do sprawy Heleny powrócimy w ciągu tygodnia.

W momencie, gdy odłożyłam słuchawkę, aparat zadzwonił. Był to mój stryj, Piotr, rozwścieczony otrzymanym listem. Co ja sobie wyobrażam – czy mam go za kretyna, który gotów jest narazić dobro swoich dzieci dla takiej kobiety jak Helena?

– W porządku, Piotrze, ona zniknęła. Nikt nie ma zamiaru obecnie prosić się o cokolwiek.

– W rzeczywistości miałam zamiar zadzwonić jutro do Michaela Reese, by się upewnić, czy szpital jest w posiadaniu jego nazwiska i adresu jako finansowego gwaranta Heleny, co z pewnością nie poprawiłoby mu humoru.

Moje oświadczenie wcale go nie uspokoiło.

– Wbij sobie raz na zawsze do głowy, Wik, że gdybym nie chciał zerwać z utracjuszami z Chicago, nie ruszyłbym się stamtąd. Jeśli ci to sprawia przykrość, przepraszam cię bardzo, ale chcę dać moim dzieciom więcej niż twój ojciec dał tobie.

Miałam odpowiedzieć mu ostro, ale zrezygnowałam – tylekroć już to robiłam, bez żadnego rezultatu. Ani on, ani ja nie zmieniliśmy swojego stosunku do sprawy. Odłożyłam słuchawkę bez słowa pożegnania.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na stojące naprzeciw domki jednorodzinne. Być może ojciec pragnąłby dla mnie okazałej rezydencji, ale on znał tylko takie domki. Nie uważał, iż mieszkając w jednym z nich będę pokrzywdzona.

Rozmowa z Piotrem zmęczyła mnie bardziej niż dźwiganie bukietu egzotycznych kwiatów dzisiejszego ranka. Jeśli miałam zamiar skakać po dachach tej nocy, teraz powinnam wypocząć. Wyłączyłam telefon i rzuciłam się na łóżko.

ROZDZIAŁ 31

Domowe telefony

Była szósta po południu, kiedy się obudziłam. Wciąż bolały mnie ręce od dźwigania bukietu od Ralpa MacDonalda. Zmoczyłabym je chętnie pod ciepłym prysznicem, lecz były obandażowane, poza tym musiałam chronić dłonie, mając na uwadze wyprawę do Alma Mejcana. Nie zjadłam dziś jeszcze przyzwoitego posiłku, co gorsza – nie miałam w domu nic do jedzenia. Wczoraj chciałam poprosić Robina, by udał się ze mną do domu towarowego na zakupy. Ale kiedy powiadomił mnie o zamiarach swojej firmy odnośnie mojej osoby, zapomniałam o tym ze zdenerwowania. Bez solidnej kolacji moja wyprawa nocna nie miałaby szans.

Pomyślałam o odpowiednim stroju. Na bieliznę założyłam czarny bawełniany sweter. W nocy na dachu może być chłodno, poza tym sweter mniej się rzuca w oczy niż zakiet. Dżinsy i czarna obcisła kamizelka było wykończeniem stroju włamywacza. Przekopałam zawartość szuflady i znalazłam czarną miękką chustkę na głowę, otrzymaną kiedyś w prezencie gwiazdkowym od Eileen. Chustka przetykana była zieloną i niebieską nitką, nie sądziłam jednak, by z tego powodu rzucała się w oczy.

Zwykle noszę pistolet w zarzuconym na ramię futerał. Ponieważ tym razem chciałam zabrać ze sobą trochę narzędzi, wyciągnęłam stary policyjny pas z futerałem i dziurkami do zawieszania kajdanek i gumowej pałki.

Najlepszą latarkę straciłam w czasie pożaru „Prairie Shores Hotel”, ale znalazłam inną. Była zakurzona, ale miała jeszcze dobrą baterię. Po starannym wytarciu zawiesiłam ją u pasa. Mały młotek, śrubokręt i niewielki, ciemny ręcznik uzupełniły moje wyposażenie. Zazwyczaj na tego rodzaju wyprawy brałam ze sobą pęk wytrychów, подарowany mi kiedyś przez wdzięcznego klienta, ale kilka lat temu policja skonfiskowała mi go. Zaopatrzyłam się także w ruchome schodki.

Wymknęłam się z domu niezauważona przez pana Contrerasa i Peppy, a nawet przez Vinniego. Zmierzch już zapadał, purpurowo-szare obłoki szybko zmieniały barwę na czarną. Żaden z przechodniów nie powinien zwrócić uwagi na mój ekwipunek. Umieściłam go razem ze schodkami w bagażniku i pojechałam do „Belmont Diner” na kolację. Po skonsumowaniu porcji kapuśniaku i pieczonego kurczaka z ziemniakami poczułam się wystarczająco syta, by wyruszyć na najtrudniejszą nawet wyprawę.

Łakomstwo jest straszliwym wrogiem prywatnego detektywa. Straciłam dobrą godzinę – najpierw oczekując na podanie posiłku, a potem konsumując potrawy.

Jesteś wstrętna, karciałam sama siebie w myślach, płacąc rachunek. Peter Wimsey i Philip Marlowe nigdy nie mieli takich problemów.

Gdy z powrotem znalazłam się w samochodzie, pochylona nad kierownicą i wybijając takt palcami, zastanawiałam się, co dalej. Jeśli wrócę do siebie, z pewnością wpadnę wprost na staruszkę. Jego szósty zmysł wyjawi, że wybieram się na wielką przygodę, i nie będę w

stanie się go pozbyć. Przecież nie idę na kręcenie filmu, tylko do konkretnej roboty. Pojechałam na północ, na Estes. Silnik pracował równomiernie i cicho jak za najlepszych czasów.

Była ósma, gdy dotarłam do Seligmana, nie była to jeszcze zbyt późna pora na składanie wizyt. Zza szczelnie zasłoniętych okien przebijało słabe światło. Przed domem stał nowy model chryslera. Zaparkowałam tuż obok i podeszłam do drzwi, by zadzwonić.

Po dłuższym oczekiwaniu usłyszałam zgrzyt zamków i na progu pojawiła się starsza córka Seligmana – Barbara Feldman. Była to kobieta lat około pięćdziesięciu, ubrana starannie, choć niemodnie, o włosach ufarbowanych na kasztan i gustownie ułożonych.

Powitała mnie pytającym spojrzeniem bez wyrazu – najprawdopodobniej nie zapamiętała mnie z wizyty, jaką złożyłam w jej domu w Northbrook.

– Nazywam się Warshawski – powiedziałam głośno. – Jestem prywatnym detektywem, byłam już u pani w ubiegłym tygodniu w związku z pożarem „Indiana Arms”.

Przymknęła trochę drzwi.

– Mój ojciec źle się dzisiaj czuje i nie może się z nikim widzieć. Skinęłam głową ze zrozumieniem.

– Śmierć pani Donnelly musiała nim wstrząsnąć. Właśnie w związku z tym przyszłam. Skoro jest rzeczywiście chory, nie zabiorę dużo czasu, ale być może jest w stanie przekazać mi coś, co mogłoby naprowadzić na ślad mordercy.

Zmarszczyła czoło.

– Mielіśmy już dzisiaj policję. Ojciec nic nie wie.

– Może policja nie potrafiła pytać. Sądę, iż ja to lepiej zrobię. Zastanawiała się przez chwilę przygryzając wargę, po czym zamknęła drzwi. W oczekiwaniu na jej powrót wykonałam kilka ćwiczeń rozluźniających napięte mięśnie, z myślą o oczekującym mnie dzisiejszej nocy półtorametrowym skoku. Jakaś przechodząca obok para z pieskiem na smyczy popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Pani Feldman wróciła po kilku minutach.

– Mój ojciec uważa, iż pani nie jest w stanie mu pomóc. Co więcej, sądzi, że pani sprowadza same kłopoty. Przypuszcza, iż pani przyczyniła się do śmierci cioci Rity.

Jest zawsze coś osobliwego w tym, że dorosła osoba używa dzieciennych określeń w rodzaju: ciocia Rita, mama, tata, tak jakby te określenia znaczyły dla innych to samo co dla niej.

– Nieprawda – zaprzeczyłam cierpliwie – to nie była moja wina. Natomiast jest rzeczą możliwą, iż pani Donnelly wiedziała o czymś, do ujawniania czego nie chciał dopuścić podpalacz hotelu. Ona mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, że zna jakąś tajemnicę. Gdybym miała możliwość skontaktować się z pani ojcem, być może udałoby się nam ustalić, o czym ze sobą ostatnio rozmawiali. A to mogłoby mnie naprowadzić na ślad mordercy.

Pani Donnelly musiała coś wiedzieć. Byłam tego pewna. To nie miało nic wspólnego z podpaleniem – raczej z jej dziećmi. Zastanawiałam się, czy Seligman nie był ich ojcem. Nie przypuszczałam, żeby to dotyczyło mojej osoby lub Ajaxu, ale tu się mogłam mylić.

Pani Feldman poczłapała z powrotem do swojego ojca z moją opinią. Był to dość absurdalny sposób komunikowania się z nim. Po krótkiej chwili wróciła, przynosząc mi jego

zgode na rozmowę ze mną.

– Mówi, iż pani jest dla niego jedną z plag, które go prześladują, i zgadza się tylko dlatego panią przyjąć, by się jej pozbyć. Jestem innego zdania, ale on się nigdy ze mną nie liczy.

Poszłam za nią cuchnącym stęchlizną korytarzem. Przez kuchnię weszliśmy do pokoju jeszcze bardziej zagraconego niż poprzedni. Gospodarz siedział przy stole w wyświechtanym szlafroku, przed nim stał kubek z herbatą. W świetle zakurzonych żarówek jego twarz wyglądała jak pomarszczona pomarańcza. Gdy weszłam, podniósł oczy znad kubka i utkwiał je we mnie surowo.

– Bardzo mi przykro, iż pana niepokoję – zaczęłam, ale on mi natychmiast przerwał opryskliwie:

– Do licha z pani przeprosinami. Jeśli pani tak przykro z tego powodu, to dlaczego pani mnie nachodzi? – Mówiąc to, skierował oczy na kubek.

Siadając na jednym z brudnych krzeseł przy stole naprzeciw niego, uderzyłam się w nogę o stojącą tam lodówkę.

– Wygląda na to, jakbym była tą jedyną osobą, z którą się pan ostatnio spotyka i która zakłóca pańskie życie. Jest jeszcze chyba ktoś inny, kto pana nie lubi. To on podpalił „Indiana Arms” i zabił panią Donnelly. Kto wie, czy któregoś dnia nie przyjdzie po pana?

– Chciałbym, żeby to pani przestała przychodzić w końcu po mnie – mruknął ponuro.

Podniosłam do góry ręce owinięte opatrunkami i odezwałam się cierpko:

– W ubiegły wtorek ktoś usiłował mnie spalić żywcem, żebym już nie mogła przychodzić po nikogo. Czy może był to pański pomysł?

Spojrzał na mnie.

– Każdy może sobie obandażować ręce. Słowa jego brzmiały jeszcze zaczepnie, ale w oczach jednak pojawiło się wahanie.

Bez jednego słowa odwinęłam bandaż z lewej ręki. Teraz, kiedy rany się goiły, wyglądały jeszcze gorzej, pokryte siecią żółtych pęcherzy. Popatrzył bez słowa, odwrócił oczy nachmurzony, by po chwili spojrzeć jeszcze raz. Pani Feldman wydała z siebie jakiś nieokreślony dźwięk – ona również nic nie powiedziała.

– Czy po mojej ostatniej wizycie we wtorek spotkał się pan z panią Donnelly, czy też tylko rozmawiał pan z nią przez telefon?

Wobec milczenia Seligmana odpowiedziała jego córka.

– Ona zwykle do nas sama przychodziła, prawda, tato? Odkąd przestałeś chodzić do biura.

– To znaczy ona była tutaj po mojej wizycie? O czym z nią pan rozmawiał?

– To jest moja sprawa. Moja sprawa panią nie obchodzi, młoda damo.

– Dlaczego tak bardzo przejęła się tym, iż pan mi udostępnił fotografię? – pytałam monotonnym głosem.

– Jeśli pani wie tak wiele, to dlaczego pani pyta? – burknął z kubkiem przy ustach.

– Czy chodziło jej o pana córki, czy o jej własne? A może nie ma między nimi różnicy?

Stojąca za mną pani Feldman zachnęła się głośno.

– Co pani sugeruje? Jak pani śmie zadreżać starego, będącego w szoku człowieka?

Nie zwracałam na nią uwagi.

– Ile ma pan córek, panie Seligman? Chybiłam. Skrzywił się z niesmakiem.

– Jak to dobrze, że Fanny nie żyje i nie słyszy tych obelg we własnym domu.

– Wobec tego dlaczego pani Donnelly tak bardzo się zdenerwowała, że pan dał mi to zdjęcie?

– Nie mam pojęcia – wybuchnął. – Przyszła, opowiedziałem jej o pani wizycie i o tym, że wciąż nie wypłacają mi odszkodowania, że pani poprosiła mnie o zdjęcie Barbary i Connie i że ja dałem fotografię zrobioną z okazji czterdziestolecia naszego związku małżeńskiego z Fanny. Bardzo się zdenerwowała i chciała wiedzieć, które to zdjęcie. Gdy pokazałam jej odbitkę, utyskiwała, iż sprofanowałem pamięć Fanny, przekazując pani fotografię, utrwalającą taką rocznicę.

Kiedy skończył, jego pomarańczowe policzki pokryły się rumieńcem. Oddychał z trudem.

– Jest pani zadowolona? – zapytał. – Może pani zostawić ranie teraz w spokoju?

– Sądzę, iż tak. Chyba tak. Kiedy odbędzie się msza żałobna za panią Donnelly? We wtorek po południu?

– Niech pani nie próbuje zepsuć jej pogrzebu. Ciągle uważam, iż to z powodu pani pytań musiała umrzeć.

Patrzył na mnie z gniewem, a ja miałam dziwne uczucie, że miał rację. Podniosłam się z krzesła, zwinąwszy bandaż w kłębek.

– Zwróć panu fotografię, panie Seligman, lecz dopiero za kilka dni. Nie chciałabym pana więcej niepokoić, ale muszę dostać się do pańskiego biura. Czy mógłby mi pan w tym pomóc?

– Czy pani chce ode mnie klucze? Czy też chce się pani włamać jak ci bandyci, którzy zamordowali Ritę?

Uniosłam wysoko brwi.

– Nie wiedziałam, iż to było włamanie. Sądziłam, że weszli przez otwarte drzwi w godzinach urzędowania.

– Teraz jest zamknięte i nie mogę dać pani kluczy. Musi sobie pani poszukać innego biura dla dokonania rabunku.

Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Nie miałam już sił, by go przekonywać. Wsunęłam zwinięty bandaż do kieszeni w spodniach i wyszłam z pokoju bez słowa pożegnania.

Pani Feldman odprowadziła mnie korytarzem do wyjścia.

– Mam nadzieję, iż teraz zostawi go już pani w spokoju. Nie powinnam była pani w ogóle do niego wpuszczać, ale on nigdy mnie nie słucha. Gdyby moja siostra tutaj była... Niech pani tutaj więcej nie przychodzi, chyba że z czekiem za „Indiana Arms”. Dla pani jest to tylko pożar, dla niego coś więcej.

Chciałam jej wyjaśnić, że nie ma racji, ale zrezygnowałam. I tak nie dotarłyby do niej moje argumenty. Ledwo zdążyłam wyjść za próg, usłyszałam za sobą zgrzyt zamykanych drzwi.

ROZDZIAŁ 32

Skok w ciemności

Po tej wizycie z jednego byłam zadowolona – przestałam się czuć jak wypchana gęś. Niestety rękę miałam odbandażowaną i musiałam jakoś temu zaradzić.

Wyszłam z samochodu, otwierałam bagażnik, wyjęłam umocowany przy pasie ręcznik. Owinęłam go wokół lewej ręki, zawiązując końce przy pomocy zębów. Teraz mogłam prowadzić samochód.

Na drodze z Tonhy do Edens czułam się tak bardzo zmęczona, że zastanawiałam się, czy nie zrezygnować z wyprawy do Almy Mejicana. W podobnych sytuacjach, gdy zaczynam się wahać, słyszę napominający mnie głos matki. Jej energia była niewyczerpana, a poddanie się dla niej rzeczą najgorszą. Dzisiaj nie dochodziły do mnie żadne zwidy. Byłam sama, otoczona ciemnościami, bolały mnie dłonie i ramiona.

Jeśli zaczniesz się rozczulać nad sobą, wracaj do domu i kładź się do łóżka, karciałam siebie. W takim stanie ducha twoja misja z góry jest skazana na niepowodzenie. By dokonać akrobatycznego wyczynu, powinnam być w szczytowej formie psychicznej. Nie wolno pogrążyć się w wątpliwościach.

Wspomnienie zapachu stęchlizny w domu Seligmana budziło nieprzyjemne uczucia, lecz powinnam raz jeszcze przeanalizować to, co od niego usłyszałam. Rita Donnelly знаła jakąś tajemnicę. Powinnam była dowiedzieć się od niego czegoś o jej córkach, ale sprawa ta miała chyba charakter osobisty. Jeśli tajemnicą tą nie było ojcostwo jej córek, to co nią być mogło?

Z rozmyślań wyrwało mnie wściekłe trąbienie jadącego za mną samochodu; nie zauważyłam, że czerwone światła, na których stanęłam przy McCormick, już dawno zastąpiły zielone. Zaskoczona szybko wyrwałam do przodu z trudem przeskakując skrzyżowanie przed kolejną zmianą świateł.

Jadąc sześćdziesiątką po Edens stwierdziłam, iż żeby kierować samochodem ręką owiniętą ręcznikiem, muszę koncentrować się wyłącznie na jego prowadzeniu. Skręciłam na prawo w niewielką uliczkę, redukując jednocześnie szybkość do pięćdziesiątki. Gdy miałam już za sobą tereny budowlane przy Roosevelt, przeklęty silnik znów zaczął zgrzytać. Musiałam zwolnić do czterdziestu, by się uspokoił.

Dojechałam do Ashland bez żadnych kłopotów i jeszcze raz objechałam dookoła Alma Mejicana. Żadnych świateł w oknach. Tym razem zaparkowałam przy Fortyfifth, tuż przy wjeździe w aleję – na wszelki wypadek, gdybym musiała szybko znaleźć się w samochodzie.

Owinęłam sobie chustkę od Eileen wokół głowy i wyjęłam z bagażnika pas z ekwipunkiem. Ostatnio nieco schudłam i dlatego młotek i latarka uderzały mnie boleśnie w udo przy poruszaniu. Schodki przyciskałam do piersi. Dawniej obciążenie tego rodzaju wyposażeniem nie sprawiało mi najmniejszego trudu, obecnie odczułam zmęczenie – musiałam być jeszcze osłabiona.

Chłodne nocne powietrze sprawiało mi ulgę. Okolica była pusta, jakby wymarła.

Większość zabudowań no wschodniej stronie alei miało przeznaczenie handlowe, po zachodniej zaś stronie znajdowały się budynki mieszkalne, ogrodzone wysokimi parkanami.

Gdy znalazłam się przy słupie telefonicznym, było już pół do dziesiątej. Przyjrzałam się mu w blasku gwiazd i księżyca, pełna wątpliwości. Owinięte bandażem i ręcznikiem dłonie swędziały mnie okropnie. Gdy stanęłam na schodkach, wyciągniętymi palcami prawie dotykałam pierwszych haków. Stanęłam mocniej na najwyższym stopniu, zgięłam nogi w kolanach i podskoczyłam do góry.

Zdenerwowana, obawiając się o swoje ręce – chybiłam. Uderzając stopami o schodki narobiłam trochę hałasu, czym obudziłam wszystkie psy w sąsiedztwie. Przez jakiś czas leżałam w cieniu parkanu, rozcierając miejsce uderzone młotkiem podczas padania i oczekując na pojawienie się rozgniewanych mieszkańców.

Ponieważ nikt się nie zjawił, podniosłam schodki i wróciłam pod słup. Teraz już chyba ujadają wszystkie psy bez wyjątku, słychać było uspokajające je ludzkie głosy. Połączony chór ujadających czworonogów przekonał pewnie właścicieli, że zwierzęta szczekają wzajemnie na siebie.

Stanąwszy znów na schodkach, zrobiłam głęboki wdech i oparłam głowę o słup, obejmując go ramionami. Przyjmij mnie jak siostrę, nie jak intruza. Powtarzając to zdanie w myślach – skoczyłam. Tym razem uchwyciłam rękami jeden z haków, objawszy jednocześnie słup kolanami. Posuwałam się szybko, nie myśląc o bólu, dopóki nie dotarłam do drugiego rzędu haków.

Miałam za sobą najtrudniejszy odcinek wspinaczki, reszta była już łatwiejsza. Wyprostowałam się. Pozostało jeszcze około trzech metrów do zrównania się z dachem najbliższego budynku. Pokonałam je szybciej, niż myślałam. Znalazłszy się na dachu, poczułam taki przyływ radości, że zapomniałam o bólu i zmęczeniu. Przebiegłam po dachu i z rozpędu przeskoczyłam dzielącą od następnego budynku odległość. Odcinki, jakie musiałam jeszcze pokonać, były nieco dłuższe, ale nabrawszy pewności siebie bez zastanowienia wykonałam następny skok, zahaczając lekko lewą stopą o ścianę, prawa wylądowała bezbłędnie. Podeszłam do krawędzi dachu od strony alei i ostrożnie zapaliłam latarkę. Mój punkt orientacyjny – garaż – znajdował się przed następnym budynkiem, a tuż za nim Alma Mejicana. Tym razem wykonałam dłuższy, półtorametrowy skok, ale nieco w dół. Budynek, na którym się znalazłam, stał już blisko celu.

Bez najmniejszych trudności dostałam się na sąsiedni dach. Dokładnie obejrzałam płaszczyznę dachu. Kłapa, przez którą mogłam się dostać do wnętrza, była tuż obok rur wentylacyjnych. Próbowałam ją podważyć za pomocą zastrzonego końca młotka. Tak jak się spodziewałam, nie była zamknięta i powoli ustępowała. Położyłam obok ręcznik i stopniowo podnosiłam do góry ciężki prostokąt, nie zważając na ból ramion. Gdy pokrywa znalazła się już w pozycji pionowej, opuściłam ją wolno na ręcznik.

Przez chwilę leżałam obok w całkowitym bezruchu, nad słuchując uważnie. Żaden niepokojący dźwięk nie dochodził do moich uszu. Księżyc znajdował się w ostatniej fazie, gwiazdy lśniły na czarnej kopule nieba jak kawałki potłuczonego szkła. Zrobiło się chłodno.

Przed zejściem spenetrowałam wnętrze za pomocą latarki. Przede wszystkim rzuciła mi

się w oczy drabina. Powoli zesłam po niej i po chwili znalazłam się na poddaszu, gdzie była zainstalowana aparatura grzewcza i klimatyzacyjna. Z poddasza do głównej części budynku prowadziły schody, wystarczająco szerokie, by można było wnosić różnego rodzaju sprzęt.

Chociaż o tej porze ulice były puste, nie zapalałam świateł w obawie przed przechodniami i sąsiadami. Zdjęłam z głowy chustkę i włożyłam ją do kieszeni spodni. Zaczęłam przetrząsanie pomieszczeń. Rzadko używając latarki ustaliłam, że dwa piętra budynku zajmują pokoje biurowe, większość nie miała żadnego wyposażenia. W jednym z pokoi stało metalowe biurko i komputer marki „Apollo”.

W znajdujących się na parterze pomieszczeniach biurowych Schmidta i Martineza było bardziej luksusowo. Schmidt preferował błyskotliwy styl mediolański, a Martinez ciężki, barokowy styl hiszpański. Ponieważ pokoje pozbawione były okien, mogłam zapalić światło i podziwiać je.

Kolejno otwierałam, a następnie zamykałam szuflady i szafki wypełnione po brzegi papierami. Nie miałam czasu ich przejrzeć. To, czego szukałam, powinno mieć charakter oczywistego, pozostawionego na biurku dokumentu, w rodzaju: „Zabić W. I. Warshawski i jej ciotkę Helenę, podpalając dziś wieczorem Prairie Shores Hotek”.

Gdzieś powinien się znajdować wykaz projektów budowlanych Alma Mejicana. Chociaż przeszłam przez biuro dwukrotnie, nigdzie nie zauważyłam najmniejszego śladu pracy nad nowym projektem. Być może wszystkie projekty zostały zarejestrowane w komputerze, oznaczałoby to jednak, że ilekroć ktoś chciałby sprawdzić bieżące zobowiązania firmy i ustalić, czy można przyjąć nowe, musiałby uruchomić komputer i uzyskiwać wydruk zawierający wykaz realizowanych zadań.

Być może zasięg ich usług był niewielki i zawsze pracowano tu tylko nad jednym projektem. Lecz jeśli tak, to w jaki sposób firma była w stanie otrzymać udział w realizacji kontraktu w Ryan? Nawet jeśli wypożyczała sprzęt od firmy Wunsch and Grasso, nie mogła się angażować w realizację przedsięwzięć na tak dużą skalę, nie dysponując własnymi, poważnymi zasobami materialnymi.

Zaczęłam więc szukać rejestrów. Chociaż nie mogłam wykluczyć, iż zostały zapisane w pamięci komputera, to jednak gdzieś powinien się znajdować podręczny egzemplarz z wyszczególnieniem prowadzonych przez firmę transakcji. Jednak trudno mi było uwierzyć, by właściciele firmy posługiwali się komputerami. Pokój, w którym stał komputer, był prawie pusty, poza metalowym biurkiem nie było tu żadnych mebli ani materiałów, które wskazywałyby, iż jest codziennie użytkowany.

Już około północy udało mi się odnaleźć księgi przedsiębiorstwa w dolnej szufladzie jednej z szaf. Jednocześnie poczułam, że zaczynają mi się zamykać powieki. Wybierając się tutaj zapomniałam o termosie z kawą. Na szczęście znalazłam w kuchence trochę zmielonego ziarna. Korzystając z ekspresu gospodarzy, przyrządziłam filiżankę tego pokrzepiającego napoju. Zabrałam interesujące mnie rejestry do pokoju Luisa i usiadłam za łśniącym, czarnym biurkiem. Po wypiciu zawartości filiżanki poczułam się nie tylko bardziej przytomna, zrobiło mi się też ciepło.

Księgi rejestrów prowadzone były bardzo przejrzysto. Wpłaty wpływały od różnych

właścicieli projektów – na przykład w przypadku Don Ryan – od rządu USA – a wpłat dokonywano za energię, cement i zaspokajanie innych potrzeb przedsiębiorstwa. Odbiorcami największych wypłat byli przede wszystkim Wunsch and Grasso i Farmworks Inc.

Przymknęłam coraz to cięższe powieki, usiłując sobie przypomnieć gdzie i kiedy zetknęłam się już nazwą firmy ostatniej. Gdy się obudziłam, była już trzecia. Kark mi zeszytniał, serce biło nierówno – gdybym tak przespała całą noc, rano zaskoczyliby mnie pracownicy.

Zajrzawszy powtórnie do rejestru, już bez trudu przypominałam sobie, iż nazwę firmy Farmworks Inc spotkałam już wcześniej w rejestrach budowy Rapelec, w nocy poprzedzającej śmierć Cerise. Zaczęłam szukać w szufladach Luisa czystego papieru, a nie znalazłszy, wyrwałam ostatnią, niezapisaną kartkę wykazu. Szybko naniosłam na nią szereg cyfr. Nie byłam pewna, czy to są te cyfry, o które mi chodzi, ale nie miałam już czasu na zastanawianie się.

Odłożyłam księgi do szuflady, umyłam kubek po kawie i udałam się na poddasze, by zasunąć włącz i zabrać ręcznik. Frontowe drzwi można było otworzyć od wewnątrz. Nie potrafiłam ich jednak zamknąć za sobą. Pomyślałam, iż pracownicy będą przekonani, że wychodząc z biura w piątek zostawili je otwarte. A nawet gdyby podejrzewali włamanie, nie mieli na to dowodów. W każdym razie nie miałam ochoty wracać tą samą drogą, którą tu dotarłam.

Wyszłam wprost na Ashland. Zdążyłam odejść od drzwi zaledwie kilka kroków, gdy włączył się alarm. Początkowo miałam zamiar aleją udać się po schodki, ale w tej sytuacji zrezygnowałam z nich oddalając się ulicą szybkim krokiem. Samochód jadący Ashland w kierunku Fortyfifth zwolnił nieco. Sięgnęłam do tylnej kieszeni spodni i nie znalazłam w niej chustki, którą tam włożyłam! Przetrzaśnięłam pozostałe kieszenie i pas – ani śladu. Musiałam ją zgubić gdzieś wewnątrz budynku.

Ręce mi drżały, nogi uginały się, jakby były z gumy. Staralam się iść w sposób naturalny. Nawet jeśli policja lub Luis Schmidt znajdą chustkę, komu przyjdzie do głowy, że należała do mnie? Bobby Mallory nie kontroluje chyba prezentów wręczanych przez żonę przyjaciółom. Jest rzeczą nieprawdopodobną, by zguba mogła posłużyć jako dowód winy.

Rozważania te nie uspokoiły mnie całkowicie, ale powstrzymały od ulegania panice. Kierowca samochodu, który zwolnił, nie zatrzymał się. Prawdopodobnie nie przejmując się zbyt alarmem, doszedł do wniosku, iż nie warto napastować kobiety, wyglądającej tak osobliwie. Szłam prosto przed siebie nie oglądając się. Gdy na rogu ulicy skręciłam w lewo, on nie zmienił kierunku jazdy i pojechał na północ.

W tym momencie przestałam siebie kontrolować i resztę odległości do samochodu pokonałam biegiem. Pojechałam w kierunku Ryan, nie interesując się wcale, czy alarm zwrócił jeszcze czyjaś uwagę.

ROZDZIAŁ 33

Ubieram się do pracy

Jest zawsze wesołą i dobrą siostrą, chociaż ma ręce poparzone – śpiewałam w kąpielni. Był poniedziałek, godzina jedenasta. Przed chwilą wstałam z łóżka w jak najlepszym nastroju i samopoczuciu – zupełnie tak jakbym nie spędziła ubiegłej nocy włamując się do budynku firmy.

W gazetach nie znalazłam żadnej wzmianki o tym wyczynie. Co prawda wszystkie były już w druku, gdy wracałam ze swojej wyprawy, ale nie sądziłam również, żeby alarm w małym przedsiębiorstwie na South Side zasługiwał na uwagę, tym bardziej że nie wyrządziłam żadnych szkód. Panika mnie całkowicie opuściła. I choć pozostawiłam po sobie ślad w postaci tej nieszczęsnej chustki – to przecież podobną można kupić w dziesiątkach irlandzkich sklepów w każdej dzielnicy miasta. Obawy, iż zguba może naprowadzić na mój ślad policję, były zupełnie nieuzasadnione. Jediną rzeczą, której nie powinnam teraz czynić, to dzwonić do Fureya, Finchleya lub któregoś innego znajomego policjanta z prośbą o informację o Alma Mejicana.

Przed wejściem do wanny zdjęłam bandaż z prawej ręki. Pęcherze na lewej popękały. Gdy włożyłam dłoń do wody, poczułam szczypanie. Skóra na prawej ręce wyglądała już niemal normalnie. Jednak nic nie służy tak bardzo szybkiemu powrotowi do zdrowia jak posiadanie właściwych genów. To była dobra robota, Wiktorio, dokonałeś dobrego wyboru spośród rodzicielskich chromosomów.

Chociaż miałam sztywne ramiona i bolącą szyję, czułam się szczęśliwa. „*Muzyka jest głosem miłości*” – śpiewałam mydląc ramiona.

Nie miałam pojęcia, co to za firma Formworks Inc. Nie znalazłam dowodu, iż Luis Schmidt usiłował mnie zamordować. Nie uzyskałam odpowiedzi na pytanie, dlaczego Cerise została zamordowana, a Helena uciekła i ukrywa się gdzieś przestraszona. Mimo to udane włamanie napełniło mnie optymizmem.

Po kąpielni wykonałam codzienną serię ćwiczeń z większą niż wczoraj energią. Założyłam dzinsy i bluzkę i udałam się po psa do mojego staruszka. Tej nocy, gdy wracałam z wyprawy, Peppy przywitała mnie szczekaniem, ale ani pan Contreras, ani „bankier” Vinnie tym razem nie wyjrżeli na klatkę schodową.

Gdy zastukałam, pan Contreras wyjrzał na korytarz i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. Nie próbowałam jednak nic mu wyjaśniać, a tym bardziej chwalić się dokonaniem. Kiedy byłam publicznym obrońcą, sama przestrzegałam klientów przed niepotrzebnym gadulstwem. Najłatwiej wpaść chępiąc się własnymi dokonaniem. Wśród kompanów zawsze znajdzie się ktoś, kto doniesie – i w ten sposób można szybko znaleźć się tam, gdzie wcale nie miało się ochoty.

– Moje dziecko, tak długo spałaś, musiałaś być bardzo zmęczona – powiedział surowo pan Contreras.

– Tak, lecz za to dziś czuję się o wiele lepiej. Chciałam zabrać ze sobą na spacer jej królewską mość. – Wskazałam na moje gojące się ręce i otrzymałam niechętną zgodę na zabranie ze sobą psa. Odmowa byłaby wprost okrucieństwem, biorąc pod uwagę fakt, że Peppy wręcz wychodziła ze skóry, żeby tylko mi towarzyszyć.

Nie miałam dziś ochoty na bieganie. Podwiozłam sukę do jeziora i zaczęłam rzucać kawałki drewna do wody; dla ochrony niewygojonych jeszcze dłoni robiłam to w rękawiczkach. Ponieważ psy myśliwskie dobrze pływają, z największym trudem udało mi się przywołać Peppy do samochodu.

Po powrocie ze spaceru zaparkowałam nieprawidłowo tuż przy hydrancie i odprowadziłam psa panu Contrerasowi. Nie pozwolił się przekonać, że woda w jeziorze nie zaszkodzi Peppy, ale nim zdążył podjąć ze mną spór, pożegnałam go uśmiechem.

– Powie mi pan to wszystko później – zapewniałam go, biegnąc po schodach na górę.

Gdy znalazłam się w domu, wyjęłam z szafki w przedpokoju buty do pieszych wędrówek i wsunęłam pistolet za pas od spodni. Gdy zamykałam frontowe drzwi, zaczął dzwonić telefon, ale już nie wróciłam. Za to sprawdziłam dokładnie zamki – ostatecznie ktoś chciał mnie zabić, nie należy więc samemu wywoływać wilka z lasu.

Pojechałam na Lake Shove Drive. Chociaż trawa w ciągnących się wzdłuż jeziora parkach zbrązowiła już i uschła, łagodne powietrze i połyskująca w słońcu powierzchnia wody nie pozwalały zapomnieć, że lato się jeszcze nie skończyło. Jadąc nuciłam piosenki, których się nauczyłam jeszcze w dzieciństwie.

Podziemne garaże były już zajęte, mimo to nawet konieczność zaparkowania na jednym z płatnych parkingów przy Wobash Avenue nie była w stanie zepsuć mi humoru. Pogwizdywałam pod nosem wchodząc do windy, która miała mnie zawieźć na czwarte piętro.

Administracja budynku nie zwraca uwagi na takie drobiazgi jak właściwe oświetlenie korytarzy. Tylko awaryjne światła palą się po jego obu końcach i muszą wystarczyć przy umieszczaniu klucza w zamku. Przy wysiadaniu z windy zauważyłam jakąś niewyraźną sylwetkę ludzką przy drzwiach mojego biura. Rzadko się zdarzało, by klienci przychodzili do mnie, najczęściej ja do nich chodziłam.

Jeśli ktoś chciał mnie zastrzelić, to miał w tej chwili doskonałą ku temu okazję. Przyszło mi do głowy, że może powinnam wybiec na klatkę schodową i sprowadzić sobie pomoc, ale administrator domu, Tom Czarnik, tylko czekał na taką możliwość, by uznać mnie za kłopotliwego lokatora. Sprowadzenie policji zajęłoby z pewnością tak wiele czasu, iż mój nieoczekiwany gość z pewnością zdążyłby dawno uciec.

Prawda jest taka, moja droga Wiktorio, że nie możesz wzywać pomocy. Ta zimna konkluzja przyszła mi do głowy, gdy skurczona ze strachu dreptałam korytarzem ku swojemu przeznaczeniu. Kiedy w końcu znalazłam się obok stojącej w drzwiach do biura sylwetki, odetchnęłam z głęboką ulgą: czekała na mnie Zerline Ramsay.

– Nie byłam pewna, czy się pani doczekam. Jestem tu już od godziny ósmej. – Było to raczej wyjaśnienie niż pretensja.

– Trochę źle się czułam z samego rana – powiedziałam przekręcając klucz w zamku ręką w rękawiczkach. Drzwi uchylły się opornie – blokowała je nagromadzona przez tydzień poczta.

Podniosłam wszystko z podłogi, przepuszczając przed sobą panią Ramsay.

– Mogła pani zadzwonić do mnie do domu, uprzedzając o wizycie.

W dziennym świetle jej cera wyglądała zdrowiej aniżeli przedtem w szpitalu. Jej surowa gospodyni najwidoczniej dobrze o nią dbała.

– Nie chciałam tego robić, nie wiem, z kim pani mieszka, czy komuś by to nie przeszkadzało. – Usiadła ostrożnie w przeznaczonym dla gości fotelu. – Nie chciałam również, by Maisie słyszała, że z panią rozmawiam.

Rzuciłam pocztę na biurko, siadając na swoim zwykłym miejscu naprzeciw gościa.

– Słyszałam, iż pani ucierpiała podczas pożaru w ubiegłym tygodniu. To było naprzeciw „Indiana Arms”? – Sama przytaknęła sobie skinięciem głowy, a ja czekałam na dalszy ciąg. – Maisie mówi, by panią pozostawić samej sobie – to pani i pani ciotka ściągnęłyście nieszczęście na Cerise.

Nie czułam się ani trochę odpowiedzialna za śmierć Cerise, ale nie widziałam potrzeby podejmowania dyskusji. W każdym razie jeśli chodziło o Helenę, może miała nawet rację.

– Wydaje mi się, iż one uknuły jakiś plan, może chciały upozorować śmierć Katarzyny, by otrzymać rekompensatę za śmierć dziecka od towarzystwa ubezpieczeniowego.

– Być może ma pani rację – westchnęła ciężko. – Oskarżenie pani i jej ciotki o śmierć mojej córki nie umniejsza mojej winy. Była narkomanką, kradła, kłamała i Bóg wie co jeszcze. Łatwiej jest przenosić winę na innych, niż leżąc w łóżku zastanawiać się, czego się nie zrobiło, a co powinno zrobić dla dobra własnego dziecka.

– Helena też nie jest święta – wtrąciłam. – Ale jest siostrą mojego ojca i nie mogę o tym zapomnieć.

– Tak, lecz pani jej nie urodziła. Gdybym nie była zmuszona zawsze tak ciężko pracować, ciągle wychodzić z domu... – przerwała nagle. – Nie ma najmniejszego sensu mówić teraz o tym. Nie po to zresztą przyjechałam tu trzema autobusami. – Po dłuższej chwili milczenia, w czasie której jej mięsiste wargi zwężyły się maksymalnie, odezwała się ważąc słowa: – Nie jest dla pani tajemnicą, że Helena czasem opowiada zmyślane historie. – Czekala na potwierdzenie, zanim zdecydowała się mówić dalej. – A więc ona twierdziła, że na kilka tygodni przed pożarem widziała mężczyznę rozmawiającego z Jimem Tancredi, a tego wieczoru, kiedy spłonął hotel, spostrzegła ich obu rozmawiających ze sobą. – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Pani rozumie, przy naszym trybie życia każda nowa twarz budzi zainteresowanie. Być może pani nie zwróciłaby na to żadnej uwagi, ale ja tak. Wtedy właśnie pani ciotka zobaczyła u mnie moją wnuczkę, podrzuconą mi przez Cerise i Otisa, i zaczęła pouczać, iż dzieciom w hotelu przebywać nie wolno. Chcąc zamknąć jej usta, podarowałam jej butelkę, jednak swoją drogą wolałam przekazać małą Maisie. Przecież nie mogłam być pewna, iż Helena nikomu nic nie powie.

Spojrzała na mnie pytająco, a ja chrząknęłam ze zrozumieniem; zbyt dobrze znałam ciotkę, żeby jej bronić.

– Czy mówiła coś o wyglądzie mężczyzny, na którego zwróciła uwagę? Był czarny, biały, młody czy stary?

Pokręciła głową z namysłem.

– Był biały, jestem tego pewna. Zapamiętałam sobie, że powiedziała o nim, iż miał piękne oczy – nie sędzę – by to określenie mogła odnieść do czarnego mężczyzny.

To była bardzo ważna wskazówka, aczkolwiek Helena chętnie szafowała tym określeniem w odniesieniu do mężczyzn poniżej osiemdziesiątego roku życia. Użyła go również w mojej obecności wobec „bankiera” w noc pożaru „Indiana Arms”, gdy wyszedł na klatkę schodową, by wszcząć ze mną awanturę.

To wspomnienie nagle skojarzyło mi się z twarzą, którą dostrzegłam wśród tłumu gapiów podczas pożaru „Prairie Shores Motel”. Niesiona na noszach przez sanitariuszy na chwilę otworzyłam oczy i dostrzegłam wpatrzony we mnie oczy. Był to ulotny, krótki jak błysk fleszu moment, który jednak utkwiał w mej pamięci.

Powoli wróciłam do rzeczywistości. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie podjąć natychmiastowego śledztwa przeciw Vinniemu – rychło się jednak rozmyśliłam: nie wiedziałam nawet, w jakim banku pracuje.

– Czy pani czuje się dobrze? – zapytała Zerline.

– Doskonale. Myślę, iż być może wiem, o kim mówiła Helena. Czyżby ciotka ukryła przede mną, że już wcześniej widziała Vinniego? Przecież nie zrobiła najmniejszej aluzji. Co prawda wtedy chodziło jej przede wszystkim o możliwość pozostania u mnie. Później, gdy przyszła z Cerise, rozmawialiśmy o sprawie dziecka. Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie podzieliła się ze mną żadnym podejrzeniem.

– Helena znów zniknęła – powiedziałam nagle. – Opuściła szpital w sobotę rano. Otrzymała silny cios w głowę i nie powinna jeszcze wychodzić ze względu na zły stan zdrowia.

– W telewizji o niej nic nie mówiono, tylko o pani i o tym, że pani ocalała życie swojej ciotce. Byłam pewna, iż chodziło o Helenę. Jednak nie przyszłam tu dzisiaj z jej powodu, chociaż jej współczuję. Nie jest złym człowiekiem, tak jak nie była zła Cerise. Po prostu obie były słabe.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Gdy się upewniłam, iż nie ma mi już nic do powiedzenia, zaproponowałam, że mogę ją podrzucić do domu.

– Uhm. Gdybym się pojawiła na swojej ulicy w samochodzie białej kobiety, wszyscy by donieśli o tym Maisie. Nie, wolę wrócić do domu tak, jak tu przyjechałam. Nie szkodzi, że aż trzema autobusami. Mam teraz dość wolnego czasu.

Po wyjściu Zerline początkowy przypływ podniecenia, który mnie ogarnął na myśl, iż Vinnie może być podpalaczem, stopniowo ustąpił wraz z dobrym, towarzyszącym mi od rana nastrojem. Trudno mieć dobry nastrój, mając świadomość warunków życia Zerline czy też Heleny. Również im więcej myślałam o Vinniem jako podpalaczu, tym mniej przypuszczenie to wydawało mi się prawdopodobne. Wręcz niemożliwy wydawał mi się zbieg okoliczności, zgodnie z którym najpierw miałby zostać moim sąsiadem, a następnie podpalaczem hotelu – miejsca zakwaterowania mojej ciotki. Oczywiście nawet piromani muszą gdzieś mieszkać, a Vinnie nie mógł wiedzieć, iż podpala hotel, w którym mieszka moja ciotka – ta właśnie okoliczność może wyjaśnić jego irytację, gdy został wyrwany ze snu tuż po dokonaniu przestępstwa.

Na próżno szukałam jakiegoś rozwiązania dręczącej mnie zagadki. W końcu postanowiłam dać jej spokój i zająć się pocztą. Dwa czeki, kilka rachunków, garść kart z pozdrowieniami od klientów, trochę pisemek. Szybko posegregowałam całą korespondencję. Rachunki mogą poczekać, natomiast z pieniędzy, które wpłynęły, pokryję wydatki dzisiejszego popołudnia.

Po wyjściu z biura zatrzymałam się przy automacie na pieniądze i wyciągnęłam parę setek. Tak uzbrojona udałam się na Van Buren w poszukiwaniu sklepu z roboczą odzieżą. Systematyczny rozwój Loop stopniowo doprowadził do usunięcia stąd drobnego handlu, miejsce którego zajął wielki biznes. Kiedyś pełno było drobnych przedsiębiorstw handlowych i usługowych. Można się było tu zaopatrzyć we wszystko: w nadwyżki towarów wojskowych, wszelkiego rodzaju żelastwo i wiele innych. Ostatnio jednak tylko peepshowy i sklepy z alkoholem nie ustępowały terenu nowemu, choć wszystko wskazywało na to, że i one muszą stąd odejść.

Musiałam przejść około kilometra, zanim znalazłam to, czego szukałam. Kupiłam kask ochronny, kombinezon roboczy i rękawice. Jak na kobietę jestem dość wysoka i z powodzeniem mieszczę się w przeciętny strój roboczy.

Wszystko, co kupiłam, wyglądało na zbyt nowe, by przekonać kogokolwiek, iż ma do czynienia z sezonowym robotnikiem budowlanym. W biurze rozłożyłam kombinezon na podłodze i przejechałam się po nim kilkakrotnie w fotelu. Po tym zabiegu wciąż wyglądał na nowy, ale był zakurzony.

W sekretarzyku trzymałam komplet narzędzi, którego rzadko używałam. Ponieważ Tom Czarnik chciał pozbyć się wszystkich lokatorów kobiet – nie mnie tylko, przyswoiłam sobie podstawowe umiejętności hydraulika. Metalowym kluczem kilkakrotnie uderzyłam w kask, wyglądał wciąż zbyt dobrze, więc wykonałam na nim jeszcze kilka artystycznych wkłnięć i zadrapań.

Po tych zabiegach postarzających moje dzisiejsze nabytki naciągnęłam kombinezon na dzinsy, schowałam pistolet do najgłębszej kieszeni i zabrałam narzędzia wyjęte ze skrytki, które miały dodać autentyczności mojemu wyglądowi, pozorowanemu na robotnika. Zawartość ręcznej torebki rozmieściłam po różnych kieszeniach i kieszonkach i wyłączyłam światło. Buty turystyczne zostawiłam w samochodzie. Miałam zamiar założyć je dopiero po dotarciu do Ryan – były zbyt ciężkie, żeby w nich prowadzić samochód. Z kaskiem pod pachą wymaszerowałam z pokoju. W chwili przekręcania klucza w zamku, usłyszałam, że dzwoni telefon na moim biurku, ale już się nie wracałam.

Winda, z którą już wcześniej miewałam kłopoty, tym razem całkiem odmówiła posłuszeństwa. Ze zwieszoną głową zesłam w dół po schodach.

ROZDZIAŁ 34

Groźny telefon

Włożyłam buty i ruszyłam wzdłuż rampy, którą w ubiegłym tygodniu przemierzałam w pantofelkach. Odpowiedni strój na budowie znaczy bardzo wiele – szybko i w dobrej formie dotarłam do końca rampy. Na ubraną w kombinezon i kask osobę nikt nie zwrócił uwagi.

Prędko przekonałam się, iż zbyteczne były moje obawy odnośnie ubioru. Szybko pokryła go gruba warstwa pyłu i nie odróżniał się od innych. By chronić od pyłu i kurzu oczy włożyłam słoneczne okulary, niestety nie byłam w stanie ochronić nimi płuc. Urywany kaszel niewątpliwie dodawał mi autentyczności. Brakowało mi tylko barwnej chustki pod szyją, którą każdej chwili mogłabym nasunąć na usta przy pracy z młotem pneumatycznym.

W rzeczywistości zapomniałam jeszcze o karcie związkowej. Pomijając to, iż mogłam być rozpoznana przez personel zatrudniony w przyczepie, nie mogłam rozpytywać o Alnę Mejjicana bez okazania karty, świadczącej o przynależności do ich bractwa. Nie pozostało mi nic innego jak tylko maszerując do przodu, wypatrywać czerwono-zielonych barw firmy Wunsch and Grasso.

Byłam dziś silniejsza niż dwa dni temu, lecz im dłużej maszerowałam, tym bardziej topniał mój początkowy zapał do realizacji tego pomysłu. Ponadto uświadomiłam sobie, że jak każdy pracownik budowlany powinnam mieć umocowany do pasa pojemnik z wodą. Dziś było nieco chłodniej niż w dni poprzednie, ale marsz w ciężkim kombinezonie, z pełnym wyposażeniem w tumanach kurzu był dla mnie trudnym doświadczeniem. Rześki początkowo krok stawał się stopniowo coraz bardziej powolny.

Woskowe kulki do zatykania uszu też by się przydały. Hałas był tu wszędzie ogłuszający. Huk młotów pneumatycznych, zgrzyt i łomot potężnych spycharek i koparek, ryk ciężarówek z cementem, krzyki i głosy robotników – wszystko to składało się na jakiś piekielny koncert. Tylko niewielu robotników nosiło woskowe kulki – większość najwidoczniej wołała ogłuchnąć, niż wykazać się niemęskim brakiem odporności.

Szłam w kierunku południowym, zachodnią stroną drogi. Na moje niewyszkolone oko znajdowałam się w najbardziej skomplikowanym miejscu budowy – tu układano cały nowy pas ruchu, który miał połączyć południe miasta z ulicą Eisenhowera. Uważnie spenetrowałam wzrokiem tę część budowy, by następnie bacznie śledzić ruch na pozostałych czterech pasach, wypatrując sprzętu oznakowanego przez firmę Wunsch and Grasso.

Jednak dopiero w sektorze I-55 dostrzegłam ich sprzęt po mojej stronie magistrali. Usadowiwszy się na żelaznej barierze, rozglądałam się po okolicy. W niewielkiej ode mnie odległości zauważyłam pół tuzina maszyn i jakieś dwadzieścia, a może trzydzieści osób należących do zatrudnionego przy nich personelu Alma Mejjicana.

Nie zajmowali się wylewaniem betonu. Przygotowywali łożysko jezdni za pomocą olbrzymich walców, ugniatających tłuczeń. Po nich przetaczała się inna, wygładzająca powierzchnię maszyna. Kilku robotników chodziło wzdłuż jezdni z kilofami i łopatami

korygując wszelkie usterki na obrzeżach, paru innych stało obok, obserwując przebieg robót.

Mimo iż praca zespołu odbywała się przy użyciu nowoczesnych maszyn, pod jednym względem nawiązywała do epok poprzednich: nikt spośród członków zespołu nie był czarny i nikt nie wyglądał na Hiszpana. Większość noszonych przez członków zespołu kasków miała barwy Wunsch and Grasso. Można posługiwać się sprzętem wypożyczonym od innej firmy, ale kaski nawet niewielkie przedsiębiorstwo powinno mieć własne.

Zeskoczyłam z bariery, na której siedziałam, i podeszłam do jednego z nadzorujących przebieg robót. W pobliżu pracujących walców hałas był tak intensywny, iż niełatwo mi przyszło zwrócić na siebie jego uwagę.

Gdy w końcu mi się to udało, wrzasnęłam z całej siły do jego ucha:

– Czy Luis Schmidt jest dzisiaj na miejscu?

– Kto taki? – odkrzyknął.

– Luis Schmidt!

– Nie znam takiego.

Odwrócił się w stronę drogi i zaczął dawać sygnały jednemu z robotników. Sądziłam, że ma zamiar powiedzieć mi coś więcej, a on ograniczył się tylko do przekazania robotnikowi jakiejś wskazówki. Po chwili trąciłam go w ramię.

Odwrócił się do mnie z niecierpliwością.

– Pani wciąż jeszcze tutaj?

– Czy to jest stanowisko pracy Alma Mejicana?

Wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wskazując ręką na pracujące maszyny, zapytał:

– A, według pani, co to jest?

– Myślę, iż pan reprezentuje firmę Alma Mejicana, która wypożycza sprzęt od firmy Wunsch and Grasso.

Sądząc po minie, chciał mi powiedzieć coś złośliwego, ale podszedł drugi robotnik nadzorujący roboty.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał spokojnym głosem, wykonując przy tym energiczny ruch ręką.

– Szukam zespołu Alma Mejicana! – krzyknęłam. – Powiedziano mi, iż oni pracują sprzętem Wunsch and Grasso.

Drugi mężczyzna odciągnął pierwszego na stronę. Przez chwilę prowadzili między sobą ożywioną rozmowę, której nie mogłam usłyszeć, ale która, sądząc po gestykulacji, dotyczyła zarówno budowanej magistrali, jak i mojej osoby. W końcu pierwszy z mężczyzn odszedł dziesięć metrów dalej wzdłuż magistrali, a drugi podszedł do mnie.

– Rudi jest tu nowym pracownikiem. Zespół to są ludzie z Alma Mejicana, a sprzęt i brygadziści – z Grasso. On tego nie wiedział. O co pani chodzi?

Przybliżył swoją ogorzałą twarz do mojej, tak bym lepiej mogła go słyszeć. Być może mam zbyt wybujałą wyobraźnię, ale odniosłam wrażenie, że jego pokryta pyłem twarz wyglądała w tym momencie groźnie.

– Szukam Luisa Schmidta – powtórzyłam.

– Nie ma go tutaj. Mogę mu przekazać wiadomość.

Potrząsnęłam głową.

– Chodzi mi o kontakt osobisty.

– Dziś go tutaj nie będzie. Ani jutro też. Jeśli więc pani ma dla niego jakąś ważną wiadomość, proszę mi ją przekazać. Jeśli nie, to proszę się stąd wynosić. – Spojrzał na dwóch robotników z kilofami i skinął głową w ich kierunku. Gdy się zbliżyli, powiedział: – Ta dama znalazła się tutaj przez pomyłkę. Proszę dopilnować, aby się stąd oddaliła.

Uniosłam do góry ręce w pojednawczym geście.

– W porządku, proszę pana, sama stąd odejdę, bez eskorty. Jeśli znalazłam tu drogę, to trafię również z powrotem.

Oddalałam się czym prędzej na północ. Robotnicy z kilofami maszerowali obok mnie w milczeniu. Byłam trochę przestraszona, lecz pocieszałam się myślą, iż w obecności dwóch tysięcy świadków nikt mi chyba nie będzie chciał wyrządzić krzywdy.

Po przejściu około kilometra, gdy obawiałam się już, iż mogę paść z wysiłku, jaki włożyłam w ten forsowny marsz, moi towarzysze doszli najwidoczniej do wniosku, że wypełnili zadanie. Jeden z nich szturchnął mnie z rozbawieniem w bok kilofem. Drugi powiedział, że chyba czegoś się nauczyłam, bo jeśli nie, to jeśli wrócę tutaj, może mnie powitać kilof.

Skinęłam głową bez jednego słowa i zesłam na bok z magistrali, by odpocząć na znajdującym się obok wzniesieniu. Leżałam tam pewnie z pół godziny, wdychając zapyłone powietrze.

Nie wiedzieli, kim jestem. W przeciwnym razie łatwo mogliby upozorować wypadek za pomocą jednej z tych potwornych machin. Potraktowali mnie jak ewentualnego natręta. A co by było, gdybym była z policji federalnej? Czy ten drugi brygadzysta zachowałby się równie obcesowo? Łapówkarstwo na szeroką skalę nie opanowało jeszcze urzędników federalnych, ale Roz, być może, przy pomocy Bootsa ma inne sposoby obrony interesów swojego kuzyna.

Z miejsca, gdzie odpoczywałam, doskonale widać było dominującą na horyzoncie Sears Tower. Zachodzące słońce odbijało się krwawym blaskiem w oknach wieży. Było już zbyt późno, by jechać do Daley Center i dowiedzieć się czegoś więcej o Farmworks Inc.

Leżałam przyglądając się, jak światło w oknach wieży powoli przybiera barwy pomarańczowe.

W końcu podniosłam się z ziemi i zaczęłam długą wędrówkę do samochodu. Nogi uginały się pod mną – zbyt wiele wysiłku, jak na jeden dzień, włożyłam w tę wyprawę. Nie mówiąc o przeżyciach związanych z marszem w przymusowym towarzystwie.

Na budowie przygotowywano się do przejścia zmian. Nocna zmiana nie zdążyła jeszcze objąć stanowiska. Tempo pracy w zespołach zdawało się słabnąć. Tu i ówdzie przystawały grupki mężczyzn prowadzących między sobą ożywioną rozmowę, śmiejących się i gaszących pragnienie napojami.

Nim dotarłam do samochodu, upłynęło pół godziny. Większość zaparkowanych tam wozów zdążyła już odjechać. Pod wrażeniem przeżytej przygody i ze zmęczenia zaczęłam dygotać.

Była piąta trzydzieści, kiedy znalazłam się w samochodzie, starannie zamykając za sobą

drzwi. Zamiast wjechać na autostradę i przyłączyć się do strumienia pędzących aut, zawróciłam w kierunku Halsted. Nikt tutaj nie wiedział, kim jestem, ale wolałam nie zdejmować kasku.

Znalazłszy się w domu, jeszcze w przedpokoju ściągnęłam z siebie kombinezon, zerwałam kask i udałam się do łazienki. Chciało mi się spać, lecz miałam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Miałam nadzieję, iż dłuższa kąpiel zastąpi mi kilka godzin snu. Ta metoda zdawała egzamin, gdy byłam młodsza, ale teraz, kiedy przybliżała się czterdziestka, pozostały mi tylko złudzenia.

Dieta węglowodanowa to był drugi sposób na zmęczenie. Chociaż w domu nie miałam ani owoców, ani mięsa, w lodówce znalazłam jeszcze cebulę, czosnek i pastę owocową. Coś podobnego mama podawała w soboty na kolację, chociaż ojciec, który nie ośmielił się nigdy jej przeciwstawić, w głębi duszy marzył zawsze o kurczaku i knedlach ze śliwkami.

W kredensie odkryłam jeszcze puszkę z pomidorami. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ją kupiłam i dlatego długo studiowałam etykietkę, zastanawiając się, czy zawartość nadaje się jeszcze do spożycia. Otworzyłam puszkę i powąchałam. W jaki sposób sprawdzić, czy produkt nie zawiera jadu kiełbasianego? Wzruszyłam ramionami i wymieszałam zawartość z cebulą. Byłoby zabawne, gdyby się okazało, iż uniknęłam śmierci z rąk morderców tylko po to, by umrzeć we własnej kuchni, spożywszy zatruty produkt.

W rzeczywistości kąpiel i kolacja poprawiły moje samopoczucie, chociaż nie w takim stopniu, w jakim sprawiłby to sen, ale wystarczająco, bym była w stanie jeszcze coś załatwić. Nawet pogwizdywałam sobie pod nosem ubierając się do wyjścia.

Moja jedyna czarna letnia sukienka jest przyozdobiona z przodu dużymi srebrnymi guzikami. Gdy włożyłam czarne pończochy i pantofelki, wyglądało, jakbym wybierała się do teatru, a nie na pogrzeb. Pomyślałam, iż białe pończochy niewiele by zmieniły.

Kiedy szukałam w książce telefonicznej Domu Pogrzebowego Callehan, zadzwonił telefon. To Terry Finchley z policji kryminalnej.

– Pani Warshawski? Już od kilku dni usiłuję nawiązać z panią kontakt. Czy odebrała pani wiadomość ode mnie?

Nagle uświadomiłam sobie, iż od kilku dni nie sprawdzałam automatycznej sekretarki.

– Przepraszam pana bardzo. O co chodzi? Ma pan może nowe dowody na to, że ponoszę odpowiedzialność za podpalenie „Indiana Arms” i „Prairie Shores”?

Westchnął głęboko.

– Niech pani nie utrudnia i tak już niełatwego życia. Dobrze, Wik?

– Dobrze, dobrze – zgodziłam się wspaniałomyślnie. – Czemu zawdzięczam przyjemność rozmowy z panem?

– Ja... relacjonowałam szefowi naszą rozmowę z udziałem porucznika Montgomery’ego.

– Tak, doskonale pamiętam tę osobliwą rozmowę. – Usiadłam na brzegu pianina z książką telefoniczną na kolanach.

– On, to jest porucznik Mallory, był bardzo zaskoczony, iż Montgomery zasugerował taką opinię, wiążąc panią z ostatnimi podpaleniami. Odbił nawet rozmowę z Montgomerym. Myślę, że pani z przyjemnością dowie się, iż prawdopodobnie nie będzie pani miała z nim

więcej do czynienia.

– Dziękuję panu. – Rzeczywiście ten telefon sprawił mi wielką przyjemność zarówno ze względu na zaangażowanie Bobby’ego, jak również, że Finchley mnie o tym powiadomił. To wymagało od niego pewnej odwagi.

– W porządku, na przyszłość proszę sprawdzać automatyczną sekretarkę i nie kazać tak długo czekać na odpowiedź. Do zobaczenia w sobotę.

Sobota. Ach tak, sześćdziesiąte urodziny Bobby’ego. Jeszcze jedno zadanie – zakup prezentu. Przetarłam zmęczone oczy i zmusiłam się do dalszych poszukiwań w książce telefonicznej adresu Domu Pogrzebowego Callahan. Mając adres, zajrzałam do planu miasta. Droga wiodła autostradą nieomal do samego celu.

Sprawdzałam zawartość torebki przed wyjściem, gdy telefon zadzwonił ponownie. Miałam zamiar nie podnieść słuchawki, lecz pomyślałam, że być może dzwoni ktoś, kto już od trzech dni czeka na moją odpowiedź.

– Pani Warshawski? Cieszę się, iż panią zastałem.

– Pan MacDonald! – Aż usiadłam z wrażenia. – Co za niespodzianka! Bardzo przepraszam, iż nie wysłałam panu podziękowania za piękne kwiaty, ale moja rekonwalescencja nieco się przedłużyła.

– Ja nie w tej sprawie, młoda damo. Słyszałem, że ledwo wstała pani z łóżka szpitalnego, a już harcuje po mieście, wścibiając nos w nie swoje sprawy.

– O jakie sprawy panu chodzi, „panie starszy?” – Bardzo nie lubię określenia „młoda damo” w odniesieniu do swojej osoby.

– Sądziłem, iż się porozumieliśmy co do tego, że pani zostawi w spokoju Roz Fuentes.

Położyłam słuchawkę na kolanach i zaczęłam się zastanawiać. Czy chodzi mu o moją wyprawę do biur Alma Mejicana? Przecież nie powinien o tym wiedzieć – jedynym śladem mogła być ta nieszczęsna chustka, którą tam zgubiłam, lecz ja jej nigdy przedtem nie miałam na sobie. Wobec tego raczej ma na myśli wycieczkę na teren budowy Dan Ryan. Co go łączyło z Alma Mejicana, że tak szybko się o tym dowiedział?

– Czy pani jest przy aparacie? – doszedł do mnie jego głos ze słuchawki.

Podniosłam ją do ucha.

– Tak, jestem przy aparacie, ale nie rozumiem, o co chodzi. Nie wiem, co takiego zrobiłam, czym mogłabym zaszkodzić Roz. Nie wiem także, czemu pan jest w stosunku do niej taki opiekuńczy.

Roześmiał się cicho.

– Dalej, dalej – pani Warshawski. Jak pani zauważyła, nie można włóczyć się po placu budowy, nie będąc widzianą. Plac budowy jest niewielką, zamkniętą społecznością, a informacje rozchodzą się szybko. Roz czuje się dotknięta, iż pani za jej plecami penetruje interesy jej kuzyna. Nadmieniła o tym Bootsowi, a on prosił mnie, bym porozmawiał z panią.

– Tak więc całe to draństwo dzieje się na zlecenie Bootsa? Czy pan również dla niego pracuje? A ja myślałam, że to pan ma go w swojej kieszeni razem z całym okręgiem.

– O jakim draństwie pani mówi? – zareagował ostro.

Machnęłam wolną ręką.

– Och, o podpaleniach, morderstwach, próbach morderstw i tym podobnych. Boots wydaje polecenie: „Idź i załatw tę narkomankę”, a pan odpowiada: „Zrobione, panie przewodniczący Meagher”. I to pan szuka kogoś do wykonania zadania? Czy taka jest kolejność rzeczy?

– To, co pani powiedziała, mogłoby świadczyć o odwadze, gdyby nie było śmieszne. Z Bootsem łączy mnie wieloletnia przyjaźń. Wspólnie realizowaliśmy wiele przedsięwzięć. Od szeregu lat prasa prowadzi oszczerczą kampanię przeciwko nam i naszym wzajemnym stosunkom. Jak widzę, pani też udzielił się ton tej kampanii. Pani mnie rozczerowała, Wik. Sądziłem, iż jest pani rozsądną młodą kobietą.

– Dziękuję panu za szczerość, panie Ralph. A czy to może pan zarządził ten pożar, w którym omal nie zginęłam? Czy to może była pańska i Bootsa reakcja na urażenie uczuć Roz; moim wtykaniem nosa w cudze sprawy?

Oddech jego w słuchawce przeszedł w głośny szept.

– Zasłużyła sobie pani na to, choćby ze względu na ten reportaż o pożarze zamieszczony w *Star*, który – jestem tego pewien – zawdzięczamy pani. Jeśli w ten sposób traktuje pani innych ludzi w tym mieście, wcale mnie nie dziwi, że ktoś próbował panią załatwić.

– Ralph, to brzmi jak groźba pod moim adresem. Jest pan pewien, absolutnie pewien, iż to nie pan zlecił to podpalenie w ubiegłym tygodniu?

– Mogę przysiąc – powiedział stanowczo. – Gdybym jednak był panią, uważałbym na każdy swój krok, młoda damo. Miała pani dużo szczęścia, że wyszła cało z tej opresji, prawda?

– Nie, nie szczęściu przypisuję ocalenie, stary koźle – wrzeszczałam wściekle do słuchawki, starając się ukryć ogarniający mnie strach. – Ocalenie zawdzięczam przede wszystkim sobie. Może pan powiedzieć Roz i Bootsowi i komukolwiek ma pan ochotę, iż polegam najbardziej na swoim własnym rozsądku, nie na szczęściu i że nie dam się zastraszyć.

– Warszawski, sądzę, że sama pani nie wie, co robi. Bierze pani na siebie odpowiedzialność za spowodowanie dużego zamieszania, jeśli nie zaprzestanie grzebać w sprawach, które nie powinny panią obchodzić. – Mówił szorstkim, stanowczym tonem, jak zwierzchnik do podwładnego.

– Czy mam w tej chwili zaszutować i zawołać: „Tak jest, panie M. ?” Z tym, o czym już wiem, w każdej chwili mogę się zwrócić do prasy. Jeśli nawet ja nie wiem, co robię, to oni mają środki na to, żeby się sprawie przyjrzeć bliżej. – Nie wspomniałam mu, iż w Alma Mejciana nie dostrzegłam żadnego kolorowego robotnika – mogliby zatrudnić parę dziesiątków, nim Murray zrobiłby zdjęcia.

Tym razem MacDonald milczał przez chwilę – tego najwidoczniej nie przewidział w swoim scenariuszu przed telefonem do mnie:

– A może pani byłaby skłonna zmienić zdanie? Czego pani sobie życzy?

– W każdym razie nie chodzi mi o pieniądze, o tym mogę pana solennie zapewnić. – Ani o nowy samochód, mimo złowieszczych odgłosów wydawanych przez silnik mojego starego chevroleta. – Interesuje mnie tylko jedno: dlaczego tak nerwowo reagujecie na wszystko, co

dotyczy związków Roz z Alną? Chcę zostać przekonana, iż nie mam racji i niesłusznie podejrzewam was o popełnianie przestępstw.

Nastąpiła kolejna dłuższa pauza, po czym usłyszałam głos MacDonalda:

– To się da załatwić. Proszę tylko nie chodzić do gazet, zanim nie porozmawiamy.

Zacisnęłam zęby.

– Dziękuję panu, macie na to jeden dzień. Potem umowa będzie nieaktualna.

– Podobnie jak pani nie lubię pogroźek – odchrząknął trochę śmiesznie. – I nie mam zamiaru nadmiernie się śpieszyć, by zastosować się za wszelką cenę do pani terminu. Proszę czekać, aż będę pani miał coś do powiedzenia. A jeśli pani sądzi, że może udać się do swych przyjaciół w *Star* czy w *Tribune* ze świętym oburzeniem, proszę pamiętać, że obaj wydawcy są moimi bliskimi przyjaciółmi. Już najwyższy czas, by ktoś w tym mieście zdobył się na odwagę i wystąpił przeciw pani.

– I właśnie pan jest tym człowiekiem, który jest do tego najbardziej powołany. Być może jest już najwyższy czas, żeby ktoś pana pouczył, iż jeśli nawet panu udaje się rządzić na Michigan Avenue, to wcale nie oznacza, że do pana należy cały świat. – Po tych słowach rzuciłam słuchawkę z trzaskiem na aparat.

ROZDZIAŁ 35

Córki w domu pogrzebowym

Telefon od MacDonalda pod jednym względem odegrał pozytywną rolę – podniósł poziom adrenaliny w moim organizmie. Jadąc do Belmont czułam się naładowana energią.

Było już po ósmej. Wrześniowe niebo zupełnie pociemniało. Powiało chłodem. Powinnam była założyć na siebie zakiet, ale zdenerwowana rozmową z MacDonaldem, nie pomyślałam o tym wychodząc z domu. Powinnam również mieć ze sobą pistolet, chociaż nie należało przypuszczać, iż Vinnie będzie mnie śledził po to, żeby zastawić na mnie zasadzkę.

Drogę do domu pogrzebowego pokonałam w ciągu pół godziny. Był to mały, kamienny budynek, oznaczony dyskretnym symbolem. Na parkingu obok stało już kilka samochodów. Podeszłam szybko do frontowego wejścia w obawie, żeby go nie zamknięto dokładnie o dziewiątej.

Drzwi zamknęły się za mną lekko poskrzypując. Weszłam do niewielkiego holu, w którym była szatnia. Dalej drzwi prowadziły do większej sali recepcyjnej, wyłożonej grubym dywanem koloru lila. Na ciemnych ścianach wisiały święte obrazy, malowane w stylu późnowiktoriańskim. Spostrzegłam, iż poruszam się na palcach, chociaż moje pantofle nie wydawały najmniejszego odgłosu na grubym dywanie. Nikt nie wyszedł na moje spotkanie, ale chyba nikt nie zauważył mojego wejścia.

Przy końcu sali na ścianie wisiała za szkłem mała kartka informująca, że uroczystość pogrzebowa pani Donnelly odbędzie się w kaplicy C. Wzdłuż prowadzącego na prawo korytarza widać było szereg pomieszczeń – nie sprawdzając wiszących na drzwiach tabliczek, skierowałam kroki wprost do jasno oświetlonego.

Tuż przy samym wejściu siedziały na krzesłach gromadka kobiet, prowadziły między sobą przyciszoną rozmowę, spoglądając od czasu do czasu w kierunku stojącej pod przeciwległą ścianą otwartej trumny. Obrzuciły mnie zaciekawionymi spojrzeniami, stwierdziwszy jednak, iż mnie nie znają, wróciły do prowadzonej rozmowy. Wśród obecnych rozpoznałam – dzięki zdjęciu otrzymanemu od pana Seligmana – obie córki pani Donnelly, lecz nie wiedziałam, która jest Shannon, a która Star.

Jakiś mężczyzna przybliżył się do mnie.

– Czy pani przyszła oddać cześć zmarłej?

Był niewysoki, a sądząc po niewielkiej okrągłej łysinie mógł mieć około pięćdziesiątki. Z bliska jednak wyglądał na młodszego ode mnie. Skinęłam głową twierdząco, poprowadził mnie więc do trumny. Zmarła ubrana była w biały dwuczęściowy kostium z gustownym wzorem w kolorze zielonym i niebieskim. Twarz pokrywał staranny makijaż, dzięki któremu wyglądała, jakby była żywa. Zwykle ubranie zwłok nieuwzględniające biustonosza i majtek pozbawia je w pewnym stopniu ludzkiej godności, a makijaż z cieniami na powiekach i kreskami ołówka przedłużającymi brwi i rzęsy upodabnia twarz nieboszczyków do chińskich lalek.

Pochyliłam głowę, co towarzyszący mi mężczyzna odczytał jako wyraz szacunku dla zmarłej. Poprowadził mnie na zaplecze i spytał, czy zechcę się wpisać do rejestru gości. W tym momencie jedna z córek pani Donnelly opuściła gromadkę kobiet i podeszła do mnie, by się przywitać.

– Czy pani знаła naszą mamę? – zapytała miękkim głosem, charakterystycznym dla mieszkańców okolic Chicago.

– To była znajomość zawarta podczas załatwiania interesów. Mówiła mi wiele o pani i pani siostrze – bardzo z was była dumna. Znam również Barbarę Feldman.

– Och, córkę wuja Saula. – Jej niebieskie oczy, lekko wypukłe jak u matki, wyrażały najwyższe zainteresowanie. – Była od nas o wiele starsza, więc nie bawiła się z nami. Lepiej znałyśmy Connie.

Druga z siostrz zbliżyła się do nas. Nawet wtedy, gdy stały razem przy mnie, nie potrafiłam rozstrzygnąć, która z nich jest starsza. W wieku lat trzydziestu jeden rok lub dwa więcej nie mają takiego wpływu na wygląd kobiety.

Wyciągnęłam rękę na powitanie:

– Jestem Wiktoria Warshawski, przyjaciółka matki. Potrząsnęła moją dłońią nie przedstawiając się. Niestety, jak widać, młodsza generacja nie ma najlepszych manier.

– Ta pani zna także wuja Saula, Star.

Tak więc problem został rozwiązany – moją rozmówczynią była starsza córka, Shannon.

– Wiem, iż pani matka chciała panią zatrudnić w biurze pana Seligmana. Czy teraz, kiedy odeszła, pani zajęłaby chętnie jej miejsce?

Powinam była powiedzieć: nie żyje, lecz większość ludzi nie lubi używać tego wyrażenia. Siostry wymieniły między sobą spojrzenia, częściowo rozbawione, częściowo porozumiewawcze.

– Wuj Saul był dla nas bardzo dobry – wyznała Shannon – fale ostatnio jego interesy nie wyglądały najlepiej. Matka wciąż pracowała w jego biurze tylko ze względu na wielką życzliwość do jego osoby. Nawet dla niej brakowało w biurze roboty. Wciąż dręczyło mnie pytanie, dlaczego pani Donnelly sprzeciwiała się tak bardzo temu, by pokazać zdjęcia jej córek komukolwiek, kto był związany z pożarem „Indiana Arms”. Nie mogłam zapytać wprost, czy znają Vinniego Bottone’a lub czy wiedzą coś o podpaleniu. Spróbowałam zapuścić sondę.

– Ale dzięki matce panie interesują się nieruchomościami, jeśli dobrze rozumiem?

– Czy pani jest kupcem? – zapytała Shannon. – Czy z tego powodu poznała pani matkę?

– Raczej sprzedawcą – odparłam. – Czy pani nie pracuje może w firmie zainteresowanej kupnem?

– Ja nie, ale Star – tak.

Oczy Star ożywiły się nagle.

– W rzeczywistości nie pracuję w firmie uprawiającej handel nieruchomościami. Pracuję w towarzystwie akcyjnym.

– Czy w Farmworks Inc? – zapytałam niby przypadkowo.

Star spojrzała na mnie z otwartymi ustami.

– Matka rzeczywiście musiała panią lubić, jeśli pani o tym powiedziała, ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wymieniała pani nazwisko.

– Słowa są ulotne – zauważyłam. – To poprzez panią Farmworks trafił do Seligmana?

– Myślę, iż nie wypada rozmawiać o interesach w obecności zmarłej. – Star spojrzała w kierunku otwartej trumny. – Jeśli ma pani ochotę porozmawiać o interesach, proszę przyjść do biura, lecz nie sędzę, byśmy wiedziały o czymś, co panią może zainteresować.

– Dziękuję bardzo. – Wymieniłam uściski dłoni z obiema siostrami. – Bardzo jest mi przykro z powodu matki pań. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli bym mogła w czymkolwiek pomóc.

Po pożegnaniu sióstr opuściłam kaplicę, oczekując oznak konsternacji z ich strony, lecz one natychmiast powróciły do kręgu swoich znajomych. Kiedy przemierzałam grubo lila dywan w kierunku wyjścia, łysy mężczyzna zatrzymał mnie.

– Pani nie wpisała się jeszcze do rejestru obecnych, a rodzina zmarłej chciałaby wiedzieć, kto wziął udział w uroczystości pogrzebowej.

Wzięłam z jego ręki podsuwane mi pióro. W przyływie złości napisałam szerokim charakterem pisma: V. Bottone. Mężczyzna podziękował mi łagodnym, poważnym głosem. Zostawiłam go stojącego pod obrazem przedstawiającym Pietę.

Około dziesiątej znalazłam się pod swoim domem. Jadąc z szybkością powyżej osiemdziesięciu kilometrów, nie miałam kłopotów z chevroletem – być może te zgrzyty w silniku to nic poważnego.

W saloniku Vinniego paliło się jeszcze światło, jednak było już zbyt późno na sąsiedzkie wizyty. Wbiegłam na górę i szybko przebrałam się w dzinsy. Przed wyjściem pomyślałam jeszcze o pistolecie. Jeśli Vinnie jest rzeczywiście piromanem, lepiej rozmawiać z nim będąc uzbrojoną. Wsunęłam broń za pas spodni – w ten sposób poczułam się przygotowana do tej trudnej z nim rozmowy.

Gdy znalazłam się już pod jego drzwiami, poczułam lekką zadyszkę, ale na szczęście Vinnie potrzebował kilku minut, by zareagować na moje pukanie i otworzyć drzwi. Już miałam zamiar skorzystać z dzwonka na zewnątrz klatki schodowej, kiedy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Był ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, dzinsy i sandały – nigdy nie mogłam go sobie wyobrazić w takim wygodnym domowym stroju.

Kiedy mnie ujrzał, jego okrągła twarz wydłużyła się ze zdziwienia, odmalował się na niej wyraz niechęci.

– Jak dotąd sądziłem, iż pani lubi mnie niepokoić tylko późną nocą. Jeśli pani chciałaby mi teraz sprzedać coca-colę lub chipsy, to proszę przyjąć do wiadomości, że nie jestem tym zainteresowany.

– Ja kupuję, nie sprzedaję – odparłam, wsuwając prawą stopę między drzwi i futrynę, by nie mógł mi zatrzasać drzwi przed nosem. – A pan ma mi coś do powiedzenia, chyba że pan woli rozmawiać z policją.

– Nie wiem, o czym pani mówi – odparł ze złością.

Z saloniku rozległ się głos mężczyzny pytający, kto przyszedł.

– Jeśli pan nie życzy sobie, by pański przyjaciel słyszał naszą rozmowę, proszę wstąpić

do mnie – zaproponowałam. – Mam zamiar tak długo nie dawać panu spokoju, dopóki mi pan nie wyjaśni, co pan robił pod „Prairie Shores Hotels” w ubiegłą środę.

Usiłował zamknąć drzwi przyciskając moją stopę. Popchnęłam drzwi mocniej i wśliznęłam się do przedpokoju. Oczy Vinniego miały błyskawice wściekłości.

– Proszę się wynosić z mojego domu, inaczej wezwę policję! Wysoki, młody mężczyzna wyszedł z saloniku i stanął tuż za Vinniem. Był to ten sam facet, którego już widziałam wychodzącego z Bottonem z RX7 tydzień temu.

– Jestem Warshawski – przedstawiłam się, wyciągając dłoń do uścisku. – Mieszkam dwa piętra wyżej, ale nie mam przyjemności znać bliżej pana Bottone’a – mamy zupełnie inny rozkład dnia.

– Nie rozmawiaj z nią, Rick – uprzedził go Vinnie. – Wdarła się do mieszkania nieproszona i musi się stąd wynieść. To jest kobieta, która załatwia swoje interesy o trzeciej nad ranem na klatce schodowej.

Rik spojrział na mnie z zainteresowaniem.

– Och! Jest więc...

Vinnie przerwał mu gwałtownie.

– Nie mam pojęcia, o co jej chodzi, ale jeśli natychmiast stąd nie wyjdzie, proszę, wezwij policję.

– Proszę to zrobić – powiedziałam. – Tylko obowiązkowo proszę dzwonić do Komendy Okręgowej, a nie do miejscowego komisariatu. Chciałabym, by kilka osób obecnych przy pożarze „Prairie Shores” przyszło tutaj i dokonało identyfikacji. Pański przyjaciel Vinnie był tam wtedy i chcę, żeby go ktoś rozpoznał.

– Proszę nie zmyślać bzdur! – krzyknął Vinnie. Wiedziałałam, że trafiłam, chociaż dostrzegłam, że zamiast gniewu na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie. Postanowiłam blefować dalej.

– Chciałabym również, by jego głos porównano z nagrany na taśmie głosem informującym o pożarze.

– Pani beczelnie kłamie – bronił się. – Takich telefonów policja nie nagrywa.

– Zapewniam pana, że nagrywa. Powinien pan być lepiej poznać obyczaje policji, nim wszedł pan na drogę przestępstwa. To pan zmusił moją ciotkę, by zadzwoniła do mnie, następnie uderzył ją pan w tył głowy i czekał na moje przybycie, a gdy jej nie mogłam dostrzec, zawołał na mnie w ciemnościach.

– Nie!

– Niech pan nie kłamie, Vinnie, spostrzegłam pana wśród gapiów w czasie pożaru. Policja ma zarejestrowany pański głos na taśmie. Helena pana poznała. Uciekła i obecnie ukryła się, ale opisała pana swojej przyjaciółce, gdy spostrzegła, że pan się kręci wokół „Indiana Arms”.

– Nie mam pojęcia, kim jest Helena! – wrzasnął.

– Widzisz, Vinnie, sądzę, że powinieneś pani powiedzieć wszystko, wyjaśnić – powiedział Rick spoglądając na mnie. – Vinnie uważa, że pani mu uprzykrza życie. Jeśli oboje chcecie być dobrymi sąsiadami, najlepiej zrobicie oczyszczając między sobą atmosferę.

– Po czyjej ty jesteś stronie? – zapytał Vinnie, lecz nie protestował, kiedy przyjaciel wziął go za ramię i poprowadził do saloniku.

Poszłam za nimi. Jego mieszkanie było dokładnie kopią mojego, jeśli chodzi o rozkład i wielkość pomieszczeń, ale zupełnie inne, jeśli chodzi o urządzenie wnętrza i styl. Salonik był w różnych odcieniach bieli. Długą ścianę wzdłuż klatki schodowej pokrywały abstrakcyjne wzory w kolorach zielonym i niebieskim – to zresztą jedyne akcenty kolorystyczne w tym pokoju. Półka na książki i stolik do kawy były z czystego szkła.

Usiadłam ostrożnie w jednym z głębokich foteli z nadzieją, iż moje dzinsy nie pozostawią na nim żadnych śladów. Vinnie usiadł jak mógł najdalej ode mnie, na stojącym w pobliżu okna krześle, Rick oparł się o ścianę obok przyjaciela.

– Słucham pana wyjaśnień – zachęciłam.

Gdy Vinnie nie zdradzał najmniejszej ochoty do mówienia, odezwał się Rick.

– Było to tydzień temu, prawda? Właśnie spaliśmy razem... – przerwał na chwilę i popatrzył na mnie ostrożnie, oczekując mojej gwałtownej reakcji na tę rewelację. Kiedy stwierdził, że przyjął ją spokojnie, kontynuował swą opowieść.

– Szczekanie psa obudziło nas, gdy pani wychodziła, sypialnię mamy tuż obok przedpokoju. Przez okno dostrzegliśmy, iż wsiada pani do samochodu. Vinnie oświadczył, że tym razem obudziła go pani w środku nocy po raz ostatni. Jego zdaniem, załatwia pani jakieś ciemne interesy, przekupuje policjantów. On ma zamiar śledzić panią, złapać na gorącym uczynku i zawiadomić policję, by panią przymknięto. – Przechylił głowę nieco na bok. – Tak dla zaspokojenia mojej ciekawości: czym pani się zajmuje? Nie wygląda pani na handlarza narkotyków ani na alfonsa.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

– Jestem prywatnym detektywem, ale obudziłam sąsiada nie z powodów zawodowych. Ciotka moja w wyniku pożaru straciła dach nad głową i kilkakrotnie niepokoiła mnie późną nocą. Reakcja sąsiada na jej wizytę była tak gwałtowna, że nie mogłam nawet otworzyć ust, żeby cokolwiek wyjaśnić... Ale co zrobiliście?

– Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy za panią.

Rick zachowywał się swobodnie i naturalnie; zastanawiałam się, co on takiego widział w Vinniem. Nie była to zresztą pierwsza źle dobrana para, jaką spotkałam. Wróciłam pamięcią do tamtej nocy, gdy ostrożnie włamywałam się do „Prairie Shores Hotel”. Nie zauważyłam, że ktoś mnie śledzi.

– Czekaliśmy na Cermak – powiedział Rick. Ani ja, ani on nie zwracaliśmy uwagi na Vinniego, który siedział skulony na krześle. – Gdyby pani rzeczywiście miała spotkać się z handlarzem narkotyków, nie chciałem przy tej okazji oberwać. A to była najbardziej ciemna ulica, jaką kiedykolwiek widziałem. Przemierzaliśmy Cermak kilka razy w jedną i drugą stronę; widzieliśmy, jak pani zniknęła wewnątrz budynku. Jeździliśmy więc po ulicy, obserwując budynek. Gdzieś po dwudziestu minutach zaczął płonąć, ze środka wybiegł jakiś mężczyzna. To nas bardzo zaniepokoiło, więc postanowiliśmy zadzwonić na 911. Czy to prawda, iż oni nagrywają na taśmę wszystkie telefony?

Skinęłam głową potwierdzająco. Oczywiście, mogli wymyślić tę historyjkę na mój

użytek, lecz wyczuwałam w niej jądro prawdy. Vinnie siedział cały czas nadąsany. Szczegóły opowieści wyglądały autentycznie.

– Czy potrafiłby pan opisać tego mężczyznę, który wybiegł z płonącego budynku?

Rick przecząco poruszył głową.

– Było ciemno i miał na sobie czarne ubranie. Odniosłem wrażenie, że był w skórzanej kurtce. Ale nie jestem tego pewien, byłem zbyt zdenerwowany, żeby zwrócić uwagę na szczegóły. Sądzę, iż był to biały mężczyzna, przez chwilę widziałem odbicie światła lampy ulicznej na jego twarzy.

– Tak więc przyglądaliście się pożarowi w oczekiwaniu na akcję straży pożarnej.

Rick wyglądał na zawstydzonego.

– Wiem, powinniśmy pośpieszyć pani na ratunek, lecz nie byliśmy pewni, czy to nie pani podłożyła ogień. Poza tym i pani mogła jakoś wydostać się z budynku niespostrzeżona przez nas. Ogień rozprzestrzenił się szybko.

– Dzięki benzynie – stwierdziłam. – Lecz Helena wyznała komuś, iż widziała mężczyznę, który podpalił „Indiana Arms”. Miał ponoć przepiękne oczy. To samo rzekła, gdy zobaczyła Vinniego tej nocy, gdy spłonął „Indiana Arms”. Myślałam, że być może go rozpoznała i teraz szantażuje.

Mój głos się załamał, gdy Rick wybuchnął śmiechem.

– Trudno o bardziej absurdalną sytuację, Vinnie. Posłuchaj tylko: gdy ty sądziłeś, że jesteś na tropie handlarki narkotykami, ona ścigała cię jako piromana. Sądzę, że możecie podać sobie dłonie i wypić kieliszek za zdrowie.

Vinnie nie zdradzał żadnej ochoty do pojednania, ja również nie miałam nastroju. Rick wyszedł do kuchni i wrócił z butelką Georges Gouleta. Byłoby niegrzecznie nie wypić przynajmniej jednego kieliszka. W rezultacie Rick i ja wypiliśmy butelkę do dna i jeszcze trochę z drugiej. Nadąsany Vinnie tymczasem podreptał do łóżka.

ROZDZIAŁ 36

Poszukiwanie skarbu

Nie pamiętam, kiedy wróciłam do siebie. Gdy po dziesięciu godzinach snu obudziłam się wreszcie, miałam wrażenie, jakby ktoś w mojej głowie uruchomił huczącą maszynę. Gdy próbowałam wstać, świat zawirował wokół mnie. Nawet gdybym wczorajszego wieczora nic nie wypila, po wędrówce wzdłuż placu budowy Ryan czułabym się paskudnie. Ręce tak mnie bolały, jakbym całą noc pracowała przy tarczowej pile – chętnie przespałabym następne dwanaście godzin. Powlokłam się do kuchni w poszukiwaniu soku pomarańczowego. Moja służba – niestety nie zdążyła jeszcze uzupełnić zapasów. Zastanawiałam się, czy nie wyjść do sklepu. Lecz na samą myśl, że znajdę się w upalnym słońcu, poczułam się tak słaba, iż musiałam na chwilę przysiąść. Poczawszy się lepiej, poszłam do łazienki, łyknęłam cztery pastylki tylenolu, popijając je czterema szklankami zimnej wody. Następnie wzięłam gorącą kąpiel, tak gorącą, jaką mogłam tylko wytrzymać, i chwiejnym krokiem wróciłam do łóżka. Gdy się obudziłam, było już po dwunastej. Nie byłam gotowa do biegu na milę, ale mogłam się ubrać i wyjść po zakupy do sklepu spożywczego. Kiedy człowiek czuje się tak podle, wskazana jest terapia z piaskiem. Zapukałam do pana Contrerasa, by zabrać ze sobą Peppy.

– Wyglądasz okropnie, moje dziecko. Może źle się czujesz? – Miał na sobie jaskrawoczerwoną, rażącą oczy koszulę.

– Czuję się strasznie, ale chyba zaraz będzie lepiej. Chciałabym wziąć ze sobą Peppy na krótki spacer.

W jego wypłowiałych piwnych oczach dostrzegłam zatroskanie. – Czy jesteś pewna, że powinnaś wstawać z łóżka? Może położysz się z powrotem, a ja przygotuję ci coś do zjedzenia? Za wcześnie wyszłaś ze szpitala. Nie wiem, co powiedziałyby doktor Lotty, gdy zobaczyła cię w takim stanie.

Zachwiałam się lekko, chwytając za klamkę. Peppy zaczęła lizać moje palce.

– Ona mówi, iż mam za swoje. To jest po prostu kac.

– Kac? – Pokręcił głową ze zdziwieniem. – Ach tak, wypilaś za dużo. Nie rób tego więcej, dziecino. Nie tędy prowadzi droga do rozwiązania twoich problemów.

– Nie, oczywiście, że nie. Nikt tego nie wie lepiej niż pan. Rychło przyprowadzę Peppy z powrotem.

Chwiejąc się niepewnie na nogach, musiałam wysłuchać jego pouczeń, że co innego, jeśli chłopak wypije kilka kieliszków w męskim towarzystwie, a co innego, jeśli dziewczyna topi swoje żale w alkoholu. Powinnam pamiętać, że alkohol szkodzi mojej kondycji. Peppy wyglądała na wyjątkowo znudzoną tym wykładem moralnym i niezadowoloną, iż nie wychodzimy jeszcze na spacer. Na ulicy co chwila spoglądała na mnie i w kierunku wschodnim, jakby chcąc dać mi do zrozumienia, że tamtędy wiedzie nasza droga.

Kiedy w końcu przekonała się, że żywi próżne nadzieje, jeśli idzie o dłuższą wędrówkę, przyjęła to ze spokojem, jak prawdziwa lady. Poczekała na mnie przed sklepem, gdy robiłam

zakupy, a w powrotnej drodze biegła kilkanaście metrów przede mną, by co chwilę zawracać i sprawdzać, czy się zbytnio nie oddaliła. Gdy już znalazłyśmy się u mnie w mieszkaniu, usadowiła się w kuchni między szafką a stołem. Drepcząc półprzymknięta nadeptywałam na jej ogon, lecz ona nie ruszyła się z miejsca w nadziei, iż w każdej chwili może spaść ze stołu jakiś smaczny kąsek.

Wycisnęłam trochę soku pomarańczowego i usmażyłam hamburgery – dla niej bez ryżu i sałaty. Jedzenie poprawiło moje samopoczucie do tego stopnia, iż gotowa byłam do podjęcia działań.

Chciałam się udać do Urzędu Rejestracyjnego Akt Notarialnych i odszukać Farmworks; gdyby to nie była spółka, musiałabym pojechać do Springfield i sprawdzić, czy nie są stowarzyszeniem. Przyszła mi jednak do głowy jeszcze jedna możliwość – komputerowy system Lexis. Jeśli ma się uczynnego znajomego, który jest jego abonentem, można się dowiedzieć, kto w stanie Illinois znajduje się w rejestrze osób prowadzących działalność gospodarczą.

Postanowiłam najpierw przygotować się odpowiednio do wizyty w Urzędzie Rejestracyjnym. Zadzwoiłam do Freemana Cartera, mojego adwokata, trochę zaprzyjaźnionego, od którego co prawda niczego nie mogłam dostać za darmo, ale to było lepsze niż jazda do Springfield.

Freeman ucieszył się, że mnie słyszy – wiedział o niebezpiecznej przygodzie, którą mogłam przypłacić życiem. Czekał na poprawę stanu mojego zdrowia, by nawiązać ze mną kontakt i dowiedzieć się, czy mam zamiar podjąć jakieś kroki na drodze prawnej przeciwko komukolwiek.

– Masz na myśli wystąpienie przeciw klanowi morderców? – zapytałam. – Chcesz ich skarżyć o próbę pozbawienia mnie życia?

– Coś w tym rodzaju – roześmiał się. – Jak się czujesz?

– Jestem na nogach już od wczoraj, ale wydaje mi się, że przeceniłam swoje siły. Dzisiaj chcę odpocząć. Zastanawiałam się, czy nie mógłbyś czegoś dla mnie zrobić.

– Nie wykluczam, jeśli mieści się to w moich kompetencjach określonych przez prawo.

– Czy kiedykolwiek prosiłam cię, byś zrobił dla mnie coś sprzecznego z prawem? – zażądałam wyjaśnień.

Odpowiedział szybciej, niż przypuszczałam:

– Kiedyś poprosiłaś mnie, żebym ci dostarczył szczegółowych informacji o finansach jednego z klientów. To było nie tylko bezprawne, lecz również nieetyczne. Innym razem chciałaś, bym zdobył dla ciebie nakaz ubezwłasnowolnienia dla Dicka i byłaś strasznie oburzona, kiedy ci odmówiłem. A dwanaście miesięcy temu...

– Dobrze już, dobrze – przerwałam mu pośpiesznie. – Wszystkie te sprawy załatwiłabym sama, gdybym tylko mogła. Wymień coś nielegalnego, czego bym sama nie zrobiła.

– Nie mam tak bujnej wyobraźni, w każdym razie nikomu nie przekazałabyś informacji o swoim zaufanym kliencie. Prawdopodobnie nawet mnie. Czy masz jeszcze pytania do mnie?

– Chodzi o pewne informacje z systemu Lexis. – Peppy porzuciła już nadzieję na następnego hamburgera i z nudów zaczęła obwąchiwać pokój badając, kto u mnie był od

czasu jej ostatniej wizyty.

– Czyżbyś jeszcze nie miała komputera? Chryste, Wik, przecież mamy już lata osiemdziesiąte.

– Wiem – odpowiedziałam. – I nadrobię swoje zacofanie, gdy tylko dostanę cztery tysiące dolarów, których nie będę musiała przeznaczyć na ubezpieczenie ani na czynsz. Ponadto potrzebny jest mi nowy samochód – mój chowolet ma już 140 tysięcy kilometrów na liczniku i strasznie hałasuje przy szybszej jeździe.

– Więc unikaj dużych szybkości – poradził niezbyt uprzejmie. – Jakich informacji potrzebujesz z Lexis? Dotyczących urzędników tej korporacji? Podyktuj mi, a już się biorę do roboty. Dziś po południu lub jutro rano zadzwoni do ciebie jeden z aplikantów. A teraz wypij rosół z kurczaka i śpij dobrze.

Zachęta do spania nie była pozbawiona sensu, lecz przede wszystkim musiałam przesłuchać automatyczną sekretarkę. Dzwonili Lotty i Furey. Robin usiłował skontaktować się ze mną wielokrotnie.

Być może Michael dowiedział się czegoś o mojej ciotce. Zadzwoniłam do obu komisariatów i do jego domu. Nie zastawszy go, zostawiłam wiadomość automatycznej sekretarce.

Podeszłam do okna i popatrzyłam na swój samochód. Właściwie chodziło mi przede wszystkim o ciotkę. Kiedy opuszczała szpital, stan jej zdrowia był kiepski. Ilekroć dzwonił telefon, lękałam się, iż usłyszę o niej jakieś złe wieści.

Jeśli jeszcze żyje, to z pewnością potrzebuje pomocy i opieki. Mogłabym jeszcze raz zwrócić się do Piotra z prośbą o pomoc dla niej, lecz nie wierzyłam, że cokolwiek wskóram. A skąd bym wzięła pieniądze na opłacenie za nią opieki?

– Lepiej nie rób mi teraz żadnych kawałów – ostrzegłam samochód – w najbliższej przyszłości musimy sobie radzić sami.

Mogłabym zadzwonić do Robina, być może miłość już wygasła, ale nadal możemy być przyjaciółmi – dobrze by było, gdyby Ajax został na stałe moim klientem.

Robin był na zebraniu. Uprzejma jak zwykle sekretarka obiecała przekazać mu ode mnie wiadomość. Mimo woli zabawiałam się sznurem od zasłon okiennych. A tak naprawdę, to powinnam zadzwonić do Murraya z informacją, że wśród zatrudnionych robotników w Alma nie ma ani jednego Hiszpana czy Murzyna, chociaż firma otrzymała udział w realizacji kontraktu Ryan jako firma zatrudniająca mniejszości narodowe. MacDonald obiecał mi więcej szczegółów o Alma i Roz, sądziłam więc, iż mogę jeszcze jeden dzień poczekać. Dłuższe oczekiwanie nie jest w moim stylu. Dlaczego wobec tego w tym przypadku przejawiam tyle cierpliwości?

– Starzejesz się, Wik – powiedziałam do swojego odbicia w szybie. – Dawniej nie bałaś się ludzi. Czy to może telefon MacDonalda obudził w tobie lęk? Czy przygoda w płonącym hotelu?

Jeśli chodzi o rozmowę z MacDonaldem, nie mam żadnego powodu podejrzewać go o zamach na moje życie. Może z wyjątkiem tej osobliwej karty załączonej do kwiatów.

Obok Peppy skomlała bez przerwy. Pociągnęłam niecierpliwie za sznur od zasłon,

następnie ściągnęłam je z powrotem. Spojrzałam na psa, usiłując zrozumieć, o co mi chodzi. Peppy podczołgała się do mnie, trąciła łapą moją nogę, następnie wróciwszy do sofy, położyła się na obu łapach i zaczęła skomleć, kręcąc ogonem.

– O co ci chodzi, księżniczko? – spytałam. – O piłkę tenisową?

Położywszy się na brzuchu, zajrzałam pod sofę, ale niczego nie dostrzegłam. Peppy nie ustępowała. Mimo zapewnień, iż tam niczego nie ma, w dalszym ciągu skomlała natarczywie. Zabawa mogła trwać jeszcze długo. Ustałam i zaczęłam poszukiwać latarki.

Przypomniałam sobie, że powinna być razem z innymi narzędziami, które miałam ze sobą podczas wyprawy. Peppy wciąż usiłowała dostać się pod sofę. Miałam nadzieję, że nie widzi tam martwego lub – co gorsza – żywego szczura. Jeszcze raz położyłam się na brzuchu, początkowo niczego nie dostrzegłam – w każdym razie nie zobaczyłam wlepionych we mnie czerwonych szurzych ślepi. Za to nagle ujrzałam jakiś połyskujący przedmiot poza zasięgiem mojej ręki.

– No tak, znalazłaś coś, ale żeby to dostać, należy odsunąć sofę – rzekłam do Peppy.

Gdy odsunęłam mebel od ściany, zaczęła się kręcić w kółko wokół tajemniczego przedmiotu, po czym chwyciwszy go w zęby podrzucała do góry, a w końcu położyła u mych stóp.

– Dziękuję ci, księżniczko – pochwaliłam ją, głaszcząc po pyszczku. – Wiedziałaś, iż rzecz warta była zachodu.

Istotnie – w rękę trzymałam złotą bransoletkę. Dość ciężka sztuka, a sądząc po wielkości i wzorze – męska. Przesunawszy sofę z powrotem do ściany, usiadłam, by się dokładniej przyjrzeć temu trofeum. Między ogniwami bransolety umieszczono dwa ametysty. Na odwrotnej stronie nic nie było wygrawerowane.

Przekładałam bransoletę z ręki do ręki, była dziwnie znajoma, ale nie mogłam jej skojarzyć z żadnym mężczyzną, który mnie ostatnio odwiedzał. Robin był w sobotę, lecz nie zbliżał się do sofy. Terry Finchley i Roland Montgomery siedzieli na niej, przeprowadzając to niefortunne śledztwo w sprawie podpalenia „Prairie Shores Hotel”. Nie mogłam sobie wyobrazić, w jaki sposób – jeśli któryś z nich dwu ją zgubił – znalazła się głęboko pod sofą zamiast wylądować na poduszkach. Niemniej jednak nic się nie stanie, gdy zapytam Finchleya.

Najłatwiej mogła się tam dostać w czasie, gdy jej właściciel spał na sofie. Moi goście, nocując u mnie, zdejmowali przed snem często zegarki i pierścionki, kładąc je na podłodze; zdarzało się, że zapominali je z powrotem założyć. Ostatnio nocowały Cerise i Helena; czyżby do którejś z nich należała ta bransoletka? Helena mogła ją komuś ukraść, by za pieniądze uzyskane ze sprzedaży kupić alkohol. Cerise mogła ją dostać od przyjaciela. Pamiętam, że podczas moich studiów dziewczęta często nosiły męskie ozdoby.

Może powinnam wybrać się na Laundale i pokazać je Zerline, a nie Terry’emu Finchleyowi. Lecz czy Zerline będzie ją w stanie rozpoznać? Zwłaszcza jeśli przy niej będzie Maisie, w obecności której boi się otworzyć usta.

Czułam się już lepiej, ale nie na tyle, by mieć bliżej do czynienia z Maisie. Tym bardziej że bransoletka nie była dla mnie w tym momencie najważniejszą sprawą. Włożyłam ją do

kieszeni dzinsów i spojrzałam na Peppy.

– Ostatnio źle cię traktowałam. Chciałabyś teraz pobiec nad jezioro, nieprawdaż?
Szczęśliwa, pomerdała ogonem.

ROZDZIAŁ 37

Polowanie na króliki

Szłam odprężona plażą, od czasu do czasu rzucając na wodę kawałki drewna. Zbliżał się październik. Dla mnie woda w jeziorze była już zbyt zimna, ale Peppy wciąż jeszcze korzystała z rozkoszy kąpieli.

Wędrowałam wzdłuż skalistego cypla, wbijającego się w jezioro. Kiedy przysiadłam na chwilę, by spokojnie popatrzeć na wodę, Peppy natychmiast wbiegła między skały w poszukiwaniu królików. Czasami udawało jej się wytropić między głazami te miłe zwierzątka, które na jej widok uciekały w popłochu do swoich norek.

Gładka tafla wody miała srebrzysty połysk o niespotykanym latem odcieniu. Obserwując jezioro można było określić porę roku, nawet jeśli w otoczeniu nie sposób było dostrzec jeszcze żadnych innych zmian. Gdy jezioro jest spokojne, jego wody nęcą łagodną obietnicą snu, tak jakby nie kryły w sobie niebezpiecznych chłodnych głębin.

Szczególnie obawiałam się własnej bezsilności i takich sytuacji, w których zabrakłoby mi jakiegokolwiek drogowskazu. Stan, w jakim się znalazłam w ciągu ostatnich kilku dni, przypominał człowieka stojącego na skraju pomostu, ogarniętego lękiem przed skokiem w dół.

Niepotrzebnie chyba wciąż oczekuję na telefon od MacDonalda. Nie jestem nawet pewna, czy nie postępuję tak ze strachu przed nim. Być może jestem już zmęczona ucieczkami ciotki i pragnę zachować trochę energii dla załatwienia własnych spraw. Powinnam przezwyciężyć ten stan i więcej uwagi poświęcić problemom Heleny.

To źle, że sprawę jej odszukania pozostawiłam niemal całkowicie w rękach Fureya. Mogłabym się wybrać do Zerline i zapytać, czy nie podejrzewa, gdzie Helena może się ukrywać. Jednak wobec takiej perspektywy opadały mi ręce.

Muszę wpaść do komendy okręgowej i zapytać Finchleya, czy nie widział u kogoś wcześniej tej bransolety i przy okazji zapytać o Helenę.

Jeśli nic o niej nie wiedzą, sama od jutra zorganizuję poszukiwania. Być może zadzwonię do Braci Ulicznych z prośbą o pomoc. Spotkam się też z Roz – już najwyższy czas, by wyjaśnić sobie rolę MacDonalda, niezależnie od tego, czy ma z pożarem coś wspólnego, czy też nie. Chyba jednak ma coś na sumieniu, a ja zbyt długo pozostawiam go w spokoju.

Zerwałam się na nogi i zawołałam psa. Peppy dotarła do mnie w trzech susach i zaczęła się łaścić. Gdy spostrzegła, że wracamy do samochodu, spuściła ogon między nogi i powlokła się za mną.

Również chevrolet nie zdradzał ochoty do powrotu, chociaż przed wyjazdem uzupełniłam olej i mądrym wzrokiem przyjrzałam się przewodom elektrycznym i alternatorowi: poruszał się ociężale. Jutro będę musiała odprowadzić samochód do warsztatu. Najtrudniej będzie o pieniądze na opłacenie mechanika i wynajęcie innego wozu na okres remontu.

– Ciągnij do przodu, u licha – rozkazałam silnikowi.

Tego popołudnia samochód osiągał najwyżej pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Musiałam kluczyć bocznymi ulicami, denerwując jadących za mną kierowców. Dotarcie do komendy zajęło mi przeszło pół godziny.

– Zatrzymałam się tutaj, ponieważ później mogłabym nie zastać Finchleya – wyjaśniłam Peppy, by nie podejrzewała mnie o tchórzostwo. – Bynajmniej nie rezygnuję ze spotkania z Roz.

Weszłam do komendy od strony State Street. Gdybym chciała dostać się głównym wejściem, musiałabym podać wartownikowi cel wizyty. Wejście od State Street też jest strzeżone, lecz tutaj nie sprawdzano mnie tak dokładnie, zwłaszcza iż wartownik znał mojego ojca.

– Byłem jeszcze wtedy gówniarzem, a pani ojciec troszczył się bardzo o ludzi młodych. Zawsze o tym pamiętam i próbuję postępować podobnie, kiedy przychodzą do nas nowi chłopcy. No i dziewczyny, oczywiście. Pani jednak pewnie chce dostać się do porucznika, a nie tracić czas na wspominki. Wie pani, gdzie urzęduje?

– Oczywiście, byłam tu już setki razy. Nie potrzebuje pan dzwonić.

Jednostka Bobby'ego zajmowała południowe skrzydło budynku, na trzecim piętrze. Pokój, do którego weszłam, był podzielony niewysokim przepierzeniem na dwie części: większą zajmowali policjanci umundurowani, w mniejszej za ciasno ustawionymi biurkami siedzieli policjanci w cywilu. Bobby urzędował w niewielkim pokoju w południowowschodnim rogu budynku.

Terry Finchley kończył właśnie raport, stukając na maszynie niemal tak starej jak moja. Umundurowana policjantka Mary Luise Neely siedziała na skraju jego biurka, coś mu opowiadając. Maszyna do pisania stukała tak głośno, że nie zwrócili nawet uwagi na moje wejście. Przy większości biurk nie było nikogo. Druga zmiana przejmowała dyżur o czwartej, więc przydział zadań został już dokonany.

W świecie przestępczym, o piątej po południu niewiele się dzieje, dlatego policjanci o tej porze również pracują na zwolnionych obrotach. Drzwi do pokoju Bobby'ego były zamknięte, co z pewnością znaczyło, że poszedł do domu.

Nelly opowiadała o wydarzeniach ubiegłej nocy, opisując wnętrze ściganego samochodu, nie byłam jednak w stanie zrozumieć, co bardziej ją ekscytowało – czarne skórzane obicie siedzenia, czy trzy kilogramy kokainy, którą pod nimi znalazła. Zazwyczaj sztywna i nieprzystępna, tym razem śmiała się i gestykulowała z wypiekami na bladej twarzy.

– Witajcie! – zawołałam. – Przepraszam, że przeszkadzam.

Ręka Finchleya zawisała nad maszyną.

– Witaj, Wik. Szukasz Michaela? Nie ma go w tej chwili. Policjantka Neely powróciła natychmiast do sztywnej, urzędowej pozy i mrużąc coś pod nosem, oddaliła się do swego biurka po przeciwnej stronie pokoju.

– Chciałam go zapytać, czy nie wpadł na ślad mojej ciotki. Jak ci wiadomo, przepadła jakieś cztery dni temu. Dzwonił do mnie pod moją nieobecność, więc wpadłam, by się z nim zobaczyć.

– Nie wiedziałem, że ci ciotka zginęła. Porucznik musiał dać zlecenie, gdy mnie nie było

na miejscu. – Gestem ręki zaprosił mnie, bym usiadła na metalowym krześle przy jego biurku.

– Usiądź, proszę. Napijesz się może kawy?

Wzdrygnęłam się.

– Mój żołądek jest mało odporny na szatana, jakiego tu pijecie. Usiadłam na krześle. – Nigdy przedtem nie widziałam pani Neely w tak dobrym nastroju. Żałuję, że wam przerwałam.

Policjantka siedziała przy swej maszynie, wystukując precyzyjnie jakiś tekst, wyprostowana jak na defiladzie.

– Jest pierwszą kobietą zatrudnioną w naszej jednostce – wyjaśnił. – Wiesz, jak to bywa. Chyba się boi, byś nie doniosła porucznikowi, że potrafi zachować się swobodnie będąc na służbie.

– Ja?! – zawołałam oburzona.

Finchley uśmiechnął się krzywo.

– Dobrze, być może obawia się być sympatyczna dla ciebie, by porucznik nie pomyślał, żeś ją przekupiła. Bardziej odpowiada ci ta wersja?

– Oczywiście – stwierdziłam i wyjęłam bransoletkę z kieszeni, pokazując ją Finchleyowi.

– Znalazłam ją pod sofą u siebie – wyjaśniłam. – Ostatnio siedzieliście na niej ty i Montgomery: czy przypadkiem któryś z was jej nie zgubił?

Finchley obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem.

– To nie moje. Nie lubię tego rodzaju ozdób u mężczyzn. I chyba nie jest to również w guście Montgomery’ego. – Spojrzał na mnie badawczo. – Mogę go zresztą o to zapytać, jeśli ci na tym zależy.

Zawahałam się. Nie miałam ochoty przyznać się, iż nie cierpię porucznika Monty’ego. Z drugiej jednak strony, przecież nie muszę dowodzić nikomu, że nie jestem tchórzem, więc wyraziłam zgodę.

Finchley przesunął w palcach ogniwa bransolety.

– Wiesz, to wygląda rzeczywiście na... ugryzł się w język. – Popytam wśród kolegów.

– Czy nie wystarczyłby ci tylko jej opis? Bransoletka może należeć do zmarłej dziewczyny, której rodzinę pomogłeś mi odnaleźć w ubiegłym tygodniu. Chcę ją pokazać matce dziewczyny jutro rano.

– Czy nie jesteś przypadkiem nadmiernie skrupulatna? Powinnaś wynająć kogoś, by wykonał za ciebie trochę roboty.

– Masz chyba rację. – Ruchem ręki wskazałam na wyprostowane plecy Neely. – Być może powinnam z nią porozmawiać. Nie mogę płacić zbyt wiele, ale zawsze byłoby to ciekawsze zajęcie od pisania raportów.

– Wiesz co, jeśli nie potrzebujesz raportów, to zacznij ode mnie – zaproponował. – Zapisał liczbę ametystów i zwrócił mi bransoletę. – Zapytam Monty’ego i zadzwonię do ciebie jutro, jeśli mi nic nie przeszkodzi. – Zadzwonił stojący na biurku aparat. – Przepraszam cię, Wik.

– Dziękuję, Terry. Czy będę mogła przed wyjściem skorzystać z twojego telefonu?

Podniósł słuchawkę aparatu i wskazał mi ręką na sąsiednie biurko. Połączyłam się ze

swoją automatyczną sekretarką.

Z biura mojego prawnika dzwoniła do mnie Lucy Mott w sprawie Farmworks, nie pozostawiając jednak żadnych danych; dzwoniła również Lotty i szukał mnie Robin.

Najpierw próbowałam skontaktować się z moim prawnikiem. Lucy Mott wyszła już z pracy, ale na miejscu był jeszcze Freeman Carter, który właśnie miał spotkanie z klientem. Mężczyzna, który odebrał telefon, zaproponował mi, bym zostawiła wiadomość, a on ją później przekaze adresatowi. Gdy powiedziałam mu, iż dzwonię z komendy policji i nie mogę czekać, poszedł po Cartera.

Freeman oczywiście pomyślał, że zostałam aresztowana i był zły, gdy się dowiedział, iż tylko korzystam z policyjnego telefonu.

– Znana jesteś w całym mieście z takich kawałów – gderał. Lecz ponieważ oderwałam mnie od innej sprawy, to zademonstruję ci lepsze niż twoje maniery i poszukam potrzebnych ci informacji.

– Zawsze miałeś lepsze maniery ode mnie. Dlatego zawsze jestem spokojna i czuję się pewna siebie, mając przed sądem ciebie u boku.

Czekałam około pięciu minut na jego powrót do aparatu. „tymczasem do pokoju weszło kilku nieznanym mi policjantów, którzy nawiązali rozmowę z Finchleyem, przyglądając mi się z ciekawością. Właśnie w chwili, gdy usłyszałam ponownie Freemana, do pokoju wszedł sierżant McGonnigal; kiedy mnie zobaczył, na twarzy jego odmalowało się zaskoczenie. Nie skinął mi ręką i nie przywitał się, kierując kroki prosto do pokoju Mallory’ego: zapukał, a następnie wsunął głowę do środka.

Z rozmowy z adwokatem dowiedziałam się, iż Farmworks to dziwna spółka; nie zatrudnia żadnego personelu. Jedyne nazwisko z nią związane – według systemu Lexis – należało do zarejestrowanego agenta, Augusta Craya, zamieszkałego w Loop. Podziękowałam Freemanowi, który natychmiast odłożył słuchawkę.

Przez chwilę siedziałam ze słuchawką w ręku, aż włączyła się telefonistka i zapytała, czy nie potrzebuję pomocy. Odłożyłam słuchawkę zamyślona.

Nazwisko Craya nie było mi obce; słyszałam je zupełnie niedawno, nie mogłam jednak sobie przypomnieć w jakich okolicznościach. Było już zbyt późno, by jechać na LaSalle Street pod adres, który otrzymałam od Freemana. W każdym razie byłam zbyt zmęczona, żeby dziś wieczorem załatwiać jeszcze dodatkowe sprawy. Poza tym chciałam się jeszcze spotkać z Roz. Do północnego Loop mogę się udać jutro rano. Kiedy zobaczę Craya, na pewno sobie przypomnę, skąd znam jego nazwisko.

– Czy mogę ci pomóc coś znaleźć, Wik? W tej chwili grzebiesz w moim biurku.

Na głos McGonnigala podskoczyłam na krześle. Pod pozorami przyjaźni wyczuwałam w nim ukryte niechęć i niezadowolenie. Uniosłam rękę.

– Spokojnie, sierżancie. Nie miałam zamiaru zgłębiać tajemnic twoich szuflad. Wpadłam tutaj w pewnej sprawie, a Finchley pozwolił mi skorzystać z tego telefonu... Czy jednak nie moglibyśmy być znowu przyjaciółmi, a przynajmniej nie być wrogami?

Zignorował moją ofertę i zapytał, jaka sprawa mnie tutaj sprowadziła. Odwróciłam oczy z niesmakiem, ale wyjęłam bransoletkę z kieszeni i pokazałam mu.

McGonnigal wziął ją do ręki, po czym położył na biurko.

– Możemy być znów przyjaciółmi, a przynajmniej nie być wrogami, jeśli zaprzestaniesz swoich intryg, Warszawski. A teraz proszę mi dać spokój, mam dużo pracy.

Powoli wstałam z miejsca, patrząc na niego kamiennym wzrokiem.

– Ja nie intryguję, McGonnigal, to twoja specjalność. Nie wiem, w co się bawicie, chłopcy, ale jeśli kiedyś postanowicie zapoznać mnie z regułami waszej gry – zadzwoncie.

Policjantka Neely przestała na chwilę pisać i spojrzała na nas.

– Kiedy znudzi panią zabawa z tymi skautami, proszę mnie odwiedzić – rzuciłam przechodząc obok. – Być może razem coś wymyślimy. – Zaczerwieniła się po korzonki jasnych włosów i zaczęła pisać z jeszcze większą energią.

ROZDZIAŁ 38

Mój udział w kampanii wyborczej

Gdy wróciłam do samochodu, Peppy spojrzała na mnie wyczekująco. Zupełnie o niej zapomniałam. Zrobiło mi się przykro, kiedy pomyślałam, iż jeszcze będzie musiała w nim posiedzieć, gdy ja będę szukała Roz. Bałam się, że gdybym pojechała odwiedzić ją do domu, to mogłoby mi nie starczyć sił, by jeszcze raz wyruszyć w drogę.

– Przykro mi, piesku – powiedziałam głośno, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Czy nie sądzisz, iż zarówno Terry, jak i John wiedzą, do kogo należy bransoleta? Dlaczego nie chcą mi tego powiedzieć?

Peppy spojrzała na mnie bezradnie – ona też nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Po State Street w kierunku północnym sunął powoli łańcuch samochodów. Poczekałam, aż przejadą, a ja będę mogła zawrócić i pojechać w przeciwną stronę. Ciąg samochodów zamykała dobrze mi znana srebrzysta corvette Michaela. Parę razy zatrąbiłam i pomachałam mu ręką, lecz albo mnie nie zauważył w zapadającym zmierzchu, albo udawał, że mnie nie widzi.

Mogłam spróbować dogonić go i spytać o Helenę, lecz obawa przed ewentualnym ponownym natknięciem się na McGonnigala sprawiła, że zrezygnowałam.

Jechałam wolno w kierunku północnym. W miarę zbliżania się do ulicy Congress miejsce opuszczonych ruin zajmowały stopniowo eleganckie bloki i hotele, rozłożone na południowym obrzeżu Loop.

Skręciwszy w Congress pojechałam na zachód, przyciskając jednocześnie pedał gazu. Silnik chevroleta natychmiast odpowiedział złowieszczym zgrzytem. Poczulałam, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Nie wolno ci tego robić już po pięćdziesiątce – pouczałam samochód. – Musisz pojeździć ze mną przez następne parę lat. A co najmniej przez najbliższe parę dni.

Samochód najwidoczniej zignorował tę prośbę i nie bacząc na moje poszarpane nerwy, zgrzytał coraz żałośniej. Gdy zwolniłam do czterdziestki, zrobiło się trochę ciszej, lecz nie mogłam przecież po tym tempie jeździć po mieście. Skręciłam z Congress w Halsted i dalej jechałam na północny zachód aż do Logan Square.

Biuro wyborcze Roz Fuentes mieściło się w starych budynkach komunalnych przy California Avenue. Z okien zwisały flagi Meksyku, USA i Porto Rico; amerykańska pośrodku, meksykańska z lewej, portorykańska – z prawej. Pod flagami zawieszono olbrzymi portret Roz, z twarzą rozświetloną dwustuwatowym uśmiechem i napisem w języku hiszpańskim i angielskim: ROZ FUENTES DLA CHICAGO. Nie był to zbyt oryginalny tekst, ale być może wystarczająco dobry, aby przekonać ludzi do oddania głosów na Roz.

Wnętrze biura było jasno oświetlone. Do wyborów zostało już tylko pięć tygodni i w całym kraju wielu działaczy pracowało w podobnych biurach jeszcze długo po zmroku.

Roz była też ciągle osobą, do której przychodzono z lokalnymi problemami, co

świadczyło o jej ogromnej popularności w środowisku pochodzenia hiszpańskiego.

Już przez szerokie drzwi holu widać było, że ludzie pracują w gorączkowej, lecz koleżeńskej atmosferze. Kilkanaście osób siedziało przy biurkach w dużej frontowej sali, prowadząc ożywioną rozmowę, odbierając telefony i udzielając odpowiedzi po hiszpańsku i po angielsku.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, więc skierowałam kroki na zaplecze, gdzie Roz miała swój własny mały pokój.

Gdy tam weszłam, zastałam grupę osób różnego koloru skóry: białego mężczyznę około trzydziestki, dwie Hiszpanki – jedną pulchną po pięćdziesiątce, drugą młodą, wyglądała, jakby niedawno ukończyła studia, oraz czarną kobietę w rogowych okularach na nosie.

Z całej czwórki znałam tylko kobietę w rogowych okularach – była to Velma Riter.

Gdy weszłam, przerwali żywą dyskusję. Siedząca za biurkiem na obrotowym krześle Velma spojrzała na mnie niechętnie, wręcz wrogo. Tymczasem kobieta po pięćdziesiątce zwróciła się do mnie z pytaniem:

– Czym mogę pani służyć? – Ton jej głosu nie był nieprzyjazny – był raczej rzeczowy. Dawał do zrozumienia, że jest zajęta i ma niewiele czasu.

– Jestem Warszawski – przedstawiłam się – chciałam rozmawiać z Roz.

Pulchna kobieta wyciągnęła rękę w kierunku młodej, która podała jej kartkę papieru. Bacznie przejrzała ją i powiedziała: – W tej chwili jest na spotkaniu wyborczym zespołu w Pilsen. Następnie udaje się do Schaumburga na obiad dla sponsorów akcji wyborczej. Jeśli pani sobie życzy, mogę jej przekazać interesującą panią sprawę. Jestem jej asystentką.

– Nie wystarcza ci próba wbicia noża w plecy Roz? Przyszłaś tu chyba tylko po to, by nasypać jej trucizny do kawy – odezwała się Velma jadownicie.

Młodą dziewczynę speszyło wystąpienie Velmy. Szybko podniosła się z miejsca, wzięła plik papierów, przeprosiwszy obecnych, i wyszła mamrocząc coś o konieczności ich przepisania przed wyjściem do domu.

– Czy są to ludzie tak bardzo tobie bliscy, iż gotowa jesteś sprzeczać się ze mną w ich obecności? – zapytałam.

– Oni wiedzą dobrze, że próbowałaś oczerniać Roz. Poczulałam nagły przypływ znużenia. Oparłam się plecami o framugę drzwi.

– Czy zauważyłaś w prasie lub telewizji cokolwiek złego na temat Roz, co mogłabyś mnie przypisać?

– Ludzie o tym mówią – oznajmiła wojowniczo Velma. – Wszyscy wiedzą, że chciałaś jej wbić nóż w plecy.

– To dlatego, że ty im to powiedziałaś, Velmo. – Nie mogłam znieść widoku złości na jej twarzy, skierowałam więc wzrok na wiszący na ścianie plakat z cytatem z Simona Bolívara, głoszącym wolność dla wszystkich ludzi.

– Pani Warszawski, dlaczego nie powie nam pani, co ją tutaj sprowadza? Wszyscy jesteśmy bliskimi współpracownikami Roz i nie mamy przed sobą żadnych sekretów – oświadczyła asystentka Roz.

Nieproszona usiadłam na metalowym krześle, które przed chwilą opuściła młoda

dziewczyna.

– W takim razie proponuję, aby się panie najpierw mnie przedstawiły.

– Jestem Camellia Maldolado, a to jest Loren Richter. Zajmuje się sprawami finansowymi kampanii.

Richter uśmiechnął się.

– Mogę panią zapewnić, iż znajdują się w całkowitym porządku.

– Doskonale – położyłam ręce na biurku i wsparłam na nich podbródek. – Jestem rzeczywiście wyczerpana. Jeśli Velma powiedziała wam o mnie wszystko, to powinniście wiedzieć, że w ubiegłym tygodniu omal nie zginęłam podczas pożaru opuszczonego hotelu. Nie czuję się jeszcze dobrze i dlatego nie mam zamiaru bawić się w żadne subtelności. Dwa tygodnie temu na przyjęciu u Bootsa Roz wzięła mnie na stronę i prosiła, bym nie torpedowała jej kampanii. Ponieważ myśl taka nigdy nie przyszła mi do głowy, byłam bardzo zaskoczona. Pomyślałam, iż Roz musi ukrywać jakiś sekret.

– Jeśli ma nawet jakiś sekret, to ciebie to nie powinno obchodzić – wtrąciła Velma.

Wyprostowałam się na krześle.

– Nie zgadzam się. Ona, czy też raczej Marissa Duncan, namówiła mnie do publicznego poparcia kandydatury Roz. A ja wsparłam akcję wyborczą Roz większą sumą niż w przeszłości kampanie jakiegokolwiek innego kandydata. Od tej chwili Roz przestała być dla mnie osobą prywatną i sądzę, że mam prawo wszystko o niej wiedzieć.

Gdy skończyłam, oddychałam ciężko i potrzebowałam dłuższej chwili, aby się uspokoić i zebrać myśli. Camellia i Loren siedzieli sztywni w milczeniu, gotowi wysłuchać mnie do końca, a potem czym prędzej zatrzaskać za mną drzwi.

– Gdy próbowałam wyjaśnić niepokojącą mnie sprawę, słyszałam najczęściej w odpowiedzi, iż jestem czymś w rodzaju wrzodu na tyłku i że powinnam pilnować własnego nosa. Najpierw usłyszałam to od Velmy, potem od Roz. Dalej – co jest bardzo interesujące – ostrzegali mnie przyjaciel Bootsa, Ralph MacDonald, najpierw w sposób bardziej subtelny, a po pożarze w sposób po prostu brutalny.

Nazwisko Ralpa zaskoczyło obecnych. Jeśli Boots powiedział Roz, iż napuścił na mnie MacDonalda, to tym razem zachowała tę wiadomość tylko dla siebie.

– Na przyjęciu u Bootsa spotkałam również kuzyna Roz – Luisa Schmidta – i Carla Martinezę, jego wspólnika z Alma Mejicana. Odniosłam wrażenie, iż to właśnie oni wskazali mnie Roz, sugerując, że mogę sprawiać kłopoty.

Przerwałam na chwilę. Sceny z przyjęcia, w których uczestniczyli Wunsch, Grasso, Furey i dwaj wspólnicy z Alma Mejicana, zaczęły mi się kojarzyć w pewną całość. Gdybym nie była tak zmęczona, a Velma nie była tak wrogo do mnie nastawiona, chyba bym doszła do jakiejś konkluzji. Schmidt ostrzegali Roz po rozmowie z Wunschem i Grassem. Wszyscy oni byli ze sobą powiązani. Wunsch i Grasso, Alma i Farmworks. A poprzez córkę Rity Donnelly – Farmworks z Selignfinem. Czy to może znaczyć, że Wunsch i Grasso mają coś wspólnego z podpaleniem?

– Czekamy, Wik – lodowaty głos Velmy przyhamował moje rozpędzone myśli. – Czy też może próbujesz uprawdopodobnić swoją historijkę?

Uśmiechnęłam się gorzko.

– Proszę mnie słuchać i wierzyć lub nie, ale najgorsze dopiero nastąpi. Już od dwu lat Alma Mejicana egzystuje na samym obrzeżu budowlanego biznesu. Wniosła kilka spraw do sądu przeciwko władzom okręgowym, oskarżając je o dyskryminację firm mniejszości narodowych w przydziale robót komunalnych, chociaż na rynku budowlanym jest tylko małą płótką: wykonuje parkingi, chodniki i tego rodzaju drobne zlecenia. Jest zbyt słabym przedsiębiorstwem, by podejmować się wykonawstwa dużych inwestycji. Przyjrzyjmy się sprawie bliżej. Nagle odstepują od swoich roszczeń i na pozór przypadkowo zostają dopuszczeni do udziału w realizacji rekonstrukcji Dan Ryan. Trzeba być poważnym graczem, żeby się zmieścić przy stole tej wielkości. Wobec tego skąd otrzymują sprzęt i ekspertyzy? Teraz Roz zostaje współnikiem w Alma Mejicana... Ja się tylko tego domyślam – oświadczyłam ignorując gwałtowny protest Velmy. – Nie wiem, czy ona poszła do Boots, czy też on przyszedł do niej. Jedno jest pewne: Boots tracił popularność wśród ludności pochodzenia meksykańskiego. Ludność ta popierała Salomona Hayesa, który zamierzał wysadzić Meaghera z fotela przewodniczącego zarządu. Dopóki czarni mieli też swojego kandydata, Meagher nie musiał się niczym przejmować. Ostatnio jednak coraz częściej słyhać o odradzaniu się hiszpańsko-murzyńskiej koalicji. W przypadku gdyby Hiszpanie poparli czarnego kandydata, Boots musiałby się pożegnać z piastowaną przez czterdzieści lat władzą.

Velma pomrukiwała coś pod nosem, ale Camellia Maldolado słuchała z kamiennym spokojem, niby dama, która nagle zobaczyła pijanego w swoim salonie.

Loren Richter stukał nerwowo ołówkiem w nogę krzesła.

– W tym nie ma nic nowego. To wszystko nie jest żadnym przestępstwem.

– Oczywiście, że nie – zgodziłam się. – Koalicje, zmiany partnerów – na tym polega gra. Ale Boots nie był jeszcze gotów do odejścia. Wobec tego udał się do Roz z ofertą umieszczenia jej na liście, jeśli ona w zamian pozyska dla niego cały Humboldt Park i Pilsen. On również dopilnuje, by Alma otrzymała odpowiedni udział w robotach komunalnych. Alma wycofa więc skargi na dyskryminację, zwiąże się z fikcyjną korporacją, w ramach której Wunsch i Grasso wykonają za nią całą robotę, a profity będą wspólne. Alma jest praktycznie nieobecna na Ryan – byłam na miejscu i wszystko sprawdziłam. Przyjęła ofertę na wykonawstwo, płaci, co trzeba, na rzecz korporacji, a Wunsch i Grasso zaopatrują ją w sprzęt i ludzi.

– Pani nie ma najmniejszego dowodu na poparcie swoich oskarżeń. To wszystko od początku do końca jest czczym wymysłem – z przekonaniem protestowała Camellia Maldolado. – Każde pani słowo jest zatrute nienawiścią.

Podniosłam się z krzesła.

– Nie mam zamiaru dowodzić tutaj swych racji. Chciałam tylko dać Roz szansę wyjaśnienia sprawy, zanim udam się z tym do prasy. Nie rozumiem tylko jednego...

– Tylko jednego? – ironicznie podchwyciła Velma. – I niczego więcej? A ja sądziłam, że pojmujesz już cały wszechświat.

Zignorowałam jej złośliwość.

– Nie rozumiem, czemu Roz uważa, iż ta historia może odebrać jej szanse w wyborach. To przecież są tylko interesy – rzecz bynajmniej nienowa w tym starym mieście. Kiedy ludzie poznają prawdę, wtedy grube ryby odetchną, gdy się dowiedzą, że Roz jest tylko jedną z nich, a nie płomienną rewolucjonistką.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam ku wyjściu, nie zwracając uwagi na okrzyki zdenerwowania. Camellia pobiegła za mną, chwytając mnie za ramię przy samych drzwiach.

– Pani powinna nam teraz dostarczyć dowodów, że te okropne oskarżenia są prawdziwe. Nie wolno pani przychodzić tutaj, by rzucić bombę i oddalić się spokojnie jak gdyby nigdy nic.

Ze znużeniem przetarłam dłonią oczy.

– To już wszystko. Jeśli pani potrzebuje czegoś więcej, proszę się udać do Ryan i zobaczyć, jak wygląda odcinek budowy wykonywany przez Alma. Chociaż być może po mojej tam wizycie coś już się zmieniło i zatrudniono przy robotach paru Hiszpanów i czarnoskórych na użytek fotografów prasowych. Lecz prawdziwy szok wywołuje widok biur Alma Mejicana – trzy biurka na krzyż, i to raczej na pokaz. Dziś nie da się prowadzić dużego biznesu w zacisznym kąciku.

Camellia patrzyła na mnie z taką wściekłością, iż nogi ugięły się pode mną.

– Już od dawna pracuję na sukces wyborczy Roz! – wykrzyknęła. – Nie pozwolimy, żeby pani ją zniszczyła swoimi kłamstwami.

– Doskonale – powiedziałam. – Wobec tego proszę się o nic nie martwić.

Spojrzałam na Velmę siedzącą na obrotowym krześle. Milczała patrząc w ścianie. Camellia odprowadziła mnie do wyjścia. Była zbyt doświadczoną działaczką, by pozwolić wynajętym pracownikom cokolwiek zauważyć. Ucisnęła mi rękę przy drzwiach i uśmiechając się szeroko oświadczyła, że z pewnością powtórzy Roz wszystko, o czym mówiłyśmy.

ROZDZIAŁ 39

Tchnienie śmierci

Wróciłam do samochodu tak wyczerpana, że nie byłam w stanie normalnie czuć i myśleć. Po głowie snuła mi się myśl, że aby zrozumieć związek między Farmworks i Seligmanem, powinnam ustalić, kim był August Cray. Jednak nawet gdyby nie było jeszcze za późno na złożenie mu wizyty w Loop, nie potrafiłabym odbyć z nim normalnej, rzeczowej rozmowy. Pragnęłam jednego: wrócić do domu, wziąć kąpiel i położyć się do łóżka.

Zwinięta na przednim siedzeniu Peppy obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym niesmaku. Nawet nie uniosła głowy na powitanie – po trzech godzinach spędzonych samotnie w samochodzie. Najwyraźniej zwątpiła we mnie.

– Wybacz mi, kochanie – przepraszałam ją gorąco. – Jedziemy już do domu z łaski Generals Motors.

Chevrolet zgrzytał strasznie już przy czterdziestce. Chwilami czułam się jak jeździec na stającym dęba koniu. Z takim skrzypiącym, hałasującym i zgrzytającym samochodem nie mogło być mowy o pomyślnym zakończeniu podjętej przeze mnie walki. Poza tym byłam wciąż zbyt zdenerwowana, żeby prowadzić samochód, który w każdej chwili mógł odmówić posłuszeństwa.

Gdy wreszcie skręcałam w ulicę Racine'a, zawodzący, przenikający mózg jęk silnika przeszedł w ustawiczny stukot, po czym nagle samochód stanął na środku jezdni. Przekręciłam kluczyki w stacyjce – silnik ryknął okropnie, ale nie zapalił. Oczekujący za mną kierowcy trąbili wściekle – wiadomo przecież, iż najlepszym sposobem zdolnym do poderwania do dalszej jazdy zepsuty samochód jest zgodny chór sygnałów dziesiątków innych pojazdów.

Od domu dzieliło mnie tylko jakieś sto metrów; gdybym tylko mogła wyjść z chevroleta i zaciągnąć go na krawężnik, tam zostawić, a potem przyholować. Peppy miała inne pomysły; gdy otwierałam drzwi, chciała wyskoczyć na zewnątrz wprost pod koła przejeżdżającego obok samochodu dostawczego. Na szczęście w ostatniej chwili udało mi się schwytać ją za tylną nogę i wciągnąć z powrotem do środka.

– Bądź cierpliwa i poczekaj jeszcze pięć minut – przykazałam. Nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Zwykle posłuszna, tym razem warknęła na mnie. Musiałam na wszelki wypadek przywiązać smycz do siedzenia. Wskoczyła na nie i zaczęła na mnie wściekle szczekać.

Nogi zdrętwiały mi od siedzenia za kierownicą do tego stopnia, iż omal nie upadłam, gdy wyszłam z samochodu. W ostatniej chwili przytrzymałam się drzwi.

– Obydwoje nie jesteście w dobrej formie – powiedziałam do chevroleta. – Obiecuję ci, że nie sprzedam cię na złom, jeśli tylko mi pomożesz.

Gdy jadący za mną kierowcy spostrzegli, że mam poważne kłopoty, zaczęli mnie wymijać. Ale niektórzy wciąż jeszcze na mnie trąbili. Nie miałam siły, by na to w jakikolwiek sposób zareagować. Z jedną ręką na kierownicy, drugą opartą na framudze drzwi usiłowałam

zepchnąć samochód na pobocze jezdni. Niestety, nadmierny wysiłek ostatnich dni tak mnie osłabił, iż nie byłam w stanie poradzić sobie z tym zadaniem.

Zniechęcona wsparłam czoło o dach samochodu. Czyjeś wołanie przyłączyło się do kakofonii ulicy Racine'a. Nie zwracałam na nie uwagi, dopóty nie usłyszałam wyraźnie, że ktoś woła mnie po imieniu.

– Wik! Wik! Potrzebujesz pomocy?

To był Rick York, przyjaciel Vinniego, siedzący za kierownicą volkswagena. Krzycząc usiłowałam wyjaśnić mu swój kłopot. Vinnie siedział z tyłu, odwrócił głowę, najwyraźniej nie aprobując zachowania przyjaciela.

– Czy nie mógłby pan popchnąć mnie do przodu? Gdybym dotarła do naszego domu, byłabym szczęśliwa. Jutro oddam go do remontu.

– Dobrze, muszę jednak najpierw zawrócić – powiedział mimo uwagi Vinniego, że mogą się spóźnić.

– Ach, nie obawiaj się, Vinnie. Cała sprawa nie zajmie nam więcej niż pięć minut.

Wskoczyłam z powrotem do chevroleta, czując przypływ energii, wobec niespodziewanej pomocy z zewnątrz, i czekałam, kiedy Rick pojawi się za nami. Peppy nie była zachwycona rozwojem wydarzeń. Przestała szczeekać i przeskoczyła na przednie siedzenie. Zdjęłam jej obrozę, bo się trochę dusiła, lecz jej ruchliwość przeszkadzała mi bardzo w obserwowaniu ruchu na skrzyżowaniu.

Zaparkowałam na pustym miejscu, naprzeciw swojego domu. Rick zatrąbił dwukrotnie na pożegnanie i odjechał, nim zdążyłam mu podziękować. Rano będę musiała się dowiedzieć, gdzie mieszka, i posłać mu butelkę koniaku. Jego uczynność pozwoliła mi zapomnieć o zmęczeniu i odbyć jeszcze spacer z Peppy do parku i z powrotem. Kiedy w końcu zwróciłam ją panu Contrerasowi, było po ósmej.

– Już nie wiedziałem, czy jesteście żywe, czy martwe. Nie miałem nawet pojęcia, dokąd się udałyście, więc nie mogłem pośpieszyć z pomocą. I, proszę, nie mów, iż nie potrzebujesz pomocy. Bo i co by się z tobą stało w ubiegłym roku, jeślibym nie wiedział, gdzie cię szukać? Jeśli nawet ty mnie nie potrzebujesz, to nie zapominaj o naszej księżniczce. Poza tym co ja mam odpowiadać ludziom, którzy przychodzą i pytają o ciebie?

Zbagatelizowałam jego dłuższe przemówienie.

– Widocznie prowadzę podwójne życie i dlatego nie dostaje pan ode mnie codziennego rozkładu zajęć. Ale, ale – kto mnie szukał?

– Jacyś faceci. Nie przedstawili się. Mówili, iż przyjdą później.

Zwykle potrafił określić każdego mężczyznę, który mnie odwiedzał. Jeśli tym razem nie był w stanie tego uczynić, najwidoczniej musieli to być obcy ludzie.

– Być może byli to świadkowie Jehowy. W jaki sposób weszli do budynku? Zadzwonili do pana?

– Tak, powiedzieli, iż pomylili piętra.

– Czy już sobie poszli, czy czekają jeszcze na mnie na górze? – spytałam.

– Mój Boże, drogie dziecko, nie dziwię się, że nie wtajemniczasz mnie w swoje sekrety. – W jego głosie pojawił się ton żalony. – Dałem się nabrać na najstarszy chwyt na świecie!

Wyszli, lecz skąd mogę wiedzieć, czy inny z sąsiadów ich nie wpuścił, na przykład Vinnie albo pani Gabrielsen?

Pani Gabrielsen, moja sąsiadka z naprzeciwka, spędza wakacje w domu letniskowym na północnym wybrzeżu Michigan. Ale pan Contreras nie chciał o niczym więcej słyszeć, tylko nalegał, bym zaczekała w jego pokoju gościnnym, a on wraz z Peppy sprawdzi, czy na górze nikt na mnie nie czyha. Chciał, bym mu dała klucze do mieszkania, ale odmówiłam.

– Wystarczy sprawdzić, czy nikt nie majstrował w zamkach. Zresztą gdyby ktokolwiek chciał na mnie napaść, to prawdopodobnie poczekałby pod drzwiami, a nie włamywałby się do środka. No i proszę być ostrożnym, bo nie miałabym siły odwozić pana do szpitala. Zresztą zepsuł mi się samochód.

Był zbyt podniecony, aby zwracać uwagę na to, co mówię. Gdybym sądziła, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, nie puściłabym go samego. Jeśli moi goście zostali nasłani przez Ralphi MacDonalda, nie wróciliby, gdyby ktoś ich uprzednio widział. Pozwoliłam więc panu Contrerasowi usadowić mnie na starym fotelu o zepsutych sprężynach. Gdy czekałam na powrót gospodarza, ogarnęła mnie senność. Pokój gościnny mojego sąsiada nie różnił się wiele wyglądem od pokoju Saula Seligmana. Dookoła stały miękkie, wytarte meble, a liczne pamiątki po zmarłych wiele lat temu żonach wypełniały każde wolne miejsce. Zrobiło mi się żal obu starszych panów. Obaj na swój sposób walczyli o zachowanie intymności, której śmierć żon ich pozbawiła. Seligman powiedział do mnie, iż jestem taka sama jak ci, którzy chcą go skłonić do sprzedania serca za dolary, ale ja...

Nagle wyprostowałam się w fotelu. Że też wcześniej nie zwróciłam na to uwagi! Ktoś spróbował nakłonić go do sprzedaży hotelu! Przedtem to do mnie nie dotarło, potraktowałam tę wypowiedź jako zwykłe utyskiwanie starego człowieka. O sprawie musiała wiedzieć pani Donnelly, gdyż to firma Farmworks chciała dokonać transakcji.

W firmie tej zatrudniona była jej córka. By ułatwić jej karierę, pani Donnelly mogła zasugerować, iż hotel może być można odkupić od właściciela i w tym celu ułatwiła przedstawicielom firmy kontakt z Seligmanem. Wzmianka o sprzedaży czy pożarze hotelu wywoływała na jej twarzy wymuszony uśmiech, gdyż mogło się to wiązać z jakimiś profitami dla jej córki. Gdy jednak udała się do kogoś z firmy z wiadomością, iż jestem w posiadaniu zdjęcia Star – została zamordowana. Następnie włamano się do biura Seligmana i skradziono odnoszące się do oferty kupna dokumenty.

Wstałam z fotela i zaczęłam krążyć po pokoju. W pewnym momencie uderzyłam się w gołe nogi o nakrytą starą narzutą klatkę dla ptaków, którą pan Contreras ustawił na środku pokoju. Mimo woli zakląłam głośno z bólu.

Saul Seligman nie zajmował się osobiście prowadzeniem firmy. Ludziom, z którymi rozmawiał, mówił, że wciąż jeszcze pracuje popołudniami, jednak w rzeczywistości prawie nigdy nie opuszczał swego domu. Ilekroć się z nim spotykałam, zawsze miał na nogach stare kapcie. Niemniej jednak nigdy nie udzielił pani Donnelly pełnomocnictwa. By dokonać jakiegokolwiek transakcji, musiała uzyskać jego zgodę.

Saula Seligmana zostawiono w spokoju, gdyż było oczywiste, że nie jest w stanie zrozumieć cokolwiek z tego, co się wokół niego działo. Nie trzymał przy sobie żadnych

dokumentów, dotyczących oferty kupna – nad wszystkim miała pieczę Rita Donnelly, która mogła go nawet przedstawić rozmówcy jako osobę niesprawną umysłowo.

Lecz do czego był im potrzebny „Indiana Arms”? Co takiego kryło się w tym starym budynku, że tak bardzo im na nim zależało? Była to po prostu bardzo stara rudera w trójkącie między Mc Cormick Place a Ryan, w którym MacDonald i Meagher zaplanowali budowę stadionu. Gdyby im się udało otrzymać zlecenie na wykonanie tej inwestycji, wartość każdej nieruchomości w tym trójkącie wzrosłaby wielokrotnie.

Tym razem uniknęłam zderzenia z klatką, zatrzymując się w ostatniej chwili. To było coś niewiarygodnego. Wprost nie mogłam uwierzyć, że tak długo byłam ślepa!

W tym, że MacDonald posiadał farmę, nie było nic niezwykłego. Przecież do niego należał niemal każdy kawałek gruntu w Chicago! A jeśli posiadał farmę, to czemu nie mógłby być również faktycznym właścicielem małej spółki holdingowej? Takiej, która nie przyciągałaby żadnej uwagi społeczeństwa w przeciwieństwie do MacDonald Development. I dlaczego nie nazwać jej Farmworks?

Może taka nazwa mogła wydawać się śmieszna komuś, kto nie ma poczucia humoru. To nieważne. Ważne było, że „Indiana Arms” stała na drodze realizacji jego planów, należało więc spalić ten kurnik!

Wunsch i Grasso wykonywali wiele usług dla okręgu. Ojciec Erniego wyrastał razem z Bootsem w Norwood Park i od dawna się przyjaźnili. Ernie i Ron zaangażowali się po stronie demokratów – co w Chicago mogło oznaczać zarówno agitację jak i łamanie nóg właścicielom knajp, którzy nie opłacali właściwych ludzi. Nic więc dziwnego, że ich przedsiębiorstwo rozwijało się równoległe z karierą, polityczną Bootsa. W tej sytuacji jeśli Boots i jego przyjaciel Ralph życzyli sobie, żeby ich firma zaopatrywała firmę Alma Mejicana w środki transportu, maszyny budowlane i fachowców, przyjmowano to bez najmniejszych zastrzeżeń.

– Co się z tobą dzieje, kochanie? – Drgnęłam gwałtownie słysząc za sobą głos pana Contrerasa. – Wiesz przecież dobrze, iż od szeregu lat nie mam żadnego ptaszka. Trzymam ją tylko dlatego, że Klara hodowała kanarki. Jeśli myślisz o kupnie ptaka, nie rób tego. Nie sądzę, że nie wymaga wiele zachodu, podobnie jak księżniczka: nie można przebywać ciągle poza domem, mając jakiegokolwiek stworzenie.

– Nie mam zamiaru kupować kanarka – odrzekłam łagodnie. – Czy spotkał pan kogoś na górze?

– Obeszliśmy z Peppy twoje mieszkanie od frontu i od kuchni. Nikogo nie zauważyliśmy. Wygląda natomiast, jakby ktoś mocował się z zamkami, ale nie puściły. Naprawdę, boję się, żeby ci się coś złego nie stało.

– Będę bezpieczna u siebie – zapewniłam go. – Wiedzą, iż pan ich widział i nie przyjdą ponownie. Nawet jeśli by chcieli przysłać innych ludzi, będą się obawiali, że policja może ich zidentyfikować przy pana pomocy. Zamknę się na wszystkie spusty i jeszcze rozciągnę linę pod swymi drzwiami, zgoda?

ROZDZIAŁ 40

Strach wypędza mnie z domu

Po powrocie do siebie wzięłam kąpiel, cały czas myśl o grożącym niebezpieczeństwie nie dawała mi spokoju. Po wyjściu z wanny próbowałam połączyć się z Murrayem, ale nie zastałam go ani w biurze, ani w domu. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Bobby'ego, lecz mogłam sobie wyobrazić jego reakcję. Oskarżać przewodniczącego zarządu okręgu i jego bogatego przyjaciela – to coś znacznie gorszego, niż skłócić jego podkomendnych.

Podeszłam do okna. Mimo pozornej pewności siebie, jaką udawałam przed panem Contrerasem, w rzeczywistości czułam się osamotniona i zagrożona. Zastanawiałam się, czy ci dwaj mężczyźni, którzy o mnie pytali, byli wynajętymi zbirami, czy też może przypadkowymi okreźnymi sprzedawcami? Czy była to odpowiedź Ralpa, której mi obiecał udzielić w ciągu dwudziestu czterech godzin? A ten stojący beczynnie po przeciwnej stronie ulicy mężczyzna czeka na psa, czy też może na moment, kiedy wyjdę z domu?

Opuściłam zasłonę i podeszłam do aparatu, żeby zadzwonić do Lotty.

– Wik! Zaczęłam się już poważnie martwić o ciebie! Dawno nie dawałaś znaku życia. Jak się czujesz?

– Nieciekawie. Złapałam tygrysa za ogon i teraz się obawiam, czy wystarczy mi sił, by sobie z nim poradzić.

– Co to za tygrys? – zapytała Lotty. Opowiedziałam jej, do jakich wniosków doszłam ostatnio. – W tej chwili boję się trochę, Lotty. I wciąż martwię się o swoją ciotkę. Sądzę, że ona widziała podpalacza. Prawdopodobnie wspólnie z Cerise próbowała go szantażować, a teraz w obawie przed nim się ukrywa. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jej szukać. Szuka jej też policja... w każdym razie jeden znany mi policjant – poprawił się, przypomniawszy sobie, że Finchley nic o sprawie nie wiedział. – A teraz samochód mi się popsuł i nie mogę...

Nagle straszna myśl przyszła mi do głowy. Ten policjant wiedział, że Helena uciekła, gdyż specjalnie udał się do Michaela Reese, żeby się z nią zobaczyć. Od tamtej pory mógł już wpaść na jej trop, nic mi o tym nie mówiąc.

Przypomniała mi się reakcja McGonnigala na widok złotej bransolety. Teraz już wszystko rozumiałam: pamiętam, gdzie i u kogo zobaczyłam ją po raz pierwszy. Widziałam ją u Michaela na ręku w lutym tego roku na przyjęciu urodzinowym, które przyjaciela dla niego zorganizowali. McGonnigal sądził najwyraźniej, że przyniosłam bransoletę, by ją zwrócić Michaelowi po ostatecznym zerwaniu – dlatego na jej widok nic nie powiedział.

Tylko że to nie Furey ją zostawił w moim pokoju – zrobiły to Helena i Cerise. Tamtej nocy, którą u mnie spędziły, położyły ją pod materacem, a gdy Cerise zachorowała, zapomniały o niej.

– Wik, co się z tobą dzieje? Czy może nagle zasłabłaś? – głośno zawołała Lotty. W tym momencie uświadomiłam sobie, iż stoję jak idiotka ze słuchawką w rękę i nic nie mówię.

– Nie, nic podobnego. Nagle uświadomiłam sobie coś, o czym dawno już wiedzieć powinnam.

– W tej chwili najbardziej potrzebujesz ciepłego posiłku i spokojnego snu. Może wpadnę po ciebie – mam trochę zupy w garnku, a potem prześpisz się u mnie w gościnnym pokoju. Jutro odzyskasz siłę, żeby pomyśleć, co począć z ogonem tygrysa.

Była to propozycja dla mnie w tej chwili tak bardzo atrakcyjna, że nie mogłam jej odrzucić. Naciągnęłam dzinsy i wrzuciłam do torby kilka drobiazgów – włączając dodatkowy magazynek do mojego pistoletu.

Tej nocy, kiedy Helena przyprowadziła do mnie Cerise, Boots urządził swoje przyjęcie. Michael wyprzedził mnie podczas powrotu z przyjęcia i czekał już na mnie pod domem. Miał tej nocy dyżur policyjny i nie mógł ze mną zostać. Podobno popełniono wtedy potrójne morderstwo. Nie zadałam sobie fatygi, by następnego dnia sprawdzić, czy powiedział prawdę.

Nie – wtedy wszystko odbyło się inaczej: Michael wszedł na klatkę schodową i zastał tam Helenę i Cerise, siedzącą na torbie Heleny. Przyszły, by mi opowiedzieć swoją wersję o dziecku Cerise i przy mojej pomocy wyłudzić odszkodowanie od towarzystwa ubezpieczeniowego. Zobaczywszy go rozpoznali w nim mężczyznę, który jeszcze przed pożarem kręcił się koło „Indiana Arms”. Michael był w dobrych stosunkach z Rolandem Montgomerym. Był tym, do którego mogli się zawsze zwrócić w potrzebie jego kompani, obecnie zainteresowani spalaniem hotelu. Dlaczego jego kompani wplątali się w tę historię – tego nie wiedziałam, poza tym że w zamian za korzystne kontrakty wyświadczali Bootsowi różne przysługi. Również Michael świadczył przysługi swoim przyjaciółom z lat dziecięcych.

Helena patrząc na Michaela powiedziała, iż lubi chłopców o tak pięknych oczach i chociaż rozpoznała w nim podpalacza „Indiana Arms” nie wyda go, jeśli on podaruje jej coś, za co będzie mogła kupić butelkę. Dał im więc bransoletę – był to wtedy okup, ale już następnego dnia udało mu się złapać Cerise, wywieźć do Rapelec i zabić zastrzykiem z heroiny.

Nie – to niezupełnie było tak. Dał komuś heroinę – być może któremuś z kompanów lub nocnemu nadzorcy Augustowi Crayowi! Zarejestrowany agent, reprezentujący Farmworks, był jednocześnie nocnym nadzorcą w Rapelec.

W każdym razie Michael sądził, iż może odzyskać bransoletę, której jednak Cerise nie miała. To dlatego jednostka Bobby’ego pierwsza znalazła się na miejscu przestępstwa i on pierwszy dokonał oględzin. Bał się pewnie, iż gdyby inny policjant go uprzedził, mógłby znaleźć i rozpoznać jego drogocenną ozdobę.

Lecz co było dalej? To jeszcze nie wyjaśnia wszystkiego, choć samo w sobie zawiera okropną prawdę. Michael starał się odnaleźć Helenę, by zamilkła na zawsze, ale ta zniknęła jak kamfora, gdy powiadomiłam ją o śmierci Cerise. Była pewnie przekonana, iż on zabił dziewczynę. Historyjka o zaczepianiu przez Helenę młodych mężczyzn była czczym wymysłem jak również to, że Bobby prosił go o jej odszukanie.

Nogi ugięły się pode mną. Muszę szybko dotrzeć do Braci Ulicznych – nie mogę zostawić Heleny w rękach Fureya.

Z trudem dowlokłam się do telefonu. Po wykręceniu numeru okazało się, iż Braci nie

zostałam na miejscu. Zostawiłam wiadomość i numer telefonu Lotty automatycznej sekretarce.

Następnie ponownie usiłowałam połączyć się z Murrayem, który wciąż gdzieś węszył za sensacjami. Wyrzałam przez okno: człowieka z psem już nie było. Kilkoro innych przypadkowych przechodniów podążało ulicą. Nie wierzyłam, by którykolwiek z nich polował na mnie za sprawą MacDonalda, niemniej jednak kryłam się w oknie za zasłonami, dopóki nie spostrzegłam samochodu Lotty.

Przed wyjściem uprzedziłam pana Contrerasa, iż nie musi już zachowywać czujności. Był trochę zirytowany, iż idę spać do Lotty, a nie do niego.

– W każdym razie nie sądz, że jeśli wyjdiesz z domu, to już nikt nie będzie starał się dostać do środka, by po twoim powrocie załatwić cię. Myślę, że cały czas powinienem razem z Peppy czuwać nad bezpieczeństwem tego domu.

Nie potrafiłam zdobyć się na podziękowanie za jego troskę. To prawda, ubiegłej zimy ocalił mi życie – niemniej jednak nie miałam ochoty wtajemniczać go w szczegóły tego, co robię. W drzwiach pomachałam im obojgu ręką i czym prędzej wsiadłam do samochodu. Nie znoszę uczucia strachu – zmusza mnie do biegu, gdy ja wolę raczej spacerować.

– Więc wykończyłaś swojego chevroleta ciągłymi jazdami? – W ten osobliwy sposób powitała mnie Lotty.

Otwarłam usta, by odeprzeć ten atak, lecz natychmiast je zamknęłam, widząc jak Lotty zawróciła na jezdni pod samym nosem dostawczego samochodu *Sun-Timesa*. Kierowca musiał zahamować tak gwałtownie, że część gazet wypadła na chodnik. Lotty nie zwróciła najmniejszej nawet uwagi na jego wściekłe trąbienie i przekleństwa, zachowując się z dumnym, godnym jej przodków spokojem; kiedyś wyznała mi, że byli doradcami Habsburgów.

Prowadziła samochód tak, jakby był ambulansem podczas wojny, atakowanym bez przerwy przez lotnictwo wroga. Zawsze kupowała samochody ze standardową przekładnią, gdyż do takiej przywykła od młodości, lecz biegi eksploatowała do tego stopnia, iż był to już jej trzeci nowy samochód w ciągu ośmiu lat. Jak wszyscy słabi kierowcy uważała, że do niej należy cała jezdnia. Jadąc do Lotty parokrotnie przychodziło mi do głowy, iż powinnam była raczej pozostać u siebie i stawić ewentualnie czoło Ralphowi MacDonaldowi.

Gdy dotarliśmy do celu i zatrzymałyśmy się pod budynkiem, pojazd westchnął miękko – wolał nie skarżyć się zbyt głośno. Weszłam za Lotty do wnętrza, wspierałam się za nią po schodach na drugie piętro i jak za każdym razem, gdy ją odwiedzałam, poczułam się oszołomiona wielością barw. Suknie Lotty były zawsze starannie skrojone – lubiła czarne spódnice, białe bluzki i czarne swetry. W mieszkaniu przeważały dwa kolory: czerwony i pomarańczowy.

Chociaż byłam u Lotty już wielokrotnie, zawsze traktowała mnie jak gościa – nosiła za mną torbę i proponowała drinka ze swych skromnych zapasów. Sama nigdy nie piła alkoholu, używając go wyłącznie do celów leczniczych. Tym razem ja również zrezygnowałam z drinka – zbyt żywe było wspomnienie skutków wypitego z Rickiem trunku.

Lotty podała mi gulasz po wiedeńsku – potrawę, do której przywykła od dzieciństwa. W

sposób serdeczny i prosty stworzyła atmosferę rodzinną, dobrze mi znaną z przeszłości.

– Wiedziałaś, że przyjdę, jeśli to przygotujesz – oznajmiłam z wdzięcznością, sprzątając z talerza ostatnią marchewkę. – Jestem posłuszna lekarzowi i zjadam wszystko do czysta.

– Dziękuję ci, moja droga. – Lotty pochyliła, żeby mnie ucałować. – Teraz jeszcze kąpiel i do łóżka. Ze zmęczenia masz podkrążone oczy.

Zanim się położyłam, obejrzałam moje ręce, które z dnia na dzień wyglądały lepiej. Posmarowała je jakąś miksturą i wepchnęła mnie do chłodnej, czystej pościeli. Ostatnim doznaniem przed zaśnięciem był kojący zapach lawendy.

Gdy się obudziłam, było już po dziesiątej. Promienie słońca przeciskały się między zasłonami w oknach i układały pręgami światła na podłodze i na ścianach. W domu panowała cisza, słychać było tylko równomierne tykanie zegara.

Naciągnęłam na siebie bluzę sportową i podreptałam do kuchni. Lotty pozostawiła dla mnie szklankę soku pomarańczowego i karteczkę, że wszystko, co znajduje się w kuchni, jest do mojej dyspozycji. Miałam dobry apetyt. Ugotowałam parę jaj i zjadłam je z kanapkami.

W czasie posiłku myślałam, jak zastawić pułapkę na tygrysa. Gdy sobie uświadomiłam, iż to chodzi o Ralpa MacDonalda, Furreya i resztę bandy – ogarnął mnie strach.

Dobrze by było, gdybym wiedziała, gdzie szukać Heleny. Może miała jakichś serdecznych przyjaciół, do których mogła się zwrócić w opresji? Gdyby ukrywała się w jednym z opuszczonych budynków przy Near South Side, Furey zapewne dawno już by ją odnalazł.

Gwałtownie zerwałam się z miejsca. Być może mu się to już udało! Mógł wsadzić w nią kulę lub udusić i spać spokojnie bez obawy, że ktoś znajdzie jej zwłoki aż do momentu rozbiórki budynku, w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Przeszłam do saloniku, aby zadzwonić do Braci Ulicznych. Tim i Jim prowadzą firmę ochroniarską, którą nazwali „Ali Night – Ali Right”. Już wcześniej korzystałam z ich usług, gdy miałam zlecenie na inwigilację, która przerastała moje możliwości. W firmie pracuje jeszcze kilku innych chłopców. Wszyscy są potężnie zbudowani i brodaci, wolny czas umilają sobie lekturą Kierkegarda i Heideggera.

Telefon odebrał Bob Koveda. Znałam go dość dobrze. Powiedziałam mu o swoich kłopotach.

– Muszę odnaleźć Helenę, zanim to się uda temu szalonemu sierżantowi z policji. Niedobrze mi się robi, gdy pomyślę, iż może dopadł już ją gdzieś w ruinach na Near South Side. Może tam najpierw należy ją szukać.

– O Boże, Wik, mamy teraz kupę roboty. – Słyszałam, jak bębnił palcami o blat biurka. – Porozmawiam z Jimem, może uda nam się przesunąć nasze plany nieco w czasie. Czy będziesz u siebie dzisiaj po południu?

– O wielu rzeczach zapominam, lecz z moją automatyczną sekretarką łączę się co godzinę. Wiesz, głupio mi nalegać, ale to bardzo pilna sprawa. Wiem, że zrobicie wszystko, co w waszej mocy...

Postanowiłam, że gdy tylko oddam do naprawy chevroleta, wynajmę samochód i sama pojedę do Near South Side. Zadzwoniłam do warsztatu i opisałam tak dobrze, jak tylko

potrafiłam, stan samochodu. Luke Edwards, mechanik, który zwykle się nim zajmował, przybrał ton lekarza wydającego świadectwo zgonu.

– Nie podoba mi się to, Wik. Powinnaś była skontaktować się ze mną, jak tylko spostrzegłaś, że z silnikiem dzieje się coś niedobrego. Prawdopodobnie zdarłaś go na dobre. – No cóż, za godzinę wyślę po twój samochód Jerry’ego, ale nie licz na zbyt wiele.

Wykrzywiłam się do słuchawki.

– Nie ciesz się za wcześnie, Luke. Jeszcze nieprędko oddam go tobie na złom – roześmiałam się głośno.

– Gdybyś widziała to, co ja każdego dnia oglądam, nie byłoby ci wcale do śmiechu.

Ilekoć dzwoniłam do Luke’a, nachodziły mnie wątpliwości, czy aby na pewno prowadzi warsztat, a nie miejscową kostnicę. Zaniechałam prób przełamania jego pesymizmu i powiedziałam, że będę czekała na Jerry’ego. Szybko umyłam po sobie talerze i posłałam łóżko. Napisawszy kilka serdecznych słów do Lotty, udałam się pieszo do domu.

ROZDZIAŁ 41

Fajerwerk, którego nie było

Czułam, że powinnam zajrzeć do pana Contrerasa i zapytać o wszelkie podejrzone zdarzenia poprzedniej nocy. Był bardzo zawiedziony – nic ciekawego się nie wydarzyło. Tylko Peppy szalonym szczekaniem obudziła go około trzeciej w nocy, lecz gdy wyrzwał przez okno, zobaczył kilku facetów wchodzących do samochodu stojącego po drugiej stronie ulicy.

Skończyłam rozmowę tak szybko i taktownie, jak tylko umiałam, i udałam się do siebie na trzecie piętro. Nikt zaczajony tam na mnie nie czekał. Zadzwoiłam do małego przedsiębiorstwa wypożyczającego samochody. Zaproponowano mi tempo z 84 roku z osiemdziesięcioma tysiącami kilometrów na liczniku. Musiał to być straszny grat, ale kosztował tylko dwadzieścia dolarów dziennie i nie trzeba było wносить wielu dodatkowych opłat, które z klientów ściągają większe firmy. Powiedziałam, iż odbiorę samochód około pierwszej.

Długi, głęboki sen uczynił cud z moimi obolałymi ramionami. Wciąż były nieco sztywne, ale ustąpił z nich ból, przywodzący na myśl dziesiątki wbitych w mięśnie igieł. Wyjęłam z szafki lekkie ciężarki treningowe i w oczekiwaniu na przybycie Jerry'ego wykonywałam łatwe rozluźniające mięśnie ćwiczenia.

Tuż przed pierwszą jasnożółty samochód przystosowany do holowania zatrafił pod moim oknem. Powinnam była pamiętać o tym, że prawa względności przestrzeni i czasu mają również zastosowanie do warsztatów samochodowych i podany przez Luke'a czas należało pomnożyć przez trzy.

Nie mogłam odnaleźć kluczyków samochodowych. W końcu przypomniałam sobie, iż rzuciłam je do plecaka, gdzie dzwoniły o mój pistolet. Schwyciłam plecak i zbiegając ze schodów wyłuskałam je z niego. Pan Contreras uchyliwszy nieco drzwi, wysunął przez szparę głowę.

– Właśnie oddaję samochód do naprawy – oznajmiłam mu radośnie, machając ręką na pożegnanie.

Jerry był niskim, bardzo energicznym mężczyzną, zbliżającym się do trzydziestki. Miał zakład oferujący usługi holownicze i nawiązał współpracę z Lukiem, wykonując większość prac w jego warsztacie. W wolnym czasie brał udział w wyścigach samochodowych. Przez chwilę gawędziliśmy o zadziwiającym wyścigu, jaki wygrał w miniony weekend w Milwaukee.

– Sprawdźmy najpierw, czy nie uda nam się go dzisiaj zapalić, Wik. Zaoszczędziłabyś na rachunku za odholowanie.

– Silnik nawet nie drgnął, Jerry. Wczoraj wieczorem musiałam go popychać przez ostatni odcinek drogi.

– Dlaczego nie był w stanie pojąć, iż kobieta może się orientować, czy jej własny

samochód da się zapalić, czy nie?

– Zobaczmy, może jednak coś da się zrobić. Otwórz klapę, Wik.

– Niech ci będzie. – Zirytowana przemaszerowałam przez jezdnię i pociągnęłam za dźwignię. Zdumiona stwierdziłam, że maska była niezatrzaśnięta. Pomyślałam, iż mogłam niechcący ją otworzyć, gdy poprzedniego dnia bezskutecznie starałam się ruszyć samochód z miejsca.

Jerry zawrócił ciężarówką i stanął tuż obok mojego samochodu. Gwiżdżąc pod nosem, wyciągnął z tyłu ciężarówki naręcze kabli i podszedł do mnie.

Otwarta maska na tyle wzbudziła moją czujność, iż przyjrzałam się silnikowi, zanim Jerry zaczął podłączać swoje kable. Ciągłe gwiżdżąc zamierzał właśnie przyczepić jeden z nich do akumulatora, gdy energicznie odsunęłam jego rękę.

– Zabierz to od silnika!

– Wik, co u... – Urwał, gdy zobaczył przymocowane do rozrusznika dwie laseczki dynamitu.

– Wik, spieprzajmy stąd. – Mówił głosem beznamietnym, lecz twarz mu pobladła ze zdenerwowania. Schwycił mnie za ramię i siłą wepchnął do ciężarówki. Nim zdążyłam zatrzasnąć za sobą drzwi, byliśmy już na rogu Belmont. Trzęsłam się jak w febrze – gdyby nie użył siły, nie mogłabym się ruszyć z miejsca. Z trudem opanowałam szcęknięcie zębów, żeby mu powiedzieć, by wezwał policję przez radio.

– Nie możemy tak zostawić bomby w samochodzie i czekać, aż wybuchnie i kogoś zabije – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Musimy wezwać policję.

Jerry był tak blady, że jego piwne oczy wydawały się czarne. Zatrzymał się przy krawężniku przed sklepem z artykułami metalowymi.

– Nie chcę się do tego zbliżać ponownie. Na widok dynamitu czuję skurcz serca. Kogo tak na siebie rozeźliłaś, Warszawski?

Gdy on rozmawiał z policją, wysiadłam z samochodu i zwróciłam na chodnik jajka i kanapki.

Zanim skończyłam z policją, była trzecia trzydzieści. Najpierw przyjechał samochód patrolowy z dwoma młodymi policjantami, którzy rzuciwszy wystraszone spojrzenia na bombę, drogą radiową złożyli meldunek komendzie. Wówczas pojawił się Roland Montgomery w towarzystwie młodego Firehorse Whiskey, którego widziałam przelotnie w biurze dwa tygodnie temu, jednak nie udało mi się poznać jego prawdziwego nazwiska.

Montgomery wezwał ekipę od usuwania tego rodzaju ładunków. Przyjechali za jakieś pół godziny czymś, co wyglądało na pojazd księżycowy. Wozy policyjne zamknęły ulicę, a kordon policji odgrodził na bezpieczną odległość bombę od ludzi.

Mieszkańcy pobliskich ulic z pewnością dobrze się bawili, gdyż rzadko zdarza się być świadkiem tak pysznego widowiska, w którym biorą udział oddziały policji i ubrani w kosmiczne skafandry osobnicy, zbliżający się do samochodu jak do rozjuszonego lwa. Wszystkie miejscowe stacje telewizyjne przysłały swych reporterów, ulica zarojła się od dzieci, które zamiast być w szkole – jakimś cudem pojawiły się tutaj, by pomachać ręką swoim kolegom w telewizyjnych wiadomościach.

Montgomery, gdy zobaczył zajeżdżające ekipy telewizyjne, wyszedł z samochodu, w którym przesłuchiowano mnie i Jerry'ego i podszedł do nich. Pośpieszyłam, by wziąć udział w przedstawieniu. Nie podobało mu się to wcale i próbował odebrać mi mikrofon, gdy zaczęłam opowiadać, jak razem z Jerryem znaleźliśmy bombę.

– Na razie nie mamy nic do powiedzenia – powiedział szorstko.

– Pan być może nie ma. – Uśmiechnęłam się wdzięcznie do kamery. – Ale to jest mój samochód i mam na ten temat wiele do powiedzenia. Sądzę, iż mój sąsiad z dołu widział ludzi, którzy zakładali bombę około trzeciej nad ranem.

Oczywiście reporterzy rzucili się natychmiast do mnie i Montgomery nie mógł nic na to poradzić.

– Prawdopodobnie Peppy dostrzegła ich przy moim samochodzie i dlatego zaczęła w nocy szczekać. Możecie o tym porozmawiać z moim sąsiadem.

Uprzejmym gestem wskazałam im pana Contrerasa, który stał w tłumie wraz z Peppy. Skinęłam na nich. Peppy podbiegła do mnie, natomiast pan Contreras przebijał się przez tłum z trudem, by podejść do reporterów. Montgomery cofnął się przed psem: zażądał, bym się go pozbyła.

– Niech pan do niej przypadkiem nie strzela, poruczniku – powiedziałam. Trzy ekipy nas filmują.

Peppy z pewnością nadawała się do pokazania jej w telewizji. Warto było zaprezentować takiego pięknego, dzielnego psa myśliwskiego. Powiedziałam reporterom, jak się wabi i dopilnowałam, by kilku z nich podała łapę. Byli zachwyceni, tylko Montgomery skrzywił się brzydko.

Podczas gdy głaskałam psa, pan Contreras rozwodził się na temat tego, co widział i słyszał. Opowiedział także, jak Peppy ubiegłej zimy uratowała mi życie, odnajdując mnie związaną i zakneblowaną pośrodku bagna. Byłam szczęśliwa, iż to nie mnie przypada zadanie wyłowienia z potoku jego słów paru nadających się do telewizji zdań.

„Kosmitom” udało się wreszcie usunąć niebezpieczny ładunek z samochodu. Włożyli go do specjalnego pojemnika i odjechali swoim dziwnym pojazdem. W ślad za nimi miejsce zajścia opuściły ekipy telewizyjne. Zachowanie Montgomery'ego uległo pewnej zmianie. Jerry'ego odesłał do domu, a mnie poinformował, że udamy się na komendę, gdzie przeprowadzimy właściwą rozmowę. Gdy wypowiadał te słowa, wyraz jego twarzy sprawił, iż po raz drugi tego dnia poczułam, że serce podchodzi mi do gardła.

Pan Contreras zaszedł mu drogę i zażądał wyjaśnienia, co zamierza ze mną zrobić. Montgomery odepchnął staruszka tak brutalnie, iż przestraszyłam się, że może go przewrócić.

– Spokojnie, poruczniku. On ma siedemdziesiąt osiem lat. Nie musi pan dowodzić, że jest od niego silniejszy.

– Nie mam zamiaru znosić tej arogancji, Warszawski. Zamknij się, bo inaczej nawet się nie spostrzeżesz, jak znajdziesz się za kratkami!

– Ojej! Chyba, poruczniku, czytał pan zbyt wiele kiepskich kryminałów.

Omal nie wyrwał mi ręki, gdy pociągnął mnie za sobą do samochodu. Zanim odjechalismy, zdążyłam krzyknąć do pana Contrerasa, by zadzwonił do Lotty, która знаła

telefon mojego adwokata.

Gdy znalazłam się na komendzie, Montgomery zabrał mnie do małego pomieszczenia i domagał się, bym mu wyjaśniła, w jaki sposób weszłam w posiadanie dynamitu. Gdy dotarło do mnie, iż oskarża mnie o podłożenie sobie samej bomby, ogarnęło mnie taka wściekłość, że pokój zakotłosał mi się przed oczami.

– Niech pan lepiej przyprowadzi świadka – z trudem powstrzymałam się od krzyku. – Niech pan przyprowadzi świadka, który potwierdzi to, co pan mówi.

– Sprawa jest jasna, Warshawski. W ciągu ostatniego miesiąca byłaś zamieszana w dwa podejrzane pożary. Sądźmy, iż sama podłożyłaś ogień, chcąc wzbudzić powszechne zainteresowanie swoją osobą. Gdy ci się to nie udało, zamontowałaś bombę we własnym samochodzie. Chcę, abys mi powiedziała, skąd wzięłaś dynamit.

Poczułam, jak wielką przyjemność by mi sprawiło chwycić go za długą szyję i tłuc jego głową o ścianę, ale zachowałam jednak dość rozsądku, by zdać sobie sprawę, iż jemu właśnie o to chodzi: chce doprowadzić mnie do furii, a potem zamknąć pod zarzutem zaatakowania policjanta.

– Wiele lat chowałaś się za plecami Bobby’ego Mallory’ego, Warshawski. Czas, byś nauczyła się walczyć samodzielnie.

W ostatniej chwili uświadomiłam sobie, że szybko się do mnie zbliża – zdążyłam się cofnąć razem z krzesłem. Wymierzona w moją głowę pięść uderzyła mnie w plece.

– Zakładam, że pokój jest na podsłuchu! – krzyknęłam. – Niech więc zostanie nagrane, że porucznik Montgomery właśnie w tej chwili uderzył świadka zeznającego w sprawie podłożenia bomby.

Wymierzył mi kolejny cios. Zsunęłam się z krzesła pomiędzy nogi stołu. Montgomery na czworakach chciał mnie stamtąd wyciągnąć. Cały czas wrzeszczał i wyzywał mnie słowami, których musiał się nauczyć z filmów pornograficznych. Udało mi się wczołgać trochę głębiej pod stół. Usiadł na tyłku i złapał mnie za kostkę u lewej nogi. Wyrwawszy nogę z jego uchwytu, wypełzłam po drugiej stronie stołu.

Właśnie, gdy się prostowałam, do pokoju wtargnęła policjantka Neely. Na widok porucznika leżącego na brzuchu pod stołem wyraz jej twarzy, zwykle tak opanowany, gwałtownie się zmienił.

– Wypadło mu szkło kontaktowe – pośpieszyłam z wyjaśnieniem. – Pomagałam mu szukać, ale gdy pomylił moją kostkę ze swoją gałką oczną, pomyślałam, że będzie lepiej cofnąć się na bezpieczną odległość.

Neely nie wymówiła ani słowa. Zanim Montgomery wygramolił się spod stołu, jej twarz przyjęła oficjalny wyraz.

– Porucznik Mallory dowiedział się o świadku, którego pan przesłuchuje, i chciałby parę minut z nim porozmawiać – wyrecytowała beznamiętnie.

Montgomery spojrzała na nią, jakby ją chciał zabić wzrokiem. Trochę było mi jej żal. To, że ujrzała porucznika w chwili, gdy nie wyglądał zbyt poważnie, niewątpliwie zaważy na jej karierze.

– Nie sądzę, by porucznik miał mi jeszcze coś ważnego do powiedzenia. On wszystko już

wcześniej wiedział bez zadawania jakichkolwiek zbędnych pytań. Chodźmy więc.

Sama otworzyłam drzwi od pokoju przesłuchań i skierowałam się wzdłuż korytarza, nie czekając na nią. Nelly dogoniła mnie dopiero przy schodach.

Chciałam powiedzieć jej coś miłego, co podtrzymałoby jej zapał do pracy w charakterze stróża prawa, lecz byłam zbyt wstrząśnięta, by wydusić z siebie jakiś pogodny frazes. Szła obok mnie, patrząc prosto przed siebie, nie potrafiłam więc stwierdzić, czy była zawstydzona, zmieszana, czy też po prostu mało wrażliwa. Na trzecim piętrze stanęliśmy przed drzwiami małego biura Bobby'ego. Neely zapukała, po czym otworzyła drzwi.

– Przyprowadziłam panią Warshawski, sir. Czy chce pan, bym protokołowała?

Bobby właśnie rozmawiał z kimś przez telefon. Na pytanie Neely przecząco pokręcił głową, a mnie wskazał krzesło. Neely głośno zamknęła za sobą drzwi. Na stole i ścianach w biurze Bobby'ego rozmieszczone były zdjęcia rodzinne: lecące żółte ptaszki, dzieci przymierzające czapkę policyjną i ukazujące w szerokim uśmiechu liczne szczyrby w uzębieniu, Eileen pod rękę z najstarszą córką w ślubnej sukni i wiele, wiele innych. Zwykle szukałam wśród tych fotografii Tony'ego i Gabrieli, czy też siebie na kolanach Tony'ego. Dzisiaj mało mnie to obchodziło. Siedziałam ściskając mocno poręcz metalowego krzesła i czekałam, aż skończy rozmowę. Oprócz Montgomery'ego, Bobby był ostatnim człowiekiem, którego chciałabym dzisiaj spotkać.

– Powiedz mi, Wik, co się tutaj dzieje, i to szybko. Zadzwonił do mnie twój adwokat i od niego się dowiedziałem, iż tutaj jesteś. Nie cieszy mnie, że z twojego powodu muszę wejść w drogę innemu policjantowi.

Westchnęłam głęboko i możliwe spokojnie streściłam wydarzenia minionego dnia. Bobby jęknął i zadał mi kilka pytań: Skąd wiedziałam, że to bomba, jak długo czekałam na przybycie Monty'ego po telefonie na policję.

Gdy dobrnęłam do końca, Bobby zrobił surową minę.

– Znalazłaś się w trudnym położeniu, Wik. Ciągle ci powtarzam, byś przestała bawić się w policjanta, i sama widzisz, że mam rację. Przyszłaś do mnie, bym pomógł ci wypić piwo, którego sama nawarzyłaś.

– O czym ty mówisz, Bobby! – Byłam tak wściekła, że wydawało mi się, że głowa odskoczyła na metr od mego tułowia. – Powtarzam ci: nie podłożyłam tej bomby w samochodzie. A policja zamiast wdrożyć śledztwo i wyjaśnić, kto to zrobił, oskarża mnie o próbę samobójstwa.

– Nie twierdzą, iż ty sama włożyłaś ten ładunek, Wik. Znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie jesteś aż tak niezrównoważona. Lecz gdybyś nie wylała się, tak jak cię prosiłem, w te pożary i wszystkie dodatkowe sprawy, nie miałabyś teraz kłopotów.

Spojrzał na mnie jak dobry tatuś na niegrzeczną córeczkę.

– Będę musiał wmieszać się w dochodzenie, które prowadzi facet o dość trudnym charakterze. W zamian chcę, byś obiecała, że już nie będziesz się zajmować sprawą podpaleń. Nie tylko przysporzyłaś kłopotów sobie, ale również prowokujesz ludzi w mojej jednostce. Byłaś tu wczoraj wieczorem z tą przeklętą bransoletą, której widok wyprowadził chłopców z równowagi. Nie mogę tego tolerować! Zrozumiałaś!?

Mocno zacisnęłam usta.

– Wczoraj przyszedłam tu z bransoletą, bo pomyślałam, iż mógł ją zgubić Finchley, gdy był u mnie z Montgomerym w zeszłym tygodniu. McGonnigal wściekł się, gdy ją zobaczył, bo dobrze wiedział, że należy do Fureya, i pewnie sądził, iż chcę się pochwalić jej posiadaniem. Późno w nocy uświadomiłam sobie, że bransoleta należy do Fureya i pojęłam, w jaki sposób znalazła się u mnie. Furey podarował ją Helenie i Cerise, zamordowanej dwa tygodnie temu w Rapelec, w zamian za milczenie, że rozpoznały w nim podpalacza „Indiana Arms”.

Bobby uderzył dłonią w blat stołu. Jedna z fotografii spadła z biurka na podłogę.

– Dosyć! To są wstrętne insynuacje! Długo traktowałem cię pobłaźliwie. Uważam, że wymyślasz bzdury. Powinnaś mieć więcej rozsądku i nie opowiadać takich niestworzonych rzeczy. A teraz wracaj do domu. Powiedziałem ci dwa tygodnie temu, byś przestała mieszać w moim wydziale, traktuj to poważnie. Niech to będzie ostatni raz, gdy cię tu spotykam.

Wstałam i spojrzałam na niego ze spokojem.

– Nie chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałam? Jeśli mam rację, to Montgomery i Furey mogą zostać zamieszani w tak wielki skandal, jakiego ten wydział jeszcze nie przeżył.

Wzrok Bobby’ego stał się dziki.

– Oszczędź mnie. Muszę wysłuchiwać dostatecznie dużo bzdur każdego dnia, lecz nie mogę dopuścić do obrzucania oszczerstwami jednego z moich ludzi. Powtarzałem ci dziesiątki razy, iż zajmujesz się sprawami, które cię wykołejają, a to, co mówisz, jest najlepszym tego dowodem. Wymyślasz jakieś paranoidalne historie. Gdy cię namawiam do założenia rodziny, to się złościsz. Kobietom w twoim wieku, kiedy są samotne, zaczynają przychodzić do głowy różne dzikie pomysły. Nie chciałbym widzieć, że kończysz tak jak twoja zwariowana ciotka.

Nie wiedziałam, czy mam krzyczeć, czy też śmiać się.

– Bobby, twoje poglądy były już przestarzałe w chwili, w której się rodziłeś. W każdym razie w żadnym stopniu nie mają zastosowania do mnie. Jeżeli po to, by zachować wiarę w wydział, musisz uważać mnie za stukniętą dziewicę, to proszę bardzo, ale gdy wszystko ci się zacznie walić na głowę, pamiętaj, że cię ostrzegałam.

Bobby zerwał się na równe nogi. Poczzerwieniał i z trudem chwycił powietrze.

– Wynoś się stąd i już więcej nie wracaj. Twoi rodzice byli moimi najlepszymi przyjaciółmi, ale gdybyś tak odzywała się do mnie, jak odzywałaś się do nich, to połamałbym ci wszystkie kości. Patrz, do czego cię to doprowadziło! Jak śmiesz tak mówić do mnie! Wynoś się!

Krzyczał tak głośno, że z pewnością słyhać go było na ulicy, a co dopiero w przyległych pomieszczeniach. Jednak gdy opuszczałam jego pokój, udało mi się trzymać głowę dumnie wzniesioną do góry i zachować spokojny krok. Cicho zamknęłam za sobą drzwi. Wlepiającym we mnie oczy policjantom z głównego pokoju jednostki, przez który musiałam przemaszerować do wyjścia, powiedziałam:

– Dziewczęta i chłopcy, już po burzy. Porucznik trochę się zdenerwował, ale nie sądzę, by tego popołudnia jeszcze zagrzmiało.

ROZDZIAŁ 42

Spotkanie z Elektra

Powoli posuwałam się wzdłuż ulicy State Street. Byłam wściekła i sfrustrowana. Ktoś podłożył mi bombę, a nikt z policji nie próbował nawet spytać pana Contrerasa o ludzi, których zauważył w nocy. Zamiast tego Roland Montgomery zastosował wobec mnie przemoc fizyczną, a Bobby psychiczną. Pierwszy obiecał, iż połamie mi wszystkie kości. W ten właśnie sposób zamyka się usta ludziom, którzy zadają pytania, i zmusza się, by robili to, co im każą.

Byłam także bardzo zła na siebie. Nie powinnam nic mówić Bobby'emu o Fureyu, dopóki nie dysponowałam niezbitymi dowodami. To było oczywiste, iż Bobby nie zniesie żadnych brzydkich historii o swoim chłopczyku, nawet gdybym mogła poprzeć je czymś bardziej przekonującym. Wcale nie cieszyła mnie perspektywa, że może już wkrótce będę zmuszona sprawić mu wiele przykrości.

Pomyślałam, że zjedzenie czegoś dobrze by mi zrobiło. Ostatni posiłek spożyłam sześć godzin temu, potem zresztą zwymiotowałam na ulicy. Weszłam do pierwszej kafejki, jaką spotkałam po drodze. Podawano tam różnego rodzaju sałatki, ale ja zamówiłam frytki i kanapki.

Ponieważ było już po godzinach największego ruchu, frytki przyrządzone specjalnie dla mnie były kruche i gorące. Nagle przypomniałam sobie, że powinnam sprawdzać co godzinę, czy Uliczni Bracia próbowali się ze mną skontaktować. Zabrałam torebkę z frytkami do automatu telefonicznego, umieszczonego przed kafejką.

Telefon odebrał Tim Streeter.

– Możemy zająć się twoją sprawą jutro z samego rana, Wik. Musisz jednak przedtem porozmawiać z chłopcami, podać im rysopis i wskazać, w jakich miejscach mogą ewentualnie znaleźć twoją ciotkę.

Jutrzejszy ranek tym razem wydawał się bardzo odległy. Nie mogłam jednak protestować, niewątpliwie zrobili mi wielką przysługę. Powiedziałam Timowi, że spotkam się z nimi na rogu Indiana i Cermak o ósmej i odłożyłam słuchawkę.

Być może jeszcze dziś zdążę poszukać ciotki na własną rękę. Mogę wstąpić do biura Augusta Craya, a potem pojechać do domu, by odebrać czekające na mnie auto. Zadzwoiłam do wypożyczalni samochodowej, obiecali, że zostawią je pod drzwiami domu z kluczami ukrytymi pod przednim zderzakiem.

Chociaż posiłek był solidny, rachunek nie przekroczył dziesięciu dolarów. Kanapki zabrałam ze sobą, by zjeść je po drodze do biura Craya.

Adres Farmwork, który dostałam od Freemana Cartera, wskazywał na to, iż biuro leży w północnej części LaSalle. Podjechałam autobusem do Van Buren, a potem przesiadłam się w kierunku Dan Ryan. Autobus jechał szybciej, niż o tej porze dnia jakakolwiek taksówka. Była czwarta trzydzieści, kiedy wysiadałam przy Clark. Trzy bloki dalej mieściło się biuro. Miałam

nadzieję, że nawet jeśli nie zastanę już Craya, to uda mi się porozmawiać z kimś z jego pracowników.

Szłam pod prąd wychodzącego z pracy tłumu, wewnątrz budynku z trudem przeciskałam się do windy. Znalazłszy się w pustej kabinie, odetchnęłam z ulgą i pojechałam na dwudzieste ósme piętro. Idąc korytarzem po miękkiej szarej wykładzinie, trafiłam do pokoju 2839. Na mocnych, dębowych drzwiach znalazłam tabliczkę z napisem: „Property Management”. Prawdopodobnie kierowano stąd tak wielką liczbą firm, iż rzeczą niemożliwą byłoby umieszczenie na drzwiach wszystkich ich nazw.

Drzwi były zamknięte, nacisnęłam więc na dzwonek, umieszczony z prawej strony tabliczki. Po dłuższej chwili nieśmiały głos zapytał:

– Kto tam?

– Chciałabym zainwestować w Farmworks – oznajmiłam. – Czy mogłabym widzieć się z Augustem Crayem?

Drzwi się otworzyły. Weszłam do małej, wąskiej i niezbyt przytulnej poczekalni. Nie było w niej okien, pod ścianami stało tylko kilka twardych krzeseł. Na lewej ścianie małe okienko z ruchomą szybą pozwalało na rozmowę z interesantem nie wpuszczając go do środka. Gdy weszłam, było zasunięte. W rogu sufitu zauważyłam małą kamerę telewizyjną. Uśmiechnąwszy się pomachałam do niej ręką. Nie musiałam długo czekać. W drzwiach pojawiła się Star Wentzel. Blond włosy zaczesane miała do tyłu i spięte dużą białą spinką. Długa obcisła spódnica podkreślała szczupłość jej bioder. Wyglądała jak uczennica liceum z lat pięćdziesiątych, a nie jak pracownica przedsiębiorstwa.

– Czego pani tutaj szuka? – zapytała władczym głosem.

Uśmiechnęłam się.

– Mogłabym pani postawić dokładnie to samo pytanie. Chciałam spotkać Augusta Craya, przedstawiciela Farmworks, a wpadłam na panią, oplakującą śmierć matki i dzielnie wypełniającą swoje obowiązki.

– Nie wskrzesiłabym matki, pozostając w domu – powiedziała rozdrażnionym głosem. – Pani nie ma prawa mnie pouczać, jak się powinnam zachować.

– Oczywiście, że nie, droga Star. Czy mogłybyśmy wejść do środka. Nadal chciałabym rozmawiać z Augustem Crayem.

– Nie ma go. Może mi pani powiedzieć, z czym pani przychodzi?

Była to wyuczona formuła i gdy ją wypowiadała, głos jej zatracił wrogi ton. Uśmiechnęłam się.

– Przyszłam zainwestować w Farmworks. Jest to świetnie rozwijające się przedsiębiorstwo. Słyszałam, iż zawarło nowy kontrakt w związku z budową stadionu. Chcę zostać milionerką tak jak Boots i MacDonald.

– Nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi?

– A więc wytłumaczę pani. To jednak zajmie trochę czasu, wejdźmy lepiej do środka, nie ustoi pani długo na tych wysokich obcasach.

Otworzyłam drzwi i delikatnie popchnęłam Star do pokoju. Było to miłe pomieszczenie z jasnym biurkiem, zbliżonym kolorem do jej włosów. Na stole stały dwa przenośne komputery

marki Apollo, które widziałam w biurach Alma Mejjicana. Pod ścianami szafy na segregatory. Strąciłam stertę prospektów z krzesła w poczekalni i weszłam za nią. Usiadła w swoim wyściełanym, obrotowym krześle za biurkiem. Usta jej wyrażały w tej chwili upór, chyba podobnie jak i moje.

Uniosła w górę swój smukły nadgarstek, spojrzała na złoty zegarek, żeby zobaczyć, która godzina.

– Nie mam zbyt wiele czasu, proszę więc mówić, o co chodzi, gdyż zaraz wychodzę do domu. Dziś wieczorem podejmuję wraz z siostrą kilka osób zaprzyjaźnionych z matką.

– Właśnie przychodzę do pani, przynajmniej częściowo, z powodu matki.

– Pani twierdzi, że była przyjaciółką mojej matki, ale nikt z jej przyjaciół nie słyszał nigdy o pani.

– Dlatego, iż nasza przyjaźń miała wąski, zawodowy charakter. Po pożarze „Indiana Arms” – mam nadzieję, że zna pani tę sprawę? – rozmawiałam z nią wielokrotnie na ten temat w nadziei, że uda nam się wpaść na ślad sprawcy pożaru. Pani matka niewątpliwie знаła jakąś tajemnicę, która dotyczyła pani i jej siostry. Po mojej rozmowie z panią na pogrzebie nabrałam pewności, że właśnie fakt, iż pani tu pracuje, starała się za wszelką cenę ukryć. I właśnie tego chciałam się dowiedzieć, dlaczego jej tak na tym zależało.

W jej twarzy dostrzegłam cień uporu upodobniający ją do matki.

– To nie powinno pani obchodzić.

Oświadczyła to z dziecinną niemal impertynencją. Ten sposób bycia udzielił się również i mnie. Położyłam obie ręce na biurku i pochyliłam się nieco do przodu:

– Star, kochanie, przyjmij teraz dzielnie to, co powiem: to twój szef zabił twoją matkę.

Wypieki pojawiły się na jej policzkach.

– To kłamstwo! Moja matka została zamordowana przez bandytę, który sądził, że biuro jest puste i...

– I włamał się, a następnie ukradł tylko i wyłącznie dokumenty, które dotyczyły ofert kupna „Indiana Arms” – przerwałam jej. – Star, daj spokój tej bredni. To Ralph i Boots stworzyli ją na twój i publiczny użytek. Prawda jest inna. Gdy matka dowiedziała się, iż otrzymałam wasze zdjęcie, bała się, iż mogę panią wmieszać w sprawę podpalenia i tego sobie za żadną cenę nie życzyła. Poszła więc do Ralph'a i oświadczyła mu, że ma zamiar powiedzieć mi o jego ofercie kupna „Indiana Arms”. Wtedy on sam ją zabił lub też zlecił to zadanie płatnemu mordercy. Dlaczego pani teraz usiłuje chronić tych przestępców, odpowiadających za śmierć matki?

– To pani wymyśliła tę historię – Ralph i Gus uprzedzili mnie już o tym. Powiedzieli, co pani może próbować mi wmówić. Pani sądzi, że jest nader przebiegła, ale oni są od pani mądrzejsi.

– Gus? – zapytałam i z miejsca uświadomiłam sobie, iż chodzi o Augusta. – Jedno jest pewne, jest znacznie bardziej przebiegły niż pani! Dotąd nie miałam pojęcia o tym, że MacDonald jest powiązany z Farmworks i dopiero pani mi o tym powiedziała. Ja się tego domyślałam. Czy mam się wszystkiego domyślać po kolei, a pani będzie tylko potwierdzała, czy mam rację, czy też nie? A może pani sama mi wszystko powie?

Podciągnęła się w swoim krześle obrotowym.

– Lepiej będzie, jeśli pani sobie stąd pójdzie, zanim wezwę policję. Pani mnie napastuje w prywatnym biurze z naruszeniem prawa.

– Pani pozwoli mi jednak nadal snuć domysły – przysunęłam do siebie leżący na biurku notes z numerami telefonów i zaczęłam go przeglądać.

– Może pani zadzwonić na prywatny numer Rolanda Montgomery’ego, natychmiast przyśle kilku umundurowanych funkcjonariuszy, żeby mnie stąd usunęli. Ach, Star! Jaki zbieg okoliczności! Już go znalazłam!

– Ja... to jest... – zaczęła mówić, ale nie skończyła. – Pani nie ma żadnych dowodów.

– Nie – musiałam przyznać. – To tylko jeszcze jeden domysł. Ale on, Ralph, a przynajmniej Farmworks, tkwi w samym centrum różnych działań, które mogłyby zainteresować FBI. I chyba się zainteresuje, kiedy *Herald* opíše całą sprawę. Wtedy władze federalne trafią do pani teczek i oskarżą, również panią, o udział w oszustwach, podpaleniu i morderstwie. Przystanie pani być biedną, małą sierotką – zostanie przestępcą i więźniarką. Kiedy sąd się dowie, że dopuściła pani do sytuacji, w której jej matka zginęła dla niej, z pewnością nie potraktuje pani jako słabego, bezbronnego stworzenia.

– To, że mój pracodawca próbował kupić budynek stanowiący własność matki, nie znaczy wcale, że ją zabił. W głosie jej słychać było pogardliwy ton.

– I Ralph, i Boots za wszelką cenę chcieli nabyć „Indiana Arms”, czyż to nieprawda? Wiem o ich projekcie budowy stadionu – nie stanowi żadnej tajemnicy. I nie zajęłoby pani wiele czasu odszukanie dla mnie materiałów na ten temat.

Po krótkim zastanowieniu Star przyznała, że Farmworks wykupił wszystkie – z wyjątkiem „Indiana Arms” – nieruchomości w trójkącie za McCormick Place i Dan Ryan, przygotowując się w ten sposób do udziału w wielkiej inwestycji budowy stadionu. Star, która prowadziła wtedy księgowość Seligmana, uważała, że staruszek popełnia błąd, nie chcąc się zgodzić na sprzedaż hotelu i próbowała namówić go do tego.

– Zachowywał się tak, jakby ten budynek znaczył dla niego więcej niż własne dzieci. Wydawało się, iż ucieszy go tak bardzo korzystna oferta – również Barbara i Connie wolałyby z pewnością odziedziczyć pokaźny spadek w gotówce, niż tę sypiącą się rudere. Nawet wtedy, gdy wszystkie urządzenia wewnątrz zaczęły się po kolei psuć i windy odmówiły posłuszeństwa ostatecznie, uparcie odmawiał przyjęcia oferty.

– Był do hotelu przywiązany uczuciowo. Co się działo potem? Udała się pani do Augusta Craya i Ralpha z propozycją, by panią zatrudnili u siebie, a pani w zamian za pośrednictwem matki będzie naciskała na Seligmana.

Pogardliwym gestem odrzuciła do tyłu jasne włosy.

– To oni uczynili mi pewną propozycję, stwierdzając, iż marnuję się u Seligmana.

– Czego chcieli od pani? By sfalszowała pani dokumenty sprzedaży? Czy panią byłoby stać na to? Czy może chodziło o to, by matka pani dalej namawiała staruszką do sprzedaży?

Uśmiechnąwszy się chłodno rzekła:

– Tego się pani nigdy nie dowie.

– Rita dowiedziała się, że pan Seligman dał mi fotografię, na której obok jego córek jest

także pani z siostrą. Matka pani wpadła w panikę. Bała się, iż jeśli pokażę zdjęcia, ktoś, kto mieszkał lub pracował w „Indiana Arms”, może was rozpoznać. Po co tam chodziłyście? Psuć windy zapewniając, iż nie nadają się już do reperacji? Pani oświadczyła więc Ralphowi, że matka się boi, a on postanowił usunąć niewygodnego świadka, zleciwszy jej zamordowanie.

Słuchając mnie przygryzała nerwowo dolną wargę, ale wciąż nie ustępowała.

– Pani tkwi w kręgu własnych domysłów i przypuszczeń. Nie mam najmniejszego zamiaru pani zaprzeczać, gdyż – jak widzę – panią ta zabawa pochłania całkowicie.

– Tak, to są na razie tylko domysły i przypuszczenia. Ktoś inny na pani miejscu odwoływałby się teraz do policji, adwokatów i świadków, panią jednak interesuje tylko, co ja mam na ten temat do powiedzenia, nieprawdaż? Pragnę zwrócić pani uwagę, że Boots może nawet mieć lokalną policję w kieszeni, ale nie FBI.

Wstałam z miejsca. Star miała dziwny uśmiech na twarzy.

– Oczywiście, pani musiałaby najpierw złożyć doniesienie władzom federalnym, nieprawdaż? Sądzę, że jeśli Boots nie ma dużego wpływu na FBI, to jednak jest w stanie ich przekonać, by pani nie słuchali.

Na takie *dictum* żołądek podskoczył mi do gardła, ale ze spokojem zauważyłam jeszcze na zakończenie rozmowy.

– Czy Ralph i Boots opowiedzieli może pani o drobnym figlu, jaki zamierzali mi spłatać? Myślę o samochodzie. Wykryłam pułapkę i teraz jestem bardziej ostrożna. LeAnn kiedyś mi opowiadała, jakim łobuzem w młodości był Boots. Obecnie zaczynam to doceniać.

Podniosła słuchawkę telefonu, nie czekając nawet, aż znajdę się za drzwiami. Nie zamknąwszy ich za sobą, przystanąłam nad słuchując. Poprosiła o Ralpa, oświadczając, iż ma bardzo pilną sprawę i czeka na jego telefon w biurze.

ROZDZIAŁ 43

Oko cyklonu

Stałam pośrodku LaSalle Street i starałam się uciszyć narastający we mnie niepokój. Potrzebowałam pilnie sojuszników. Tylko przez przypadek nie zostałam rozerwana na kawałki. A Roland Montgomery z pewnością zamknąłby śledztwo z braku jakichkolwiek dowodów, iż dokonane zostało przestępstwo lub uznałby mnie za maniacką samobójczynię. Niemal w cudowny sposób uniknęłam śmierci – nie była to jednak pewnie ostatnia próba przedstawienia mi przez Ralpha jego wersji całej historii. Mogłam liczyć na następne.

Być może niesłusznie przypisuję Ralphowi podłożenie bomby w samochodzie? Może to raczej zawdzięczam Rolandowi Montgomery'emu – ma łatwy dostęp do wszelkiego rodzaju materiałów wybuchowych. A może Michaelowi, który mógł je dostać od swoich przyjaciół z Wunsch and Grasso. Na samą myśl o tym skręcały się we mnie wnętrzności. Wszyscy tylko nie on. Tak naprawdę, to nigdy nie było między nami miłości, lecz przez krótki czas byliśmy przecież kochankami. Czyż byłabym sobie w stanie wyobrazić ciało, które było przedmiotem moich pieśszot, rozerwane na krwawe strzępy? Może odprawa, jaką otrzymał ode mnie, wywołała w nim pragnienie zemsty?

Pokręciłam głową niezadowolona z siebie. Nie był to najbardziej odpowiedni moment do snucia melancholijnych rozmyślań. Powinnam wziąć się w garść. Do pasa miałam przytroczony pistolet, na którym mogłam polegać. Nie mogłam go tak po prostu wyciągnąć na środku ulicy, ale było mało prawdopodobne, by ktoś próbował mnie tutaj zastrzelić w godzinach wieczornego szczytu. Miałam szczęście, iż Montgomery'emu było tak bardzo spieszno do osadzenia mnie w areszcie śledczym i złamania szczęki podczas przesłuchania, że zaniedbał zwykłych formalności, obowiązujących na policji w takich sytuacjach. Nikt mnie nie rewidował, nie musiałam oddać pistoletu, by następnie ubiegać się o zezwolenie na jego posiadanie.

Potrzebowałam w tej chwili telefonu, ale bałam się pojechać do swego biura, gdzie mogłam stać się łatwym obiektem kolejnego ataku ze strony MacDonalda, Montgomery'ego czy Michaela. Z tego samego powodu nie mogłam udać się do domu ani do Lotty – nie chciałam narażać ani Peppy, ani swojej najlepszej przyjaciółki na przypadkową śmierć od wybuchu bomby.

Zatrzymałam wolną taksówkę i poleciłam kierowcy, by zawiózł mnie do „Golden Glow”. Sal udostępni mi swój aparat, a przy okazji uspokoję nieco nadwreżone nerwy szklaneczką whisky.

Gdy taksówkarz kluczył po zatłoczonej o tej porze jezdni, pomyślałam, iż to chyba jednak nie Ralph osobiście polecił podłożyć mi bombę. Najprawdopodobniej w pewnym momencie przeciągnął dłonią po swych srebrnych, krótko ostrzyżonych włosach i westchnął głęboko:

– Czy już nikt nie jest w stanie uwolnić mnie od tej wścibskiej baby?

Najczęściej tak bywa, myślałam z goryczą, że zlecenie brudnej roboty jest wydawane nie

wprost, a w sposób zawołowany. Potem można się tłumaczyć: O niczym nie wiedziałem, zostałem źle zrozumiany.

– Pani coś mówiła? – zapytał taksówkarz.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, iż zaczęłam mówić do siebie głośno.

– Proszę zatrzymać sobie resztę – odpowiedziałam. Murray Ryerson siedział przy mahoniowym barze w kształcie podkowy popijając Halsteina, dyskutował z Sal o zbliżającym się sezonie basketballowym. Żywej wymiany zdań nie przerwali nawet wtedy, gdy ja wgramoliłam się na wysoki stół, siadając tuż przy nich. Sal niemal odruchowo postawiła przede mną spory kieliszek i nalala do niego whisky.

Klientów obsługiwał kuzyn Sal, spacerując między stolikami. W milczeniu sączyłam drinka, nie podejmując udziału w dyskusji, aż Murray niby przypadkowo rzucił mi pytanie:

– Co u ciebie nowego?

Wypiłam resztkę alkoholu, pozwalając Sal powtórnie napelnić pusty kieliszek.

– Mało brakowało, a spełniłoby się twoje pragnienie napisania mojego nekrologu – ktoś mi podłożył bombę w samochodzie.

Początkowo Murray sądził, że żartuję.

– Co takiego? I przyszedł tutaj, aby mi to powiedzieć?

– Właśnie po to. – Kiedy w relacji doszłam do momentu, gdy szef brygady do walki z zamachami bombowymi i podpaleniami, odmówił wszczęcia śledztwa, Murray, przeprosiwszy mnie, na chwilę wyszedł do samochodu po magnetofon.

Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, począwszy od „Indiana Arms” i Saula Seligmana – a na nieprawdopodobnym oskarżeniu mnie przez Montgomery’ego o podpalenie i podłożenie sobie bomby w samochodzie skończywszy.

Kiedy skończyłam, Murray objął mnie ramieniem i pocałował w usta.

– Jesteś wspaniała, Wik. Z całego serca wybaczam ci historię z ubiegłej zimy. To, co od ciebie teraz usłyszałem, jest najwyższej marki. Potrzebuję jeszcze tylko jakichś dowodów.

– Czy ładunek dynamitu nie jest dla pana wystarczającym dowodem? – wtrąciła Sal, stawiając przed nim butelkę Halsteina. Może dopiero trup wywarłby na panu jakieś wrażenie?

– To wszystko dowodzi, iż ktoś chciał ją zabić, ale jeszcze nie wiemy kto. – Murray pociągnął wino prosto z butelki. – Czy nie udało ci się skopiować jakichś dokumentów w biurze Alma Mejjicana lub w Farmworks?

– Zrobiłam trochę notatek w Alma, lecz w Farmworks nie znalazłam żadnych rejestrów. Czy ty sam nie mógłbyś zdobyć czegoś poprzez system komputerowy Lexis lub w Urzędzie Kontraktowym? A może jest ktoś we władzach okręgowych, kto zdradziłby ci, co właściwie winien jest Montgomery Bootsowi? To mnie bardzo niepokoi, boję się tego depcącego mi po piętach policjanta, który w każdej chwili może mnie zabić albo zrobić w jakąś nieczystą sprawę.

Sal zaproponowała mi kolejnego drinka, ale jej podziękowałam. Nie mogłam spędzić całej nocy w „Golden Glow” lub wyjść z lokalu nie dość trzeźwa, by nie wiedzieć, kto idzie za mną ulicą.

Murray wyszedł na chwilę do prywatnego biura Sal, by wykonać kilka telefonów. Było

już zbyt późno, aby zdobyć jakiegokolwiek dane z okręgu, lecz on miał zamiar ustalić poprzez system Lexis, jakie istnieją powiązania między MacDonaldem lub Meagherem a Alma Mejjicana, co mnie wcześniej nie przyszło do głowy.

– Co dalej? – zapytała Sal. – Siedzisz cicho, dopóki nie nadejdzie burza?

– Pewnie pójde do domu – powiedziałam, nie zważając na energiczne protesty Sal. – Wiem, że się bardzo boję, ale... – przerwałam, usiłując trzymać na wodzy swoje nieco nieskoordynowane uczucia.

Po rozmowie z Murrayem sytuacja zmieniła się nieco. Murray może opublikować całą tę historię – jeśli jutro zdobędzie potrzebne mu fakty – w piątek lub sobotę, pod warunkiem, że *Star* nie ulęknie się Bootsa ani Ralpa. Kiedy ci obaj zorientują się, że ich machinacje i brudne interesy zostają podane opinii publicznej, będą niszczyć dokumenty i zacierać ślady prowadzące od nich do Ryan. Prawdopodobnie zatrudnią hiszpańskich i murzyńskich robotników z odpowiednią dokumentacją terminu ich zatrudnienia na budowie.

– Jeśli sądzą, że jak dotąd wiem o nich wszystko tylko ja, mogą przyjść po mnie. Może będziemy mogli wtedy nakryć któregoś z nich na gorącym uczynku.

– Masz na myśli siebie i Murraya? – Na twarzy Sal dostrzec było można powątpiewanie.

– Ja zagram rolę, a Murray zrobi zdjęcia – powiedziałam z wymuszonym optymizmem. – Myślę jednak, że najlepiej będzie, jeśli wszystko rozegra się w moim domu. Bałam się, że Ralph, aby mnie dostać, może zaryzykować wysadzenie w powietrze budynku, w którym mieszkam. W rzeczywistości bardziej jest jednak prawdopodobne, iż będzie chciał mnie dopaść samą na osobności. Mój stary sąsiad z parteru był już na wszystkich pobliskich komisariatach z meldunkiem o mężczyznach, którzy dopytywali się o mnie i prawdopodobnie podłożyli bombę w samochodzie. Nie wierzę, by ci sami ryzykowali ponownie, w każdym razie, jeśli nawet tak – to nieprędko.

Kilku mężczyzn wyglądających na biznesmenów weszło do lokalu, siadając na stołkach przy barze naprzeciwko mnie. Sal odeszła na chwilę, by przyjąć zamówienie.

W zamyśleniu bawiłam się kieliszkiem. Jednego nazwiska nie podałam Murayowi – Michaela Fureya – bynajmniej nie dlatego, żeby go chronić – po prostu nie miałam dowodu na to, że był w tę ciemną sprawę wmieszany, chociaż logika na to wskazywała. Nie dostrzegłam również jego nazwiska w spisie telefonów *Star*.

Przede wszystkim muszę ustalić, w jakim stopniu Michael jest powiązany z interesami swoich przyjaciół; być może ulokował pieniądze w Farmworks? I może to on wziął heroinę z policyjnych zapasów, która zabiła Cerise?

Jeśli był winien – trudno mi było sobie wyobrazić, w jaki sposób mogę powiadomić o tym Bobby'ego. Próbowalam mu to dzisiaj zasugerować, nie mając jednak żadnych dowodów. Gdyby się pojawiły... na samą myśl o tym wzdygnęłam się. Lepiej by było, żeby ktoś inny przekazał mu tę smutną prawdę.

Po wyjściu Murraya z biura Sal skorzystałam z okazji, by zadzwonić do Lotty. Okazało się, iż słyszała już od pielęgniarki o podłożonej mi bombie. Uważała, że powinnam do niej przyjechać i pozostać u niej, dopóki policja nie schwyta winnego. W końcu zgodziła się – choć z niechęcią – bym jednak wróciła do domu.

– Wik, bądź ostrożna, dobrze? Nie przeżyłabym twojej śmierci. Pomyśl najpierw o mnie, nim nadstawisz głowę pod kulę.

– Mój Boże, Lotty, w takich sytuacjach myślę przede wszystkim o sobie. Czy sądzisz, iż nie zależy mi na życiu? Już dawno tak bardzo się nie bałam. Gdyby Bobby Mallory chciał mnie wysłuchać do końca, zająłby się poważnie tą sprawą.

– Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, kiedy skończyłam, byłam bliska płaczu. Wstałam zza biurka Sal i wróciłam do baru. Ręce trzęsły mi się ze zdenerwowania, ale w żołądku czułam uspokajające ciepło od wypitej whisky.

Bar powoli pustoszał. Sal zmywała znoszone ze stołów przez kuzyna talerze i kieliszki. Kiedy ustawiła je na półce, wróciła do mnie.

– Jesteś pewna, że chcesz teraz wrócić do domu? – zapytała.

– Jak najbardziej. – Włożyłam ręce głęboko do kieszeni. Prawa dłoń dotknęła metalu. Wyjęłam z kieszeni kluczyki do samochodu, zapomniałam, że je tam włożyłam. Ich widok zdenerwował mnie jeszcze bardziej.

Sal nie lubi okazywać czułości, ale wyszła spoza kontuaru i przycisnęła mnie do piersi.

– Uważaj na siebie, Wik. Boję się o ciebie.

– Nie jest tak źle, bywało gorzej – odparłam z wymuszoną brawurą.

– Jeśli miałabyś zginąć, to pamiętaj, iż nie oczekuje cię lepszy świat niż ten, na którym żyjesz. Więc bądź ostrożna.

– Będę się starała, Sal.

Murray zaproponował, że mnie podrzuci.

– Potem przejdę się jeszcze tam i z powrotem i sprawdzę, czy jeszcze żyjesz – żartował.

– Zamknij się, Ryerson – ostro powiedziała Sal. – Taki szubieniczny humor jest dziś zupełnie nieodpowiedni.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Do lokalu wszedł spóźniony gość. Sali zajęła się nim, a ja wyszłam razem z Murrayem.

Sposób, w jaki przekomarzałam się z Murayem, wykluczał jakąkolwiek intymność. Zresztą byłam dziś zbyt napięta nerwowo, by reagować na jego dwuznaczne żarty. Trąc dłońmi o dzinsy na kolanach, usiłowałam nie myśleć, jaką nową niespodziankę szykuje mi MacDonald.

ROZDZIAŁ 44

Przyjaciół zakłada mi kajdanki

Murray wysadził mnie tuż przy wynajętym samochodzie. Począł, aż zapalę silnik; być może ze względów kurtuazyjnych, a może w oczekiwaniu na wybuch bomby? Nikt nie mógł wiedzieć, z jakiej firmy wypożyczyłam samochód, nic mi więc nie mogło grozić.

Silnik zaczął pracować z wielkim hałasem, lecz spod maski samochodu nie ukazał się ani ogień, ani dym. Gdy Murray stwierdził, że nie wyleciałam w powietrze, odjechał z piskiem opon, pozostawiając mnie niezdecydowaną, w jakim kierunku mam jechać.

Słońce już zaszło, zaczął zapadać zmierzch. Mogłam liczyć, iż jeszcze pół godziny będzie mi towarzyszyło światło dzienne. Było to stanowczo za mało, by udać się na poszukiwanie Heleny. Zresztą jeśli Michael już ją zamordował, to jakie może mieć znaczenie, kiedy znajdę jej zwłoki: dziś wieczór czy jutro rano? Wzdrygnęłam się na myśl o szczurach, które bym spotkała w ciemnościach.

Poczułam, że pokrywa mnie zimny pot na wspomnienie tych gryzoni o czerwonych ślepiach, przemykających z piskiem pod ścianami opuszczonego hotelu. Postanowiłam jechać do domu, zaparkować w pobliżu skrzyżowania ulic Nelsona i Racine'a i przejść pieszo ostatni odcinek drogi. Do budynku weszłam od tyłu schodami kuchennymi.

Peppy powitała mnie u wejścia okropnym ujadaniem. Niemal natychmiast w drzwiach kuchni pojawił się pan Contreras, trzymając w jednej ręce psa na smyczy, w drugiej zaś ciężki klucz francuski.

– Ach, to ty jesteś, kochanie. Myślałam, iż to ktoś obcy usiłuje się wśliznąć do ciebie.

– Dziękuję panu bardzo – powiedziałam łagodnie. – Tym razem to tylko ja. Byłam ostrożna i nie wchodziłam od frontu.

– Możesz się nie niepokoić. Jej wysokość Peppy i ja czuwamy bez przerwy.

Spuścił ze smyczy sukę, która skomlała z nadmiaru ochoty lizania moich rąk i twarzy. Ogonem zataczała szerokie kręgi. Ucałowałam ją pieszcząc delikatnie za uszami. Niczym nie przypominała teraz psa strzegącego domu i groźnego dla włamywacza. Tańczyła wokół mnie i biegała po schodach tam i z powrotem w nadziei, że za chwilę udamy się obie na brzeg jeziora. Pan Contreras z trudem nadążał za nami.

– Co masz zamiar teraz zrobić, moje dziecko? – zapytał ostro, gdy nieproszony znalazł się w moim mieszkaniu.

– Próbuję sobie przypomnieć, gdzie zostawiłam swoją latarkę – zawołałam z sypialni, dostrzegając, że potoczyła się pod łóżko. Peppy pomagała mi wydobyć ją stamtąd, szarpiąc znaną papierową serwetkę i ściągając z łóżka kołdrę.

– Czy to ładnie tak, księżniczko? – Odpędziłam ją od łóżka i udałam się do kuchni.

– Dokąd się teraz wybierasz? – zapytał surowo pan Contreras, spostrzegłszy, że sprawdzam pistolet.

– Chcę spróbować odnaleźć ciotkę. Boję się, że może już nie żyje, a jej zwłoki leżą gdzieś

w jednym z opustoszałych budynków na McCormick Place. – Pomyślałam, że może nikt nie potrzebował nawet jej dotknąć palcem, by stało się to najgorsze – ze szpitala wyszła przecież bardzo osłabiona. Może leży gdzieś w tej chwili nieprzytomna?

– Idę razem z tobą i z księżniczką. – Na jego twarzy widać było zdecydowanie i upór. Początkowo chciałam oponować, ale po krótkim namyśle ustąpiłam. Nadarzyła się okazja, by poprawić mu humor – mógł włączyć się do akcji, nie sprawiając żadnych kłopotów. Poza tym Peppy będzie mogła siać spustoszenie wśród szczurów. Przyjęłam więc narzuconą mi eskortę z wdzięcznym uśmiechem i nie bez satysfakcji.

– Tylko proszę nie wywijać tak groźnie tym ciężkim kluczem – ostrzegłam, zamykając za sobą drzwi od kuchni.

Posłusznie zawiesił go u jednej ze szlufek od spodni i uszczęśliwiony maszerował obok mnie do samochodu. W drodze do Lake Shore i McCormick Place cały czas nie przestawał mówić.

– Zauważyłaś chyba, że twój samochód wciąż jeszcze stoi na ulicy z otwartą maską. Każdy go mija z daleka. Próbowałam namówić tego gówniarza, który przejechał z holownikiem, żeby go zabrał do warsztatu, lecz był za bardzo wystraszony. Zaproponowałam, że zrobię to za niego, ale uciekł jak diabeł przed święconą wodą.

Wypożyczony samochód był niezbyt zwrotny, a silnik robił dużo hałasu. Firma nie zwracała szczególnej uwagi na konserwację wypożyczanego sprzętu.

„Eksploatuj, aż całkowicie będzie nie do użytku” – taka była widocznie jej dewiza.

Peppy była szczególnie podniecona udziałem w nieoczekiwanej ekspedycji. Wciąż rwała się na smyczy, obwąchując wszystkie śmieci, badała je dokładnie z powagą Heinricha Schliemanna. Tylko trochę mniej był przejęty pan Contreras, który wciąż obserwował otaczające nas ruiny.

– Pożary musiały tu być olbrzymie – zauważył.

– Tak – odparłam krótko.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Helena i tym razem mogła sobie wybrać schronienie w pobliżu „Indiana Arms”. Teraz miałam zamiar spenetrować jeden lub dwa ze zniszczonych budynków, reszta musi poczekać do jutra rana.

Najpierw skierowaliśmy się do opuszczonego domu towarowego. Poszedł w ruch klucz francuski, który okazał się bardzo przydatny przy forsowaniu zabitego deskami wejścia.

Wewnątrz budynku prowadzenie objęła Peppy. Z zaciętością ścigała uciekające w popłochu szczury. Cały czas trzymałam w pogotowiu pistolet na wypadek, gdyby któryś usiłował ją zaatakować, wszystkie były zbyt spłoszone i kryły się szybko po dziurach. Po kilku minutach tego polowania przywołałam Peppy do siebie i zaczęłam dokładnie przeszukiwać ruiny.

Wewnątrz budynku prawie nie było ścian, co ułatwiało mi zadanie, gdyż nie musiałam korzystać z drzwi przechodząc z jednego pomieszczenia do drugiego. Naokoło leżały olbrzymie płaty sypiącego się tynku. Z sufitu zwisały porozrywane przewody elektryczne. Przypadkowo zaczepiłam o jeden z nich głową i krzyknęłam mimo woli, odnosząc wrażenie, jakby czyjaś ręka pogłaskała moje włosy. Potykając się o próg w zbutwiełej podłodze,

podbiegł do mnie natychmiast zaniepokojony pan Contreras, pytając, co się stało.

Oparta o jedną ze ścian wielka opona od traktora świadczyła o tym, że ktoś tu był przed nami.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, było ciemno. W tych warunkach nie mogliśmy kontynuować poszukiwań. Zwłaszcza nie miałam ochoty jeszcze dzisiaj penetrować ruin „Prairie Shores Hotel”, gdzie nieomal upiekłam się żywcem. Byłam cała mokra od potu, ręce miałam brudne od dotykania ścian.

Nawet pan Contreras utracił już entuzjazm do dalszych poszukiwań. Co prawda głośno zaprotestował, gdy mu oznajmiłam zamiar powrotu do domu. Jednak gdy stwierdziłam, że jest już zbyt ciemno na dalsze poszukiwania, zgodził się, wyrażając jednocześnie chęć współpracy w dniu jutrzejszym z Braćmi Ulicznymi.

– Dobrze – zapewniłam staruszka. – Z pewnością ucieszą się z pańskiej oferty.

Wsunęłam pistolet za pas dżinsów i poszliśmy do samochodu. Po drodze trząśł głową i mamrotał coś, co tylko częściowo dochodziło do mnie, gdyż silnik okropnie hałasował. Wyglądało to mniej więcej tak:

– Mam nadzieję, że Helena... brum, brum... – to nie jest miejsce dla... – brum, brum, brum... rzeczywiście powinnaś coś zrobić, moje dziecko... brum, brum, brum...

Żeby przypadkiem nie słyszeć, co powinnam zrobić, dodałam gazu, co spowodowało ogłuszający łoskot silnika.

Znalazłam wolne miejsce do parkowania na ulicy Wellingtona i zostawiłam tam swoje tempo. Nie chciałam, by ktoś niepożądany zauważył, jakim teraz jeżdżę samochodem. Nie przyjął zaproszenia na kolację do staruszka i powoli wspinałam się na trzecie piętro, świecąc przed sobą latarką.

Na trzecim piętrze czekał na mnie Furey. Upuściłam latarkę i sięgnęłam po pistolet. Kiedy rzucił się na mnie z góry, zaczęłam uciekać na dół. Niestety, po ostatnich przygodach byłam osłabiona i zmęczona. Schwycił mnie za rękę, a następnie zamknął moją głowę w żelaznym uścisku swego ramienia.

– Pójdiesz ze mną, Wik. Pocałujesz swoją ciotkę na pożegnanie, a potem urządzimy pożegnanie tobie.

Siedział okrakiem na moich plecach. Ugryzłam go w nogę i próbowałam się wysliznąć. Krzyknął z bólu, ale udało mu się chwycić mnie za rękę i zakuć je w kajdanki. Trzymając w rękę łańcuszek, zaczął mnie sprowadzać po schodach na dół. Mój krzyk wywołał na klatkę schodową pana Contrerasa i Peppy.

– Jestem gotów zastrzelić jego i psa – syknął mi do ucha Furey. – To oznacza przeszkadzanie przedstawicielowi władzy w spełnianiu jego obowiązków. Masz ochotę się przekonać? Najlepiej będzie, jeśli przestaniesz stawiać opór.

Nabrałam powietrza w płuca, usiłując się uspokoić.

– Nie brońcie mnie – zwróciłam się do niego drżącym głosem. – W przeciwnym razie gotów jest zastrzelić Peppy.

Starszy pan posunął się jednak naprzód kilka kroków, wywijając francuskim kluczem. Furey strzelił, stary człowiek upadł na schody, wypuszczając klucz z ręki. Wychodząc na

ulicę, zobaczyłam jeszcze, jak Peppy liże go po twarzy. Dławiły mnie łzy, ale zdawało mi się, iż staruszek podniósł rękę, żeby ją pogłaskać.

ROZDZIAŁ 45

Spacer po krawędzi

Samochód Fureya stał zaparkowany dwadzieścia metrów dalej. Sierżant otworzył drzwi i ponad dźwignią biegów wepchnął mnie na miejsce pasażera. Uniosłam skute kajdankami ręce, by uchronić twarz przed upadkiem na przeciwległe drzwi. Nogą zahaczyłam o dźwignię. Leżałam w niewygodnej pozycji, niezdolna nawet kopnąć swego prześladowcy, kiedy przerzucał moją nogę na drugą stronę skrzynki biegów.

Nie zrewidował mnie, być może nie wiedział, że czasem noszę ze sobą broń. Pomyślałam, iż może uda mi się z niej jeszcze skorzystać.

Kilku przechodniów było na ulicy, nikt nie zwracał jednak na nas szczególnej uwagi. Nikt nie miał ochoty wtrącać się do rodzinnej najwidoczniej kłótni. Nie mogłam wzywać na pomoc policji, Michael był przecież policjantem. Jak zareagowałby patrol policyjny, gdyby Michael oświadczył, iż jestem ściganym przestępcą, który uciekł z więzienia?

– Nie miałem u ciebie żadnych szans. Ernie i Ron ocenili cię całkiem słusznie. Ty nie jesteś taka jak inne kobiety, wciąż szukasz okazji, żeby się czymś wyróżniać.

Usadowiłam się wygodniej na siedzeniu.

– Podziwiam twoją dzielność, Furey, bez wahania strzeliłeś do człowieka, który mógłby być twoim dziadkiem. Czy tego także nauczyłeś się w akademii policyjnej?

– Zamknij się, Wik. – Ze złością wymierzył mi policzek.

– Naprawdę mi imponujesz, Michael – ironizowałam. – Zarówno ty, jak i twoi przyjaciele umiecie trzymać kobiety w ryzach. Czy jednak nie warto, byś zapiął mój pas bezpieczeństwa? Mogę uderzyć głową o szybę i rozbić ją, wtedy będziesz musiał tłumaczyć się przed Bobbym.

Zamiast odpowiedzi popchnął mnie z taką siłą, iż z największym trudem zachowałam równowagę. Skręcona w niewygodnej pozycji zaczęłam szukać umocowanej przy drzwiach metalowej końcówki pasa.

– Śmiali się wciąż ze mnie, że nie umiałem z tobą postępować. LeAnn tylko jeden raz próbowała podnieść głos przy Erniem, a on natychmiast przypomniał jej, kto jest w domu panem. Podobnie i ja powinienem postępować z tobą od samego początku. Po przyjęciu u Bootsa przyjaciele ostrzegali mnie, że wyglądasz na taką, która lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Carl i Luis potraktowali to spostrzeżenie poważnie, a ja, głupi, nie chciałem o tym nawet słyszeć! – tu uderzył dłońmi z całej siły o kierownicę, jednocześnie podnosząc głos.

W końcu udało mi się zapiąć pas bezpieczeństwa.

– Przyznaj się, że kłamałeś, kiedy trzy tygodnie temu powiedziałeś mi, że Helena nagabuje młodych mężczyzn na Uptown! Dlatego prosiłeś, bym nie rozmawiała o tym z Bobbym.

Skreślił w Diversey i włączył się do ruchu w kierunku Soutport i prosto dalej.

– Jesteś bardzo inteligentna i masz poczucie humoru, Wik. Dlaczego nie potrafisz być jednocześnie miłą?

– Widocznie mam takiego pecha – odparłam, usiłując odzyskać równowagę, gdyż nagle przyhamował, zmieniając pas na jezdni. – Mówisz, że masz moją ciotkę? Gdzie ją znalazłeś? W jednym z tych porzuconych budynków przy Cermak?

– Znalazłem ją tuż przy swoim nosie – roześmiał się. – Możesz sobie to wyobrazić? Po sąsiedzku, tuż za rogiem. Eileen zobaczyła ją na ulicy i powiedziała o tym mojej matce, a mama wspomniała o tym wczoraj podczas rodzinnej kolacji. Ukryła się u jednego ze swoich serdecznych przyjaciół, ale nałóg wypędził ją na ulicę – wyszła kupić sobie butelkę. Wiedziałem dobrze, że jeśli tylko żyje, to wcześniej czy później wyjdzie ze swej kryjówki. Nie podziwiałem się tylko, że ukryła się tak blisko. Poczekalem na nią na ulicy – wracała około ósmej wieczorem. Wystarczyło wepchać ją do samochodu. Próbowwała mnie ugadać na swój sposób. Była wstrętna.

Jechał przez park z szybkością dziewięćdziesięciu ośmiu kilometrów na godzinę w kierunku Lake Shore Drive. Patrolujący policjanci nie próbowali go zatrzymać, gdyż na pewno znali jego samochód. Za to inni kierowcy trąbili wściekle, gdy ich wymijał.

– Była wstrętna dlatego, że jest stara, czy też była tak bardzo pijana, czy może z obu tych powodów? – zapytałam.

– Kobiety stare, którym się wydaje, iż są wciąż jeszcze atrakcyjne, budzą niesmak.

– A jednak ciotka potrafi się jeszcze podobać. To, że nie jest w twoim guście, nie znaczy bynajmniej, że jest odpychająca. – Skreślił tak gwałtownie w kierunku Lake Shore Drive, że mimo woli oparłam się o niego, kiedy się wyprostowałam, dodałam: – Na przykład sam twój dotyk jest dla mnie wstrętny, ale pewnie nie wszystkie kobiety zgodziłyby się ze mną.

Nie odezwał się, tylko przyśpieszył i jechał slalomem, zmieniając co chwilę pasy na jezdni. Bałam się, iż na łuku w Michigan Avenue może wypaść z zakrętu. Zwolnił wcześniej – ruch na jezdni był zbyt duży, by jechać wciąż z taką szaloną szybkością.

– Uważaj, Michael, jak jedziesz. Protekcja Rolanda Montgomery’ego nie pomoże ci, jeśli spowodujesz wypadek.

W świetle latarni ulicznych widziałam krople potu pokrywające jego czoło. Wykonał gwałtowny ruch ręką, tak iż na małą chwilę stracił kontrolę nad kierownicą, jakimś cudem jednak ją odzyskał i wyprowadził samochód na prostą.

– Co Roland zawdzięcza Bootsowi? – zapytałam tonem pozornie obojętnym. – I dlaczego tobie kazał podpalić hotel? Przecież mógł to sam zrobić.

Furey obnażył zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie jesteś jednak tak bardzo bystra, Wik. To ja zwerbowałem Rolanda dla Bootsa. Jego zadaniem było tylko dostarczenie parafiny i niedopuszczenie do wnikliwego śledztwa wokół tej sprawy.

– Jaki z ciebie wielki zuch! – podziwiałam go. – Za to właśnie dostałeś może ten wóz?

– Ty, Wik, nic nie rozumiesz, a ja chciałem... byłem przygotowany... Mogłabyś żyć jak LeAnn i Klara i mieć wszystko, czego zapragniesz.

– Ja mam wszystko, czego pragnę, Michael. Dla mnie najważniejsza jest niezależność osobista. Ty nie jesteś w stanie pojąć, że mnie takie rzeczy jak biżuteria czy stroje po prostu mało interesują.

Skreślił w Grand Avenue i zatoczył łuk wokół budowy kompleksu Rapelec. Zaparkował w pewnej odległości od ulicy za drewnianym ogrodzeniem, otaczającym teren budowy. Wskoczył z samochodu i przeszedł na drugą stronę, żeby mi otworzyć drzwi. Sądziłam, iż może będę go mogła kopnąć wychodząc z samochodu, ale stanął w znacznej ode mnie odległości. Kiedy wyszłam z szyderczym uśmiechem na ustach, otoczył mnie ramieniem i poprowadził do środka budynku. Zadrżałam, gdy znaleźliśmy się w ciemnym korytarzu. Znalazłam się na tej samej, pokrytej brezentem rampie, po której szłam trzy tygodnie temu w poszukiwaniu biur. Za łańcuchem płonących żarówek rozciągała się obszerna przestrzeń, pokryta wszelkimi materiałami budowlanymi, maszynami i wykopami. Pomyślałam, co też dzieje się teraz z moją ciotką, czy jeszcze żyje, a jeśli tak, to jaki los nas czeka.

Furey nie odzywał się ani słowem. Panująca wokół cisza i milczenie między nami zaczęły mi dokuczać.

By odzyskać choćby pozorną pewność siebie w jego oczach, zapytałam jakby od niechcenia:

– To wszystko dlatego, że McGonnigal powiedział ci o bransoletce? Po to przyszedłeś do mnie dzisiaj?

Odsłonił zęby w uśmiechu.

– Zostawiłaś swoją chustkę w biurach Alma Mejicana. Poznałem ją, gdyż byłem przy tym, gdy Eileen ci ją wręczała. Zapamiętałem ten moment, bo bardzo mi się w niej podobałaś! Bransoletę oczywiście chcę odzyskać, ale bez żadnego pośpiechu.

– To dobrze – powiedziałam spokojnie. Zacerwieniłam się lekko na wzmiankę, że mu się podobałam. – Zostawiłam ją u siebie; żeby ją dostać, będziesz musiał dokonać włamania. Nawet będąc policjantem, trudno ci będzie zatrzeć za sobą wszystkie ślady. Bobby ci nie pomoże. Prędzej dostanie ataku serca, niż ruszy palcem, by cię osłonić.

Tyłem dłoni uderzył mnie w usta.

– Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że masz milczeć, kiedy ja do ciebie mówię.

Zabolało, ale nie bardzo.

– Jestem już za stara, żeby się uczyć od siebie nowych zasad postępowania. Poza tym twoje zasady mi zupełnie nie odpowiadają.

Przystanął na środku korytarza i przycisnął mnie do ściany.

– Powiedziałem ci, że masz milczeć, Wik. Czy może chcesz, żebym ci złamał szczękę?

Spojrzałam mu prosto w oczy. Jak one mogły mi się kiedykolwiek podobać?

– Oczywiście, że nie mam na to najmniejszej ochoty, Michael. Chciałabym jednak wiedzieć, czy wtedy, kiedy bijesz bezbronną kobietę, odczuwasz satysfakcję, czy też wstyd?

Lewą ręką chwycił mnie za rękę, prawą zaś chciał mnie znów uderzyć w twarz. Kiedy się zbliżył, kopnęłam go z całej siły w kolano. Krzyknąwszy z bólu puścił moje ramię.

Rzuciłam się do ucieczki wzdłuż rampy. Skute kajdankami ręce nie ułatwiały mi zadania. Gdzieś nad sobą słyszałam krzyk Fureya, potem rozległ się głos Erniego pytający o co, u diabła, chodzi. Wpadłam do jakiegoś ciemnego pomieszczenia, potykając się co chwilę o nierówności podłoga. Robiłam zbyt wiele hałasu, żeby nie można było mnie wytropić w moim ukryciu.

Przestałam więc w końcu uciekać i przystanąłam za grubym filarem ze stalowych prętów oblanym betonem. Staralam się głośno nie oddychać i wydobyć ukryty z tyłu pistolet, niestety – bezskutecznie.

Potężny strumień światła z reflektora przeciął ciemności i rozlał się naokoło. Nie ruszyłam się z miejsca.

– Przestańmy się bawić w chowanego! – zawołał Ernie. – Masz i bierz swoją ciotkę.

Nawet nie drgnęłam. Po kilku minutach usłyszałam przytłumiony, zachrypnięty ze strachu głos Heleny.

– Co robicie? Sprawiacie mi ból. Nie musicie mnie trzymać tak mocno. Jak was wychowano, w moich czasach prawdziwy dżentelmen nigdy nie ścisnął mocniej damy, by jej nie zrobić sińca.

Jak zawsze ta sama Helena. Nawet w tej dramatycznej sytuacji nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– Mamy tutaj twoją ciotkę, Warszawski. – Tym razem był to głos Rona Grasso. – Zawołaj swoją bratanicę, ciociu.

Uczył coś, by wydała z siebie krzyk. Wzdrygnęłam się nerwowo.

– Głośniej, ciociu.

Tym razem wydała z siebie autentyczny krzyk bólu.

– Wik! Nie pozwól im znęcać się nade mną!

– Właśnie złamaliśmy cioci mały palec, Warszawski. Złamiemy jej po kolei wszystkie kości, dopóki nie wyjdiesz z ukrycia.

Przełknąwszy ślinę, wysunęłam się na krok przed filar.

– W porządku, panowie. Mam już tego dosyć.

– Tak trzeba było od razu, Wik – powiedział Ernie, posuwając się ostrożnie w moim kierunku. – Zawsze mówiłem Michaelowi, że są na ciebie sposoby... Nie pozwól jej wyjść z zasięgu światła, Ron. Zdaje się, iż ta kurewka strzaskała kolano Michaelowi. Nie chciałbym, żeby mnie dosięgła.

Podszedł do mnie i wziął za ramię.

– Nie próbuj więcej swoich kawałów, Wik, gdyż w przeciwnym razie Ron połamie twojej cioci wszystkie palce.

– Wiki? – wychrypięła drżącym głosem Helena. – Nie gniewasz się na swoją biedną, starą ciotkę?

Wyciągnęłam w jej kierunku skute rękę.

– Oczywiście, że się nie gniewam na ciebie. Zrobiłaś, co mogłaś, ukrywając się tak długo.

Bo i co dobrego mogło wyniknąć z tego, gdybym robiła jej teraz wyrzuty, że nie zwierzyła mi się ze wszystkiego?

– Złamali mi mały palec, Wiki. Nie chciałam krzyknąć i pomóc im cię znaleźć, lecz nie mogłam wytrzymać z bólu.

Twarz miała ukrytą w cieniu, ale czułam, że w tej chwili po jej policzkach płyną łzy.

– Nie, nie mam pretensji do ciebie, kochanie, rozumiem, że nie mogłaś – głaskałam ją po rękę. Była drobna i krucha jak chińska porcelana.

Tuż za Ronem i Heleną stał August Cray, nocny nadzorca budowy.

– Co się stało z pańskim strażnikiem? – zapytałam. – Nie widać także drogiej, małej Star. Miałam z nią taką sympatyczną rozmowę dziś po południu.

Nikt mi nic nie odpowiedział.

– Zaraz stąd ruszamy, Wik – oświadczył Ron. – Mam nadzieję, że nie będziesz sprawiała żadnych kłopotów. Jest nas trzech i mogłoby to się skończyć bardzo nieprzyjemnie dla was obu. Dlatego daj spokój wszelkim kawałom.

– Tylko trzech? A co się stało z Fureyem? Czy rzeczywiście uszkodziłam mu kolano? No, takie skuteczne kopnięcie wymaga dużej praktyki – szczebiotałam jak najęta. – Pewno trzeba będzie go odwieźć do szpitala, a tam możecie mieć z nim kłopoty. Powiedzmy, moje zwłoki zostaną znalezione z jego kajdankami na rękach. W jaki sposób to wyjaśnicie?

– Daj spokój, Warshawski, nie tylko ty masz głowę na karku – rozległ się za mną ostry głos Erniego. – Damy sobie radę i z Michaeliem, i z tobą.

– Na pewno – wyraziłam aprobatę. – Tacy dobrzy kompani jak wy zawsze sobie radzą. Nawet z niewinnymi ludźmi.

– Nie jesteś niewiniątkiem, Wik. Nie próbuj nam wyciskać łez. Weszliśmy do windy. Cray zajął się prowadzeniem dźwigu, podczas gdy Ron i Ernie stali uprzejmie przy nas. Żałowałam, że z wyjątkiem kilku słów nie nauczyłam się języka polskiego, mogłabym teraz powiedzieć ciotce, by pomogła mi wyciągnąć pistolet, zanim go znajdą Ernie i Ron.

W miarę jak jechaliśmy windą w górę, mój strach i poczucie bezradności wzrastały. Wyobrażałam sobie, że jadę teraz wraz z ciotką na szczyt budowli tylko po to, by zginąć w upozorowanym umiejętnie wypadku. Przestałam zabawiać eskortę rozmową i nagle osunęłam się na kolana, ściskając w dłoniach głowę.

– Co się stało? – zapytał Ron.

– Źle się czuję. Będę wymiotowała.

– Nie przeszkadzamy – odparł obojętnie Ron. Wydobyłam z siebie kilka symulujących nudności odgłosów i upadłam na podłogę windy, przyciskając skute rękę do brzucha. Helena uklękła obok mnie.

– O, moje biedne dziecko, co by na to powiedziała Gabriela, gdyby cię teraz zobaczyła? Nigdy by mi tego nie wybaczyła. Chyba nie pójdę po śmierci do nieba, nie mogłabym znieść widoku wyrzutu na jej twarzy. Chodź do Heleny, dziecino, chodź tutaj, Wiki, przytul głowę do starej, pijanej ciotki, a może poczujesz się lepiej.

Usiadłam i przytuliłam się do jej ramienia. Przytłumionym głosem powiedziałam jej o pistolecie.

– Zaczekaj, aż znajdziemy się w ciemności, wtedy wyciągnij go i mi podaj.

Strach wyostrzył jej zmysły. Nie dała po sobie poznać, iż cokolwiek usłyszała.

– Och, Wik, mów co chcesz, tylko mi nie płacz. Uspokój się, kochanie.

Może mnie nie zrozumiała. Zastanawiałam się, czy nie powtórzyć prośby, lecz w tym momencie winda się zatrzymała i Ernie kazał mi się podnieść. Wciąż jęcząc i trzymając się za brzuch, wstałam, ale natychmiast zachwiałam się, potykając o nierówności betonu.

Znajdowaliśmy się na otwartej płaszczyźnie na samym szczycie budowli, na wysokości

dwudziestego piątego, może trzydziestego piętra. Na tle czarnego nieba wokół nas sterczały stalowe belki i pręty. Zimny wiatr przenikał przez odzież aż do szpiku kości. Widok otwartej przestrzeni ze wszystkich stron wywołał tym razem autentyczny przyływ nudności. Upadłam na beton jak zemdlona.

Helena natychmiast pochyliła się nade mną, czule mnie obejmując i płacząc nad swoją Wiki. W czasie gdy Ron usiłował oderwać ją ode mnie, jej ręce obmacywały mnie w poszukiwaniu pistoletu. Znalazła go i upuściła przede mną. Ostry szczęk metalu o beton odbił się tysiąckrotnym echem.

Ernie i Ron nie od razu uprzytomnili sobie, co się stało. Jedynym źródłem światła było to pochodzące z windy. Przez moment dostrzegłam błysk metalu i to wystarczyło mi, by sięgnąć rękami we właściwym kierunku. Gdy Ernie poderwał mnie na nogi, odbezpieczyłam pistolet i wypaliłam prosto w niego. Cray był jeszcze w windzie. Kiedy usłyszał strzał i zobaczył, jak Ernie chwieje się i pada, zamknął drzwi windy i zaczął zjeżdżać na dół. Ron pociągnął za sobą Helenę w kierunku krawędzi platformy. W ciemnościach jego sylwetka zlewała się z postacią Heleny w jedną wielką czarną plamę, co uniemożliwiło mi oddanie kolejnego wystrzału. Dopiero gdy podbiegłam do nich bliżej, udało mi się odróżnić wyraźnie plecy mężczyzny i niemal nie celując, wystrzelić.

O metr od krawędzi platformy Ron osunął się na ziemię, przygniatając sobą Helenę. Nigdy wcześniej nie zabiłam człowieka, ale z pozycji, w jakiej leżał, nietrudno było się domyślić, że nie żyje. Nie potrafiłam się zmusić, by podejść bliżej i sprawdzić – zresztą, co z tego, jeśli bym nawet stwierdziła, że jeszcze żyje? Ręce miałam skute kajdankami, a winda była gdzieś na dole.

Przygnieciona zwłokami ciotka zaczęła się szamotać, usiłując się spod nich wydostać. To skłoniło mnie do dodatkowego wysiłku, by podejść i pomóc jej. Nawet stojąc metr od krawędzi poczułam zawrót głowy. Zamknęłam oczy i na ślepo zepchnęłam zwłoki Rona z Heleny, po czym odeszliśmy na środek platformy.

W pobliżu majaczyło na tle nieba olbrzymie ramię dźwigu. Wyobraziłam sobie znajdującą się pod nami przepaść i zatrzęsłam się z przerażenia.

Ernie wciąż jeszcze żył. Potrząsnęłam go za ramię. Stracił dużo krwi i potrzebował pomocy. Jego zdaniem nie było żadnego sposobu na sprowadzenie windy na górę.

Nie był zbyt rozmowny: gdy go pytałam o jego stosunki z Bootsem i MacDonalodem, powiedział mi, że bym przestała pchać nos w nie swoje sprawy, zanim będzie za późno. Jednocześnie złościł się na mnie, że nie mam ochoty zejść na dół po szczeblach umocowanych w otworach, w których później zainstalowane będą awaryjne schody.

– Mogłabyś przynajmniej sprowadzić pomoc – skarżył się. – Strzeliłaś do mnie, jesteś mi za to coś winna.

– Kochanie, strzeliłam do ciebie, gdyż w przeciwnym razie ty straciłbyś mnie z tego wysokościowca. Nie mogę schodzić z wysokości trzydziestu pięter po drabinach po ciemku, zwłaszcza z kajdankami na rękach.

Wunsch zaklął ponownie, tym razem pod adresem swoich kompanów. Zdaje się, iż Furey dał Crayowi kluczyki do kajdanek – on miał mi je zdjąć przed zepchnięciem w przepaść. Obaj

nie chcieli, by jakiś przypadkowy przechodzień zobaczył moje zwłoki, zanim oni do nich nie dotrą.

– Teraz zobacz, co z tego wyszło.

– Zabieraj się stąd i pozwól mi spokojnie tu umrzeć.

– Sądziłam dotąd, że jesteś prawdziwym macho – powiedziałam z dezaprobatą. – John Wayne nigdy nie oskarżał swoich kompanów tylko dlatego, że sam został trafiony kulą.

Ernie zaklął, a potem poprosił mnie, bym ściągnęła z siebie bluzę i owinęła nią jego, gdyż z powodu dużej utraty krwi zrobiło mu się zimno.

– Kochanie, nie potrafię jej zdjąć z siebie skutymi rękami. Poza tym nie miałabym najmniejszej ochoty siedzieć całą noc na zimnym wietrze pod gołym niebem w samym tylko biustonoszu.

Ernie rzucił pod moim adresem kilka niepoehlebnych epitetów, po czym zamilkł. Gdyby jeszcze chciała zamilknąć Helena. Ciotka jednak grając po raz pierwszy w swoim życiu rolę heroiny stała się nader wymowna. Opowiadała o swoim dzieciństwie, sprzeczkach z matką, o tym jak Tony – mój ojciec – obciął włosy jej lalkom, gdy miała osiem lat.

Po pewnym czasie trudno było wytrzymać potoku słów nasyconych emocjami, lecz pozbawionych logicznego związku. Dla Erniego okazało się to tak bardzo męczące, że zażądał, by wreszcie zamilkła.

– Doprowadza mnie do szału tym swoim bełkotem – oświadczył. – W swoim domu rozwiązałbym problem bardzo szybko.

Wyobraziłam sobie LeAnn chichoczącą i mówiącą: „Jesteś taki kochany, Ernie”, i zapędzającą jednocześnie do kuchni wszystkich, którzy mu przeszkadzali – przyjaciół, dzieci i matkę. Pomyślałam przez chwilę, co teraz LeAnn i Klara poczną ze sobą.

– Ona teraz już nie będzie ci taka posłuszna, Ernie. A jeśli ty jej trochę posłuchasz, przestaniesz myśleć o własnych problemach i kłopotach. – Poprosiłam Helenę, by powtórzyła szczególnie zawikłane opowiadanie o stryju Piotrze, psie i ogródku z kwiatkami.

Na tym upłynęło nam trochę czasu. W pewnym momencie usłyszałam powracającą windę. To nie mogło trwać długo, ale oczekiwanie na pomoc w towarzystwie rannego i paplającej ciotki przedłużało się w nieskończoność.

Kazałam Helenie przestać głądzić i skryć się razem ze mną za jedną z żelaznych belek.

– Teraz bądź już cicho, ciociu. Być może wracają, żeby nas zabić, więc nie powinniśmy ułatwiać im zadania.

– Masz rację, Wik. Ty zawsze dobrze wiesz, co robić. Nigdy w moim życiu nie przeraziłam się tak bardzo, jak wtedy, gdy ten chłopak o pięknych oczach schwytał mnie w sklepie z alkoholem.

Położyłam dłoń na jej ustach.

– Milcz już, kochanie. Wszystko opowiesz mi później. Winda zgrzytnęła zatrzymując się. Poczulałam chłód w dłoniach.

Zapomniałam, która strona jest lewa, a która prawa. Z trudem usiłowałam policzyć w myśli, ile naboju pozostało mi jeszcze w magazynku. Jednocześnie starałam się opanować drżenie prawej ręki, w której trzymałam pistolet.

Czekałam na zgrzyt otwierających się drzwi windy i na kroki na betonie. Kiedy upłynęła kolejna minuta w całkowitej ciszy, wyjrzałam spoza filaru. Zobaczyłam pustą windę stojącą na wysokości platformy. Wytężyłam słuch. W końcu zabrakło mi cierpliwości i wyszłam z kryjówki, ignorując ostrzegawczy głos Heleny.

Nagle na lewo dostrzegłam poruszające się światelko. Z największą ostrożnością przesunęłam się w jego kierunku, uważając, żeby w ciemnościach nie wpaść nieoczekiwanie w jakiś otwór.

Światło wciąż się poruszało, by nagle zgasnąć. Przypomniałam sobie, co powiedział mi Ernie o drabinach. To musi być Cray lub może ktoś inny ze sprzymierzonych, usiłujący zaskoczyć nas z tyłu.

Moje oczy już tak przyzwyczyły się do ciemności, że bez trudu rozróżniałam czarny otwór prowadzący w dół klatki schodowej. Leżąc obok na brzuchu nie spuszczałam z niego oczu. Po chwili światło zapaliło się ponownie. Gdy na krawędzi platformy pojawiła się ręka, z całej siły uderzyłam w nią kolbą pistoletu.

Cray krzyknął z bólu i opierając się ramieniem o drabinę wysunął drugą rękę i strzelił. Wystrzał rozległ się głośnym echem, ale zdążyłam się już odsunąć na bezpieczną odległość, podczas gdy on wyczołgał się na platformę.

Mierząc w ciemny kształt znajdujący się przede mną, nacisnęłam na kurek pistoletu. Ponieważ leżałam w nieodpowiedniej pozycji, odrzut był dla mnie bolesny, a mimo to nie wypuściłam pistoletu z dłoni. Nagle oślepiło mnie światło latarki, w ostatniej chwili, zanim rozległ się strzał, instynktownie zmieniłam pozycję, przetaczając się na drugi bok.

Jakoś udało mi się dźwignąć na nogi i stanęłam za jedną z najbliższych belek. Cray świecił jeszcze przez moment, lecz kiedy strzeliłam, uprzytomnił sobie, że w świetle latarki również i on wystawia się na cel. Gdy światło zgasło, upadłam na kolana i na czworakach zmieniłam kryjówkę, po czym zaczęłam nad słuchiwać. Helena znów zaczęła coś mówić, jednak świst wiatru zagłuszał jej niezbyt wyraźnie artykułowane słowa.

– Możesz bez trudu dostać starą ciotkę, Cray! – zawołał Ernie słabym głosem. – Łatwo ją znaleźć, bo wciąż coś mówi.

Helena jęknęła, ale nie przestała mamrotać.

– Żyjesz, Wunsch? – odkrzyknął Cray. – Trzymaj się, zaraz zwiozę cię na dół.

Cray ostrożnie obchodził mnie w ciemnościach. Nie miałam pojęcia, w którym miejscu się znajduje, byłam zmęczona i zdezorientowana. Przywarłam do belki nad słuchując. Nagle usłyszałam przeraźliwy krzyk, a następnie głuchy odgłos padającego ciała. Serce uderzyło mi mocniej.

– Co się stało? Gdzie jesteś?! – zawołał Ernie.

Do moich uszu doszedł przytłumiony tym razem, dochodzący gdzieś z odległości krzyk Craya. Wpadł w otwór przeznaczony dla dźwigu, ale ocaliła go umocowana wokół niego siatka bezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ 46

Na szali sprawiedliwości

Z trudem mogłam sobie przypomnieć, co się stało potem. Skute kajdankami ręce trzęsły mi się z bólu i osłabienia tak, że wszystko, co zrobiłam, zrobiłam raczej za sprawą nadzwyczajnego wysiłku woli niż siły mięśni.

W jakiś sposób udało mi się wraz z Heleną zaciągnąć Erniego do windy i uruchomić ją.

Na dole oczekiwał nas Furey, nie sam, lecz w towarzystwie mundurowej policji. Przejżdżający obok patrol usłyszał strzały i skręcił na teren budowy. Dotrzymali towarzystwa Fureyowi aż do chwili przyjazdu windy. Resztę nocy spędziłam w zamknięciu na Eleventh Street, gdyż byłam w kajdankach, a Fureyowi udało się przekonać policjantów, że stawiałam opór podczas aresztowania.

Furey pojechał do szpitala, by opatrzyć kolano. Przedtem trwał dzielnie na stanowisku, mimo okropnego bólu, w oczekiwaniu na powrót kompanów. Pech chciał, iż zastał go w tej sytuacji patrol policyjny.

Nie mogłam przekonać policjantów, że jeszcze jeden człowiek znajduje się na górze w sieci rozciągniętej wokół dźwigu i że on ma kluczyki do moich kajdanek. Po daremnych próbach wytłumaczenia im tego zrezygnowałam. Nie powiedziałam im nic oprócz swojego nazwiska. Kiedy zamknęli mnie w areszcie, ułożyłam się do snu na podłodze, obojętna na pijanych współlokatorów. Kilka godzin później wyprowadzono mnie z aresztu. Byłam tak senna i zdezorientowana, że nawet nie zapytałam, dokąd mnie prowadzą – sądziłam, że na salę sądową. Okazało się, że zawieziono mnie windą na trzecie piętro do Wydziału Przestępstw Kryminalnych, przed oblicze Mallory'ego. Miał zaczerwienione od niewyspania oczy, lecz był starannie ogolony i w krawacie.

– Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego wciąż jeszcze nosi kajdanki? – zapytał towarzyszącą mi eskortę.

Nie otrzymał żadnego wyjaśnienia. Podobno powiedziano im, że jestem niebezpieczna i należy mnie trzymać pod kluczem.

– Proszę je natychmiast zdjąć, inaczej przekażę odpowiedni raport waszemu dowódcy.

Nie odezwał się, dopóki nie znaleźli kluczyków, które pasowały do moich kajdanek. Gdy byłam już wolna i rozcierałam bolące ręce, obrzucił mnie potokiem gorzkich wyrzutów. Mówił, że bawi mnie rola policjantki, że demoralizuję najlepszych ludzi w wydziale i utrudniam pracę. Słuchałam tego w milczeniu, zbyt zmęczona i zbyt przytłoczona jego wybuchem, żeby cokolwiek mu odpowiedzieć. Kiedy w końcu sam usiadł wyczerpany, łzy płynęły po jego czerstwych policzkach.

– Mogę teraz coś powiedzieć? – zapytałam słabym głosem. – Czy też mam wciąż jeszcze słuchać oskarżeń?

– Mów, mów. – Jego głos był chrapliwym skrzekiem. Przykrył twarz prawą ręką, podczas gdy lewą wyciągnął przed siebie w powietrze, jakby nakazując mi opuścić pokój.

– Twoi chłopcy nie chcieli mnie wysłuchać, ale na szczycie budowli w Rapelec jest uwięziony w umocowanej wokół dźwigu siatce człowiek o nazwisku Cray. – Na chwilę zamilkłam. – Czy mogę się dowiedzieć, gdzie teraz przebywa moja ciotka?

– Wyjdź stąd, Wik, nie mogę już znieść twojego głosu – usłyszałam w odpowiedzi.

Przy wyjściu na Eleventh Street czekała Lotty. Objęła mnie ramionami o nic nie pytając.

ROZDZIAŁ 47

W gniazdku Lotty

Lotty w czwartek wzięła dzień wolny, by się mną zająć bez reszty. Nie dopuszczała do mnie nikogo – ani Murraya, ani reporterów, ani nawet federalnego prokuratora okręgowego. Ten ostatni, piastując swój urząd z ramienia republikanów, tylko czekał na okazję obalenia demokratycznego przewodniczącego okręgu. Lotty oświadczyła wszystkim, iż wszelkie kontakty ze mną mogą odbywać się tylko za jej pośrednictwem, i praktycznie nie dopuściła do mnie nikogo.

Gdy w końcu obudziłam się około piątej po południu, przypomniałam sobie o panu Contrerasie. Lotty, owinąwszy mnie w kilka pledów, umieściła na kanapie w saloniku i zmusiła do przełknięcia paru łyżek zupy. Opowiedziała, co się działo po moim aresztowaniu. Wystrzał i hałasy wywabiły na klatkę schodową Vinniego i Ricka – oni pierwsi udzielili pomocy starszemu panu, który otrzymał postrzał w ramię. Rick na prośbę pana Contrerasa zadzwonił do Lotty, a ona powiadomiła porucznika Mallory’ego. Starszy pan na opatrzeniu rany przez lekarza chciał podjąć próbę poszukiwania mnie.

– Jak mnie znalazłaś?

– Twój niezmordowany sąsiad wiedział, kto to niego strzelił – sędzę, że dokładnie rejestruje wszystkich odwiedzających cię mężczyzn – uśmiechnęła się trochę złośliwie. – Dzięki temu ma zajęcie przez cały dzień. Porucznik nie bardzo miał ochotę interweniować, lecz nie mógł zignorować faktu, że został postrzelony człowiek. W końcu obiecał, że zadzwoni do mnie, kiedy ciebie odnajdą. Obawiam się, iż nie przejął się zbytnio sprawą, a mnie twoje zniknięcie przeraziło nie na żarty.

Zacisnęła wargi i odwróciła na chwilę głowę, by ukryć napływające do oczu łzy.

– Sama byłam bardzo przestraszona – wyznałam szczerze. – Wprost nie rozumiem, skąd się wzięła taka desperacja u tych facetów.

– Udało mi się dodzwonić do głównej asystentki federalnego prokuratora – tak brzmi jej oficjalny tytuł, jeśli się nie mylę, i opowiedzieć wszystko, co wiem o sprawie. Sędzę, że przedsięwzięła jakieś działania, by ciebie odnaleźć, gdy ty tymczasem objawiłaś się w komendzie okręgowej. Co to za wstrętne miejsce! Próbowałam zobaczyć się z tobą i pojechałam tam, ale w sposób brutalny, niemal siłą odprawili mnie z kwitkiem.

Podniosłam się ze swojego gniazodka, żeby ją uścisnąć. Lotty ma uraz na punkcie urzędów policyjnych, gdyż w jej dzieciństwie odegrały straszliwą rolę – stąd jej starania miały dla mnie szczególną wymowę i znaczenie.

Spytałam ją o Helenę. Ciotka z wyczerpania znalazła się w szpitalu, poza tym miała złamany palec, ale już dziś, około południa, została wypisana. Lotty pomyślała również o zorganizowaniu wycieczki dla mnie i podsunęła olbrzymi plik broszur turystycznych, reklamujących wycieczki na Wyspy Karaibskie, na Costa Brava i do innych miejsc o ciepłym i łagodnym klimacie.

W piątek Lotty wyraziła zgodę na nawiązanie przez wielki świat kontaktu ze mną. Postawiła jednak warunek: każdy, kto się chce ze mną spotkać, musi przyjść do niej, na Sheffield Avenue. Niestety, niewielu to odstraszyło.

Pierwszą w kolejności była Alison Winstein, której Lotty ocaliła życie. Przeegzaminowała mnie dokładnie z tego, co wiem i co przypuszczam. Jak wszyscy prokuratorzy sama nic nie chciała mówić, ale przyznała, że zostały wydane nakazy rewizji w Alma Mejicana i Farmworks. Ponadto chce zaskarżyć przed sądem kontrakty zawarte przez władze okręgowe, lecz z Bootsem nie będzie łatwo wygrać. Po wyjściu pani prokurator zapoznałam się pobieżnie z relacjami w prasie, poświęconymi moim przygodom. Na podstawie tego, czego się dowiedział od pana Contrerasa, Murray napisał obszerny reportaż, mając prawo wyłączności. Udało mu się również dotrzeć do Heleny przed jej wyjściem ze szpitala. Na samą myśl o wywiadzie z moim sąsiadem uśmiechnęłam się mimo woli. Murraya Contreras szczególnie nie lubił – uważał go za niepoważnego smarkacza. Dziennikarz dokonał więc nie lada sztuki uzyskując zgodę na rozmowę.

Gdy skończyłam z gazetami, zadzwoniłam do Robina Bessingera. Czytał wszystko i odczuwa skruchę.

– Bardzo cię przepraszam, Wik, za zakwestionowanie twoich opinii – miałaś rację. Czy nie moglibyśmy wybrać się na wspólną kolację?

– Nie wiem – odparłam. – Muszę to jeszcze przemyśleć. Mógłbyś jedno przynajmniej dla mnie zrobić: uzyskać czek dla Seligmana. Zaniósłabym mu go jutro rano.

– Mamy zamiar obciążyć kosztami roszczeń MacDonalda i Bootsa – oznajmił.

– Wasza sprawa – odrzekłam. – Ale nie każcie zbyt długo czekać starszemu. Przeżył bardzo ciężkie trzy tygodnie: pożar hotelu, z którym był związany uczuciowo, i zabójstwo kierowniczkę swojego biura, z którą łączyła go wieloletnia przyjaźń. Wiem, iż jesteś w stanie przyspieszyć załatwienie sprawy. Podrzuc mi czek po drodze do domu, a ja go jutro doręcę.

Robin zgodził się, choć niechętnie. Chyba tylko perspektywa kolacji ze mną – *et cetera* – skłoniła go do wyrażenia zgody. Ja jednak miałam zamiar przede wszystkim wyleczyć swe rany i odzyskać siły, zanim nabiorę ochoty na owo *et cetera*.

Lotty udała się do kliniki, żeby zobaczyć swoich pacjentów, ale wróciła w porze obiadowej, by mi przyrządzić rosół z kurczaka.

– Jesteś zbyt szczupła, *Liebchen*. Chcę, żeby spod twych oczu zniknęły te ciemne półksiężycy.

Posłusznie zjadłam dwa duże talerze rosółu i kilka kawałków bułki. Właśnie kończyłam posiłek, gdy zjawił się Murray. Nie miałam wielkiej ochoty na rozmowę z nim, ale pomyślałam, że im prędzej będę już miała to za sobą, tym lepiej. Zresztą w końcu byłam zadowolona, gdyż powiedział mi, co się stało z Fureyem – został zawieszony w swoich obowiązkach bez wynagrodzenia i skazany na grzywnę w wysokości stu tysięcy dolarów za zbrodniczą napaść na mnie, Helenę i pana Contrerasa.

– Nie dowiedziono mu natomiast odpowiedzialności za śmierć tej czarnej dziewczyny Cerise. Sierżant McGonnigal powiedział mi na stronie, iż w komendzie zginęła pewna ilość heroiny, którą zdobyli wcześniej w jednym ze swoich rajdów antynarkotykowych. Nie sądzi

też, by wydział miał zamiar wdrożyć śledztwo w tej drobnej sprawie.

– A co z Bootsem? – zapytałam. – Jak wygląda jego szansa w wyborach w przyszłym miesiącu?

Murray skrzywił się.

– To nie jest Minneapolis, moja droga, to Chicago. Na wiecu wyborczym, który odbył się wczoraj wieczorem, otrzymał owację. A pieniądze na kampanię wyborczą wciąż napływają – zbyt wielu przedsiębiorców budowlanych ma wobec niego zobowiązania. Nie chcą porzucać statku, zanim nie zniknie pod powierzchnią.

– Czy wycofał się z poparcia Roz w kampanii?

– Ta sama historia. Ona jest teraz zbyt popularna w środowiskach hiszpańskich. Gdyby się wycofał, musiałby sam pożegnać się z poparciem wyborców z Humboldt Park i Logan Square. Nie zapominaj także o ludności meksykańskiego pochodzenia na Mount Prospect.

– Wobec tego, o co ona się martwi? – wybuchnęłam. – Dlaczego tak się przejmuje tym, co ja mówię i do kogo mówię? To mi nie daje spokoju. Zachowuje się tak, jakby popełniła bigamię lub ukrywała w sierocińcu dzieci z nieprawego łoża. Takie historie w tym mieście nie stanowią nic niezwykłego. A jeśli tak, to, u diabła, czym się ona tak przejmuje?

Murray wzruszył tylko szerokimi ramionami.

– Być może martwi się na wyrost. Jest pierwszą kobietą, którą Boots poparł na taką skalę. Pierwszą Hiszpanką. Może obawia się, że wymagania w stosunku do niej są inne. Żeby ją zrozumieć, być może potrzeba nam więcej wyobraźni.

– Być może. – Nagle poczułam się straszliwie zmęczona, tak bardzo, że zaczęłam zasypiać. Gdy Murray zapytał mnie jeszcze o coś, co dotyczyło Heleny, usiłowałam mu odpowiedzieć, lecz on sam zauważył, iż z trudnością walczę ze snem.

– Idź już spać, moja droga. Jeszcze raz Wonder Woman ocaliła to miasto. Idź spać. – Poklepał mnie po ramieniu i wyszedł wspaniałomyślnie, gdyż i tak dzięki mnie zdobył już dodatkowy rozgłos.

Było już późne popołudnie, gdy drzemkę przerwała mi wizyta Velmy Riter. Gdy Lotty mi powiedziała, kto przyszedł, miałam ochotę ukryć się pod kołdrą. Zamiast tego powlokłam się do saloniku na uginających się nogach w oczekiwaniu na kolejny atak z jej strony.

Stała pośrodku pokoju, mnąc w rękę egzemplarz *Star*.

– Ładną historię rozgrzebałaś – odezwała się w końcu sucho.

Spojrzałam na nią ostrożnie.

– Zdaje się jednak, że to specjalnie nie zaszkodziło Roz. Zresztą do wyborów pozostał jeszcze cały miesiąc.

– Obecnie nie wiem już, na kogo jestem bardziej wściekła – na Roz, za to, co zrobiła, czy na ciebie, że to wykryłaś, powiadamiając opinię publiczną.

Potałam twarz dłońmi.

– Nie mam na to właściwej odpowiedzi, Velmo. Dla mnie być feministką nie oznacza bynajmniej, iż powinnam popierać wszystko, co robi moja siostra. Zwłaszcza gdy wiem, że robi źle.

– Czy nie mogłaś wcześniej porozmawiać z nią o tym na osobności?

– Próbowałam, lecz bezskutecznie. Zbyt rozbudziła w sobie apetyt na złote jabłka. Jestem pewna, że jeśli zostanie wybrana, będzie dobrze reprezentować interesy środowiska. Sądzę, że jest o wiele lepsza niż większość jej kontrkandydatów. Nie potrafi jednak podjąć ryzyka zerwania tych jabłek bez pomocy nieuczciwych ludzi.

Velma uniosła ręce.

– To jest już dla mnie zbyt wiele. Czuję, że będę musiała ograniczyć się tylko do fotografii – to będzie bezpieczniejsze.

Spojrzałam jej prosto w twarz.

– Velmo, twoje zdjęcia są uczciwe, lecz są również związane z pewnym ryzykiem – emocjonalnym ryzykiem. Chciałabym móc dostrzec tę cechę w każdej innej kobiecie, podejmującej publiczną działalność. Poza tym nie chcę być przedmiotem czyjejkolwiek manipulacji. A szczególnie kogoś takiego jak Roz, która z jednej strony odwołuje się do starych przyjaźni, z drugiej zaś oczekuje, że wraz z nią będziemy popierać spekulantów i kombinatorów.

– Chyba wiesz, że nie robi tego dla pieniędzy – wtrąciła Velma.

Żachnęłam się.

– Tak, wiem. Robi to dla kuzyna, dla rodziny i całej społeczności hiszpańskiej. I dlatego właśnie, że cele, które przed sobą stawia, są tak bardzo szlachetne, nie mam najmniejszej ochoty akceptować żadnych brudów.

Velma patrzyła na mnie przez chwilę bez zmruczenia oka. W końcu się odezwała:

– Zdaję sobie sprawę, iż podejmowałaś i wciąż podejmujesz ryzyko. Mam za to dla ciebie uznanie. Dziś zrezygnowałam z udziału w pracy zespołu kierującego akcją wyborczą. Ona... ona... – Szerokie usta Velmy wygięły się w grymasie. – Rozmawiała ze mną tak łagodnie, głosem matki, która kołysze do snu dziecko. To boli. Ale ja musiałam odejść.

Popatrzyłam na nią i skinęłam głową bez jednego słowa. Przełknęła dławiące ją łzy i szybko wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ 48

Przyjęcie urodzinowe

W sobotę, przed pójściem do pana Seligmana z czekiem, wstąpiłam do salonu samochodowego Pontiac i dokonałam zakupu jasnoczerwonego trans am. Nigdy przedtem nie posiadałam nowego samochodu, a szczególnie takiego z silnikiem o mocy stu osiemdziesięciu KM. Nie wiedziałam jeszcze, skąd wezmę na niego pieniądze, ale gdy bez najmniejszego szmeru osiągnął szybkość siedemdziesięciu kilometrów, zrozumiałam, że był to wóz, na który czekałam całe życie.

Pojechałam w kierunku północnym, a następnie na zachód, do Norwood Park. Eileen robiła ostatnie przygotowania do przyjęcia na cześć Bobby'ego. Do tej pory uczyniła już tak wiele, że nie mogła już odwołać imprezy. Sąsiedzi chętnie udostępnili swoje podwórka i ogródki dla ustawienia tam namiotów z napojami i zakąskami i stanowiska dla muzykantów.

Oświadczyłam Eileen, że nie przyjdę na przyjęcie, gdyż nie mam ochoty spotkać się z Bobbym, ale prosiła mnie, bym zmieniła decyzję.

– Wik, spróbuj tylko zrozumieć. Michael jest jego chrześniakiem. Był dla niego jakby siódmym dzieckiem i jego wielką nadzieją w wydziale. Krzyczał na ciebie tylko dlatego, iż cierpiał z jego powodu.

– To mnie nie przekonuje, Eileen. Michael chciał mnie zabić i niewiele brakowało, a osiągnąłby swój cel. A Bobby rozmawiał ze mną tak, jakby życzył sobie mojej śmierci.

– Nie, nie wolno ci tak myśleć! – Głos miała zachrypnięty ze wzruszenia. – Dziecko Tony'ego? Gabrieli? On sam ma pretensje do siebie za to, co się stało. Bobby jest dobrym człowiekiem. I dobrym policjantem. Wiesz o tym doskonale. Tony nigdy by go nie przygarnął, gdyby na to nie zasługiwał. Czasem brakuje mu wyobraźni, sam nie wie, dlaczego na ciebie nakrzyczał. Ma za to inne zalety. Proszę cię, błagam – zrozum to i okaż się lepsza od niego. To jest bardzo ważne. Może nie dla Bobby'ego, ale dla mnie. Jeśli więc nie chcesz przyjść do niego, to może zrobisz to dla mnie?

W ten sposób znalazłam się tego październikowego dnia na rogu ulicy Nagle, gdzie przywitał mnie wielki plakat wyborczy Bootsa Meaghera z napisem „Boots – to Chicago”. W tym rejonie miasta mieszkał Bobby, tu urodził się i wychował. Tu wyrosli także mój ojciec, stryjowie i ciotka Helena. Stąd pochodzą Michael, Boots, Ernie i Ron. Ci ostatni tutaj razem wyrastali, by potem pomagać sobie wzajemnie, gdyż w Chicago nikt nigdy nie zapomina, że przede wszystkim należy dbać o własny interes.

Zwykle gdy przekraczam tę niewidzialną granicę, która oddziela Norwood Park od reszty miasta, mam wrażenie, że przenoszę się w inny świat – świat małych, pięknych domków otoczonych starannie utrzymanymi ogródkami. Jest to cudowna okolica, zdawać by się mogło, nie mająca nic wspólnego z tamtą – południowo-wschodnią częścią miasta zaśmieconą i pokrytą obrzydliwymi malowidłami i graffiti.

Dzisiaj jednak nie wydawała mi się tak piękna. W szarym październikowym powietrzu

domy były jakies bezbarwne. Nawet kwiaty w ogrodach były mniej świeże. W tej chwili wolałabym znajdować się gdziekolwiek, tylko nie tutaj.

Zaparkowałam swój nowy wóz w jednym szeregu z innymi, blokującymi ulicę. Dziś nikomu nie groził mandat. Wsiadłam z samochodu. Dochodziły do mnie śmiechy i dźwięki kobzy. Goście grupkami stali na chodniku, rozmawiając z ozywieniem. Niektórzy witali mnie uśmiechami i machaniem dłoni – odpowiadałam im podobnie.

Tłum ludzi zalegał nie tylko podwórko Eileen, ale i dwa sąsiednie. Pośrodku stał okazały baldachim z ułożonym z płonących żarówek imieniem Bobby'ego. Nigdzie nie widziałam muzykantów, nie dostrzegłam również nikogo znajomego. Stałam zakłopotana przy wejściu na podwórko, gdy pojawiła się Eileen i przytuliła mnie serdecznie do swoich dużych, miękkich piersi.

– Och, Wik, jak to dobrze, że jesteś. Dziękuję ci, że przyszedłeś. A bałam się... Bobby jest tutaj. Będzie bardzo rad. Nie powiedział tego, ale rozumiesz... – Łzy pojawiły się na jej długich czarnych rzęsach. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez ciżbę do miejsca, gdzie było najciaśniej i gdzie stał Bobby obok kobziarza, a tłum namawiał jubilata, by zatańczył.

Eileen poczekała, aż ucichły nieco krzyki, i popchnęła mnie w stronę Bobby'ego.

– Bobby, zobacz, kto przyszedł.

Gdy Bobby mnie ujrzał, uśmiech zamarł na jego twarzy. Spojrzał na mnie z mieszaniną zakłopotania i stanowczości.

– Przepraszam, was bardzo – zwrócił się do otaczających go osób – ale muszę porozmawiać chwilę z tą młodą damą.

Poprowadził mnie do swojego domu przez tłum rozbawionych gości – dostrzegłam Neely zarumienioną i szczęśliwą w jasnoróżowej sukience.

Gdy weszliśmy do środka, dwie córki dekorowały właśnie olbrzymi tort. Rzuciły się na nas z krzykiem:

– Tato! Tobie nie wolno było tu wchodzić!

– Dobrze, dobrze dziewczęta, niczego nie widziałam. Muszę tylko wejść tu z Wiki, by chwilę porozmawiać. Nie wpuszczajcie do nas nikogo, zgoda?

– W porządku, tato, ale wyjdź stąd szybko i nie rozglądaj się.

Zeszliśmy do sutereny, którą Bobby sam zaadaptował do celów mieszkalnych. Bobby zapalił lampkę i usiadł na przykrytej czerwona narzutą kanapie, tuż w pobliżu dzieciennych łóżeczek. Ja usiadłam naprzeciwko w sfatygowanym fotelu, stojącym obok kominka. Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie, najwidoczniej zastanawiał się, co mi powiedzieć.

– Nie sądziłem, że przyjdiesz dzisiaj – odezwał się w końcu. – Nie przyszedłabym, ale zrobiłam to dla Eileen.

Wbił wzrok w podłogę i mruknął:

– W ubiegłym tygodniu powiedziałem wiele rzeczy, których nie powinienem był mówić. Żałuję bardzo.

– Zraniłeś mnie głęboko, Bobby – oświadczyłam nieco zachrypniętym głosem. – Twój pupilek omal mnie nie zabił, a ty rozmawiałeś ze mną jak z uliczną dziewczyną. Potarł twarz z zakłopotaniem.

– Widzisz, Wik, rozmawiałem o tym wszystkim z Eileen, a ona próbowała mi coś niecoś wyperswadować. Klnę się na Boga, że teraz nie wiem, dlaczego tak się wtedy zachowałem. Doktor Hershel zadzwoniła do mnie i w ten sposób dowiedziałem się, że jesteś w biedzie. Wiesz już o tym?

Skinęłam głową bez słowa.

– Od niej dowiedziałem się, że Michael był sprawcą. Wiem, próbowałaś mi to powiedzieć, ale to do mnie w ogóle nie docierało, aż do chwili, kiedy doktor Hershel oznajmiła mi, że strzelił do tego starego człowieka. Wtedy ja... Nie patrz tak na mnie, Wik, trudno mi teraz o tym mówić.

Odwrociłam oczy i skierowałam wzrok na kowbojskie nakrycia na dzieciennych łódeczkach.

– Wezwałem do siebie Johna i Finchleya. Oni nie byli zaskoczeni tak jak ja. – Zauważyli, że od dnia, w którym przyszedł do komendy z tą przekłętą bransoletą, Michael zaczął się zachowywać jakoś dziwnie. Mówili także o innych sprawach. Oczywiście nigdy wcześniej na ten temat nie próbowali ze mną rozmawiać – ja jestem szefem, a Michael był moim pupilem. – Tu wybuchnął chrapliwym śmiechem. – Co to za historia z bransoletą? Skąd ona się wzięła?

– Również i o tym próbowałam ci powiedzieć w środę – wyjaśniłam. – Nie miałam pojęcia, skąd się u mnie wzięła. Michael nie nosił jej w mojej obecności. Sądził, iż dopóki Helena żyje, wszystko może wyjść na jaw. Chodzi mi o podpalenie „Indiana Arms”. Był tym, który ogłuszył nas obie i zostawił w podpalonym przez siebie budynku. – Na samo wspomnienie tamtych strasznych chwil zaczęłam się trząść jak w febrze. Usiłowałam się uspokoić, ale na próżno.

Bobby chrząknął, podniósł się z miejsca i ściągnął kowbojską narzutę z jednego z łódeczek. Otuliłam się nią. Po chwili przestałam się trząść, ale każde z nas zostało ze swoimi wspomnieniami.

Tylko ostatni z wczorajszych mych gości zachował się inaczej niż pozostali. Tym gościem była Zerline, która jak za pierwszym razem przybyła do mnie jadąc trzema autobusami. Chciała wiedzieć, jak naprawdę umarła jej córka. Poczęstowałam ją coca-colą i rosołem Lotty. Płakała razem ze mną, kręciła głową z podziwu, gdy powiedziałam jej, że Helena ocalała mi życie.

– Widocznie jeszcze niezupełnie straciła rozum. Wszystko dzieje się z woli Pana.

Jakby domyślając się czegoś, Bobby zapytał nagle o moją ciotkę.

– Ciotka nic a nic się nie zmieniła. Gdy zatrzymałam się przed „Windsor Arms”, gdzie teraz mieszka, spostrzegłam ją stojącą z butelką pod hotelem wśród gromady brudnych, starych włóczęgów i demonstrującą wyłamany palec jako dowód swoich heroicznym czynów. Sądzę, że niektórych ludzi nic nie jest w stanie zmienić, nawet trąba powietrzna – uśmiechnęłam się smętnie.

Bobby pokiwał głową.

– Chciałbym, żebyś mnie zrozumiała, Wik. Spróbuj przynajmniej. Tony, twój ojciec, wziął mnie pod swoje skrzydła, kiedy wstąpiłem do policji. Był wtedy trzynaście – czternaście lat starszy ode mnie. Wtedy wielu facetów wracało z wojny i nam rekrutom nie

było łatwo. Tony zajął się mną od pierwszego dnia.

Sądziłem, iż mogę spełnić taką samą rolę wobec Michaela i poczułem się dotknięty, bardzo głęboko dotknięty, kiedy Eileen mi powiedziała, że mogę się mylić. Pomyślałem, co by powiedział Tony, gdyby zobaczył, że popełniłem wielki błąd?

Wyglądało na to, iż nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie, ale mu jej udzieliłam.

– Wiesz dobrze, co by powiedział: każdy może popełnić błąd, ale tylko głupiec w nim tkwi.

Bobby uśmiechnął się boleśnie.

– Tak, być może masz rację. Prawdopodobnie tak. Chciałbym jednak, żebyś to jedno wiedziała: zawsze sądziłem, że najlepiej spłacę dług Tony’emu, opiekując się tobą. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Tony i Gabriela tak ciebie wychowali – zupełnie inaczej niż ja swoje córki. Moim zdaniem, ty nie jesteś prawdziwą kobietą – pragniesz nie tego, czego pragną inne, robisz nie to, co robi przeciętna kobieta! Nie jestem pewien swojego stosunku do ciebie. Ale chciałem się tobą opiekować.

Myślałam, że już skończył, ale on tylko przerwał na chwilę, wyłamując palce w kostkach.

– Tak więc ty nie jesteś taka jak inne kobiety. Eileen nigdy to nie obchodziło, zawsze cię kochała jak własną córkę. Ale ja nie mogłem sobie z tym poradzić. Kiedy więc oskarżyłaś Michaela, zobaczyłem w tobie potwora. Wiem jednak, że gdyby on miał twój rozum, nigdy by nie dostał się w sieci tych drani. Nigdy by nie wykopał pod sobą tego dołu, w który wpadł.

Musiałem to wszystko przemyśleć. Przede wszystkim zrewidować swój stosunek do ciebie. Chcę zacząć wszystko od początku. Kocham swoje córki. Nie chciałbym, żeby były inne, niż są. Ale ty jesteś dzieckiem ludzi, których bardzo kochałem i szanowałem. Jesteś taka, jaka jesteś i nie potrafisz być inna, nie powinnaś jednak postępować inaczej niż oni.

Drzwi na szczycie schodów się otwały i rozległ się głos Marianny, jednej z córek Bobby’ego:

– Tato! Goście na ciebie czekają!

– Zaraz wracam, kochanie! – odkrzyknął. – Niech nie zaczynają beze mnie! – Podniósł się z miejsca. – Zrozumieliśmy się? Starczy na dziś?

Wstałam także.

– Tak, sądzę, że wystarczy. – Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam małą paczuszkę. – Przyniosłam to dla ciebie. To mój prezent urodzinowy dla jubilata.

Rozwinął paczuszkę i otworzył pudełeczko. W środku była odznaka policyjna mojego ojca. Nic nie powiedział, ale po raz drugi w życiu zobaczyłam w jego oczach łzy.

Podziękowanie

Angelo Polvere z Mayfaire Construction Company w Chicago wprowadził mnie w tajniki pracy przedsiębiorcy budowlanego i jego biura. Jay Meyer zawiózł mnie na sam szczyt sześćdziesięcioletniego wieżowca w Chicago, wyjaśniając mi różne fazy jego budowy. Doświadczylam lęku wysokości na znajdującej się na szczycie otwartej platformie betonowej. Całą tę lekcję pogładową o budownictwie zorganizował dla mnie Ed Keane. Moja znajomość realiów budowy znacznie przewyższała moją wiedzę na ten temat – dlatego wszelkie ewentualne błędy rzeczowe w tej materii należy przede wszystkim przypisać mnie osobiście, a nie moim wspaniałym nauczycielom.

Ray Gibson zaznajomił mnie z różnymi narzędziami i instrumentami, z którymi Warszawski ma do czynienia w tej książce. Dr Robert Kirschner oprowadził mnie po okręgowej kostnicy – nie było to przyjemne, ale pouczające.

Żadna z postaci w książce nie ma nic wspólnego z realną osobą występującą w życiu publicznym Chicago. Boots Meagher, Ralph MacDonald, Roz Fuentes, Alma Mejicana, Wunsch and Grasso są wyłącznie tworem mojej wyobraźni. Również budowa Rapelec nie jest wzorowana na żadnej z istniejących budów w Chicago.

Courtenay, Carhu i inni przyjaciele pomogli mi pokonać szereg innych trudności w pracy nad moją książką.